

MacBride Stuard

Zamierające Światło

Przekład WOJCIECH SZYPUŁA

&

ambeh

Redakcja stylistyczna Elżbieta Novák

Korekta Renata Kuk

Magdalena Kwiatkowska

Ilustracja na okładce

Freeman Patterson/Masterfile/East News

Opracowanie graficzne okładki Studio Graficzne Wydawnictwa Amber

Skład

Wydawnictwo Amber Druk

Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału ^

Dying Light

Originally published in English by HarperCollins Publishers Ltd under the title Dying Light by Stuart MacBride. Copyright © Stuart MacBride 2006. All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. ISBN 978-83-241-2899-0

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13,620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Było ciemno, kiedy weszli do domu o zabitych deskami oknach: niechlujne, brudne gnojki w podartych dżinsach i bluzach z kapturami. Trzech mężczyzn i dwie kobiety - prawie identyczni z tymi długimi włosami, kolczykami w uszach, nosach i Bóg wie gdzie jeszcze. Wszystko w nich krzyczało: „Zabij mnie!”

Uśmiechnął się. Wkrótce naprawdę zaczną krzyżeć.

Piętrowy dom stał w połowie długiej linii identycznych niezamiesz- kanych szeregowców. Słaby blask ulicznych lamp ledwie docierał do brudnych granitowych murów. Okna zabito grubą sklejką - poza jednym, na piętrze, gdzie przez brudne szkło sączyło się słabiutkie, chorowite światło. Dudniła taneczna muzyka. Reszta ulicy była wymarła, opustoszała, potępiona jak jej mieszkańcy. Ani żywej duszy. Nikt nie zobaczy go przy pracy.

Wpół do dwunastej muzyka zagrzmiała jeszcze głośniejsz - i dobrze: rytmiczny łoskot łatwo zagłuszy każdy hałas. Podszedł do framugi i wziął się do roboty, kręcąc śrubokrętem w rytm muzyki. Cofnął się i podziwiał swoje dzieło: pięciocentymetrowe ocynkowane śruby biegly

dookoła drzwi, mocując je na stałe do futryny. Wyjście zostało nieodwołalnie zamknięte. Uśmiechnął się szeroko. To będzie dobre. Najlepsze.

Schował śrubokręt do kieszeni; pogładził zimny, twardy trzpień. On sam też był twardy - przejaw z trudem skrywanej radości wypychał mu przód spodni. Uwielbiał te chwile, tuż przed pożarem, kiedy wszystko było przygotowane i nikt nie mógł uciec. Kiedy zbliżała się śmierć.

Z torby, którą postawił sobie pod nogami, wyjął trzy szklane butelki i zielony plastikowy kanister. Uszczęśliwiony, poświęcił dłuższą chwilę na to, by otworzyć butelki, napęlić je benzyną i zatkać szmacianymi korkami. Wrócił pod drzwi. Uchylił skrzynkę na listy i przez szczelinę wlał resztę benzyny z kanistra, nasłuchując jej chlupotu na gołych deskach, ledwie słyszalnego przy dudniącej muzyce. Strużka wyciekła pod drzwiami na ganek, tworząc małą węglowodorową kałużę. Doskonale.

Zamknął oczy, odmówił krótką modlitwę i rzucił w kałużę zapaloną zapalniczkę. Buch! Płomień - w środku niebieski, na brzegach żółty - pomknął ku drzwiom i wśliznął się pod nimi do wnętrza. Jeden, dwa, trzy, cztery - wystarczy, rozpalilo się. Połówką cegły roztrzaskał okno na piętrze. Muzyka zabrzmiała jeszcze głośniejsze. Przekleństwa. Pierwszy koktajl Mołotowa poleciał do środka. Rozbił się na podłodze, rozbryzgując płonące paliwo po całym pokoju. Przekleństwa przeszły w okrzyki przerażenia. Uśmiechnął się znowu i rzucił dwie pozostałe butelki.

Przebiegł na drugą stronę ulicy, aby stamtąd, ukryty w cieniu, patrzeć, jak się palą. Przygryzł wargę i wyjął wzwiedziony członek. Przy odrobinie szczęścia zdąży wytrysnąć i uciec, zanim ktoś się pojawi.

Niepotrzebnie się spieszył. Dopiero po kwadransie ktoś wszczął alarm, a potem musiało upłynąć jeszcze dwadzieścia minut, zanim zjawiała się straż pożarna.

Wszyscy zginęli.

i

2

Rosie Williams umarła tak, jak żyła: paskudnie. Leżała na wznak w brukowanym zaułku ze wzrokiem utkwionym w pomarańczowoszare nocne niebo; jej skóra lśniła od deszczu, który delikatnie zmywał jej krew z twarzy. Naga, jak ją Pan Bóg stworzył.

Posterunkowy Jacobs i posterunkowa Buchan pierwsi znaleźli się na miejscu zbrodni. Jacobs nerwowo przestępował z nogi na nogę na śliskiej jezdni, Buchan tylko klęła pod nosem.

- A to drań! - Patrzyła na leżące przed nią blade, pokiereszowane ciało. - To tyle, jeśli chodzi o spokojną nocną zmianę.

Trup oznacza papierkową robotę, ale... Uśmiechnęła się lekko. Trup oznacza również nadgodziny, Bóg jeden wie, jak bardzo jej teraz potrzebne.

- Może wezwę posiłki?

Posterunkowy Jacobs sięgnął niezdarnie po krótkofalówkę i wywołał centralę. Potwierdził anonimowe zgłoszenie o znalezieniu zwłok.

- Zaczekaj no - odpowiedziała centrala z przeciągłym aberdeen- skim akcentem. W głośniku zaszumiało i usłyszeli: - Na razie musicie sobie radzić sami. Wszyscy polecili do tego cholernego pożaru. Jak tylko znajdę jakiegoś inspektora, podeślę go wam.

- Że co?! - Buchan złapała za krótkofalówkę Jacobsa, choć nadal była przymocowana do jego ramienia. Posterunkowy zatoczył się i omal nie stracił równowagi. - Co to ma znaczyć: Jak tylko znajdę jakiegoś inspektora", do jasnej cholery?! My tu mamy morderstwo, nie jakiś zakichany pożar! Jak to, pożar jest ważniejszy niż...

Głos z centrali nie dał jej dokończyć:

- Posłuchajcie no, posterunkowa. Nie obchodzą mnie wasze osobiste problemy; zostawiajcie je w domu. A na razie róbcie, co się wam mówi: macie zabezpieczyć miejsce zbrodni i czekać na inspektora. Jeśli trzeba będzie czekać do rana, czekacie do rana i już. Zrozumiano?

Buchan poczerwieniała ze złości.

- Tak jest, sierżancie - wykrztusiła.

- No! To rozumiem.

Centrala przerwała połączenie.

Posterunkowa znów zaczęła kłąć. Jak zabezpieczyć miejsce zbrodni bez ekipy BIO?

Przecież pada deszcz, do diabła; zmyje w cholere wszystkie ślady! A gdzie ludzie z WK?

Szykuje się śledztwo w sprawie morderstwa, a oni nie mają nawet swojego OŚ!

Chwyliła posterunkowego Jacobsa za kłapy munduru.

- Chcesz się wykazać?

Zmarszczył podejrziwie brwi.

- To zależy...

- Potrzebny nam oficer śledczy. Gdzieś niedaleko mieszka twój kumpel, prawda? Policyjny bohater...

Jacobs przytaknął.

- No to szoruj go obudzić. Niech on się tym zajmie.

Posterunkowa Watson miała najbrzydszą kolekcję bielizny, jaką Logan w życiu widział: wszystkie jej staniki i majtki wyglądały, jakby zaprojektował je w wolnej chwili konstruktor wojskowych sterowców z I wojny światowej, i były jednolicie szarobure jak mundury. Nie żeby ostatnio miał okazję oglądać bieliznę Jackie; rzadko zdarzało się, żeby jednocześnie dostawali wolne. Uśmiechnął się, rozespany, i obrócił na drugi bok. Światło sączące się z przedpokoju przez otwarte drzwi sypialni padało na rozbabrane łóżko.

Zmrużył oczy i spojrzał na budzik: dochodziła druga. Jeszcze pięć godzin, zanim będzie musiał stawić się w pracy i znów wysłuchiwać tego pieprzenia. Całe pięć godzin.

Pstryk! Światło w przedpokoju zgasło. Miętko zarysowana sylwetka pojawiła się w drzwiach i podeszła do łóżka; podrapał ją po plecach. Posterunkowa Jackie Watson oplótła go zdrową ręką i położyła mu głowę na ramieniu - koniuszki włosów dostały mu się do ust i nosa. Wydmuchnął je dyskretnie i pocałował ją za uchem, czując, jak całym chłodnym ciałem przytula się do niego. Kiedy powiodła palcem po szerokich bliznach na jego piersi, stwierdził, że pięć godzin to jednak wcale nie tak dużo...

Zrobiło się już całkiem interesująco, kiedy zadzwonił dzwonek.

- Psiakrew! - zaklął Logan.

- Daj spokój. To pewnie jakiś pijaczek.

Dzwonek zabrzmiał ponownie, tym razem bardziej natarczywy - tak jakby ten palant pod drzwiami chciał przewiercić się palcem do środka budynku.

- Spadaj! - krzyknął Logan w mrok.

Jackie parsknęła śmiechem, ale cholerny dzwonec nie rezygnował. W dodatku do chóru dołączyła komórka Logana.

- Jak Boga kocham!...» - Sturlał się na bok, usłyszał jęk niezadowolenia i sięgnął po leżący na nocnej szafce telefon. - Czego?!

- Halo? Sierżant McRae?

Posterunkowy Jacobs. Sławny Nagi Szermierz.

Logan przytulił policzek do poduszki, przyciskając aparat do ucha.

- Słucham, posterunkowy. O co chodzi?

Oby to było coś ważnego, skoro odciągają go od rozebranej posterunkowej Watson.

- No bo... eee... panie sierżancie... mamy tu ciało... i...

- Nie jestem na służbie.

Posterunkowa Watson prychnęła w sposób, który miał oznaczać, że owszem, jak najbardziej jest na służbie, chociaż niezwiązanej z pracą w policji.

- No wiem, ale wszyscy pojechali do jakiegoś pożaru, a my nie mamy ani nikogo z BIO, ani nawet OŚ!

Logan zaklął w poduszkę.

- W porządku. Gdzie jesteście?

Dzwonek u drzwi znów zadzwonił.

- No... To ja.

Niech to szlag! Logan zwłókł się z łóżka i ubrał. Wymięty, nieogolony, na miękkich nogach wywłókł się z mieszkania, zszedł na parter i otworzył drzwi wejściowe. Posterunkowy Jacobs, który zasłynął rozbieraną interpretacją A Kind of Magic Queenów, stał na górnym stopniu schodków.

- Przepraszam, panie sierzancie - powiedział z głupią miną. - To niedaleko, prawie po drugiej stronie ulicy. Naga kobieta, chyba pobito ją na śmierć...

Wszelkie myśli o tym, że jeszcze przed świtem się zabawi, wywietrzały Loganowi z głowy.

We wtorek w nocy, kwadrans po drugiej, port był właściwie pusty. W świetle ulicznych latarni budynki z szarego granitu wyglądały nienaturalnie żółtawo; mżawka łagodziła ich ostre kontury. Przy końcu Marischal Street cumował ogromny, pomalowany na pomarańczowo statek zaopatrzeniowy dla platform wiertniczych. Jego światła rozmywały się w jasne kule, gdy Logan z Jacobsem mijali go i skręcali w Shore Lane, wąską jednokierunkową uliczkę w samym sercu aberdeeńskiej dzielnicy czerwonych latarni. Po jednej stronie ciągnęły się brudne czteropiętrowe kamienice o ciemnych oknach, po drugiej - domy różnych kształtów i rozmiarów. Nawet o tak późnej porze smród Shore Lane był bardzo charakterystyczny: po trzech dniach ulewnych deszczów i tygodniu upałów w kanałach pływały potopione i rozkładające się na potęgę szczury. Do murów w wielu miejscach przyśrubowano sodowe lampy, ale większość z nich popsukała się i w morzu ciemności jaśniały tylko małe kałuże żółtego światła. Ślizgając się na mokrym bruku, Logan i posterunkowy Jacobs podeszli do kałuży w połowie uliczki, gdzie policjantka przykucnęła nad jakąś jasną plamą.

Trup.

Słyszając ich kroki, posterunkowa wstała i zaświeciła im latarką w twarze.

- A, to wy - stwierdziła bez entuzjazmu.

Cofnęła się i skierowała snop światła na ciało.

Zwłoki kobiety. Twarz posiniaczona i zniekształcona, jedno oko prawie całkiem zapuchnięte, nos rozkwaszony, złamana kość policzkowa, pęknięta żuchwa, wybite zęby. Miała na sobie tylko naszyjnik z fioleto- woczerwonych siniaków i nic więcej.

Nie była młódką. Na grubych udach cellulitis jak biały ser, na brzuchu rozstępy wielkie jak piaskowe wydmy, pośrodku rzysko krótkich, ostrych włosów, którym przydałaby się wykonywana domowym sposobem depilacja. Na białej jak mleko skórze nad lewą piersią miała wytatuowaną różę i zakrwawiony sztylet. Deszcz nie splukał tatuowanej krwi.

- Rany boskie, Rosie! - Logan przyklęknął na jedno kolano, żeby obejrzeć zwłoki z bliska. - Kto ci to zrobił?

- Znajoma? Był pan jej klientem? - spytała zgryźliwie posterunkowa.

Logan udał, że jej nie słyszy.

- To Rosie Williams. Pracowała na ulicy, odkąd pamiętam. Bóg jeden wie, ile razy zamykaliśmy ją za nagabywanie mężczyzn.

Położył jej dłoń na szyi, szukając pulsu.

- Pewnie się pan zdziwi, ale już sprawdziliśmy - powiedziała z przekąsem posterunkowa. - Zimny trup.

Deszcz tłumiał pijackie śpiewy i wrzaski dobiegające gdzieś z głębi portu. Logan wstał.

- BIO? - zapytał. - Prokurator? Lekarz dyżurny?

Posterunkowa prychnęła lekceważąco.

- Chyba pan żartyje. Wszyscy pieprzą o jakimś pożarze. Najwyraźniej jest o wiele ważniejszy od starego babsztyla, którego ktoś zatłukł na śmierć. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Nawet nie przysłali nam porządnego OS i musieliśmy się zdać na pana, sierżancie.

Logan zgrzytnął zębami.

- Co chce pani przez to powiedzieć, posterunkowa?

Podszedł bliżej. Zaleciała go zastarzała woń papierosów. Posterunkowa nie spuściła oczu, jej twarz wyrażała niezadowolenie.

- Jak się miewa posterunkowy Maitland? - spytała głosem równie lodowatym jak trup, nad którym stali. - Żyje jeszcze?

Logan już chciał jej odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Był jej przełożonym i powinien zachowywać się jak dorosły. Chociaż korciło go, żeby wsadzić jej jednego z tych spasionych, rozkładających się, rozdętych zgnilizną szczurów prosto w...

Z głębi ulicy, od strony skrzyżowania z Regent Quay, dobiegły jakieś krzyki. Trzech mężczyzn chwiejnym krokiem wyszło zza rogu. Przystanęli i zaczęli majstrować przy rozporkach; zataczali się i wpadali na siebie, a potem ze śmiechem komentowali rozbryzgi moczu na granitowych murach. Logan odwrócił się do bezczelnej, zadowolonej z siebie posterunkowej.

- Posterunkowa... - Uśmiechnął się lekko. - Zabezpieczenie miejsca przestępstwa należy do waszych obowiązków. Dlaczego w takim razie widzę, jak trzech pijaczków sika sobie tutaj w najlepsze?

Przez chwilę miał wrażenie, że mu odpysknie, ale określiła się na pięcie i ruszyła w stronę trzech mężczyzn, wołając z daleka:

- Hej! Wy tam! Co wy sobie wyobrażacie?

Logan i posterunkowy Jacobs zostali sami ze zmasakrowanymi zwłokami Rosie Williams. Logan zadzwonił z komórki do centrali, prosząc o przysłanie lekarza dyżurnego, ekipy Biura Identyfikacji Ofiar, prokuratora i reszty cyrku, który zbierał się za każdym razem, gdy zachodziło podejrzenie morderstwa. Nic z tego: wszyscy byli zajęci przy jakimś wielkim pożarze w Northfield. Ale inspektor McPherson podjedzie do nich na Shore Lane, gdy tylko będzie mógł. Na razie niech Logan zostanie tam i pilnuje, żeby nikt więcej nie zginął.

Godzinę później inspektor McPherson nadal nie dawał znaku życia. Nie było również ludzi z BIO, przyjechał za to lekarz. No i przestało padać. Lekarz z trudem wcisnął się w biały papierowy kombinezon ochronny i powlókł Shore Lane do miejsca, w którym posterunkowa Buchan niechętnie przedzieliła ją niebieską taśmą z napisem „Policja”.

O wpół do czwartej rano doktor Wilson nie był w życiowej formie, co zresztą udowodnił, upuszczając torbę medyczną w cuchnącą zdechłym szczurem kałużę i klnąc jak szewc. Wory pod oczami miał wielkości hamaków, nos czerwony i obtarty od kataru.

- Dzieńdoberek, doktorze - przywitał go Logan.

W odpowiedzi usłyszał zdawkowe chrząknięcie. Wilson przykucnął i zaczął szukać pulsu u ofiary.

- Nie żyje - stwierdził.

Wstał i ruszył z powrotem do samochodu.

- Zaraz. - Logan złapał go za ramię. - To wszystko? „Nie żyje” i już? Że nie żyje, to wszyscy wiemy. Może by pan spróbował powiedzieć, kiedy i jak umarła?

Lekarz zmarszczył brwi.

- Nie płacą mi za to. Zapytajcie patologa.

Zaskoczony Logan puścił go.

- Ciężka noc?

Doktor Wilson przetarł dłonią twarz, aż zachrząścił zarost.

- Przepraszam. Jestem wykończony... - Spojrzał przez ramię na zwłoki Rosie i westchnął. - Prawdopodobna przyczyna śmierci: uderzenie tępym narzędziem. Śińce nie są zbyt wyraziste, więc krew szybko przestała krążyć. Sądząc po kolorze, to było... trzy, cztery godziny temu. - Stłumił ziewnięcie. - Pobita. Na śmierć.

Dopiero dwadzieścia po czwartej przyjechali następni. Lekarz dawno się ulotnił. Słońce już powoli wschodziło, niebo miało delikatną barwę cytryny z szarymi pasemkami, ale portowy zaułek nadal tonał w cieniu.

Biały brudny ford transit Biura Identyfikacji Ofiar skręcił z dwu- pasmówki i wjechał tyłem w głąb Shore Lane; technik w białym kombinezonie naprowadzał kierowcę. Otworzyły się tylne drzwi wozu i rozpoczęły rytualne zmagania z namiotem; należało go rozstawić nad miejscem zbrodni - szarpanina z metalowymi masztami i ciemnoniebieskim brezentem, który przysłoniłby ciało Rosie Williams. Zawarczał włączony generator, plując w poranne powietrze kłębamii błękitnego dymu; smród dieslowskich spalin był niemal tak silny jak odór zgnilizny. Zapłonęły dwa reflektory. Chwilę później prokurator - atrakcyjna blondynka po czter<Męstce - zaparkowała na samym końcu Shore Lane, przy Regent Quay. Zalatywało od niej papierosami, wyglądała na tak zmęczoną jak Logan się czuł. Za nią szła młodsza kobieta o poważnym spojrzeniu: drobne loczki, szeroko otwarte oczy, notes. Logan w skrócie przedstawił im sytuację, kiedy walczyły z papierowymi kombinezonami. Potem musiał wszystko powtórzyć, gdy przyjechała pani patolog - doktor Isobel MacAlister: zmęczona, rozdrażniona i z przyjemnością wyładowująca na nim swoją frustrację. Nie ma to jak eksdziewczyna, taka dobije człowieka. Nadal brakowało inspektora McPhersona, co oznaczało, że jeśli coś pójdzie źle, odpowie za to on, sierżant McRae. Tak jakby miał za mało zmartwień. Pocięszał się, że nie będzie musiał się tym długo zajmować - nie wyobrażał sobie, żeby dali mu śledztwo w sprawie zabójstwa. Nie po tym, jaką ostatnio zyskał reputację. Nie po tym, jak spartolił akcję i omal nie doprowadził do śmierci posterunkowego Maitlanda. Nie, tę sprawę dostanie ktoś, kto jej nie spieprzy.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta. Zaczynał dyżur dopiero za dwie godziny, a już spędził na nim pół nocy. Westchnął, zmęczony, i schronił się przed zimnym blaskiem świtu do namiotu. Zapowiadał się długi dzień.

3

Siedmiopiętrowy budynek Komendy Rejonowej Policji w Grampian stał przy uliczce odchodzącej od wschodniego krańca Union Street. Szkło i granit układały się na powierzchni gmachu w szerokie szare i czarne pasy. Zwieńczona koroną cierniową anten i syren nie była może szczytowym osiągnięciem architektonicznym Aberdeen, ale Logan przynajmniej czuł się w niej jak w domu.

Wziął sobie kawę z automatu i podkradł herbatnik z biura prasowego. Inspektora McPhersona nigdzie nie widział: nie znalazł go ani u niego w biurze, ani w pokoju operacyjnym, ani w stołówce. Sprawdził jeszcze w centrali łączności, ale tam ostatni kontakt z McPherso- nem mieli za kwadrans szósta, kiedy zadzwonił ze szpitala: złamana noga, złamany nadgarstek, wstrząśnienie mózgu. Spadł ze schodów.

Logan zaklął.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział?! Czekałem na niego od wpół do trzeciej rano!

Pracownik centrali tylko wzruszył ramionami. Nie jest przecież sekretarką. Jeżeli Logan koniecznie chce oddać komuś sprawę, powinien spróbować obgadać to z inspektorem Inschem - nawet jeśli Insch ma na głowie to podpalenie.

Poranna odprawa u Inscha przebiegła w ponurej atmosferze. Inspektor przysiadł na krawędzi biurka, ubrany w elegancki szary garnitur, który zdawał się pękać w szwach, opinając jego potężną sylwetkę. Insch z roku na rok wydawał się coraz większy. Okrągła twarz i błyszcząca łysina upodabniały go do różowitkiego, rozeźlonego jaja. Ludzie w

milczeniu słuchali nowin o stanie Maitlanda: udało się usunąć kulę, ale posterunkowy nie odzyskał przytomności. Zaplanowano zrzutkę dla rodziny.

Potem była sprawa z branży narkotykowej: pojawili się nowi dilerzy i wybuchła mała wojna o wpływy. Na razie obeszło się bez ofiar śmiertelnych, ale sytuacja mogła się w każdej chwili pogorszyć.

Logan w pięć minut zreferował sprawę pobitej na śmierć Rosie Williams, po czym Insch znów przejął pałeczkę i opowiedział o nocnym pożarze; jego głos dudnił w zatłoczonym pokoju. Pożar wybuchł w jednym ze starych domów przy Kettlebray Crescent - w osiedlu podupadłych komunalnych szeregowców, zamkniętych na głucho i zabitych deskami po tym, jak uznano, że nie nadają się do zamieszkania. Od dwóch miesięcy pod czternastką koczowali dżicy lokatorzy: trzech mężczyzn, dwie kobiety i dziewięciomiesięczne dziecko, dziewczynka. Podczas pożaru wszyscy byli w domu - co tłumaczyło charakterystyczną woń jakby pieczonej wieprzowiny, jaka powitała strażaków, kiedy wreszcie zdołali wyważyć drzwi. Nikt nie przeżył.

Inspektor przesunął się na biurku; jęknęło pod jego ciężarem. Sięgnął do kieszeni spodni.

- Jeden zespół pochodzi po domach w promieniu dwóch ulic od miejsca wypadku.

Interesuje nas wszystko, co dotyczy tych dzikich lokatorów, zwłaszcza ich nazwiska. Chcę wiedzieć, kim byli. Drugi zespół przeszuka sąsiednie domy, ogródki i okolicę. Będziecie szukać wska-zó-wek - dodał melodyjnym głosem, który nadawałby się do telewizyjnych programów dla dzieci. - Kto był szefem kuchni na tym nocnym grillowaniu? Znajdźcie mi coś.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Logan siedział na swoim miejscu, usiłując sprawiać wrażenie mniej zmęczonego niż w rzeczywistości.

- No i jak? - spytał Insch, kiedy zostali sami. - O której ma pan audiencję u Drakuli?

Logan zapadł się jeszcze głębiej w krzesło.

- O wpół do dwunastej.

Insch zaklął i zaczął przeszukiwać kieszenie marynarki.

- A co to za idiotyczna pora? Nie mógł pana wezwać na siódmą jak już chce obdrzeć pana ze skóry? Cały ranek w plecy... - Chrząknął z satysfakcją kiedy znalazł wreszcie to, czego szukał: paczkę musujących żelków dinozaurów. Włożył jeden do ust i zaczął żuć w zadumie.

- Kazał panu przyprowadzić kogoś ze związków?

Logan pokręcił głową.

- No to raczej pana nie wyleją. - Insch dzwignął się z biurka. - Ale skoro spotkanie z hiszpańską inkwizycją dopiero o wpół do dwunastej, może pan wcześniej pożegnać się z Rosie Williams. Sekcja jest o ósmej. Ja idę na konferencję prasową w sprawie tego przekłętą pożaru, a ten drań McPherson znów jest na zwolnieniu, więc naprawdę nie mam czasu przyglądać się, jak Królowa Zimy szatkuje jakąś zamordowaną kurewkę. Da pan sobie radę beze mnie. Niech pan już zmyka. - Machnął rękami. - Bo mi tu bałagan robi.

Zanim Logan przeszedł przez parking i dotarł do prosektorium, Rosie została już umyta i przygotowana do sekcji. Złożone z pomieszczeń o dziwnych kształtach i rozmiarach prosektorium mieściło się w podziemiach komendy, nie stanowiąc właściwie jej części. Sala, w której przeprowadzano sekcje, była spora. Czyste białe kafelki i stalowe stoły lśniły w blasku lamp, środek dezynfekcyjny i odświeżacz powietrza toczyły z góry przegraną walkę z odorem przypalonego mięsa. Pod ścianą stało w rzędzie sześcioro noszy na kółkach. Leżały na nich ciała w białych foliowych workach.

Logan zjawił się zaledwie pięć minut przed czasem, ale chwilowo i tak był tu jedyną żywą istotą. Ziewnął rozdzierająco i przeciągnął się, żeby rozluźnić spięte i obolałe ramiona. Brak snu i sześć godzin w zimnym, cuchnącym zaułku zaczynały mu się dawać we znaki.

Odchrząknął i ciężkim krokiem podszedł do nagich zwłok Rosie. Leżała na jednym z błyszczących stołów prosektoryjnych, pod olbrzymim wyciągiem, gotowa oddać się po raz

ostatni. Skórę miała jeszcze bledszą niż wcześniej, kiedy leżała na bruku. Krew poddała się prawu ciężenia, przesiąkła przez tkanki i zebrała w dolnych częściach rąk i nóg, dlatego porcelanowobiałe ciało przybrało ciemnofioletowy kolor w miejscach styku z białym. Biedna Rosie. Wiadomość o jej śmierci nie trafiła nawet na pierwszą stronę „Press and Journal”. Główny tytuł brzmiał: „Sześć ofiar podpalenia!”

Logan zauważył dziwną wypukłość pod skórą powyżej klatki piersiowej Rosie, ale kiedy się nad nią nachylił, żeby się lepiej przyjrzeć, drzwi prosekatorium otworzyły się z impetem i do środka wparował patolog.

17

- Jeżeli zebrało się panu na amory, wpadnę później - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu, doktor Dave Fraser, grubasek, pięćdziesiąt pięć lat, łysy, z włoskami w uszach. - Wiem, że ma pan słabość do takich lodowatych dam. - Kiedy znów się uśmiechnął, Logan nie mógł nie odpowiedzieć uśmiechem. - A skoro o tym mowa... Pewnie będzie pan rozczarowany, słysząc, że Jej Wysokość Królowa Zimy nie dołączy do nas podczas tej małej uroczystości. Poszła do lekarza. Źle się czuje po nocy.

2 - Zamierające światło

Logan odetchnął z ulgą. Wcale nie spieszyło mu się do ponownego spotkania z Isobel po tym, jak rano widział ją w paskudnym nastroju. Doktor Fraser wskazał nosze pod ścianą.

- Ja się przygotowuję, a pan może sobie przez ten czas zerknąć, jak to wygląda.

Wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, Logan podszedł do noszy. Z bliska zapach był jeszcze gorszy: przypalone mięso i wytopiony tłuszcz. Jeden z worków starannie złożono na czworo i skleiono taśmą robiąc pakunek odpowiadający wielkością dziewięciomiesięcznemu dziecku. Logan wziął głęboki oddech i wybrał jeden z pozostałych pięciu worków. Przez chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się, czy to na pewno dobry pomysł, ale potem otworzył suwak. Z twarzy niewiele zostało: nos i oczy się rozplynęły, usta zamaryły otwarte w ostatnim niemym krzyku, żółto-brunatne kikuty zębów sterczały ze szerniałych dziąseł. Żołądek podszedł mu do gardła. Zasunął worek i roztrzęsiony wrócił do stołu.

- Niezłe, co? - Fraser uśmiechnął się do niego zza maski chirurgicznej. - Coś panu powiem: pokroiłem jednego, jak ich tu przywieźli: z wierzchu chrupiący, w środku surowizna. Jakby moja żona grillowała mięso.

Logan zamknął oczy, starając się myśleć o czym innym.

- Nie powinni być w chłodni?

- Powinni. Ale podnośnik się zepsuł i nie dam rady ich włożyć; mam kłopoty z kręgosłupem. Brian się tym zajmie, jak przyjdzie.

Brian - starszy technik patolog - zjawił się punkt ósma razem z panią prokuratorką, jej asystentką fotografem policyjnym i drugim patologiem, który miał czuwać nad tym, by doktor Fraser nie spaprał autopsji i nie naraził ich na proces. Brian był chudy jak szczapa i błydy jak trup, miał oczy jak chora ryba i odpowiednio sflaczały uścisk dłoni. Asystentką prokuratorką była ta sama dziewczyna, która nad ranem przyjechała na miejsce zbrodni - nowa w tym fachu, dwa lata po studiach, szybko pnąca się po szczeblach kariery. Przebrała się w kompletny strój chirurgiczny, z maską i czepkiem włącznie. Oczy błyszczały jej z podniecenia i strachu. Logan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna pierwszy raz uczestniczy w prawdziwej sekcji.

- Gotowi? - spytał Fraser, kiedy wszyscy włożyli papierowe kombinezony ochronne, żeby nie zanieczyścić zwłok.

- Zanim zaczniemy - odezwała się asystentka pani prokuratorki, szukając u przełożonej pozwolenia na zabranie głosu - chciałam zapytać, co się stało z ubraniem ofiary. Czy zostało sprawdzone?

Logan pokręcił głową.

- Znalaziono ją nagą. Ubrania nie było. Dwoje posterunkowych na moje polecenie przeszukało okolicę. Bez powodzenia.

Zmarszczyła brwi.

- Czyli ten, kto ją zabił, zabrał jej ubranie - stwierdziła, nie zauważając znaczących spojrzeń, jakie wymienili Logan z Fraserem. - Została zgwałcona? Czy stwierdzono świeże ślady obcowania płciowego?

Doktor Fraser ściągnął usta. Logan widział, że zastanawia się, jak by tu jej powiedzieć, żeby zamknęła się i odpieprzyła.

- Tak daleko jeszcze nie doszliśmy, ale biorąc pod uwagę, kim była, zdziwiłbym się, gdybyśmy nie znaleźli śladów bzykanka. - Kazał Brianowi włączyć magnetofon. - Jeżeli wszyscy siedzą wygodnie, proponuję zaczynać.

Logan starał się nie patrzeć, jak Fraser kończy oględziny zewnętrzne i sięga po skalpel: widok wnętrza wyciąganych ze zwłok w kilku dużych grudach i grzebiącego w nich lekarza zawsze przyprawiał go o mdłość. Sądząc po minie asystentki, jej śniadanie też wykonywało prosektoryjne wygibasy. Oczy jej zwilgotniały i poróżwiały, a kolor odpłynął z twarzy - przynajmniej ze skrawka między czepkiem i maską. Miło widzieć, że nie on jeden tak reaguje.

Kiedy wreszcie było po wszystkim i mózg Rosie pływał w wiadrze pełnym formaliny, doktor Fraser kazał Brianowi wyłączyć nagrywanie

i wstawić wodę. Czas na herbatkę i prezentację najciekawszych fragmentów raportu.

Zebrał się - na stojąco - w niedużym pokoju, czekając, aż woda się zagotuje, i słuchali, jak Fraser przekłada medyczny żargon na zwyczajną angielszczyznę. Rosie Williams została pobita na śmierć. Ktoś najpierw ją rozebrał, a potem bił, kopał, deptał i dusił, niekoniecznie w takiej akurat kolejności.

- Przyczyną śmierci nie było jednak uduszenie - zastrzegł się Fraser. - Doszło do pęknięcia żebra i przebicia lewego płuca. Żebro przecięło żyłę i denatka utopiła się we własnej krwi. Ale z takimi obrażeniami i tak długo by nie pożyła. A, i jeszcze jedno: była w ciąży. Mniej więcej w ósmym tygodniu.

Zapisał pager pani prokurator. Wyjęła telefon, wywołując dyskretną falę przekleństw, a że w pokoju nie było zasięgu, wyszła na zewnątrz. Kiedy zabrakło szefowej, jej asystentka poczuła się zobowiązana przejąć inicjatywę.

- Trzeba zrobić analizę DNA płodu - zarządziła. - Może w zabójstwo jest zamieszany ojciec dziecka.

Odkąd skończyły się sceny jak z jatki, odzyskała trochę pewności siebie. Zdjęła lekarski kitel, odsłaniając czarny kostium i eleganckie buty. Jej długie, podkrecone przy końcach włosy miały kolor zwietrzałego piwa. Twarz była całkiem ładna, choć dość pospolita, nos długi. Garść piegów podkreślała świeżą opaleniznę.

- Czy napaść mogła mieć podłoże seksualne? - zapytała.

Fraser pokręcił głową.

- Są świeże ślady aktywności seksualnej, i to we wszystkich trzech otworach, ale nie widać, żeby ktoś ją do czegoś zmuszał. Są też pozostałości substancji nawilżających, prawdopodobnie po prezerwatywach ze środkiem plemnikobójczym, ale przekonamy się o tym, dopiero kiedy przyjdą wyniki z laboratorium. Nasienia nie znalazłem.

- Rozumiem... - Spojrzała na Logana. - Panie sierżancie? Proszę przeszukać tę ulicę i pozbierać zużyte środki antykoncepcyjne. Gdyby udało się nam... - Na widok miny Logana przerwała. - O co chodzi?

- Shore Lane to burdel pod gołym niebem. Walają się tam setki zużytych kondomów, a nie wiemy, ani jak długo tam leżą ani kto je nosił, ani w kim.

- Ale badanie DNA...

- Żeby sąd uznał wyniki badań DNA, trzeba by najpierw udowodnić, że konkretna gumka znalazła się w ciele interesującej nas kobiety i że użył jej wtedy morderca, a nie któryś z jej regularnych klientów. Że nie wspomnę już o kwestii, czy była używana, „kiedy doszło do pobicia ze skutkiem śmiertelnym”... A może dopiero później? Paskudne.

Spojrzał pytająco na doktora Frasera, ale ten pokręcił głową.

- Bez obawy. W zeszłym roku mieliśmy tu taką okropną sprawę: mężczyzna porwał małych chłopców, dusił ich, wykorzystywał seksualnie, a na koniec okaleczał. Tym razem nic podobnego się nie stało.

- Rozumiem... - Dziewczyna zmarszczyła równiutko wymodelowane brwi. - Przypuszczam, że pobranie i analiza materiału genetycznego ze wszystkich tych zużytych prezerwatyw kosztowałyby majątek.

- Majątek! - zgodnie przytaknęli Logan i doktor Fraser.

- Mimo to proszę je zebrać. Możemy je przetrzymać w chłodni do czasu wyłonienia podejrzanego.

Logan nie widział w tym ani krzty sensu, ale co on miał do powiedzenia? Był przecież tylko zwykłym sierżantem z dochodzeniówki. Właściwie wcale mu to nie przeszkadzało - pod warunkiem że nie on, lecz ktoś inny każe ludziom Inscha zbierać zużyte gumki. Najlepiej pełne.

- Zajmiemy się tym - powiedział.

- Dobrze. - Wyjęła z zakietu chudy czarny portfel i wręczyła im obu niemal jeszcze ciepłe, błyszczące wizytówki. - Gdyby pojawiło się coś nowego, proszę mi dać znać. Jestem pod telefonem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

I wyszła.

- No i co pan na to? - spytał doktor Fraser, kiedy zamknęły się za nią drzwi prosektorium.

Logan spojrzał na trzymaną w dłoni wizytówkę: „Rachael Tulloch, zastępca prokuratora”. Westchnął i schował ją do kieszeni na piersi.

- Chyba i bez niej mam dość zmartwień.

Zrobiło się dwadzieścia pięć po jedenastej i Logan zaczynał się denerwować. Przyjechał do biura wydziału wewnętrznego przed czasem, żeby zrobić dobre wrażenie, chociaż zdawał sobie sprawę, że jest na to stanowczo za późno. Inspektor Napier nigdy go nie lubił i tylko szukał okazji, żeby wywalić go z policji na obolałe dupsko. Dopiero za dwadzieścia dwunasta Logan został wezwany przed oblicze inspektora.

Napierowi, który z natury miał nieszczęśliwą minę, udało się wybrać zawód, w którym żałosna gęba, rzędzące rude włosy i haczykowany nos to zalety, nie wady.

Nie wstał na widok Logana, wskazał mu tylko piórem niewygodne plastikowe krzesło po drugiej stronie biurka i dalej zapisywał coś w notatniku. Drugi inspektor, w mundurze, siedział pod ścianą z rękoma skrzyżowanymi na piersi i nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie przedstawił się, kiedy Logan rozglądał się nerwowo po gabinecie Napiera. Pokój był idealnym odbiciem właściciela, uporządkowany i pozbawiony zbędnych sprzętów i drobiazgów w rodzaju zdjęć krewnych (o ile Napier jakichś miał) na biurku.

Inspektor z zaciętą miną skończył wpis zamasztywanym zawijaszem, podniósł wzrok i posłał Loganowi najbardziej skąpy i nieszczerzy uśmiech w dziejach ludzkości.

- Witam, sierżancie - powiedział, poprawiając ostry jak brzytwa kant na czarnym mundurze. Wypolerowane guziki mieniły się odbitym blaskiem jarzeniówek, podobnie do maleńkich zegarków kieszonkowych, jakich mógłby używać hipnotyzer. - Chciałbym usłyszeć, co ma pan do powiedzenia na temat posterunkowego Maitlanda i powodów, dla których leży teraz na intensywnej terapii. - Usiadł wygodniej. - Słucham, jak tylko będzie pan gotowy.

Logan streścił przebieg nieudanej akcji. Dostał anonimowy cynk: ktoś w opustoszałym magazynie w Dyce sprzedaje kradziony sprzęt elektryczny. Zebrał ludzi - mniej niżby sobie życzył, ale więcej po prostu nie było. W środku nocy pojechali do magazynu, spodziewając

się dużej dostawy. Zajęli pozycje. Widząc, jak brudny niebieski transit podjechał tyłem do drzwi magazynu, dał sygnał rozpoczęcia akcji. I wtedy wszystko się posypało. Posterunkowy Maitland został trafiony z pistoletu w bark i spadł z metalowego chodnika na wysokości ponad pięciu metrów na goły beton. Potem ktoś rzucił granat dymny i tamci uciekli, a kiedy dym się rozwiął, w magazynie nie została ani jedna kradziona rzecz. Natychmiast zawieźli Maitlanda do szpitala, ale rokowania były kiepskie.

Siedzący pod ścianą inspektor cały czas w milczeniu robił notatki.

- Rozumiem - powiedział Napier, kiedy Logan skończył. - Mogę zapytać, dlaczego postanowił pan wziąć na akcję nieuzbrojoną ekipę poszukiwawczą zamiast ludzi przeszkolonych w użyciu broni?

Logan spuścił oqzy i zapatrzył się w swoje dłonie.

- Uznałem, że nife ma takiej potrzeby. Informator ani słowem nie wspomniał o broni. Poza tym chodziło o drobiazgi, zwykły kradziony sprzęt, nic poważnego. Na odprawie szczegółowo przeanalizowaliśmy sytuację...

- Bierze pan na siebie pełną odpowiedzialność za to... - Napier długo szukał odpowiedniego słowa. - Fiasko?

Logan kiwnął głową. Co miał powiedzieć?

- Jest jeszcze kwestia mediów - ciągnął inspektor. - Takie wpadki przyciągają ich uwagę, podobnie jak rozkładające się ciało wabi roje much...

Wyjął „Evening Express” z poprzedniego dnia. Główny nagłówek, zgoła niewinny, mówił o drożących mieszkaniach w Oldmeldrum, ale Napier otworzył gazetę w samym środku, na rozkładówce, i podał ją Loganowi. „Moim zdaniem...” było regularną rubryką w której wypowiadali się miejscowi ważniacy, gwiazdki, dawni inspektorzy policji i politycy, którzy mieli ochotę pobić pianę na jakiś aktualny temat.

Tym razem głos zabrał radny Marshall. Kolumnę wieńczyło jego tradycyjne zdjęcie, na którym gumowata twarz rozciągała się w szerokim uśmiechu, upodabniając Marshalla do zadowolonego z siebie ślimaka.

„Jeśli komuś jeszcze mało było dowodów porażającej niekompetencji policji, nieudana akcja sprzed tygodnia powinna go przekonać: nikogo nie aresztowano, a jeden z policjantów wciąż walczy o życie. Nasi dzielni chłopcy, którym przyszło patrolować ulice, odwalają kawał świetnej roboty, ale nie można już chyba mieć wątpliwości, że ich przełożeni nie umieliby zorganizować nawet pijatyki w gorzelnii...”

Utrzymana w takim tonie wypowiedź zajmowała prawie całą stronę. Spartolony nalot na magazyn posłużył autorowi za ilustrację wszelkiego zła w policji. Logan oddał gazetę. Zrobiło mu się niedobrze.

Napier wziął do ręki leżącą w poczcie przychodzącej grubą teczkę podpisaną „Sierżant Logan McRae” i do znajdującego się w niej pliku wycinków prasowych dorzucił krytykę Marshalla.

- Ma pan niezwykle szczęście, sierżancie, że prasa nie zrobiła z pana miazgi. Ale tak to chyba jest, kiedy można liczyć na przyjaciół w odpowiednich kręgach, co? - Inspektor odłożył teczkę na miejsce. - Zastanawiam się tylko, czy media nadal będą pana kochać, jeśli posterunkowy Maitland umrze... - Spojrzał Loganowi w oczy. - Cóż, przedstawię komendantowi moją opinię na pański temat. Wkrótce zostanie pan poinformowany o podjętych przez niego krokach, a tymczasem... Moje drzwi zawsze są dla pana otwarte. Mówię to na wypadek, gdyby chciał pan jeszcze o tej sprawie porozmawiać.

A wszystko to powiedziane ze szczerością godną adwokata od spraw rozwodowych.

- Rozumiem, panie inspektorze - odparł Logan. -1 dziękuję.

Więc to koniec. Zamierzają go wylać.

Nadeszła pora lunchu, a Logan wciąż czekał na cios. Siedział przy stoliku w rogu stołówki, szturchając widelcem stygnącą grudę lasagne w gęstniejącym sosie. Słyszcząc szcęk naczyń,

podniósł wzrok i zobaczył posterunkową Jackie Watson, Żyletę. Uśmiechnęła się do niego, niosąc miskę szkockiego rosolu i lupacza z frytkami. Gips na lewej ręce trochę utrudniał jej zestawienie naczyń z tacy, ale nie musiała prosić o pomoc. Kręcone kasztanowe włosy upięła w regulaminowy kok, na twarzy miała tylko delikatne ślady makijażu - w każdym calu wyglądała jak zawodowa policjantka, a nie jak kobieta, z którą w nocy poszedł do łóżka i która chichotała jak wariatka, kiedy kąsał ją w brzuch.

Spojrzała na breję na jego talerzu.

- Co to? Bez frytek?

- Bez. - Logan pokręcił głową - Dieta. Zapomniałaś?

Jackie uniosła brew.

- Frytki odpadają ale lasagne jest okej, tak? - Zanurzyła łyżkę w zupie i zaczęła jeść. - Co słychać u Strażnika Krypty?

- To, co zwykle. Kalam mundur policjanta, wystawiam fatalne świadectwo... - Próbował się uśmiechnąć, nie bardzo mu jednak wyszło. - Tak mi się coś wydaje, że Maitland to jedna spieprzona sprawa za dużo. Ale mniejsza z tym. Jak ty się czujesz? Jak ręka?

Jackie wzruszyła ramionami i wyciągnęła ją w jego stronę. Gips pokrywały wykonane flamastrem autografy.

- Swędzi jak skurczybyk. - Złapała go za rękę; koniuszki palców wystawały spod gipsu jak odnóża kraba pustelnika z muszli. - Jeśli chcesz, możesz się poczęstować moimi frytkami.

Logan uśmiechnął się i bez przekonania wziął jedną frytkę. Jackie zabrała się do ryby.

- Nie wiem właściwie, po co namówiłam lekarza, żeby pozwolił mi wrócić do roboty. I tak nie dają mi wyściubić nosa z archiwum.

Doktor McCafferty, policyjny lekarz, był podstarzałym świntuchem. Wiecznie pociągał nosem i uganiał się za dziewczynami w mundurach. Nie było mowy, żeby odmówił Jackie, kiedy wykorzystwała swój urok osobisty.

- I coś ci powiem - ciągnęła. - W tym bajzlu ludzie nie mają nawet pojęcia o alfabecie. Gdybyś wiedział, ile znalazłam spraw pod „T” zamiast...

Ale Logan nie słuchał. Do stołówki weszli właśnie Insch z Napierem. Nie wyglądali na zadowolonych. Insch kiwnął na Logana. Jackie ścisnęła jego dłoń.

- Pieprz ich. To tylko praca.

Tylko praca.

Poszli do pierwszego z brzegu pustego pokoju. Insch zamknął drzwi, przysiadł na biurku i wyjął z kieszeni paczkę żelek lukrecjo- wych. Wziął sobie jedną i poczęstował Logana. Napiera pominął.

- Sierzancie McRae... - zaczął Napier, udając, że tego nie zauważył.

- Rozmawiałem z komendantem o pańskiej sytuacji. Ucieszy się pan zapewne, kiedy powiem, że udało mi się go przekonać, żeby pana nie zwalniał, nie zawieszał i nie degradował. -

Brzmiało to mało prawdopodobnie, ale Logan wolał trzymać język za zębami. - Niemniej jednak... - Napier zdjął wyimaginowany pyłek z rękawa swojego nieskazitelnego munduru.

- Komendant uważa, że ostatnio miał pan zbyt wiele swobody i przyda się panu, jak to ujął, „bardziej bezpośredni nadzór”. - Insch zjeżył się na te słowa; oczy zabłysły mu jak rozżarzone węgielki. Napier to zignorował.

- Został pan przydzielony do zespołu inspektor Steel, która jest w tej chwili mniej obłożona obowiązkami niż inspektor Insch i będzie mogła poświęcić więcej czasu kierowaniu pańskim „rozwojem zawodowym”.

Logan omal się nie skrzywił. Tego jeszcze brakowało: przeniesienie do Partaczy. Napier uśmiechnął się lodowato.

- Proszę to potraktować jako okazję do odkupienia win, sierzancie. Logan wymamrotał, że się postara, i triumfujący Napier opuścił pokój. Insch pogrzebał grubym paluchem w paczce żelek i włożył sobie do ust czarno-białą kostkę.

- Udało mi się go przekonać, aby pana nie zwalniał, nie zawieszał i nie degradował - powiedział, całkiem niezłe naśladowując nosowy głos Napiera. - Akurat. - Kokosowy krążek poszedł w ślady czarno-białej kostki. - Najchętniej osobiście wbiłby panu nóż w plecy, gnojek jeden. Komendant nie chce pana zwolnić, bo jest pan prawdziwym bohaterem. Tak piszą w gazetach? Widocznie to prawda. Poza tym do zakończenia wewnętrznego dochodzenia Napier i tak może panu skoczyć. Gdyby dostrzegł choć cień szansy udupienia pana za zaniedbanie lub niewypełnienie obowiązków, już by pan był zawieszony. Nie wyrzucą pana, sierzancie. Może pan spać spokojnie.

- Ale... Do inspektor Steel?

Insch wzruszył ramionami i wgrzył się w różowe kóleczo o smaku anyżkowym.

- Cóż... - mruknął filozoficznie. - Zesłali pana do Partaczy. I co z tego? Niech pan nie robi głupot, a wszystko będzie OK. - Zamyślił się. - Chyba że posterunkowy Maitland umrze.

Inspektor Insch był formalistą i krótko trzymał swoich ludzi. Cenił punktualność, rzetelność i profesjonalizm, a na odprawach mówił krótko i jasno. Inspektor Steel przeciwnie. Na odprawie panował nieład, wszyscy mówili jednocześnie, a sama Steel siedziała przy otwartym oknie, drapała się pod pachą i kopcila jak lokomotywa. Miała czterdzieści parę lat, ale wyglądała znacznie starzej: ostre rysy twarzy i mnóstwo zmarszczek; szyja zwisająca z podbródka jak zmoczona skarpeta. Poza tym coś okropnego stało się z jej włosami, wszyscy jednak bali się jej o tym powiedzieć.

Zespół Steel był niewielki - liczył z pół tuzina ludzi z WK i dwóch policjantów mundurowych. Nie musieli więc tłoczyć się w równych rzędach jak u Inscha, tylko rozsiedli się swobodnie przy paru sfatygowanych stolikach. Nawet nie rozmawiali o pracy: jedną połowę pochłaniała kwestia „A oglądałeś wczoraj EastEndersT, a druga dyskutowała o tym, jak beznadziejny był ostatni mecz Aberdeen z St. Mirren. Logan siedział sam, nic nie mówił, gapił się przez okno na idealnie błękitne niebo i zastanawiał, w którym momencie zawalił sprawę.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł tyłem mężczyzna w nowiutkim garniturze; niósł tacę z kawą i herbatnikami w czekoladzie. Taca wylądowała na środkowym stole i wszyscy rzucili się na ciastka. Dopiero wtedy tragarz się wyprostował - i Logan go rozpoznał: posterunkowy Simon Rennie, ostatnio przeniesiony do dochodzeniówki. Na widok Logana uśmiechnął się, wziął dwie kawy i garść herbatników i przysiadł się do niego. Wyszczrzył wesoło zęby, podając mu wyszczerbiony kubek. Był strasznie z siebie zadowolony.

Inspektor Steel upiła łyk kawy, wzdrygnęła się i zapaliła następnego papierosa.

- No dobrze - powiedziała, gdy kłęb dymu spowił jej głowę. - Posterunkowy Rennie podał kreozot, więc możemy zaczynać.

Rozmowy ucichły.

- Jak wiecie, moi drodzy chłopcy i dziewczęta, mamy dwóch nowych rekrutów. - Wskazała Logana i Renniego i kazała im wstać, aby wydusić z całej ekipy niezbyt entuzjastyczne oklaski. - Wybrano ich spośród setek kandydatów, którzy daliby się pokroić za możliwość wstąpienia w nasze szeregi.

Ciche chichoty.

- Zanim przejdziemy dalej, chciałabym na ich cześć wygłosić standardową mowę powitalną.

Chóralny jęk.

- Znaleźliście się tutaj tylko i wyłącznie z jednego powodu - ciągnęła Steel. - Tak jak ja jesteście beznadziejni i nikt inny was nie chce.

Posterunkowy Rennie chyba poczuł się urażony - wcześniej mówiono mu zupełnie co innego! Przecież dopiero od trzech dni był w dochodzeniówce! Jak mógł już coś spieprzyć?

Steel wysłuchała go cierpliwie, ze współczującą miną, i odparła:

- Przepraszam, posterunkowy. Mój błąd. Inni trafili do mnie dlatego, że już coś spieprzyli. Pan znalazł się tutaj, bo wszyscy spodziewają się, że pan spieprzy coś wkrótce.

Głośne wybuchy śmiechu. Steel odczekała, aż ucichną.

- Ale nawet jeśli te gnojki uważają nas za kompletne zera, to jeszcze nie znaczy, że muszą mieć rację! Zrobimy, co do nas należy; będziemy łapać bandziorów, stawiać ich przed sądem i pilnować, żeby zostali skazani. Jasne? - Powiodła wzrokiem po pokoju. - Nie jesteśmy pierdołami. - Cisza. - Powtórzcie za mną: Nie jesteśmy pierdołami! - Reakcja słuchaczy nie była zachwycająca. - No jeszcze raz, ale tak z uczuciem: Nie jesteśmy pierdołami!

W końcu wszyscy jej zawtórowali.

Logan zerknął ukradkiem na ludzi, z którymi znalazł się w tym maleńkim, zabałaganionym pokoiku. Kogo próbowali oszukać? Nie tylko byli pierdołami, ale pogodzili się z tym i dobrze im się żyło. Ale przemowa inspektor Steel podziałała na nich jak bodziec: wyprostowani, z podniesionymi głowami, składali raporty z przydzielonych im zadań i informowali o postępach w śledztwach - a nie było tego wiele. W szpitalu niezidentyfikowany mężczyzna pokazywał wacka wszystkim, którzy byli na tyle głupi, żeby patrzeć. W miejscowej Ann Summers mnożyły się kradzieże: ginęła seksowna bielizna i zabawki dla dorosłych. Ktoś podbierał pieniądze z kas w fast foodach. Dwóch mężczyzn dało wycisk bramkarzowi w Amadeusie, dużym nocnym klubie na plaży.

Po zakończeniu sprawozdań Steel kazała wszystkim spadać na dwór i pobawić się na słoneczku, tylko Logana poprosiła, żeby został.

- No, panie bohaterze... - zaczęła, kiedy reszta wyszła. - W życiu bym nie pomyślała, że pan tu trafi. My jesteśmy beznadziejni, pan nie.

- Posterunkowy Maitland - wyjaśnił. - To była kropla, która przepełniła czarę.

Nie mówiąc już o tym, że spiknął się z posterunkową Watson, od Bożego Narodzenia nie miał za grosz fartu. Wszystko, co tylko mogło się zawalić, się waliło.

Inspektor pokiwała głową. Ją też szczęście opuściło. Pochyliła się i zatopiła Logana w wydychanym dymie papierosowym.

- Jeśli ktoś tu ma szansę wrócić z tego bagna do świata żywych, to tylko pan - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Bo jest pan diabelnie dobrym policjantem. - Odsunęła się i uśmiechnęła. Zmarszczki zebrały się jej w pęczki w kącikach oczu. - Powtarzam to wszystkim nowym, ale w pańskim przypadku mówię serio.

O dziwo, jej słowa wcale nie poprawiły Loganowi humoru.

Pół godziny później siedzieli we dwoje na tylnej kanapie prawie nowego vauxhalla. Posterunkowy Rennie prowadził, a w fotelu pasażera siedziała funkcjonariuszka wydziału spraw rodzinnych. Steel jakimś cudem zdołała przekonać komendanta, żeby oddał jej sprawę Rosie Williams - pewnie dlatego, że Insch miał masę roboty, a nie było nikogo innego, ale tego Logan nie zamierzał głośno mówić. Steel twierdziła, że dostała szansę pokazania, co potrafi; razem rozwiążą tę sprawę i raz na zawsze rozstaną się z Partaczami. Niech dla odmiany ktoś inny martwi się o beznadziejne przypadki.

Objechali Mount Hooly i skręcili w stronę Powis. Prawie nie rozmawiali. Logan rozmyślał o przeniesieniu do Partaczy, Rennie wkurzał się, bo inspektorzy wiedziała, że wszyscy tylko czekają aż coś schrza- ni, a Steel ze wszystkich sił powstrzymywała się od palenia.

Dziewczyna z WSR dwa razy próbowała nawiązać rozmowę, ale w końcu dała sobie spokój i spochmurniała. Trochę szkoda, bo dzień był piękny: niebo bez choćby jednej chmurki, granitowe mury lśniące w słońcu, szczęśliwi, uśmiechnięci ludzie trzymający się za ręce i

spacerujący ulicami; chcieli się nacieszyć ładną pogodą zanim nadejdzie przenikliwy ziąb i ulewne deszcze.

Rennie skręcił w lewo Bedford Road i - znowu w lewo - w Powis. Minęli ciąg sklepików o przesłoniętych drucianą siatką oknach i upstrzonych graffiti ścianach i wyjechali na długą biegnącą łukiem ulicę zabudowaną dwupiętrowymi czynszówkami. Pod domem Rosie stała żółta furgonetka służb miejskich Aberdeen. Większość drzwi i okien była zabita deskami. Z sąsiedniej klatki schodowej dobiegał jazgot narzędzi budowlanych. Rennie zaparkował.

- Nareszcie. - Steel sięgnęła po papierosy, ścisnęła paczkę w dłoni, ale nie wyjęła żadnego; schowała je z powrotem do kieszeni. - Co wiemy o rodzinie?

- Dwójka dzieci. Męża nie miała. Podobno ostatnio żyła z jakimś Jamie McKinnonem - odparła funkcjonariuszka WSR. - Nie bardzo wiadomo, czy był jej chłopakiem, czy alfonsem. Pewnie jedno i drugie.

- Taaak? Mały Jamie McKinnon? Ani chłopak, ani alfons; zigołak chyba byłby najlepszy. Przecież on jest dwa razy młodszy od niej! - Steel parsknęła głośno i przez chwilę poruszała w zadumie szczękami, jakby coś żuła. - Chodźmy - powiedziała w końcu. - Nic się samo nie robi.

Zostawili przy samochodzie Renniego, który bardzo się starał nie wyglądać na tajniaka - i kompletnie mu to nie wychodziło. Mieszkanie Rosie znajdowało się na pierwszym piętrze. Na klatce schodowej było okno, ale ktoś zalepił je rozłożonym kartonem i w środku panował półmrok. Drzwi miały nijaki, szary kolor i zaśnieżony mosiężny wizjer, przez który sączyła się odrobina światła. Inspektor Steel westchnęła ciężko i zapukała.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukała ponownie, mocniej; Logan dałby sobie głowę uciąć, że słyszy, jak po drugiej stronie ktoś przysuwa pod drzwi jakiś ciężki przedmiot. Inspektor zastukała po raz trzeci. Światelko w wizjerze zgasło.

- Jamie, daj spokój. Wiemy, że tam jesteś. Wpuść nas, chłopcze.

Cisza, a potem piskliwy głos:

- Spadowa. Nie chcemy gadać z policją.

Steel przytknęła oko do wizjera.

- Jamie? Nie świruj. Musimy porozmawiać. Chodzi o Rosie. To ważne.

Znowu chwila ciszy.

- Co jej się stało?

- No, Jamie, otwórz drzwi, to pogadamy.

- Nie. Odwalcie się.

Steel znużonym gestem potarła czoło.

- Rosie nie żyje. Przykro mi, Jamie, ale to prawda. Rosie nie żyje. Musisz do nas podjechać i zidentyfikować zwłoki.

Tym razem cisza trwała znacznie dłużej. Potem usłyszeli, jak ktoś odsuwa coś spod drzwi, zdejmując łańcuch, otwiera zasuwę i zamek pod klamką. Drzwi się otworzyły i w progu stanął paskudny dzieciak w starej koszulce FC Aberdeen, podartych džinsach i za dużych, sznurowanych po rapersku adidasach. Fryzurę miał jak od miski: na górze równo przycięte włosy, od dołu podgolone. Za jego plecami zobaczyli zapuszczony pokój. Dzieciak miał najwyżej siedem lat.

- Jak to: nie żyje? - spytał. Jego szczerą buzią wyrażała podejrzliwość.

Steel spojrzała na niego z góry.

- Tata w domu?

- Jamie nie jest moim tatą. - Chłopak się skrzywił. - To frajer, z którym mama się czasem bzyka, ale dawno temu wywaliła go z domu. Nikt, kurna, nie wie, kim był mój stary. Nawet mama... - Przyjrzał się badawczo niespodziewanym gościom. - Naprawdę nie żyje?

Steel pokiwała głową.

- Naprawdę. Przykro mi, mały. Nie powinieneś się o tym dowiadywać w taki sposób. Chłopiec westchnął, przygryzł wargę i powiedział:

- Trudno. Zdarza się.

Zamierzał zatrzasać im drzwi przed nosem, ale Steel w porę wcisnęła stopę w szparę przy zawiasach. Gdzieś z głębi domu dobiegł płacz dziecka.

Funkcjonariuszka z WSR przykucnęła i spojrzała małemu prosto w oczy.

- Cześć, jestem Alison. Kto się wami opiekuje, kiedy mamusia wychodzi z domu?

Chłopiec spojrzał pytająco najpierw na nią, potem na Steel, potem znów na nią. 5 r

- Co ty, kurna, głupia jesteś? „Mamusia” nie wyszła z domu, tylko wykitowała! Kapujesz, głupia krowo? Wykitowała!

Dziecko zapłakało głośniej. Chłopiec odwrócił się i posłał mu soczystą wiązanekę: co mu zrobi, jeśli zaraz się nie zamknie. Miał łzy w oczach.

Powiedzieli dziewczynie z WSR, żeby zadzwoniła do opieki społecznej i znalazła dzieciom opiekuna.

Kiedy wrócili do komendy, Logan miał niezłego doła. Poinformowanie chłopca, że teraz razem z siostrzyczką trafi do domu dziecka, było wspaniałym ukoronowaniem beznadziejnego dnia. Mały kopał, kłął, pluł, groził...

No ale przynajmniej mieli podejrzanego: Jamiego McKinnona, alfonsa i żigolaka Rosie Williams. Był już notowany za napaść, włamanie, narkotyki, kradzieże sklepowe i kradzież samochodu - o cokolwiek by spytać, Jamie tego próbował. Chłopiec twierdził, że Rosie wyrzuciła kochasia z domu po tym, jak pobił ją tak mocno, że przez tydzień nie mogła pracować. Inspektor Steel kazała zawiadomić wszystkie patrole i sprowadzić Jamiego: albo po dobroci, albo w kajdankach.

- Jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? - spytała, załatwiwszy tę sprawę.

Logan powiedział jej o nowej asystentce pani prokurator i poleceniu zebrania zużytych kondomów. Steel śmiała się tak głośno, że zaczął się bać, że nadweręży sobie płuca.

- Dobrze, że to na pana padło, nie na mnie! - wykrztusiła w końcu, ocierając łzy.

- Co panią tak bawi?

- Niech pan powie chłopakom, że mają szukać prawie nowych gumek. Wściekną się!

- Dlaczego ja? To pani śledztwo.

Steel uśmiechnęła się od ucha do ucha, wypuszczając papierosowy dym przez zęby.

- To się nazywa zlecenie zadań podwładnym, panie bohaterze. Ja zlecam, pan wykonuje. - Wskazała na drzwi. - A teraz do widzenia. Przy okazji może pan zadzwonić do tej miłośniczki prezerwatyw i poprosić o nakaz aresztowania Jamiego.

Logan, wściekły, wyszedł z gabinetu. Cała inspektor Steel: on odwała robotę, ona ćmi szlugi i zbiera pochwały. W paskudnym nastroju zadzwonił do Rachael Tulloch i powiedział jej o McKinnonie. Obiecała bezzwłocznie wystawić nakaz. Potem zatelefonował do centrali i poprosił o połączenie z zespołem przeszukującym port. Nie ucieszyli się, kiedy kazał im zbierać wszystkie znalezione kondomy. Wcale się nie ucieszyli. Ale on miał to gdzieś. Już prawie piąta; od ponad czternastu godzin był na służbie. Dzienna zmiana schodziła z posterunku. Nareszcie mógł jechać do domu.

5

w środę rano przyszedł do pracy, na biurku znalazł paskudny prezent. Ekipa z Shore Lane wykonała jego polecenie: zebrała i opisała wszystkie prezerwatywy, jakie wpadły jej w ręce - a było ich diabelnie dużo. Zawartość oślizłych rurek z lateksu wyciekała do torebek, w które je pojedynczo popakowano. Krzywiąc się, zgarnął je do kartonu. Starał się nie myśleć o tym, dlaczego są takie zimne i lepkie.

Inspektor Steel nie przyszła na poranną odprawę, więc Partacze po- rozsiadali się wokół stolików i gawędzili przy kawie. Tematem dnia był tym razem Harry Potter, punkt zwrotny w dziejach kina czy popłuczyny dla niedorozwojów? Logan zostawił ich z tymi rozważaniami,

wziął pudło prezerwatyw i poszedł do prosektorium, gdzie można było je zamrozić i przechować do czasu analizy, kiedyś w przyszłości. Ci prokuratorzy... Kto ich zrozumie?

Pchnął dwuskrzydłowe drzwi i stapał po wypucowanej do czysta posadzce prosektorium. Odór pieczystego ulotnił się bez śladu: pachniało formaliną i olejkiem sosnowym. Plecami do drzwi stała znajoma postać, grzebiąc w stojącym na stole wiaderku. Logan skrzywił się jeszcze bardziej.

- Dzień dobry - powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Doktor Isobel MacAlister, Królowa Zimy, naczelny patolog, była dziewczyna, współofiara. Wyglądała znacznie lepiej niż poprzedniego dnia nad ranem: zielony chirurgiczny czepek skrywał zgrabnie upięty kok, maska na twarzy przesłaniała perfekcyjny łuk ust. Zarumieniła się. Ubrana była jak z żurnala, normalka: kremowa płócienna marynarka i spodnie, jedwabna bluzka, brązowe skórzane buty, a na to narzucony lekarski kitel. Złota biżuteria uwieczniona pod gumowyrni rękawiczkami. Na pewno nie szykowała się do pocięcia jakiegoś nieszczęśnika.

- Dzień dobry. - Krępująca cisza. - Co u ciebie?

Wzruszył ramionami.

- Po staremu. A ty? Lepiej się czujesz?

W pierwszej chwili zdziwiła się, ale ułamek sekundy później zebrała myśli.

- A, dziś rano... - Teraz to ona wzruszyła ramionami. - Po prostu brzuch mnie bolał.

- Dwa dni w biegu? Przepraszam za tę dwuznaczność.

Prawie się uśmiechnęła.

- Przyszedłeś po coś konkretnego czy po prostu chcesz dostać w ucho?

- Nie, nie, sprawy służbowe. - Zajrzał do wiaderka, nad którym stała: ludzki mózg pławił się w formalinie. Płyn pobiełał lekko w ze tknięciu z pomarszczoną szarą masą Logan omal się nie wzdrygnął. Postawił karton obok kubelka. - Mam dla ciebie prezent - dodał.

Isobel się zdziwiła. Wyjęła z pudła jedną z foliowych torebek. Podniosła ją do światła. Uśmiechnęła się, aż oczy jej zabłyśły.

- Jakie to słodkie... Zużyte gumki. A mówią że na świecie nie ma już dziś romantyków. - Sięgnęła głębiej. - Ile ich tu jest? Ze dwieście? Nie przesadzaj, bo oślepniesz.

Tym razem to Logan się zaczerwienił.

- To nie moje. Chodzi o sprawę Rosie Williams. Zebraliśmy wszystkie kondomy z Shore Lane. Mamy je przechować do późniejszej analizy DNA.

Isobel z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Zwariowałeś? Masz pojęcie, ile czasu trzeba na przebadania DNA z dwustu prezerwatyw? Poza tym to by kosztowało majątek!

Logan podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie patrz tak na mnie. To pomysł tej nowej młodej prokurator.

Isobel westchnęła i zdjęła karton ze stołu, klnąc pod nosem. Przesyłała jego zawartość do dużego plastikowego worka na dowody rzeczowe, kazała Loganowi podpisać protokół zdania materiałów dowodowych i wrzuciła kondomy do zamrażarki. Nie mieli już o czym rozmawiać.

Inspektor Steel wparowała do pokoju za kwadrans ósma. Wyglądała, jakby spędziła noc w popielniczce. Ziewając rozdzierająco, paląc i sącząc kawę, szybko poprowadziła spóźnioną odprawę, po czym przydzieliła ludziom zadania z tradycyjnym zapewnieniem, że niby nie są pierdołami. Logan miał zostać. Przygotowała dla niego specjalny przydział: razem poszukają Jamiego McKinnona.

33

Zawieszona na bezchmurnym niebie słońce beztrudnie prażyło Aberdeen. Wyszli głównym wyjściem na Queen Street i zamiast wziąć służbowy wóz, poszli pieszo Union Street, aby

nacieszyć się ciepłem późnego lata. W beznadziejną pogodę Aberdeen wygląda równie beznadziejnie: szare domy, szare niebo, szare ulice i szarzy ludzie. Ale kiedy wychodzi słońce, wszystko się zmienia. Granitowe Miasto mieni się światłem, a jego miekszańcy porzucają grube kurtki i płaszcze przeciwdeszczowe i wkładają džinsy, koszulki i krótkie letnie sukienki. Gdy jednak minęła ich wesolutka brunetka z odsłoniętym złotobrunatnym brzuchem, w krótkiej spódniczce w kwiaty i jeszcze bardziej skąpej bluzce, inspektor Steel nawet na nią nie spojrziała.

3 - Zamierające światło

Po drugiej stronie ulicy jakaś blondynka w biodrowkach i kusym T-shircie zamachała na taksówkę, odsłaniając tym jednym gestem więcej ciała niż Aberdeen oglądało przez cały rok. A Steel nic.

- Dobrze się pani czuje? - spytał Logan.

Inspektor wzruszyła ramionami.

- Ciężka noc. I uprzedzę dalsze pytania: nie pański interes.

Jak chcesz, pomyślał Logan. Wal się.

W połowie długości Union Street litą ścianę domów przerywał park Union Terrace Gardens, pas żywej, jaskrawej zieleni ciągnący się aż do lśniącej fasady Teatru Królewskiego. Park znajdował się poniżej poziomu ulicy, w swego rodzaju niecce otulonej stromymi zboczami; dwóch trawiastych stoków uczepliły się wymizerowane brzozy. Na dole zbudowano niewielką scenę, błyszczącą teraz świeżą farbą. Po drugiej stronie parku kwiatowy zegar mienił się kolorami pod bezchmurnym niebem. Widok jak z obrazka.

Częścią Union Terrace niepodzielnie rządził marmurowy posąg Edwarda VII, po królewsku upstrzony odchodami gołębi. Za jego plecami stały półkolem ławki, dzięki czemu jego najbliżsi doradcy mogli w środowy poranek, dziesięć po dziewiątej, popijać cydr i piwo prosto z puszek.

Stanowili mieszane towarzystwo. Było tam ze dwóch regularnych włóczęgów w przepisowym rynsztunku: cali w strupach, brudne spodnie i poplamione kamizelki. Inni mimo upału mieli na sobie džinsy i wytarte skórzane kurtki. Steel obrzuciła porannych pijaczków czujnym spojrzeniem i wybrała młodą kobietę: kolczyki w uszach, nosie i ustach, grubo nałożony czarno-biały makijaż, proste, przykłapnięte, różowe włosy. Popijała red stripe'a.

- Siemanko, Suzie. - Steel wyrzuciła niedopałek za barierkę. - Co słysząc u braciszka?

Z bliska dziewczyna nie wyglądała już wcale tak młodo, jak się to Loganowi wydało na pierwszy rzut oka: miała co najmniej trzydzieści pięć lat, jak nic. Gruba tapeta skrywała sporo grzechów - i równie wiele pryszczu. Skóra na jej twarzy była szorstka, a pomalowane na czarno usta pomarszczone jak kuper kurczęcia.

- Dawno go nie widziałam - odparła z aberdeeńskim akcentem.

- Tak?

Steel przysiadła się do niej, kładąc jedną rękę na oparciu ławki, za plecami kobiety. Suzie poruszyła się niespokojnie.

- Chcesz mnie puknąć?

- Marzy ci się. Ale nie: interesuje mnie wyłącznie twój braciszek. Gdzie jest?

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć?! - Suzie pociągnęła solidny łyk piwa. - Pewnie posuwa tę swoją starą zdzirę.

- Ciekawe, że o niej wspomniałaś, Suzie... Bo widzisz, starą zdzirę znaleźliśmy wczoraj martwą. A Jamie zawsze rwał się do bitki, prawda?

Dziewczyna zeszywniała.

- Jamie nikogo nie zabił.

Co ta Steel wyrabia? Logan widział, jak dziewczyna się przed nią zamyka. Teraz już nic z niej nie wyciągną! Inspektor powinna była rozegrać to na luzie, udawać, że chodzi o jakąś błahostkę - a nie pchać się od razu z buciurami. Nic dziwnego, że dowodzi Partaczami.

- Coś ci powiem - ciągnęła tymczasem Steel, podając jej wizytówkę z oślimi uszami. - Przemysł to sobie i przekreśl do mnie, okej?

Wstała i zapaliła następnego papierosa. Wciągnęła dym w płuca i się rozkaszała.

Suzie wyrębała jej bez ogródek, co może sobie zrobić z wizytówką, dopiła piwo i poszła sobie. Logan odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu.

- Dlaczego wygadała pani, że Rosie nie żyje? Przecież teraz na pewno nam nie powie, gdzie jest Jamie!

Inspektor Steel uśmiechnęła się drapieżnie.

- Tu się pan myli, panie bohaterze. Powie nam wszystko, co nas interesuje. Tylko na razie jeszcze o tym nie wie. - Stała na palcach, śledząc wzrokiem Suzie McKinnon. Szła Union Street. - Zbieramy się. Nie chciałabym jej zgubić.

Przebiegła na drugą stronę ulicy, tuż przed pędzącym autobusem, a Logan, z bijącym sercem - za nią. Wsiadli do nieprawidłowo zaparkowanego vauxhalla. Za kierownicą siedział posterunkowy Rennie w modnych okularach przeciwsłonecznych. Gdy tylko Logan usadowił się z tyłu na kanapie, ruszyli.

Bez problemu znaleźli Suzie: w czarnych skórach i z różową fryzurą pasowała do letniego tłumy jak pięść do nosa. Na wysokości do- ryckich kolumn zdobiących front filharmonii przeszła na drugą stronę ulicy i skręciła w Crown Street. Przyspieszyła kroku. Rennie zachowywał bezpieczny dystans, by nie domyśliła się, że ją śledzą. Po dziesięciu minutach zaparkowali przed mieszkaniem w suterenie, w Ferryhill.

Ulica była w fatalnym stanie: dziury i asfaltowe łaty różnych odcieni upodabniały nawierzchnię do skóry chorego na trądzik monstrum Frankensteina. Przy krawężniku dogorywał stary, zardzewiały ford escort, brocząc olejem. Sprawdzili numery w policyjnej bazie danych - należał do niejakiego Jamesa Roberta McKinnona.

Steel uśmiechnęła się do Logana.

- Kiedy mam powiedzieć: „A nie mówiłam”? Teraz czy trochę później?

Drzwi do budynku nie były zamknięte na klucz, weszli więc prosto na schody do suterenu. Posterunkowy Rennie został przed domem, na wypadek gdyby Jamie próbował uciekać.

Znaleźli się w cuchnącym pleśnią korytarzu. Steel już miała zapukać do drzwi, gdy coś przyszło jej do głowy.

- Na pewno da pan radę? - zapytała. - No wie pan, z tym pańskim brzuchem Achillesa i w ogóle...

- To było prawie dwa lata temu! - syknął. - Nic mi nie jest.

Kłamczuch. Blizny na brzuchu bolały go przy zmianie pogody i każdym gwałtowniejszym ruchu.

Inspektor Steel delikatnie zapukała i naśladowując lokalny akcent, spytała, czy Jamie nie widział przypadkiem jej kota. Klucz zgrzytnął w zamku; otworzył im młody, podenerwowany mężczyzna w wymiętym służbowym ifni formie z Burger Kinga. Miał tlenione, sterczące włosy, przekrwione oczy, lekką nadwagę, perkaty nos i desperacko uczeponą szczęką namiastkę koziej bródki.

- Nie widziałem żadnego zasranego... - Wybałuszył oczy. - Jasna cholera!

Zatrzasnął drzwi - no, prawie zatrzasnął, bo inspektor Steel zdążyła je zablokować stopą. Zakłęła, kiedy ją uderzyły. Jamie McKinnon uciekł w głąb mieszkania.

- A to drań!

Steel podskakiwała na jednej nodze, trzymając się za obolałą stopę. Logan wyminął ją i wpadł do brudnego przedpokoju. Jedne drzwi prowadziły do salonu - na środku stała zaskoczona Suzie z kolejną puszką red stripe'a w ręce. Ani śladu Jamiego. Logan okrzyknął się

na pięcie i zobaczył drugie drzwi - do małej, brudnej łazienki, i trzecie, które właśnie odbiły się od ściany i zatrzasnęły z hukiem, do kuchni.

Zaklął i ruszył do kuchni. Dlaczego Jamie nie próbował uciec na schody i wybiec z domu? Wpadłby wtedy w ręce Renniego. Wparował do kuchni w samą porę, żeby zobaczyć, jak Jamie wyskakuje przez otwarte okno. Tylne drzwi były zastawione jakąś wiekową pralką więc Logan nie miał innego wyjścia, jak wygramolić się przez okno. Przeskoczył niewysokie schodki i znalazł się w ogródku. Jamie gnał po pożółkłej trawie na złamanie karku, prosto do niemal dwumetrowego muru, za którym znajdował się ogród domu stojącego przy sąsiedniej ulicy.

Choć raz Logan miał szczęście. Kiedy Jamie znalazł się dosłownie dwa kroki od muru, zaplątał się stopą we wlekący się po ziemi sznurek do bielizny. Przewrócił się i z impetem wyrznął twarzą w porzucony przez jakieś dziecko czerwony wóz strażacki. Zaklął, złapał się za nos

- prawie natychmiast krew pociekła mu spomiędzy palców - i spróbował wstać. Wtedy Logan skoczył, chwycił go wpół i razem runęli na zeschniętą trawę.

Siła uderzenia sprawiła, że blizny Logana zapłonęły żywym ogniem, a on sam skulił się na ziemi, sycząc z bólu. Jamie poderwał się, wspiął na mur i przerzucił przez niego jedną nogę, ale Logan złapał go za drugą i ściągnął z powrotem. Jamie zahaczył podbródkiem o szczyt muru. Głowa odskoczyła mu w tył i spadł prosto w krzewy róż. Różowe płatki pofrunęły w powietrze.

Zdyszany Logan skoczył na niego, wykręcił mu rękę na plecy i założył kajdanki. Żigolak bluznął przekleństwami. Sierżant oparł się ciężko o mur, wmawiając sobie, że brzuch wcale go tak bardzo nie boli, jak mu się wydaje. Dopiero gdy ból zelżał, dźwignął Jamiego na nogi.

Burger King chyba nie ucieszy się na widok uniformu, pomyślał Logan. Krew spływała Jamieemu z rozbitego nosa i rozciętej wargi, siateczka drobniejszych skaleczeń na twarzy też podeszła czerwienią

- wyglądał jak po dziesięciu rundach w ringu z kotem Mike'a Tysona. Klął jak szewc. Splunął krwią na róże.

- Kurwa, język sobie przez siebie przegryzłem!

- No nie, sierzancie! - zawołała Steel, kiedy zaciągnął Jamiego z powrotem do mieszkania. - Kazałam go panu aresztować, nie pobić do nieprzytomności.

Jamie uśmiechnął się chytrze.

- No właśnie! Pobił mnie! Brutalność policji! Żądam adwokata! Pozwę was do sądu, dranie, nie wypłacicie się!

Steel kazała mu się zaniknąć. Suzie siedziała na podniszczonej sofie, dłubiąc palcem coraz większą dziurę w materiale, przez którą wзираła żółta jak kamień nazębny pianka. Wbiła wzrok w podłogę.

- Ty głupia cipo! - Jamie splunął krwią na dywan. - Przyprowadziłaś ich prosto do mnie!

Suzie dłubała dalej.

- No, słoneczko. - Steel wyjęła z kieszeni wymiętą paczkę papierosów i zapaliła. Z zadowoleniem wydmuchnęła dym przez nos. - Nie pogniewasz się chyba, jeśli trochę się tu rozejrzemy, co?

- Właśnie że się pogniewam, kurwa twoja mać!

Inspektor tylko szerzej się uśmiechnęła.

- Niepotrzebnie, gnojku. Boja mam nakaz. - Strzepnęła popiół na niski stolik przy sofie. - Chcesz nam coś powiedzieć, zanim przeszukamy mieszkanie?

Cisza.

- Nie?

Nadal cisza.

- Na pewno?

Ulicą przejechała ciężarówka.

- Twoja sprawa.

Oczywiście Steel nie zamierzała osobiście zajmować się przeszukaniem - nie kiedy miała pod ręką sierżanta i posterunkowego, którzy mogli to za nią zrobić. Znaleźli dwie paczuszki heroiny, prawie pełne pudełko igieł do strzykawek i grudę żywicy z konopi wielkości snickersa. A w sypialni, w komocfeje, Logan znalazł jeszcze pudło z uniformami.

Wrócił do salonu i zapytał Jamiego, jak rozwija się jego fastfoodowa kariera. Jamie zmarszczył brwi i nic nie powiedział. Krew przestała mu płynąć z nosa, skrzepła za to na całej dolnej połowie twarzy, przez co kozia bródka zrobiła się równie nastroszona, jak utlenione włosy na głowie.

- Uczciwie pracuję, nie? Nie chcę mieć kłopotów.

- W Burger Kingu?

- Tak, do diabła, w Burger Kingu.

- Aha. - Logan pokazał trzymane dotąd za plecami pudło. - Człowieku, ty się na śmierć zaharowujesz przy tych hamburgerach w Burger Kingu... - Wyjął inne ubranie. - I w McDonalddie. - Następne. - I w Tasty Tattie.

W kartonie znajdowały się ubrania robocze jeszcze kilku fastfoodowych restauracji w Aberdeen wraz z identyfikatorami „Cześć, jestem...”. Żaden nie był wystawiony na nazwisko Jamiego McKinnona.

Inspektor Steel nie wiedziała, o co chodzi. Logan musiał jej wytłumaczyć:

- To Jamie czesze szmal z kas w całym mieście. Kiedy przychodzi w służbowym ubranku, nikt nie zwraca na niego uwagi, chociaż jest nowy. Tym bardziej że przecież nikt by się tak dla jaj nie ubrał, prawda? Po lunchu, kiedy ruch się zmniejsza, czyści kasę, przebiera się i idzie dalej w kurs.

Inspektor Steel rzuciła niedopałek na podłogę i zduśliła go obcasem.

- Świetnie, Sherlocku - stwierdziła beznamiętnie. - Ale mamy ważniejszą sprawę. Jamesie Robercie McKinnon, jest pan podejrzany o zabójstwo Rosie Williams. Aresztuję pana.

Jamie zaczął krzyczeć, że nikogo nie zabił, Steel go jednak nie słuchała. Wyrecytowała mu jego prawa, a potem kazała Renniemu wyprowadzić go do radiowozu. Siostra McKinnona siedziała ze wzrokiem utkwionym w dywanie i pogłębiała dziurę w sofie.

- Dzięki za pomoc, Suzie - powiedziała pani inspektor, mrugając porozumiewawczo. - Bez ciebie nie dalibyśmy rady.

6

Po wpisaniu do rejestru aresztantów w komendzie i zbadaniu przez lekarza dyżurnego Jamie trafił do pokoju przesłuchań numer 3.

- Rany, gorąco tu jak w piecu!

Wcale nie przesadzał. Na zewnątrz prażyło słońce, a tu grzały kaloryfery. Niestety, inne pokoje były pozajmowane, musieli więc zamknąć się w trójce.

Spocony i rozdrażniony, Logan przygotował sprzęt audio i wideo i nagrał obowiązkowy wstęp: data, godzina, uczestnicy. Potem rozsiadł się wygodnie i czekał, aż inspektor Steel poprowadzi przesłuchanie. Cisza.

Zerknął w jej stronę. Patrzyła na niego pytająco.

- No? Dalej! Jest za gorąco, żeby się z tym długo pieprzyć. Nic nowego: znów on będzie musiał odwalić czarną robotę. Westchnął i wyjął kilka zdjęć z sekcji zwłok Rosie.

- Opowiedz nam o Rosie Williams. Jamie spojrzał na niego spode łba.

- Nic nie powiem, dopóki nie porozmawiam z adwokatem.

- No nie! - jęknęła Steel. - Znów to samo. Ile razy mam ci powtarzać, że według szkockich przepisów zatrzymany nie ma prawa do adwokata, dopóki my z nim nie skończymy. Najpierw przesłuchanie, potem adwokat. Comprende?

Jamie się zaciął.

- Pani kłamie. Widziałem w telewizji. Mam prawo do adwokata.

- Nie, nie masz. - Steel zdjęła ciemnopopielaty żakiet. Na czerwonej bluzce pod pachami widniały wielkie plamy potu. - Telewizja kłamie. Pokazują w niej działanie angielskiego wymiaru sprawiedliwości, a tu jest Szkocja. To różnica. My nie czekamy, aż jakiś złotousty skurczybyk przyjdzie i pomoże ci kłamać. A teraz do rzeczy: powiedz nam, dlaczego zabiłeś Rosie Williams, a wszyscy będziemy mogli wyjść z tej cholernej cieplarni.

- Nikogo nie zabiłem!

- Nie pieprz, Jamie... Nie mam nastroju.
McKinnon zamyślił się i odsunął od stołu.

- Naprawdę nie dostanę adwokata?

- Nie dostaniesz! A teraz opowiedz nam o Rosie Williams, zanim wyskubię ci tę kretyńską bródkę włosów po włosku!

Zasłonił twarz rękami.

- Dobrze! Już mówię. Jesteśmy... no wiecie... trochę u niej mieszkałem... %

- Byłeś jej alfonsem.

- Fajnie nam się razem żyło...

- Fajnie się wam żyło? Rosie mogłaby być twoją babcią! Jak to wyglądało? Co wieczór szła na ulicę, rznąła się dla pieniędzy, a ty? Co robiłeś? Opiekowałeś się dziećmi?

Jamie wbił wzrok w swoje dłonie.

- Wcale nie jest taka stara.

- Właśnie że była stara. I brzydka jak nieszczęście.

- Nie! - Jamie podniósł głos. - Wcale nie jest brzydka!

Steel uśmiechnęła się podstępnie.

- Kochałeś ją, co?

McKinnon poczerwieniał i popatrzył w bok.

- Kochałeś, kochałeś. A mimo to pozwalałeś, żeby noc w noc robiła laszkę obcym facetom. Żeby pieprzyła się z nimi po bramach. Twoja kochana Rosie z tymi...

- Zamknij się! Kurwo jedna, zamknij ryj!

- To dlatego ją zabiłeś? Byłeś zazdrosny, że nie jest tylko twoja? Każdy mógł ją mieć, i to za marne pieniądze. Za cenę hamburgera.

- Zamknij się...

Steel opadła na oparcie krzesła, z roztargnieniem drapiąc się pod pachą. Spojrzała znacząco na Logana, który zapytał, co Jamie robił między jedenastą w nocy w poniedziałek i drugą nad ranem we wtorek.

- Byłem w domu, spałem - odparł McKinnon, ale w jego oczach czaił się fałsz. - Suzie potwierdzi. Była ze mną.

Inspektor Steel podniosła pytająco brwi.

- Mam nadzieję, że nie w jednym łóżku.

Jamie popatrzył na nią ze złością.

- Ekipa śledcza wywraca ci właśnie mieszkanie do góry nogami. Znajdą jej krew, prawda? Zmasakrowałeś ją musiałeś być cały we krwi. - Przysunęła się do stołu i postukała w blat żółtym od nikotyny palcem. - Nie pierwszy raz ją pobijeś. Właśnie dlatego wyrzuciła cię z domu, prawda?

- Nie chciałem jej zrobić krzywdy! - Jamie był bliski płaczu.

Steel uśmiechnęła się triumfalnie.

- Ale zrobiłeś. Nie chciałeś, ale naprawdę ją skrzywdziłeś. Może to był wypadek? No, Jamie, poczujesz się lepiej, jak nam powiesz.

Minęła godzina, a oni nic nowego z niego nie wycisnęli. Steel miała rację: było za gorąco, żeby dalej to ciągnąć. Jamie McKinnon trafił więc do celi, a Logan i pani inspektor poszli do stołówki i wzięli sobie po puszcze zimnego irn-bru.

- Tego mi było trzeba... - westchnęła z napojem w jednej i papierosem w drugiej ręce, kiedy wyszli na parking na tyłach komendy.

- Niech prokurator przesłucha taśmę. „Nie chciałem jej zrobić krzywdy”. Akurat! Wystarczy nam dwóch świadków i będziemy mu się mogli roześmiać w twarz. - Uśmiechnęła się i pociągnęła solidny łyk irn-bru.

- Czułam, że wreszcie szczęście zacznie mi sprzyjać.

Logan, niestety, nie mógł tego powiedzieć o sobie. Steel mówiła o świadkach, a to oznaczało, że będzie musiał wziąć nocki, włóczyć się po porcie i wypytywać prostytutkę. Pierwszy raz od nie wiadomo jak dawna miał układ dyżurów taki sam jak Jackie - i już musiał coś przestawiać. Jackie go zabije.

- Jest pan młody - zauważyła inspektor, kiedy próbował jej to tłumaczyć. - Da pan sobie radę. Po lunchu radzę iść do domu i się przespać. Ale przedtem niech mi pan tu ściągnie panią prokurator.

Prokurator z asystentką w milczeniu odsłuchały nagranie przesłuchania Jamiego McKinnona. Było niezłe na początek, ale przed sądem by się nie obroniło; potrzebowali mocnych dowodów rzeczowych.

- Skoro o tym mowa... Jak państwu idzie zbieranie prezerwatyw? - spytała Rachael Tulloch. Prokurator zrobiła zdziwioną minę, słuchając wywodów Logana na temat dwustu trzynastu używanych kondomów umieszczonych w zamrażarce w prosektorium. Chyba pierwszy raz usłyszała o oryginalnym pomysle swojej asystentki. Rachael miała dość przyzwoitości, aby zarumienić się i przyznać, że nie spodziewała się tak obfitej zdobyczy - ale skoro aresztowali już podejrzanego, to czy nie można by zrobić testów DNA? Udowodnić, że był na miejscu zbrodni? Prokurator długo się zastanawiała i koniec końców doszła do wniosku, że to nie zaszkodzi, a może pomóc. Logan stłumił jęk rozpacz. Isobel na pewno opieprzy go za tę dodatkową robotę. Pocieszał się jednak tym, że ona i tak specjalnie za nim nie przepada.

Kiedy zszedł do kostnicy, aby podzielić się z Isobel niewesołą nowiną, zastał ją pochyloną nad mózgiem w wiaderku. Na wieść o konieczności zrobienia badań DNA zareagowała mniej więcej tak, jak przypuszczał. Tylko bardziej przeklinała.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział, kiedy przerwała, by nabrać tchu. - To wszystko przez tę nową prokurator. Może dałoby się zbadać grupę krwi tych facetów od prezerwatyw, a potem porównywać DNA tylko w tych przypadkach, które będą zgodne z grupą krwi McKinnona?

Isobel bez entuzjazmu przyznała, że istotnie, w ten sposób zaoszczędzi sobie masę roboty, mimo to nie była zachwycona. Klnąc pod nosem, wyjęła z zamrażarki kondomy, które akurat zdążyły przez ten czas zeszytynieć - drugi raz w ich „życiu”.

Logan spojrział na zegarek i zostawił Isobel samą. Jeśli się pospieszy, zdąży zjeść lunch z Jackie, zanim pójdzie do domu i spróbuje się przespać. Chociaż nie miał wielkiej nadziei, że uda mu się podrzemać: zawsze z trudem przestawiał się na nocki i zwykle potrzebował dwóch, trzech dni, żeby w pełni się zaadaptować. Pieprzyć dietę. Przynajmniej zje sobie lasagne z frytkami. I pudding.

Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że pudding nie był najszcześniejszym pomysłem. Kiedy patrzył na gęstniejącą masę - białą z półprzezrystymi grudkami - ciągle stawała mu przed oczami Isobel rozmrażająca kondomy w kostnicy. Odsunął miseczkę.

- Wredna suka. - Jackie z wściekłością dziabnęła łyżką galaretkę.

- Po co ci miesza w dyżurach? Dzisiaj pójdziesz na noc, jutro też...

- Policzyła na palcach. - Rozjedziemy się o sześć dni! A tyle się namęczyliśmy, żeby to wreszcie zgrać!

- Wiem, Jackie, wiem. Będę musiał znów się przestawić, później. Ale kiedy?

- Miałam plany.

Spojrzał na nią.

- Tak? Jedziemy gdzieś?
- Już nie, bo w piątek będziesz odsypiał tę cholerną noc! - Dziab, dziab, dziab. - Wiesz, mogłabym ją zabić.

- O wilku mowa.

Inspektor Steel stanęła w drzwiach stołówki i rozglądała się po sali. Szukała kogoś. Logan miał złe przeczucia, ale zanim zdążył dać nura pod stół, udając, że szuka widelca czy coś w tym guście, zauważyła go.

- Łazarz! - zawołała. Aż się skrzywił. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Zjadłeś? - spytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: - No to jedziemy. Jest wezwanie.

Jackie pochyliła się nad stołem i syknęła:

- To się nazywa iść do domu i się przespać!

Znalazła janiejaka Margaret Hendry, kiedy poszła na spacer z psem Jackiem do lasu Garlogie Woods. Właściwie to Jack ją znalazł: skoczył w krzaki, ujadając jak wściekły, i za nic nie chciał wrócić. W końcu Margaret musiała zanurkować za nim w gąszcz. Czekala na nią na skraju małej polanki, wklonowana w korzenie wiatrolomu: czerwona walizka, duża, na tygodniowy zapas ubrań, wydzielająca ohydny woń gnijącego mięsa. Jack pobiegł prosto do niej, uczeplił się rączki i teraz majtał wszystkimi czterema łapkami w powietrzu, jakby koniecznie chciał wleźć do środka. Widząc walizkę i czując smród, Margaret dodała dwa do dwóch i z komórki zadzwoniła na policję.

Budny transit BIO stał w zatoczce za radiowozem, Logan musiał więc zaparkować z brzegu zatoczki, z dwoma kołami na trawie, i modlić się, żeby nikt nie wjechał mu w kufer. Rozkaszłany posterunkowy Ren- nie wygramolił się z tylnego siedzenia, plując, ścierając popiół z twarzy i wytrząsając go z włosów: przez całe piętnaście kilometrów z Aberdeen Steel siedziała przy otwartym oknie, przez co dym i popiół z jej papierosów wirowały w samochodzie jak miniaturowa zamieć śnieżna - właśnie dlatego Logan wołał prowadzić, niż siedzieć z tyłu. Odczekał, aż Steel wyśle Renniego na poszukiwanie miejsca zbrodni, i zapytał, czy ten nowy przydział oznacza, że nie będzie musiał brać nocnego dyżuru.

- Słucham? - spytała z roztargnieniem, wyjmując z bagażnika trzy białe, osobno pakowane kombinezony ochronne. - Nie - odparła w końcu. - Przykro mi, ale trzeba znaleźć świadków. Oboje wiemy, że alibi Jamiego jest gównem warte. Musimy to tylko udowodnić.

- To dlaczego mnie tu pani ściągnęła?

Zabrzmiało to trochę płacząco, ale co tam.

- A miałam inne wyjście? - Steel westchnęła. - Wie pan, dlaczego nazywają nas Partaczami? Patrolem Frajerów? Fabryką Leszczy? Dlatego, że trafia do mnie każdy głąb, który własnej dupy nie może na- macać, nawet kiedy ma obie ręce wolne. Chodzi o to, żeby tych bezużytecznych pacanów odsunąć na boczny tor, gdzie niczego nie spieprzą... Dostaliśmy to wezwanie tylko dlatego, że wszyscy inni, którzy mają jaką taką opinię w komendzie, są zajęci. - Uśmiechnęła się smutno.

- Trup w walizce, tak? No to jak pan myśli, komu mogę zaufać na tyle, żeby był sens go tu przywozić? Debilom, których mi się podrzuca?

- Podała mu kombinezon. - Ale proszę się nie martwić, nie wymagam, żeby dziś włóczył się pan całą noc po ulicach. Tylko gdzieś tak do drugiej. Proszę to traktować jako premię.

Poklepała go po plecach i weszła na leśny trakt, żeby nie słuchać, jak klnie za jej plecami.

Posterunkowy Rennie czekał na nich niecały kilometr od głównej drogi, na skraju przecinki. Na dywanie żółto-brunatnych sosnowych igieł widać było połamane gałązki i ślady butów.

- Tam - powiedział z nieskrywaną dumą.

Logan oddał mu kombinezony. Jak to powiedziała inspektor Steel? Zlecenie zadań. W lesie było chłodniej. Słoneczne światło padało na ziemię, przefiltrowane przez baldachimy ostrych zielonych igieł.

Właściwie tu, na dole, pod kolczastymi gałęziami powinno być całkiem cicho - ale nie było. Słyszeli gdzieś z przodu potok przekleństw przerywany czasem pożytecznymi radami. A wkrótce potem poczuli smród: gryzący odór, od którego żołądek się zaciskał i podchodził do gardła. Logan zakrztusił się i spróbował oddychać przez usta: smak był trochę znośniej szy od zapachu, ale tylko trochę.

Przedarli się na polankę, na którą stara sosna runęła jak zwalony klocek domina, łamiąc przy tym kilka mniejszych drzewek. Leżała na ziemi, koroną w kierunku drogi, a korzenie sterczały w powietrzu jak macki plazmy z czarnego wybuchu na słońcu, zasłaniając Loganowi i Steel główną atrakcję. Ludzie z BIO byli już na miejscu i właśnie usiłowali rozpiąć ochronny namiot nad dolną częścią sosny: trzech zarzucało niebieską płachtę na pień, dwóch próbowało naciągnąć ją na odporne korzenie. Po drugiej stronie polanki stała kobieta w średnim wieku, ubrana w strój spacerowy. Podekscytowany terier na smyczy skakał i łasił się jej do nóg. Młody posterunkowy w mundurze, widząc inspektora Steel, wyprężył się na baczność.

- Spokojnie - powiedziała, wyjmując kolejnego papierosa. - Nie musicie mi tu dygać.

Posterunkowy wyszczerzył zęby w uśmiechu i opowiedział, jak pani Hendry zaprowadziła go na miejsce odkrycia, a on na widok walizki natychmiast zadzwonił do BIO. Lekarz i patolog już przyjechali, prokurator również.

- Grzeczny chłopiec - pochwaliła go Steel. - Gdybyś trafił na In-scha, dostałbyś ciasteczko.

Ona jednak zamiast ciasteczka zaproponowała mu papierosa, co go wyraźnie przeraziło. Palenie na miejscu zbrodni?! Mogłoby dojść do zanieczyszczenia śladów!

- Pewnie masz rację - zgodziła się Steel, wypuszczając kłęb dymu.

Poprosili panią Hendry, żeby jeszcze raz przedstawiła im swoją wersję wydarzeń. Nie, niczego nie ruszała. Przecież nie wolno niczego dotykać, prawda? Zwłaszcza kiedy znajdzie się trupa w walizce.

Steel odczekała, aż policjant zabierze panią Hendry i jej potworka gdzieś dalej, i powoli zaczęła się szykować do działania.

- Dawaj.

Wzięła od Renniego kombinezon. Oparła się na ramieniu Logana, wsunęła nogawki spodni w skarpetki i włożyła papierowy kombinezon. Kiedy wszyscy się przebrali - tylko twarze było im widać - podeszła do prawie gotowego namiotu BIO. W powietrzu unosił się rój much.

- Długo jeszcze będziecie się z tym chrzanić?

Chudy mężczyzna o szpakowatych wąsach spojrział na nią ponuro.

- To nie takie proste, jak by się mogło wydawać.

- Bła, bła, bła. Otworzyliście walizkę?

- Jeszcze czego! - odpowiedzieli zgodnie. - Nigdy nie wiadomo, jaki patolog się trafi; jeśli padnie na tę MacAlister, ona gotowa człowiekowi jaja urwać i zalać formaliną za to, że pchał się gdzie nie trzeba. Walizka musi pozostać na swoim miejscu, dopóki patolog albo lekarz dyżurny jej nie obejrzy.

Steel spojrzała na czerwony kufer.

- Jak na Boże Narodzenie, co? - Mrugnęła do Logana. - Prezent leży pod choinką wiesz, co jest w środku, ale nie możesz go rozpakować, musisz czekać, aż przyjdzie Święty Mikołaj. Ale przecież nikomu nie stanie się krzywda, jeśli zerkniesz do środka...

Ruszyła w stronę otwartego wejścia do namiotu, ale Szpakowaty Wąsik zastąpił jej drogę.

- Nie. Czekamy na patologa.

- Da pan spokój, to ja prowadzę tę sprawę. Jak mam złapać drania, jeśli tacy jak pan nie pozwalają mi nawet pomacać?

- Będzie sobie pani macać, jeżeli patolog się na to zgodzi. A do tego czasu wstęp wzbroniony. - Wskazał papieros przyklejony w kąciку ust Steel. - Poza tym wykluczone, żebym wpuścił tam panią z papierosem.

- Rany boskie...

Inspektor odeszła kawałek od namiotu, żeby spokojnie dopalić i sobie pozzredzić. Dziesięć minut i półtora papierosa później dało się słyszeć: „Hej tam!”, któremu towarzyszył trzask łamanych gałązek. Ktoś przedzierał się przez zarośla.

Młoda asystentka "prokurator, zawnazasu ubrana w przepisowy kombinezon i pokrowce na buty, chociaż reszta jej ekipy się nie przebrała. Za nią szła pani prokurator we własnej osobie, pogrążona w rozmowie z Isobel MacAlister - oto nadchodzi Królowa Zimy! Pochód zamykał milczący doktor Wilson. Z ponurą miną wpatrywał się w plecy Isobel.

Prokurator przywitała ich ponurym uśmiechem, kazała sobie zreferować sprawę i zniknęła w namiocie wraz z Isobel i Wilsonem. Jej asystentka została przy wejściu do śmierdzącej groty z niebieskiego płótna; Szpakowaty Wąsik nie wpuścił jej do środka.

- Przebrała się pani za wcześniej i przywlokła na kombinezonie ziemię, patyki i Bóg wie jakie jeszcze śmieci! - sarknął. - Proszę włożyć świeży kombinezon.

Spurpurowiała jak piwonía, ale rozebrała się posłusznie, odsłaniając stonowany czarny kostium i kanarkową bluzkę, które w połączeniu z jej czerwoną twarzą i kręconymi rudymi włosami upodabniały ją do

Hf rozeźlonej pszczołki. Inspektor Steel nie miała ochoty dłużej na to patrzeć. Pociągnęła Logana za sobą i weszli do namiotu.

W cuchnącym powietrzu bzycały setki much. Logana aż przeszedł dreszcz. Słońce, które na polance prażyło silniej niż w lesie, sączyło się przez płachtę, nadając wnętrzu chorobliwie siny odcień. Technicy z BIO - na wszelki wypadek zachowujący pełen szacunku dystans do Isobel - w białych kombinezonach trochę przypominali smerfy. Kamerzysta wybiegł do przodu, zrobił kilka długich ujęć, po czym ustawił się tuż za plecami Isobel, aby mieć dobry kadr, kiedy pani patolog otworzy walizkę. Fotograf pstrykał non stop. Po każdym trzasku flesza wewnątrz na ułamek sekundy nasycano się żywymi kolorami, by po chwili znów zanurzyć się w odcieniach błękitu. Coś zaszeleściło. Rachael w nowiutkim kombinezonie najpierw wetknęła głowę do cuchnącego namiotu, a potem wślizgnęła się do niego i stanęła obok trzymających się blisko wejścia Logana i Steel.

- Walizka średniej klasy - mówiła tymczasem Isobel, nagrywając relację na trzymany w kieszeni dyktafon. - Dostyc nowa.

Spróbowała ją otworzyć, ale zamek był zamknięty i musiała poprosić technika o wycięcie go. Chyba ze siedem razy powtarzała mu, żeby uważał, aż w końcu zamek wylądował w torbie na dowody rzeczowe, a Isobel złapała za wieko.

- No, zobaczymy, co tu mamy...

Smród buchnął z obezwładniającą siłą. Wcześniej Logan myślał, | że gorzej już być nie może, ale po otwarciu walizki okazało się, że się mylił. Było sto razy gorzej. W miarę szczelnym kufrze, w połowie wypełnionym lepka, cuchnącą cieczą, pływało coś, co przypominało tors. Sześćdziesiąt centymetrów długości - dorosły. Nie było widać piersi, więc pewnie mężczyzna. Chyba że piersi odcięto. Skóra była czarna, ? pokryta włoskami pleśni i śliska od śluzu.

Coś poruszyło się gwałtownie tuż obok niego: to Rachael zakryła | usta dłonią i wybiegła z namiotu. Trudno było mieć do niej pretensje: ?1 żołądek Logana szybko zmierzał ku podobnej konkluzji.

- Sukinsyn... - mruknęła Isobel. I' - Co się stało? - zapytał Logan, obawiając się tego, co usłyszy. | - Sukinsyn. Dosłownie. - Wskazała nabrzmiałą bryłę mięsa, którą gę ktoś upchnął w walizce i schował pod drzewem w lesie, na pustkowiu.

~ To nie człowiek.

w namiocie zapadła cisza, maćona tylko buczeniem much: tłustych, opasłych plujek, które siadały na rozkładającym się mięsie. Pożywiały się. Logan pierwszy zadał oczywiste pytanie:

- Jak to: nie człowiek? Skąd ten pomysł?

- Chociażby stąd, że ciało jest całkowicie porośnięte sierścią.
Logan zajrzał do walizki. Isobel miała rację: nalot, który wziął za pleśń, nie był żadnym nalotem, tylko najprawdziwszą zwierzęcą sierścią.

- Jeśli nie człowiek, to co?
Isobel szturchnęła zwłoki. Z człowiekiem na pewno obchodziłaby się delikatniej.

- Pewnie pies. Może labrador? Cokolwiek to jest, to robota dla Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.
Wyprostowała się i wytarła ręce o przód kombinezonu, pozostawiając na nim dwie smugi śluzu.

- Ale skąd się tu wziął? Po co ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby ukryć zdechłego psa?
- To w>s jesteście detektywami, nie ja. Nie znam motywów tego, kto to zrobił, jednego jednak jestem pewna: to nie są ludzkie szczątki. A teraz przepraszam, ale mam prawdziwą robotę.
Isobel prawie wybiegła z namiotu. Logan odprowadził ją zdumionym wzrokiem.

- Czy to moja wina? - spytał Steel.
Inspektor wzruszyła ramionami i wyszła na papierosa, a prokurator za nią. Logan pokręcił z niedowierzaniem głową.

- A pan, doktorze, jak pan myśli, o co jej chodziło?
Wilson zmarszczył brwi.

- No tak, rozumiem. Ważna pani patolog nie będzie się zajmować zdechłym psem, aleja to co innego, tak? Jestem lekarzem, do cholery! Nie weterynarzem!
Logan zgrzytnął zębami.

- Ja bym tylko chciał, żeby ktoś mi wyjaśnił, co tu się dzieje! Więc jak, lekarska primadonna? Zniży się pan na pięć minut do mojego poziomu i mi pomoże, czy niekoniecznie?

Nagle wszystkich w namiocie bez reszty pochłoneła obserwacja czubków własnych butów. Policjant i lekarz mierzyli się wzrokiem. Logan ustąpił.

- Przepraszam, doktorze.
Wilson westchnął, wzruszył ramionami i przykucnął przy walizce. Kiwnął na Logana. Ponieważ nie prowadzili już dochodzenia w sprawie morderstwa, nie musieli się cackać z potencjalnymi śladami. Wilson chwycił walizkę, stęknął i wyciągnął ją spomiędzy korzeni na równy kawałek gruntu. Ohydny płyn chlapanął na ziemię.

Kaszłąc i dławiąc się smrodem, Wilson szturchnął owłosiony tors i obrócił go na drugą stronę. Od spodu zgnilizna postępowała szybciej. Głowę, łapy i ogon odcięto, pozostało fioletowe, napuchnięte mięso.

- Wie pan, nie jestem patologiem, ale wydaje mi się, że cięcia wykonano bardzo ostrym narzędziem średniej wielkości. Takim jak nóż kuchenny. Cięcia są gładkie, nie było piłowania ani chlastania na oślep. Ten, kto to zrobił, znał się na rzeczy: nacinał ciało wokół stawu, a potem oddzielał kończynę od tułowia. Bardzo ekonomicznie. - Znów obrócił psa na grzbiet. - Przy odcinaniu głowy bardziej się namęczył. No ale to zawsze jest trudniejsza sprawa. Ogon po prostu odrąbał..

Doktor Wilson zmarszczył brwi.

- Co się stało?
Lekarz wskazał dół korpusu, gdzie sierść była wyjątkowo mocno zlepiona śluzem i pokryta żywym dywanem much. Ostrożnie obmacał gnijące ciało.

- Liczne rany klute w rejonie genitaliów. Pochlastał psu jądra na kawałki.
I wtedy Logan doznał olśnienia.
Kazał ludziom z BIO brać się do roboty: zbierać, pakować, opisywać. Mieli się zachowywać jak na miejscu morderstwa, mimo że Znaleźli tylko martwego psa. Szpakowaty

Wąsik próbował się kłócić, Logan jednak nie zamierzał go słuchać. Sprawę trzeba potraktować poważnie: włókna, odciski palców, próbki tkanek, sekcja - wszystko jak należy. - Ale po co? - dziwił się Wąsik. - Przecież to zwykły labrador! Logan spojrział na okaleczone psie zwłoki, zapakowane do walizki

49

i ukryte w lesie.

-Zamierające światło

- Nie - odparł. Zaczynał odczuwać znajome przygnębienie. - To nie jest zwykły labrador, tylko ofiara próby generalnej.

Wracając do komendy, Steel i Rennie podrzucili Logana do domu, żeby mógł się przespać, zanim wieczorem zamelduje się na dyżurze. Zjechali z Marischal Street, Logan wysiadł i klnąc jak szewc, wszedł na klatkę schodową a potem do mieszkania. Ani Steel, ani pani prokurator nie spodobała się jego teoria, ale musiały przyznać mu rację, że wygląda to jak przygotowanie do prawdziwego morderstwa; jakby ktoś sprawdzał, na co go stać, zanim pójdzie na całość. Prokurator zarządziła regularną sekcję zwłok. Isobel nie będzie zachwycona, kiedy każą jej pokroić brudnego, zgniłego labradora w jej pięknym, czyściutkim prosektorium. Wścieknie się - i znów zwali wszystko na niego.

Mamrocząc ze złością pod nosem, wskoczył pod prysznic, żeby zmyć z siebie smród rozkładającego się psa. Pół godziny później rozsiadł się w salonie z piwem w jednej i grzanką z serem w drugiej ręce. Oglądał telewizję i próbował znudzić się nią tak bardzo, żeby zasnąć.

Odkąd Jackie się wprowadziła, w jego mieszkaniu zaszły wielkie zmiany: zapanował w nim niewiarygodny bałagan. Ta kobieta była cy- catym uosobieniem chaosu. W kuchni zupełnie nie umiał się odnaleźć. Kiedy Jackie coś wzięła, zawsze odkładała to w inne miejsce - dziesięć minut zajęło mu znalezienie tostera. Kolorowe magazyny spadały ze stolika, gazety leżały w stertach na podłodze, nieotwarte listy mieszały się z menu restauracji oferujących dostawę do domu i innymi świstkami papieru. W domu rozgościła się też kolekcja świnek Jackie: świnki z porcelany, świnki z gliny, małe, różowe, milusie. Były w salonie dosłownie wszędzie i zbierały kurz. Ale Logan za żadne skarby świata nie chciałby nic zmieniać.

Potem otworzył drugą puszkę piwa. Słoneczne światło wpadało przez okno do salonu, w którym było przytulnie i miło. Zaczynał przysypiać, sen oblewał go falami jak sięgające coraz dalej fale przyływu niosącego rozczłonkowane zwłoki...

Usiadł wyprostowany na sofie. Oczy miał zapuchnięte i szeroko otwarte, a krew dudniła mu uszach, gdy próbował sobie przypomnieć, gdzie jest. Telefon znów zadzwonił. Logan obrócił się i podniósł słuchawkę. Sen rozpadał się na strzępy.

- Słucham?

- Łazarz, brachu... - zabrzmiał w słuchawce zadowolony z siebie głos z akcentem typowym dla Glasgow. - Co słyszeć?

Colin Miller, cudowne dziecko reportażu, zatrudnione w „Press and Journal”, największym lokalnym dzienniku.

- Spałem. Czego chcesz?

- Spałeś? O tej porze?! Pewnie baraszkowaliście sobie wesoło z tą milutką posterunkową, co?

Logan nie zaszczycił Millera odpowiedzią.

- Mniejsza z tym - ciągnął dziennikarz. - Dzwoniła do mnie jedna kobitka. Mówi, że dziś na spacerze w lesie znalazła zwłoki.

Chryste Panie, pomyślał Logan. Pani Hendry nie traciła czasu.

- Powiedz coś ciekawego, staruszku. Kto to był?

Logan zmarszczył brwi.

- Nie rozmawiałeś jeszcze z Isobel?

Niezręczna cisza. A potem:

- Ona... nie odbiera komórki. A w biurze włącza się poczta głosowa.

Poza tym że był geniuszem reportażu, Colin Miller został również kochankiem Isobel po tym, jak skończyła z Loganem. Można by się spodziewać, że to wystarczy, aby Logan znenawidził tego namolnego gnojka z gazety, ale jakoś nie wystarczyło.

- No, Łazarz, puść farbę. Wasze biuro prasowe jak zwykle odmawia komentarza. A ty tam byłeś, prawda?

Logan westchnął i usiadł ciężko na krześle.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że dziś w Garlogie Woods zaleźliśmy zwłoki. Chcesz usłyszeć szczegóły, zwróć się do naszego rzecznika prasowego. Albo zaczekaj, aż Isobel wróci do domu.

- Cholera... Łazarz, ja nie mam z czym pracować! Podrzucić mi coś. Byłem grzeczny, nie drukowałem nic, czego mi nie klepnałeś. Bądźże człowiekiem.

Logan nie umiał powstrzymać uśmiechu: miło było dla odmiany mieć nad kimś przewagę. Gdyby Miller bez jego zgody puścił do druku choć słówko z tego, co mu szeptała w łóżku jego dziewczyna patolog, byłoby po niej: Logan poszedłby prosto do wydziału wewnętrznego i opowiedział o wcześniejszych przypadkach „niedyskrecji” Isobel. Byłaby skończona.

- Mam propozycję. - Miller nie odpuszczał. - Przyniosę coś fajnego do herbatki i pogadamy sobie. A nuż wiem coś, co ci się przyda? Moglibyśmy się wymienić.

- Tak jak ostatnio? Wielkie dzięki.

- No przepraszam za tamto. Facet powiedział, że w magazynie będzie kupa kradzionych fantów... - Urwał. - Słuchaj, przydzielili cię do tego pożaru?

Logan odparł, że nie, ale to jeszcze nie oznaczało, że go to nie interesuje. Ciekawy trop w śledztwie prowadzonym przez Inscha mógł mu ułatwić pożegnanie się z Partaczami.

- No to świetnie. O ósmej?

Klucz szczęknął w zamku i otworzyły się drzwi wejściowe: Jackie wróciła z pracy. Przyniosła obiad z pobliskiej pizzerii; użyła zagipso- wanej ręki jako tacy. Widząc Logana, pomachała mu butelką shiraz.

- Poczekaj - powiedział Logan do słuchawki i zasłonił mikrofon dłonią. - Colin Miller chce wpaść na herbatkę.

- Mowy nie ma - prychnęła Jackie. - Pizza, wino i do łóżka. Najlepiej jednocześnie.

Odstawiła pizzę na stolik i zaczęła zdejmować spodnie. Logan się uśmiechnął.

- Posłuchaj, Colin... Coś mi wypadło. Muszę lecieć.

- Co takiego? Co ci wypadło? Co ty...

Logan odłożył słuchawkę.

Ziewnął, idąc Métaschal Street w kierunku komendy. Dochodziła dziesiąta i słońce zaczynało zastanawiać się nad tym, czy nie pójść na noc do domu. Ciepło dnia powoli wysączało się z granitowych murów, więc i wieczorem temperatura była całkiem wysoka. Naga posterunkowa Watson, pizza i wino miały swoje zalety. A teraz nawet nie musiał się ubierać w służbowe ciuchy, bo prowadził akcję po cywilnemu.

W komendzie panował większy ruch, niż się spodziewał. Wszędzie krzątali się mundurowi policjanci. Duży Gary - w przyciasnym mundurze wyglądał jak zbyt wywatowana sofa z karmelowym wafelkiem w ręce - siedział przy biurku i coś notował.

- ...bry wieczór, Łazarzu - powiedział. Drobinke czekolady posypały się na dziennik sierżanta dyżurnego.

- Cześć, Gary. Co to za zamieszanie?

- Słyszałeś pewnie o tych transportach narkotyków? No więc dziś szykuje się akcja. Połowa nocnej zmiany idzie się bawić w policjantów i złodziei. - Gary zmarszczył podejrzliwie brwi.

- A ty co tu robisz? Masz chyba dzienną...

Logan przestał się uśmiechać.

- Dziś i jutro jestem na nockę. Ale dziś tylko do drugiej, bo prawie przez cały dzień byłem na służbie.

- Ty draniu... - Gary zapisał coś w dzienniku. - Dlaczego nikt mi nigdy nic nie mówi? Czyj to pomysł?

- Inspektor Steel.

Gary odchrząknął i odgryzł kawałek wafelka.

- To do niej podobne, psiakrew. - Pokręcił głową. - Odkąd posypał się proces Cleavera...

Zadzwoił telefon i Duży Gary zniknął.

Logan wpisał się do dziennika i wyszedł na dwór. Bez pośpiechu ruszył przed siebie Marischal Street i dalej przez most. Minał swój dom. Światła portu migotały, padając na nieliczne statki zaopatrzeniowe, których pomarańczowe kadłuby mieniły się w blasku zachodzącego powoli słońca. Woda przybrała głęboko fioletowy odcień, odbijając ciemniejące niebo. U stóp wzgórza Logan skręcił w lewo i wyjrzał z rogu na Shore Lane, szukając pracownic na stanowiskach. Pusto.

Z rękami w kieszeniach szedł wzdłuż nabrzeża, po drodze zaglądając w każdy zaułek i na każdy parking. Dziewczyny, z którymi udało mu się porozmawiać, były w większości chętne do pomocy - po tym, jak przysiągł na grób matki, że ich nie aresztuje. Znały Rosie, razem pracowały, zmartwiły się, że zginęła, ale żadna nie powiedziała nic konkretnego.

Robił właśnie drugi obchód, kiedy jego komórka eksplodowała kakofonią pisków i gwizdów. Colin Miller. Znów.

- Tak tylko dzwonię, żeby ci powiedzieć, że masz przechlapane. Wasz rzecznik twierdzi, że to nie są zwłoki człowieka, tylko psa, więc twoja karta przetargowa wygląda słabiutko.

Logan zaklął w duchu. Właśnie stracił szansę na wyrwanie się z Ekipy Partaczy.

- Łazarz? Jesteś tam jeszcze?

- Jestem. Zamyśliłem się tylko.

Musiało przecież być coś, co mógłby zaproponować Millerowi... I wtedy go olśniło: opowiedział o swojej teorii morderstwa na próbę.

- No to pięknie... A myśmy dali tylko małą notkę.

- Coś za coś, Miller. Co dla mnie masz?

- Graham Kennedy. Mówi ci coś to nazwisko? Zajmuje się dilerką w Bridge of Don. Głównie koka, ale jak mu wpadnie w ręce jakiś ostrzejszy towar, to nie pogardzi.

Logan w życiu o nim nie słyszał.

- To jeden z tych, co się upiekli.

Świetnie. Podobno Insch nadal ma kłopot z identyfikacją zwłok. Niewiele to, ale na początek wystarczy. Logan podziękował Millerowi i się rozłączył. Ten dzień jednak nie był aż tak beznadziejny.

Zanim wrócił na Shore Lane, zrobiło się prawie wpół do dwunastej. Od ubiegłej nocy nic się nie zmieniło w kwestii oświetlenia: w zaułku zalegał mrok z rzadka maçonny plamami bladeżółtego światła. Na drugim końcu ulicy, bliżej zjazdu z dwupasmówki, dostrzegł samotną postać. Z rękami w kieszeniach wszedł w zaułek. Poczul smród gnijących szczurów - na szczęście daleko mu było do smrodu rozkładającego się labradora. Dziewczyna czekająca na klientów pod magazynem Shore Porters miała najwyżej szesnaście lat. Była ubrana w krótką czarną spódnicę, kusą koszulkę z głębokim dekoltem, kabaretki i błyszczące czarne szpilki. Elegancko. Jej fryzura przypominała trwałą gwiazd rocka z lat osiemdziesiątych; warstwa makijażu na twarzy wystarczyłaby do wytapetowania mostu na zatoce Firth of Forth. Słyszając kroki Logana, odwróciła się i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Cześć - powiedział miłym, obojętnym głosem. - Jesteś tu nowa?

Zmierzyła go wzrokiem.

- Czemu pyta^

Nie była stąd. Mówiła trochę jak edynburka, a trochę jak Ukrainka; głoski jej się rozjeżdżały, jakby coś brała.

- Byłaś tu wczoraj?

Cofnęła się o dwa kroki.

- Nie bój się. - Logan podniósł ręce. - Chcę tylko pogadać.

Strzeliła rozszerzonym z przerażenia oczami w lewo, w prawo -

i rzuciła się do ucieczki. Logan złapał ją za rękę i zatrzymał.

- Boli! - zapiszczała, próbując się wyrwać.

- Chcę ci tylko zadać kilka pytań, w porządku?

- Nie, kurwa, nie w porządku. - Z cienia wynurzyła się jakaś postać: barczysty mężczyzna w skórze i dzinsach. Ogolona głowa, kozia bródka, zaciśnięte pięści. - Puść tę sukę, bo ci łeb rozwalę.

Logan się uśmiechnął.

- Po co te groźby? Zadam parę pytań i już mnie nie ma. Pan też tu wczoraj był?

Byczek zacisnął mocniej pięści, aż mu kłykcie zatrzęszczały, i ruszył na niego.

- Co ty, fiucie, głuchy jesteś? Puść ją, powiedziałem!

Logan z westchnieniem wyjął portfel i pokazał mu legitymację.

- Sierżant Logan McRae. I co, dalej chcesz mi rozwalić łeb?

Byczek znieruchomiał. Spojrzał na legitymację, na Logana, na dziewczynę, znów na Logana - i dał nogę.

Odprowadzili go wzrokiem: jak na takiego byka poruszał się bardzo szybko. Dziewczyna rozdziawiła usta, zapomniawszy, że ma się wyrwać, a potem bluznęła obelgami w jakimś obcym języku. Logan nie rozumiał, co mówi, ale domyślił się sensu.

- No dobrze - powiedział, kiedy zabrakło jej tchu i natchnienia. - Nic ci nie zrobię. Nie aresztuję cię. Chcę tylko porozmawiać.

Prychnęła.

- Ja dobrze mówię świństwa. Chcesz?

- Nie o taką rozmowę mi chodziło. Chodź, postawię ci drinka.

Przy Regent Quay znaleźli Regents Arms, niewielki bar z pozwoleniem na handel alkoholem do trzeciej rano. Nie był to najbardziej elegancki lokal w Aberdeen: zgubił apostrof z nazwy, w środku było ciemno i brudno, śmierdziało rozlanym piwem i starym dymem papierosowym. Klientela? Typki, jakich pełno w porcie po zachodzie słońca. Logan natychmiast wyłowił z niej spojrzeniem troje ludzi, których w przeszłości aresztował - za rozbój, prostytutkę i włamanie - nie zamierzał więc korzystać tu z toalety. Małe pomieszczenie z jednym wyjściem, bar, którego bywalcy z radością zobaczyliby rozbryźnięty na podłodze mózg policjanta. Lepiej od razu wyrznąć się młotkiem w twarz; wszystkim zaoszczędziłby kłopotu.

Nikt jednak nie odezwał się ani słowem, kiedy usiadł z dziewczyną przy stoliku i kupił jej budweisera. Jeżeli była wystarczająco dorosła, żeby sprzedawać się na ulicy, na pewno mogła pić piwo.

- No dobrze. Kim jest twój przyjaciel?

Zmarszczyła brwi i bluznęła kolejnym stekiem wyzwisk pod adresem nieobecnego opiekuna. Logan zapytał, co to za język.

- Litewski - wyjaśniła.

Nazywa się Kylie Smith - akurat ci uwierzę, pomyślał Logan - i od prawie ośmiu miesięcy przebywa w Szkocji: najpierw w Edynburgu, teraz w Aberdeen. Wolała Edynburg, ale co ona może: jedzie tam, gdzie jej każą. Poza tym nie, wcale nie miała szesnastu lat, tylko dziewiętnaście. W to też Logan nie uwierzył. Światło w pubie były przyćmione, fale i tak znacznie lepsze niż na Shore Lane - i widział, że siedzi przed nim najwyżej czternastolatka.

Czy jej się to podoba, czy nie, będzie ją musiał zabrać na posterunek; nie wyśle przecież takiego dzieciaka z powrotem na ulicę. Powinna być w szkole!

Jej „przyjaciel” kazał mówić do siebie Steve, ale policji nie wolno mu się naprzykrzać, bo ona musi z nim zostać i on by ją za to pobił. Logan mruknął coś niezobowiązująco i spytał, gdzie była poprzedniej nocy.

- Idę z facetem w garniturze. On chce, żebym robiła świństwa, ale dobrze płaci. Potem idę z innym. Śmierdzi frytkami, ma skórę całą w tłuszczu. Potem następny...

- Nie o to pytałem - przerwał jej Logan. Starał się nie myśleć o tłustych paluchach obłapiających dziewczynkę. - Gdzie czekałaś na klientów?

- Aha, rozumiem. Tak jak dzisiaj. Przez całą noc. Dobrze zarabiam. - Pokiwała głową. - Steve przynosi mi śniadanie, tak dobrze się spisuję. Happy meala.

Niektórzy to mają gest.

- Słyszałaś o tym, że ktoś wczoraj pobił jedną z dziewczyn?

- Słyszę.

- Widziałaś coś?

- Stoi całą noc i tylko jeden facet przychodzi się z nią rypać.

- Jak wyglądał?

- Bardzo ciemno... - Marszczy czoło. - Białe włosy. Sterczące? - Przystawiła dłonie do głowy i rozczapierzyła palce. - Rozumiesz?

I broda. - Kolejny gest: lewa pięść przytknięta do podbródka. - Też śmierdział frytkami.

Logan się uśmiechnął. To musiał być Jamie McKinnon, pewnie świeżo po obrobieniu któregoś z fast foodów. Żegnaj, alibi.

- Słyszałaś, co mówili?

Dziewczyna pokręciła głową i dopiła piwo.

- Idę z innym facetem.

Logan spojrzał na nią z ukosa.

- Wiesz, że tamtą ktoś zabił?

Kylie westchnęła. Jej twarz nagle wydała się znacznie starsza niż w rzeczywistości.

Wiedziała. Ludzie cały czas się biją, czasem ktoś ginie. Tak już jest.

- Pójdiesz ze mną na posterunek? Pokazałbym zdjęcia, spisał zeznanie... Powtórzyłybyś to, co mi powiedziałaś.

Znow pokręciła głową.

- Steve zły, kiedy nie zarabiam.

Podwinęła rękaw, odsłaniając blizny po przypaleniu papierosem w zgięciu łokcia. Pośród okrągłych ranek było też widać ślady po igłach - niewiele, akurat tyle, żeby spowodować uzależnienie. Od prochów - i od „Steve'a”.

- A jeśli ci zagwarantuję, że Steve już nigdy nie zrobi ci krzywdy?

Tylko się roześmiała. Głupie gadanie. Nigdzie z nim nie pójdzie, a już na pewno nie na posterunek; nie chce sprawiać kłopotów Steve'owi. Dzięki za piwo i do widzenia. Logan nalegał, ale nie chciała o niczym słyszeć. W końcu zerwała się z miejsca i pobiegła do wyjścia.

Logan skoczył za nią - i wtedy sprawy przestały się układać po jego myśli. Potężny klient z tatuażem wielkości rottweilera zastąpił mu drogę. Kylie zdążyła wybiec z baru. Facet był o głowę niższy od Loga- na, ale braki wzrostu z nadwyżką nadrabiał szerokością barów. Logan stanął jak wryty.

- Ta pani nie życzy sobie twojego towarzystwa - powiedział z silnym akcentem z Peterhead.

- Posłuchaj pan, muszę ją złapać. Ona ma dopiero czternaście lat!

- Aha, więc lubimy młode, co? - wycodził tamten przez zęby.

- Że co?... Nie, ja jestem policjantem! A ona...

W tym momencie to usłyszał: cisza. Wszystkie rozmowy ucichły jak nożem uciął. Jedynymi dźwiękami były popiskiwanie mocno zużytego jednorękiego bandyty.

Psiakrew...

- W porządku. - Odwrócił się do pozostałych klientów. - Szukam mordercy Rosie Williams. Zginęła wczoraj w nocy. Nie chcę nikomu sprawiać kłopotów. - Milczenie się przedłużało. Zimna strużka potu spłynęła mu po plecach. - Jakiś skurczybyk pobił Rosie na śmierć. Przydusił ją zmasakrował jej twarz, połamał żebra. Utopiła się we własnej krwi. - Spojrzał na wytatuowanego bandziora, który wciąż blokował mu wyjście. - Rosie na to nie zasłużyła. Nikt na coś takiego nie zasługuje.

Zaraz skopią mu tyłek. Czuł to przez skórę.

Mały mięśniak zmarszczył brwi. Zamyślił się. Cisza się przeciągała.

- Spadaj - powiedział w końcu, wskazując kciukiem przez ramię. - Tylko pamiętaj: to nie jest dobre miejsce dla ciebie. Nie wracaj tu.

Kiedy wreszcie wyszedł z baru, Kylie nie było nigdzie widać.

Nie znał litewskiego, więc klął jak szewc po szkocku.

S

Logan jeszcze przez kilka godzin błąkał się po uliczkach i parkingach, ale nic mu z tego nie przyszło: tylko młoda dama z Litwy, tylko ona jedna, poprzedniej nocy widziała Jamiego McKinnona. Pozostałe dziewczyny były zbyt zajęte zarabianiem na chleb w bramach i samochodach.

W komendzie było cicho i pusto jak w nocy na cmentarzu, kiedy tylnym wejściem wszedł do środka. Duży Gary jak zwykle siedział przy biurku z samouczkiem francuskiego w garści i paczką czekoladowych ciastek pod ręką.

- Wiadomo coś nowego o Maitlandzie? - spytał Logan, częstując się herbatnikiem.

Gary pokręcił głową.

- Z tego, co słyszałem, cały czas leży na intensywnej terapii. - Zniżył głos do szeptu. -

Wiesz, nie wszyscy tu mają do ciebie pretensje. Ktoś was wrobił i tyle. To nie twoja wina.

Logan uśmiechnął się smętnie.

- Więc dlaczego cały czas czuję się jak śmieć?

- Bo w przeciwieństwie do niektórych kutafonów nie jesteś palantem bez serca. - Gary poklepał go po ramieniu. - Wyjdzie z tego. Dorzuc się do zbiórki: wynajmiemy mu striptizerkę. Zobaczysz, będzie dobrze.

Logan podziękował mu za ten zastrzyk optymizmu i powłókł się do stołówki po herbatę i kanapkę, które zabrał potem do archiwum, żeby przy posiłku pooglądać zdjęcia notowanych. Szukając byczka z ogolonym łbem i kozią bródką - alfonsa czternastoletniej Litwinki - musiał przetrzucić na komputerze całe tony akt.

Zrobiła się trzecia, a on zdążył przejrzeć zaledwie ułamek zbioru policyjnych portretów. Obiecał sobie, że rano poprosi kogoś o sporządzenie elektronicznego portretu pamięciowego, i roześle go mailem po ludziach; może ktoś skojarzy faceta. Wstał, ziewnął rozdzierająco, przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości, i wyszedł, żeby jeszcze raz poszukać Kylie. W porcie niewiele się działo. Środowa noc nie nadawała się na ostre picie, więc mniej niż zwykle nawalonych frajerów wylęgało z klubów i lokali ze striptizem w poszukiwaniu płatnej romantycznej rozrywki. To z kolei oznaczało, że i prostytutki wcześniej szły spać i na ulicach zostawały tylko te najbardziej zatwardziałe. Najbardziej zdesperowane. Te, którym wcześniej się nie poszczęściło. Te bez zębów i z napuchniętymi żyłami. Takie jak Rosie Williams.

Przewędrował cały port, ale znalazł tylko cztery dziewczyny, a z trzema z nich rozmawiał już wcześniej. Czwartą „dziewczyna”, dobrze po czterdzieście - w migoczącym świetle latarni nie mógł tego dokładnie stwierdzić - była ubrana w tanią mini i foliowy płaszcz przeciwdeszczowy; czarne plastikowe szpilki dla fetyszystów dopełniały obrazu. Widząc ją, Logan niespecjalnie się zdziwił, że pracuje nad ranem, kiedy klienci są najbardziej napruci i

najmniej wybredni. Twarz miała dziwnie zniekształconą, jakby grudkowatą... Nagle zrozumiał: ktoś ją pobił, i to całkiem niedawno. To dlatego krzywo się uśmiechała: była spuchnięta. Próbowwała, bez powodzenia, zamaskować opuchliznę makijażem.

Zorientowała się, że Logan jej się przygląda.

- Chcesz się zabawić? - spytała. Przeciągała słowa i trochę sepleniała; pewnie miała wybite zęby. - Taki przystojniak na pewno chciałby się zabawić... - Zakołysała biodrami, mrugnęła i rozchyliła poły płaszcza, odsłaniając czarny koronkowy gorset. Logan zobaczył białą skórę pokrytą siniakami. - Podoba ci się?

Nie było mowy, żeby szczerze odpowiedział.

- Ktoś cię pobił?

Wzruszyła ramionami i wyjęła paczkę papierosów. Wsunęła jednego między opuchnięte wargi i przypaliła go jednorazową zapalniczką.

- Jesteś gliną? - Zmierzyła go wzrokiem. - Nie musisz odpowiadać. To widać. Pieprzony gliniarz.

Zaciągnęła się i rozkaszała. Zamknęła oczy i przycisnęła lewą rękę do żeber, krzywiąc się z bólu i plując.

- To cię zabije.

Pokazała mu środkowy palec. W płucach jej świszcząło, ale w końcu przestała się krztusić i wypluła na chodnik ciemną grudę flegmy.

- Jak się będę chciała leczyć, pójdę do lekarza. Czego chcesz? Obryw? Numerek za friko?

Logan omal się nie wzdrygnął.

- Rosie Williams - powiedział. - Ktoś ją wczoraj zabił. Szukam świadków.

Kobieta skuliła się i otuliła foliowym płaszczem.

- Jezu... Rosie?

Pokiwał głową.

- Wczoraj. Pracowałeś?

- Nie. - Wciągnęła do płuc kolejny haust dymu. - Dwa dni temu miałam wypadek. -

Wskazała poobijaną twarz. - Wpadłam na drzwi.

- To musiały być duże drzwi.

- Kurewsko wielkie. - Spuściła wzrok. - Wczoraj nie pracowałam. Nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Zostałam w domu. - Westchnęła. - Chociaż dziś też, z takim wyglądem, wiele nie zarobię...

Zawiesiła głos i spojrzała w ciemność, jakby zapatrzyła się w przeszłość.

- To po co tu przyszłaś?

- Dzieci krzyczą jeść, nie kapujesz? A heroina jest kurewsko droga.

Dziesiąta wieczorem: początek czwartkowego nocnego dyżuru. Dzień spędził w łóżku; wstał dopiero o piątej, kiedy Jackie przyszła do domu po pracy - był czas na rybę z frytkami na śniadanie/obiad i na krótki powrót do łóżka. W każdym razie Logan, który za dziesięć dziesiątą maszerował sobie do komendy, był całkiem szczęśliwym Loganem. Kiedy jednak znalazł się w środku, od razu wyczul ciężką ponurą atmosferę. Przy biurku w recepcji siedział sierżant Erie Mitchell pogrążony w lekturze „Evening Expressu”; jego powiększająca się łysina lśniła w świetle lamp. Podniósł głowę, odsłaniając sumiaste wąsy w stylu Wyatta Earpa, i zmarszczył brwi.

- A ty z czego się tak cieszysz?

Logan odpowiedział uśmiechem.

- A, dobry wieczór, dobry wieczór, Erie. Cieszę się, bo dzień był piękny. A tobie co tak wykrzywiło wąsy? Duży Gary zeżarł wszystkie ciastka?

Erie bez słowa podsunął mu gazetę. Z pierwszej strony krzyczał nagłówek: „Chybiony nalot policyjny!” Towarzyszyło mu duże zdjęcie: radiowozy, furgonetki i tłum mundurowych pod dawnym kościołem w Tillydrone.

Logan z trudem zachował powagę. No, przynajmniej nie on jeden w tym miesiącu spał robotę.

- A gdzie powinni byli jechać?

- Kincorth! - Erie rzucił gazetę na biurko i uderzył w nią otwartą dłonią. - Debile. Tak jakbyśmy i bez tego nie mieli dość zmartwień.

- Pokazał ramkę obok głównego artykułu: „Niekompetencja policji: radny zabiera głos”. - Gnojek tylko szuka pretekstu, żeby zrobić z nas durniów.

Małe, czarno-białe zdjęcie przedstawiało „świętego” radnego Marshalla z tradycyjną u niego miną zarozumiałego ślimaka. Nagle Erie przypomniał sobie, że ma wiadomość dla Logana.

- Inspektor Steel kazała ci brać dupę w troki i szorować do jej gabinetu.

Podobnie jak kryjówka inspektora Napiera także pokój Steel zdradzał charakter właściciela: był zaniedbany, zagracony i śmierdział papierosami. Inspektor siedziała przy biurku z nogami zarzuconymi na blat. W jednej ręce trzymała kubek z kawą, w drugiej telefon komórkowy; z kącika ust zwisał jej papieros. Wskazała Loganowi krzesło, barkiem przycisnęła telefon do ucha i z szuflady w biurku wyjęła długopis i notesik w czarnej okładce.

- Oczywiście, że cię kocham - powiedziała. Czubek papierosa poruszył się w górę i w dół; spadła centymetrowa lawina popiołu. - Tak... Przecież wiesz... Nie, tego bym nie zrobiła... - Nagryzmoła coś w notatniku i podsunęła go Loganowi. - Wiesz, że tak... Susan, jesteś dla mnie najważniejsza na świecie... Ależ tak! Tak...

Logan zerknął na kartkę: „Zidentyfikowaliście już tę kurewkę?” Spojrzał zdumiony na Steel, która przewróciła oczami i dała mu znak, żeby oddał jej notes.

- Naturalnie, Susan, i dobrze o tym wiesz... Znow coś napisała: „Z nocy. Tę, która widziała McKinnona”. Logan pokręcił głową.

- Cholera jasna... - wyrwało się inspektor. - Słucham? Nie, nie do ciebie, Susan. Coś mi upadło... Mhm...

Logan oddał jej notes.

Jazda do stołówki. Zaraz przyjdę”.

Pił drugą herbatę z mlekiem i powoli dojadał bułkę z bekonem, . kiedy inspektor Steel wreszcie zjawiała się w stołówce.

- Umieram z głodu - mruknęła. Zwaliała się na krzesło po drugiej stronie stolika. Westchnęła ciężko. - Ale po kolei. - Wyjęła poranny »Press and Journal“ i położyła go na blacie. - Zechciałby mi to pan wyjaśnić? - Wskazała nagłówek.

„Próba morderstwa. Ofiarę znaleziono w walizce”.

Colin Miller użył swojej czarodziejskiej różdżki i z podejrzeń Logana utkał całkiem zgrabną historyjkę. Nic dziwnego, że w redakcji tak go hołubili.

- Rozmawiałem z nim wczoraj - przyznał.

Czytając artykuł, krzywił się na każdą wzmiankę o „Loganie »Łazarzu« McRae, policyjnym bohaterze”. Ilekroć Miller o nim wspominał, zawsze wyciągał sprawę Angusa Robertsona - Potwora z Mastrick - aby uzasadnić heroiczny status Logana.

- Mogę wiedzieć, dlaczego rozwala mi pan śledztwo? - Głos Steel był chłodny, beznamiętny. Niebezpieczny. Ale Logan tego nie zauważył.

- Nie wiem, kto to zrobił, ale na pewno chciał potraktować zabicie psa jako próbę przed prawdziwą akcją. - Uśmiechnął się. - Skoro znaleźliśmy zwłoki i sprzedaliśmy szczegóły prasie, to chyba jesteśmy na jego tropie, prawda? Zabić psa i pozbyć się ciała to betka. Znacznie trudniej jest zabić i poćwiartować człowieka, zwłaszcza kiedy wiesz, że policja depcze ci po piętach.

- No dobrze... - Steel osunęła się na oparcie i posłała mu drapieżny uśmiech. - Wszystko pan sobie przemyślał, co?

Logan przytaknął. Hieni uśmiech Steel zlodowaciał.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, panie bohaterze. U mnie nie ma żadnej pieprzonej d&pokracji. Będzie pan robił dokładnie to, co panu powiem, i tylko wtedy, kiedy panu powiem, a nie kiedy się panu spodoba! - Logan skulił się odruchowo, a inspektor mówiła dalej: - Wie pan co? W tym konkretnym przypadku muszę panu przyznać rację, ale to jeszcze nie powód, żeby za moimi plecami lecieć z gębą do prasy, żeby napisali o panu w gazetach!

Logan odłożył niedojedzoną bułkę na talerzyk.

- Ja... Przepraszam, nie wiedziałem, że pani...

- Tak myślałam. No to się pan pomylił. - Zabrała mu bułkę i wygryzła solidny kawałek. - I tak dymają mnie tu na każdym kroku - mruknęła z pełnymi ustami. - I nie życzę sobie, żeby dokładał mi pan problemów.

Logan siedział cicho. Nowy dzień świetnie się zaczynał: przełożona zjechała go z góry na dół.

- Przepraszam - powtórzył.

- Po prostu proszę więcej tego nie robić. Jasne? - Steel włożyła do ust resztkę bułki i przez chwilę żuła z niewesołą miną. - No dobrze, teraz może coś łżejszego. Czytałam pański raport z nocki. Udało się panu. A raczej: udałoby się, gdyby nie zgubił pan tej kurewki. - Widząc wyraz twarzy Logana, dodała szybko: - Wiem, wiem, zrobił pan, co mógł. Proszę po prostu dziś mieć na nią oko. Może pan wziąć sobie Renniego do pomocy, przeniosłam go na noce tak jak pana. Tylko żeby się w coś nie wpakował. - Wstała i zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. - Aa, byłabym zapomniała: jutro chciałabym jeszcze raz przesłuchać McKinnona. Zobaczymy, co tleniony skurwiel powie nam po nocy w Craiginches.

- Jutro miałem mieć wolne! Mamy z Jackie pewne plany i...

- Na litość boską! Zamordowano kobietę, a pan myśli tylko o tym, żeby sobie pobzykać?!

Logan poczerwieniał.

- Przesłuchanie Jamiego McKinnona nie zajmie nam całego dnia - ciągnęła Steel. - Skończymy i poleci pan na spotkanie ze swoją milutką posterunkową.

Po tym, jak zmyła mu głowę, teraz poczuł się jeszcze bardziej zawstydzony.

- Tak jest, pani inspektor.

- Grzeczny chłopczyk. A skoro już pan się tu dziś kręci, proszę zejść na dół i zapytać, czy zrobili sekcję tego cholernego psa. I niech pan nie spędzi całej nocy w objęciach jakiejś profesjonalistki w porcie. Nie zwrócę panu kasy za łodzika.

Posterunkowy Rennie tak bardzo wyglądał na policjanta w cywilu, że było to aż przerażające. Dżinsy i skórzana marynarka krzyczały: „Patrzcie! Jestem policjantem!” Nic dziwnego, że nie szczęściło im się | W rozmowach z kobietami pracującymi nocą w porcie. Ich opiekunowie też nie byli skorzy do rozmowy, kiedy w pobliżu kręcił się posterunkowy Ostentacyjny. Jedynym plonem nocnej wycieczki były niewy- s bredne wiązanki, jakie usłyszeli w paru miejscach.

Przed pierwszą zdążyli już kilkakrotnie obejść okolicę. Nie natknęli się na żaden ślad ani czternastoletniej Litwinki, ani jej opiekuna.

- Mam tego dość - oświadczył Rennie. Oparł się o barierkę oddzielającą Regent Quay od portu. - Ile razy można łazić w tę i z powrotem, kiedy wszyscy na ciebie plują albo drą ryja? - Spojrzał na niebo.

; Zaczynał kropić deszcz. W świetle ulicznych lamp pierwsze krople rysowały się jak srebrne igielki. - No tak, jeszcze tego nam brakowało.

Logan nie mógł się z nim nie zgodzić.

- Wracajmy.

Nie spotkał żadnej nowej dziewczyny, portret pamięciowy i labrador do pokrojenia wciąż czekały, aż poświęci im chwilę uwagi, a w porcie nie mieli czego szukać.

Uśmiecha się do niego, kiedy zjeżdża do krawężnika; uśmiecha się, ale nie rusza spod drzwi. Żeby nie moknąć. Co za dzień, kurwa jego mać: najpierw Jason nie chciał jeść śniadania, potem spóźnił się do szkoły, a ona miała takiego piekielnego kaca! Jak tu rozmawiać z tym tępym belfrem Jasona, kiedy po wódce łeb jej pękał? A potem jeszcze posterunkowy Kloc z kumplem spłoszyli jej pierwszego klienta! Powinni łapać złodziei, a nie naprzykrzać się uczciwie pracującym kobietom!

Szyba w oknie buczy cicho i zjeżdża w dół. Kierowca nachyla się nad fotelem pasażera, żeby się przywitać. Ona zawsze staje po stronie pasażera - po tym, jak jakiś oblech podjechał kiedyś, opuścił szybę i złapał ją za cycki. Nie poprosił, nie zapłacił: ścisnął jej cycki jak w imadle, a potem się zmył. Śmiał się jak wariat. W ogóle czubków na ulicach jest pełno.

Pyta, za ile. Ona recytuje mu cennik, trochę przy tym podbija ceny, bo wóz jest nowy, i klient nie wygląda na biednego. On się zastanawia. Deszcz się wzmacza. Może przesadziła z cenami? Kurczę. Przecież potrzebuje tych pieniędzy. Jason zdziera buty w takim tempie, jakby były za darmo.

Rozchyła poły płaszcz, odsłaniając stanik z czerwonej koronki - jest o dwa numery za mały i niewygodny jak cholera, ale wszyscy się na niego napalają. On się uśmiecha. Chyba. Ona dba o formę i to widać. Może cerę ma nie najlepszą, ale cera nie jest najważniejsza.

- Wsiadasz? - pyta on.

Teraz to ona musi się zastanowić. Nie dalej jak dwie noce temu zatłukli tamtą starą dzirę. Ale samochód jest fajny, leje jak z cebra, a ona naprawdę, ale to naprawdę potrzebuje szmalu. Wsiada.

Samochód pachnie nowością, skórą i plastikiem. Tapicerka jest czyściutka, wnętrze eleganckie - zupełnie co innego niż w tej gównianej bryczce, którą jeździ do roboty. Taki wóz musi kosztować majątek. Zapina na piersiach pas bezpieczeństwa, przy okazji znów błyskając czerwoną koronką. On się uśmiecha. Ma miły uśmiech.

Na chwilę daje się ponieść fantazji - Julia Roberts Pretty Woman - jak zawsze, kiedy trafia się klient, który jest dla niej miły, nie krzywdzi jej ani nie każe robić nic obrzydliwego. On się nią zaopiekuje i nie będzie już musiała bzykać się z obcymi za pieniądze.

On opowiada dowcip, ona się śmieje. On wrzuca bieg i samochód zanurza się w deszczową noc. Ona już wie, że ten klient jest bardzo miły. Zna się na ludziach. Ma szósty zmysł.

9

0 pierwszej w nocy w kostnicy panowała - jakże stosownie - martwa cisza. Mąciło ją tylko skrzypienie butów Logana na posadzce i pomruk jarzeniówek. Stoły lśniły w świetle, wbudowany w sufit potężny wentylator tylko czekał, aby wyssać z pomieszczenia woń śmierci. Dobrze, że spisywał się lepiej niż wyciąg u Logana w kuchni, który nie radził sobie nawet z zapachem smażonej cebuli, więc tym bardziej byłby bezradny wobec smrodu gnijącego labradora.

- Jest tu kto?

W kostnicy powinien ktoś być przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Logan minął wyjście na rampę i chłodnie, zajrzał do prosektorium i sali projekcyjnej, ale nikogo nie znalazł.

- Halo? Jest tu kto?

Ktoś siedział w gabinecie patologa, tyłem do drzwi, z nogami na biurku. Kobieta. Miała słuchawki na uszach, popijała lucozade i czytała grubą powieść Stephena Kinga. Wyciągnął rękę i postukał ją w ramię.

Wrzasnęła jak oparzona. Stephen King i lucozade pofrunęli w przeciwne strony, a kobieta zerwała się na równe nogi i odwróciła gwałtownie, i - Niech cię szlag! Mało zawału nie dostałam! Logan się wzdrygnął.

Zdjęła słuchawki, z których dobiegło metaliczne tsssk-tsssk-tsssk głośnej muzyki.

- Boże... Myślałam, że to...

65

Urwała w pół zdania. Najwyraźniej nie zamierzała się przyznawać Loganowi, że wystraszyła się, że umarli po nią przyszli. Carole Shaw: młodszy technik patolog. Przy kości, niska, po trzydziestce. Długie

- Zamierające światło

kręcone blond włosy, okrągłe okulary, koszulka z napisem „Patologowie robią to z trupami!” pod rozpiętym białym kitem, który lepiał się teraz od napoju energetyzującego.

- Dobrze się czyta? - spytał Logan jakby nigdy nic.

- Ty draniu... Mało się nie zsikałam. - Podniosła książkę, klnąc pomarańczową cieczą, która zdążyła wsiąknąć w papier. - Czego chcesz?

- W środę po południu przywieziono tu zwłoki labradora. Mieliście mu zrobić sekcję. Sajuż wyniki?

Carole się wzdrygnęła.

- O Jezus, pamiętam... Kurczę blade, jak to się dzieje, że ile razy dostajemy jakieś gnijące, wzdęte od gazów truchło do pokrojenia, to zawsze od ciebie?

Logan się nie uśmiechnął. Rok wcześniej przekazał do kostnicy chłopca i dziewczynkę - oboje w wieku około czterech lat i oboje od dawna martwi.

- Czyja wiem? Takie już moje szczęście.

- Proszę. - Z szafki na akta wyjęła ciekawą tekturową teczkę. - Azor został pokrojony nożem do kości: jednosieczne ostrze, długość osiemnaście centymetrów, przy rękojeści piłkowane, proste, przy końcu zakrzywione. Takie noże są prawie w każdym zestawie kuchennym, więc to nic niezwykłego. Jeśli znajdziecie nóż, pewnie uda się nam go dopasować, ale ciało jest w takim stanie, że... No, nie ręczę. - Przejrzała raport, poruszając bezgłośnie ustami. - O, tutaj. To ci się może przydać. Przed zabiciem uśpili Azora amitriptyliną. To antydepresant, wydawany na receptę. Działa trochę jak środek uspokajający, dlatego podaje się go ludziom rozdrażnionym, nakręconym, podekscytowanym. W żołądku znaleźliśmy coś, co wygląda jak siekane mięso, poza tym jeszcze z pół butelki mazi. Nie wyobrażasz sobie, jak to śmierdziało.

Logan musiał jej przyznać rację. Nie wyobrażał sobie.

- A walizka?

Carole wzruszyła ramionami.

- Standard. Dwa miesiące temu ASDA w Dyce, Bridge of Don, Garthdee i Portlethen sprzedawały je w promocji. Poszły ich setki. - Logan zaklął, a Carole pokiwała głową. - Brak odcisków palców. Tak samo żadnych włókien. Ten, kto to zrobił, nie zamierzał dać się łatwo złapać.

Resztę nocy zajęło mu sporządzenie elektronicznych portretów pamięciowych czternastolatki z Litwy i jej alfonsa; podtykanie ich pod nos każdemu napotkanemu policjantowi; umieszczenie ich w Internecie i na tablicy ogłoszeń; rozesłanie mailem do innych posterunków w rejonie - a nuż ktoś rozpozna tę dwójkę.

Zanim wrócił do domu, deszcz zawarł chwiejny rozejm z porannym słońcem i sinofioletowe chmury jak opętane pędziły po niebie. Ja- ckie spała, skulona pod kocem jak bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć. Ekspłodowała, kiedy powiedział jej, że w pół do dwunastej wraca na służbę, żeby wziąć udział w przesłuchaniu Jamiego McKIn- nona.

- Jak to: wracasz?! Co ty sobie wyobrażasz? Dopiero zszedłeś z nocnego dyżuru! Nie dość, że Steel spieprzyła nam weekend, to jeszcze każe ci iść na cały dzień? Zaplanowałam dla nas coś.

- Przepraszam, ale to...
- Nie wnerwiał mnie swoimi przeprosina, Logan. Po prostu postaw się jej, powiedz „nie”!
Należy ci się czasem wolne. To tylko praca!

- Ale Rosie Williams...
- Rosie Williams nie żyje i nie stanie się ani trochę mniej martwa przez to, że wykręcisz jakąś nieludzką liczbę nadgodzin! A może się myłę?

; Wściekła poszła wziąć prysznic, klnąc przy tym niemiłosiernie. Kwadrans później mocowała się z suszarką, usiłując rozczesać włosy grzebieniem trzymanym w zagipsowanej ręce. Błuźniła i mamrotała pod nosem, zerkając na swoje odbicie w lustrze. | Logan stanął w drzwiach. Patrzył na jej naprężone od gniewu plecy : j nie wiedział, co powiedzieć. Odkąd przed trzema miesiącami zamieszkali razem, dogadywali się całkiem nieźle. Dopiero ostatnio zaczął jej działać na nerwy i nic nie mógł na to poradzić. 1 - Przepraszam, Jackie. Może jutro...

\$(Jeszcze raz pociągnęła grzebieniem, który w końcu zamotał się jej w włosy. Znow zakłęła, wyplątała go i rzuciła na toaletkę, roztrzaskując słoiczki i tubki z kosmetykami. Spojrzała na nie, wkurzona. !§? - Co za szajs! Wychodzę. -. Kurtka, kluczyki i już jej nie było. | Logan został w kuchni sam. I też zaczął kłąć.

W Black Friars, przy końcu Marischal Street, podawali ale, świet- piwo. Podłogi i dźwigary z ciemnego drewna łączyły trzy poziomy puby, ciągnącego się wzdłuż biegnącej po pochyłości ulicy. Rano

w tygodniu było tu spokojnie i cicho, najwyżej jakiś emeryt popijał piwem solidne szkockie śniadanie: jajka, kielbasę, bekon, fasolę, kaszanke, bułeczki ziemniaczane, grzyby i grzanki, a wszystko zalane sosem pomidorowym. Logan siedział przy końcu dolnego baru; jadł śniadanie i zapijał kuflem dark island. Co z tego, że było wpół do dziesiątej? Powinien mieć dzień wolny. Spędzać go z dziewczyną - która tymczasem przestała się do niego odzywać przez tę cholerną Steel, co wzbudzała w nim wyrzuty sumienia. Mogli jeszcze leżeć w łóżku, bawiąc się w doktora.

Pokręcił głową dopił piwo i zamówił następne.

- Nie za wcześnie, żeby się zaprawić?

Jęknął, odłożył widelec i odwrócił się do Colina Millera. Złoty Chłopiec z „Press and Journal” stanął obok niego przy barze, jak zwykle ubrany jak z igły: czarny garnitur, jedwabna koszula, krawat. Był niewysoki, ale barczysty i muskularny i miał twarz, do której trzeba było się przyzwyczaić. Dobrze chociaż, że Isobel wyleczyła go z zamiłowania do krzykliwej złotej biżuterii - zamiast trzech i pół tony spinek do mankietów, sygnetów, łańcuszków i bransolet, którymi dawniej się obwieszał, teraz nosił tylko skromny srebrny pierścionek na małym palcu lewej ręki, coś jakby obrączkę ślubną. Tylko zegarek nadal miał wystarczająco efektowny, żeby dało się nim spłacić dług zagraniczny małego kraiku w Trzecim Świecie. Przysiadł na sąsiednim stołku i zamówił mochachino latté z podwójnym cynamonem.

- Co ty tu w ogóle robisz? - zdziwił się Logan. - Szukałeś mnie?

- Nie, jestem tu umówiony. Chciałem wcześniej sprawdzić, czy to neutralny teren. Wiesz, jak jest. - Miller rozejrzył się po barze. - Co tam u ciebie, Łazarzu? Dawnośmy się nie widzieli.

- Odkąd sprzedałeś mi fałszywy cynk w sprawie tego magazynu.

- Nie można zawsze mieć racji. - Miller wzruszył ramionami. - Mój informator zaklinał się na wszystkie świętości, że to czysta sprawa.

Logan prychnął i łykiem piwa splukał resztki jajeczniczy.

- Co to za informator? Nie, nie mów: tajemnica dziennikarska, prawo do nieujawniania źródeł, nie mój zasrany interes i tak dalej.

- Rany, facet, co cię ugryzło? Nie puściłem twojego nazwiska do gazet, prawda? Widziałeś chociaż jeden artykuł, w którym ktoś miałby do ciebie pretensje? - Logan milczał, więc Miller znów wzruszył ramionami i łyknął kawy. - Poza tym wyjątkowo mogę ci powiedzieć, kto był moim informatorem. Graham Kennedy. Pamiętasz go? To jeden z tych gości, co spłonęli w pożarze pustostanu. To on mi nadał, że w magazynie będą fanty. Ale skoro nie żyje, to na cholerę mu anonimowość, nie?

Logan jęknął. Na śmierć zapomniał o tym przeklętym Kennedym. Nie powiedział o nim Inschowi! Kolejna wtopa.

- Czemu nie powiedziałeś mi wtedy, w środę?

- Nie wiedziałem, że chowasz urazę. - Miller podniósł filiżankę do ust i znieruchomiał. - No, muszę lecieć. Wpół do jedenastej, mój człowiek czeka.

Wskazał ponad barem na schody prowadzące na środkowy poziom pubu. Stał na nich groźnie wyglądający mężczyzna w drogim grafitowym, garniturze i patrzył spode łba na emeryta w czapeczce FC Aberdeen.

- Co to za bandzior?

- Nie żaden bandzior, tylko „doradca inwestycyjny”. Jeśli usłyszysz, że nazywasz go bandziorem, połamię ci nogi. I nie przejmie się tym, że jesteś policjantem. - Miller zmusił się do uśmiechu. - Gdybym jutro się nie odezwał, każ przeszukać dno portu.

Pomachał ręką podszedł do „doradcy”, przywitał się z nim wylewnie i pociągnął go do spokojnego kąta. Logan odprowadził ich wzrokiem; zapomniane śniadanie stygło. Miller cały czas się uśmiechał i chichotał, chyba częściej, niż to było konieczne. Tak jakby za żadne skarby nie chciał rozdrażnić typa w grafitowym garniturze. Bandzior miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, krótkie blond włosy, kanciastą szczękę i zęby jak z reklamy pasty do zębów.

Pięć minut później wręczył Millerowi szarą kopertę formatu A4; reporter uśmiechnął się z wdzięcznością ale obchodził się z nią jak z brudną pieluchą. Wyglądało na to, że rozmowa powoli dobiega końca, Logan wstał więc od baru, podszedł do tablicy „Szef kuchni poleca”, zatrzymał się w pół drogi między ich stolikiem i wyjściem, i niby przypadkiem szturchnął mężczyznę, kiedy ten zęgnął się z Millerem. Przerażony dziennikarz wytrzeszczył oczy, a Logan przeproszał i przeproszał, zwracając się do bandziora per „brachu” i proponując, że postawi mu drinka. Odpowiedź była krótka - bez krzyków, bez podnoszenia głosu, po prostu spokojne, treściwe i bardzo, ale to bardzo jednoznaczne „spierdalaj pan”. Logan podniósł ręce i się cofnął. Te dwa słowa wystarczyły mu, aby stwierdzić, że facet nie jest miejscowy, że przyjechał na gościnne występy z Edynburga. Bandzior obciągnął marynarkę, posłał Loganowi ponure spojrzenie i wyszedł.

Miller wspiął się na palce, śledząc wzrokiem grafitową postać, która biegła na drugą stronę ulicy i wskoczyła do ogromnego srebrnego mercedesa na fotel pasażera. Logan nie zdążył przyjrzeć się kierowcy - zauważył tylko garnitur, wąsy i ciemne włosy do ramion - drzwi się zatrzasnęły i samochód ruszył. Ledwie zniknął im z oczu, Miller otarł pot z czoła i wrzasnął, co on sobie, do ciężkiej cholery, wyobraża.

- Przecież powiedziałem, że facet mógłby ci giry połamać! Chcesz, żeby mi obciął palec?

- Palec to jeszcze pół biedy - odparł z uśmiechem Logan.

- Nie wkurzaj mnie!

Miller przysunął sobie stołek. Zamówił dużą whisky i wychylił ją jednym haustem.

- To jak? - spytał Logan. - Powiesz mi, o co chodzi?

- Nie ma wała. Chcesz komuś szczać do zupy? Szczaj do swojej. Moja i bez tego smakuje paskudnie.

Wściekły jak osa Miller wypadł z pubu, przeskakując po dwa stopnie. Logan odprowadził go wzrokiem, dopił piwo i zapłacił za niedoje- dzione śniadanie.

Piętnaście po jedenastej kręcił się bez celu przy wejściu do komendy. Chciał pogadać z Inschem o Grahamie Kennedym, ale inspektor był nieuchwytny. Sierżant dyżurny twierdził, że pojechał do supermarketu w Altens po duże pudło owocowych lizaków. Może Logan chciałby mu zostawić wiadomość? Nie, do wszystkich diabłów, nie miał najmniejszego zamiaru. Jeżeli ktoś dostanie plusa za zidentyfikowanie Grahama Kennedy'ego, to on. Osobiście.

Czekał więc przed wejściem na inspektor Steel. Dzień był bursztynowy, późnoletni i nawet szary granit połyskiwał złotem. Biało-fioletowe chmury przewalały się po niebie. Pachniało deszczem.

Pierwsze krople spadły na ziemię, gdy samochód inspektor Steel wjechał na parking. Klnąc na czym świat stoi, zaczęła się mocować ze składanym dachem kabrioletu, wrzeszcząc na Logana, żeby ruszył dupę i pomógł. Zdążyli postawić dach dosłownie na sekundę przed tym, jak lunęło. Logan wskoczył na miejsce pasażera i rozejrzał się po wnętrzu.

- Klasa wóz - pochwalił.

Steel dodała gazu i wyjechali na Queen Street.

- Najlepszy przejaw kryzysu wieku średniego, jaki mi się przytrafił. Prawdziwy dziwkołot. - Włączyła wycieraczki, kątem oka zerkając na Logana. - Pił pan coś?

Wzruszył ramionami.

- Pilnowałem kumpla w pubie. Coś kręci, gnojek.

- Znam go?

Logan zawahał się, po czym odpowiedział po prostu:

- Nie.

W milczeniu powoli jechali Union Street; słychać było tylko pomruk silnika i stukot deszczu o płócienny dach. Steel nie mogła się doczekać, kiedy Logan powie coś więcej, ale on nie zamierzał zrobić jej tej przyjemności. Tak czy siak, to przez nią Jackie wybiegła wściekła z domu.

Rozbryzgujący się na szybko deszcz mienił się w złocistych promieniach słońca. Samochody pełzły ulicami, na chodnikach tłoczyli się piesi -niektórzy, z parasolami, wyraźnie się spieszyli, ale większość szła przed siebie, wiedząc, że po prostu muszą zmoknąć. Każdy, kto trochę pomieszka na północnym wschodzie Szkocji, uczy się nie zauważać deszczu. Przy końcu Union Street na tle coraz niższych chmur zarysowała się tęcza.

- Pieprzone Aberdeen - warknęła Steel, wiercąc się w fotelu i usiłując sięgnąć do kieszeni spodni. - Słońce świeci, deszcz leje... Aż się zaczynam zastanawiać, po kiego grzyba kupiłam kabriolet.

Logan się uśmiechnął.

- Kryzys wieku średniego... Dziwkołot... Te rzeczy... Z powagą pokiwała głową.

- No tak... Gdzie one są? - Nadal zmagala się ze spodniami. - Cholera. Niech pan trzyma.

I po prostu puściła kierownicę, wypięła się z pasów i wyciągnęła z kieszeni pogniecioną paczkę marlboro lights. Wyjęła papierosa i dopiero wtedy położyła jedną rękę na kierownicy.

- Nie będę panu przeszkadzać?

Nie czekając na odpowiedź, przypaliła papierosa. Niewielkie wnętrze szybko wypełniło się dymem. Logan, krztusząc się, uchylił okno, wpuszczając do środka szum kropel deszczu na asfalcie, domach, samochodach i ludziach.

s Naprzeciwko Marksa i Spencera skręcili w Market Street. Mijali port. Logan wykręcił szyję, ale Shore Lane była po drugiej stronie, zasłonięta obdrapanym statkiem dostawczym. Szczęk ładowanych i wyładowywanych kontenerów wybijał się ponad szum deszczu. P - Jak się udała sekcja naszego kudłatego przyjaciela? - spytała Steel, gdy jechali północnym brzegiem Dee, malowniczą drogą do więzienia Craiginches.

Powiedział jej o nożu, walizce i antydepresancie. Prychnęła lekceważąco.

- Tośmy się dużo dowiedzieli...

- To lekarstwo wydaje się na receptę, więc...

- Więc mogło być własnością mordercy! Albo jego żony, matki, sąsiadki, babki... - Uchyliła okno i wyrzuciła dogorywającego peta.

- Równie dobrze mogą to być jakieś resztki z demobilu po wojnie w Zatoce. Albo przepisał to jakiś lekarz daleko stąd. - Przemknęli przez rondo i wjechali na most Królowej Matki. - Co pan proponuje? Obdzwonić wszystkich lekarzy i apteki w kraju z prośbą o listę nazwisk i adresów?

- Można by ją najpierw trochę zawęzić. Poprosić na przykład o szczegółowe informacje o ludziach, którym przepisano ten lek, ponieważ cierpią na zaburzenia psychiczne.

- Zaburzenia psychiczne? - Steel parsknęła śmiechem. - Ktoś, kto nie ma takich zaburzeń, nie bierze leków antydepresyjnych, nie uważa pan? - Spojrzała na niego, kręcąc głową. - Jezus Maria, jakim cudem dochrapał się pan sierżanta w dochodzeniówce? A może znalazł pan pagony w pudełku płatków śniadaniowych?

Logan wlepił wzrok w deskę rozdzielczą. Nie odpowiedział.

- Mniejsza z, tym. - Steel się uśmiechnęła. - Kiedy wrócimy na ranczo, znajdzie p?tt kogoś z ochrony zwierząt i każe mu to pociągnąć dalej. Zabity pies to ich działka. Jak pojawi się coś nowego, znów zajmiemy się tą sprawą.

Więzienie Craiginches oddzielał od świata siedmiometrowy mur. Metalowa tabliczka głosiła: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony” - tak jakby drut kolczasty nie był wystarczającą wskazówką. Z trzech stron otaczały je mieszkalne domy - obwieszane instalacjami alarmowymi

- z czwartej między murem i nurtem Dee była tylko dwupasmowa droga do Altens i stromy brzeg rzeki. Inspektor Steel zaparkowała w zatoczce z napisem „Tylko dla personelu” i leniwym krokiem podeszła do głównego wejścia. Logan powlókł się za nią.

Dwanaście minut później usiedli w małym, nędznym pokoju przy stole z popękany laminowanym blatem, na skrzypiących plastikowych krzesłach z obowiązkowymi śladami po papierosach. Do ściany był przyśrubowany magnetofon, a po kamerze został uchwyty i dwa wiszące luźno kable. Siedzieli przez kolejne pięć minut, licząc płytki na suficie - dwadzieścia dwie i pół - zanim znudzony strażnik przyprowadził wreszcie Jamiego McKinnona. Logan włożył do magnetofonu dwie nowe kasety i wygłosił tradycyjny wstęp zawierający nazwiska, datę i miejsce przesłuchania.

- No, Jamie - odezwała się Steel, kiedy skończył. - Jak cię tu karmią? Da się zjeść? Świntuch Dundas dalej spuszcza się do owsianki?

Jamie wzdrygnął się i zaczął ogryzać skórki przy paznokciach aż do krwi. Więzienie chyba mu nie służyło: cienka warstwa potu pokrywała jego twarz, miał głębokie wory pod oczami, rozciętą wargę i siniak na policzku. Steel rozsiadła się wygodnie i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Wiesz po co przyjechaliśmy, mój ty owsianko wy chłoptasiu? Otóż jest malutki problem z twoim alibi. Ktoś widział, jak posuwał się Rosie Williams tamtej nocy, kiedy została zabita. Nie uważasz, że to paskudny zbieg okoliczności?

Jamie osuwał się na krześle coraz niżej, aż w końcu oparł twarz o blat i nakrył głowę rękami.

- Co jest, Jamie? Mamy ci dać chwilkę, żebyś mógł wymyślić jakieś nowe bzdurki?

- Nie chciałem jej zrobić krzywdy...

- To wiemy. - Steel sięgnęła po papierosa. Nikogo nie poczęstowała. - Dlaczego w takim razie zrobiłeś?

- Popiłem trochę... W Regents Arms... Taki facet cały czas nawijał, jakim to ona jest zerem, jaką zdziurą... - Jamiego przeszedł dreszcz. - Poszedłem za nim do kibla i nakładłem mu po masce. Nie powinien tak mówić o Rosie, jakby była zwykłą dziwką...

Odpowiedź Steel mieszała się z dymem:

- Ale ona była dziwką Jamie. Sprzedawała się na ulicy, żeby...

- Zamknij się! Rosie nie była dziwką!

Rąbnął pięściami w stół. Twarz miał zaczerwienioną oczy załzawione i błyszczące.

Logan z westchnieniem wszedł w rolę dobrego gliny.

- Dałeś mu nauczki, bo obrażał twoją kobietę. Ja to rozumiem. Ale co było potem? Poszedłeś jej szukać? - zapytał.

Jamie spojrział na niego, jakby Steel przestała istnieć, i pokiwał głową.

t - Tak... Chciałem jej powiedzieć, że musi z tym skończyć. Powinna siedzieć w domu i zajmować się dziećmi, a nie szlajać się po ulicach... Pociągnął nosem i wytarł go rękawem.

- Co zrobiłeś, kiedy ją znalazłeś, Jamie?

Utkwił wzrok w swoich ogryzionych palcach.

- Byłem pijany.

- To już wiemy. Co się stało?

- No, pokłóciliśmy się o to... Ona... Mówiła, że potrzebuje pieniędzy. Że nie może przestać.

- Jamie zostawił na rękawie następny srebrzysty ślad. - Powiedziałem, że będą ją utrzymywał, że montuję własny biznesik i o nic nie będzie się musiała martwić. Ale nie chciała mnie słuchać. Cały czas powtarzała tylko, że nie utrzymam jej i dzieci. - Przygryzł wargę. - Uderzyłem ją. Tak po prostu. Zaczęła na mnie krzyczeć. Więc znów dostała. Chciałem, żeby przestała się drzeć...

Logan czekał. Cisza się przedłużała, Steel wydmuchiwała dym nosem.

- Co dalej?

- Wyrzygałem się w kiblu. Oplukałem ręce z krwi... Leżała na podłodze, cała poobijana... No to ją podniosłem i położyłem do łóżka.

- Położyłeś ją do łóżka?! - prychnęła Steel. - Tak się to teraz nazywa? „Położyć do łóżka” zamiast „udusić w zaułku”? Piękny eufemizm. Poeta z ciebie, kutafonie.

Jamie udał, że nie słyszy.

- Następnego dnia widziałem się z nią. Była cała w siniakach. Wyrzuciła mnie za drzwi. Powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć. Aleja nie chciała^n zrobić jej krzywdy! -

Logan z trudem stłumił jęk rozczarowania.

- Nam chodzi o poniedziałkową noc, Jamie. Co się stało w poniedziałek w nocy?

- Poszedłem się z nią spotkać, tam na ulicy. - McKinnon wzruszył ramionami. - Chciałem ją przeprosić, pokazać, że umiem na siebie zarobić... Wiecie, w fast foodach. Mógłbym się zająć nią i dziećmi. Kochałem ją... Ale nie chciała ze mną gadać. Powiedziała, żebym spadał, bo ona musi zarabiać na życie, klienci czekają. Nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Kazała mi zapłacić...

- I co? Zapłaciłeś?

Jamie zwiesił głowę.

- Tak...

Inspektor Steel prychnęła gwałtownie, aż popiół poleciał z papierosa.

- Wyłożyłeś kasiorę, żeby bzyknąć swoją eks?! Ty naprawdę jesteś nieźle pojebany...

Logan posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Co było dalej, Jamie?

- Zrobiliśmy to w bramie, a potem... ja... ja się porzycałem. Mówiłem, że ją kocham i że przepraszam za to, co zrobiłem, ale tak ją kocham, że nie zniosę myśli o tym, że ona tak z innymi facetami... - Łzy napłynęły mu do oczu. - Zacząłem zarabiać, i to całkiem nieźle, moglibyśmy być razem...

Otarł oczy tym samym umazanym rękawem.

Steel zsunęła się na skraj krzesła. Dmuchiwała mu dymem w twarz.

- Ale ona nie chciała, prawda? Nie zgodziła się, więc znów ją uderzyłeś. Raz, drugi... Biłeś ją, bo nie chciała wrócić do takiego gnoja jak ty. Wolałeś ją zabić, niż do końca życia płacić za posuwanie jej w ciemnych uliczkach, razem z setką innych beznadziejnych facetów.

- Wcale nie! Powiedziała, że się zastanowi! Że może wróci! Mieliśmy być rodziną! - Jamie płakał jak bóbr. Łzy spływały mu po puciołowatych policzkach, z nosa ciekło. - Mój Boże, ona nie żyje! Nie żyje!

Osunął się na blat, wstrząsany szlochem.

- I co, Jamie, znowu ją uderzyłeś? - spytał cicho Logan. - Zabiłeś ją?

Odpowiedź była ledwie słyszalna:

- Kochałem ją...

10

W drodze powrotnej inspektor Steel kopciła jak lokomotywa i klęła bez przerwy. Po tym, jak Jamie McKinnon przyznał się, że zapłacił za seks Rosie tej nocy, kiedy została zabita, Litwinka Logana, która zniknęła śladu, przestała być ważna. Podobnie jak dowód rzeczowy w poci DNA z dwustu zużytych prezerwatyw. Rzecz wyglądała o wiele Jściej, dopóki McKinnon wszystkiemu zaprzeczał.

Zajechali pod dom Logana. Steel poprosiła o taśmy z przesłucha- a. Oddał je i zapytał, czy nie powinien zająć się papierkową robo- ' należało wciągnąć taśmy do ewidencji i wydać jedną adwokatowi cKinnona.

- Guzik mnie to obchodzi - odparła. - Przez nie całe śledztwo po- o się paść.

Wzięła kasety, zahaczyła o taśmę brudnym od nikotyny paznokciem, a potem zaczęła wyciągać całe jej kilometry i rozwlekać po wnętrzu samochodu.

- Gdyby ktoś pytał, to magnetofon się zepsuł, jasne? Nagrania nie ma i nie było. Zapominamy o nim i udowadniamy, że Jamie McKinnon jest winny.

Logan próbował zaprotestować, ale Steel nie zamierzała go słuchać.

- O co chodzi? Oboje wiemy, że ją zabił! I mamy obowiązek dopilnować, żeby nie uszło mu to na sucho.

- A jeśli to nie on?

- Jak to: nie on?! Był już notowany za pobicie Rosie, bo nie podobało mu się, że bzyka się z innymi. Idzie do niej, wyznaje miłość do grobowej deski, ona mu robi loda za pieniądze, a potem chce się różnić z innymi. On wpada w szał i ją zabija. Koniec pieśni. - Steel pokręciła głową. - No, zęgam. Mam robotę.

Przez resztę popołudnia Logan pętał się bez celu po domu. W paskudnym nastroju. Nadzieja na opuszczenie Ekipy Partaczy prysła jak bańka mydlana. Jeżeli zrobią to tak, jak chce inspektor Steel, skończą bez sensownych dowodów i ze sprawą nie do obrony w sądzie. Ta kobieta jest zwyczajnie niebezpieczna.

Jackie nie dawała znaku życia, postanowił więc iść do pubu i chrzanić wszystko. Archibald Simpson odpadał: znajdował się blisko komendy i podawali w nfrę tanie piwo, więc pełno tam było policjantów po służbie, a po tym, jak Maitland został ranny, Logan miał serdecznie dość ich oskarżycielskich spojrzeń. Wielkie dzięki. Poszedł więc Union Street do Howffa; zbiegł do baru w piwnicy, usiadł na skrzypiącej beżowej sofie w ciemnym kącie i zamówił kufel directorsa i prażone orzeszki. Myślał o Jackie i jej paskudnym charakterku. Wziął następne piwo. I jeszcze jedno. I hamburgera tak wytarzanego w chilli, że jedząc go, płakał. I kolejne piwo. Zaczął się rozklejać. Posterunkowy Maitland. Nawet nie pamiętał, jak ma na imię. Do czasu tamtego nieudanego nalotu nigdy razem nie pracowali. Znał go tylko jako gościa z wąsami, który raz do roku golił sobie głowę przy okazji zbiórki na biedne dzieci. Szkoda faceta. Dwa kufle później uznał, że czas zacząć się zataczać w kierunku domu. Po

drodze kupił jeszcze dużego sztokfisz z frytkami na kolację - zostawił go niedojedzonego na talerzu w salonie i zwałił się na łóżko. Sam.

Sobota zaczęła się od kaca. W szafce w łazience nie było już silnych niebiesko-żółtych pastylek przeciwbólowych, które Logan dostał od lekarza po tym, jak Angus Robertson próbował go wypatroszyć piętnastocentymetrowym nożem myśliwskim. Musiała mu wystarczyć garść aspiryny i kubek mocnej kawy rozpuszczalnej. Wziął kawę do salonu, żeby zobaczyć, jakie kreskówki lecą w telewizji.

Na widok sylwetki na sofie serce mu zamarało. Jackie, zakutana w zapasową kołdrę, zamrugła półprzytomnie, kiedy stanął jak wryty. Nawet nie słyszał, kiedy wróciła do domu. Popatrzyła na niego i wymamrotała:

- Nie chcę kawy.

Po czym naciągnęła kołdrę na głowę, odcinając się od niego i całego świata.

Wrócił do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Sobota. Jedyne dni, który mogli mieć cały dla siebie, a Jackie nadal nie chciała go widzieć. I najwidoczniej wołała się przespać na sofie, niż przyjść do niego do łóżka. Weekend zapowiadał się fantastycznie.

Spojrzał na zegarek na kuchence mikrofalowej. Wpół do dziesiątej. Padał deszcz - ale nie taki jak w piątek, słoneczno-tęczowy, tylko regularny, solidny, z szarych chmur gnanych lodowatym wiatrem. Deszcz, który wysysał całe ciepło; w którym miasto szarzało i marniało w oczach; który doskonale pasował do humoru Logana.

Ubrał się i wyszedł z domu. Powłókł się Union Street, czerpiąc perwersyjną przyjemność z moknięcia i marznięcia. Zgrywał męczennika, jakby powiedziała jego matka. A ona знаła się na rzeczy. Sama była ? mistrzem w tej sztuce.

Trochę położył po sklepach. Kupił płytę zespołu, który w tygodniu słyszał w radiu, dwa w miarę nowe kryminały i kilka filmów na DVD ?-wszystko, byle nie myśleć o tym, co mu się w życiu sypie. Jackie go ,nie znosi, Steel działa mu na nerwy, posterunkowy Maitland umiera... " A potem z Union Terrace, przez School Hill, przeszedł na Broad Street. W deszczu. Nieodwołalnie wracał w kierunku domu. Zatrzymał się na skrzyżowaniu przy Marischal College. Jasnoszare żebra ozdobyOego, gotycko-wiktoriańskiego frontu niczym szpony celowały w niebo o barwie gliny. Gdyby poszedł dalej prosto, trafiłby do swojego mieszkania. Skręciwszy w lewo, znalazłby się rzut kamieniem od komendy licji. Wybór był oczywisty, nawet biorąc pod uwagę, że miał dzień olny. Zawsze mógł zabić czas, wtykając nos w nie swoje śledztwo. Na kład inspektora Inscha...

Skrzywił się i zmełł w zębach przekleństwo: ciągle jeszcze nie powiedział Inschowi o Grahamie Kennedym! Zachował się jak idiota. Miller podał mu to nazwisko już parę dni temu i nic. Wszystko przez tę cholerną Steel i jej niby zepsuty magnetofon.

W pokoju operacyjnym Inscha panował zorganizowany chaos: jedni odbierali telefony, inni gromadzili informacje i wprowadzali je do HOLMES-a, wielkiego systemu śledczego Home Office, który za naciśnięciem guzika wypluwał całe tony bezsensownych zaleceń. Od czasu do czasu generował coś, co przydawało się w śledztwie, najczęściej jednak produkował szajs. Na ścianach wisiały mapy Aberdeen, kolorowymi szpilkami zaznaczano na nich miejsca ważniejszych zdarzeń. Inspektor wsparł jeden potężny pośladek na biurku, które stęknęło pod jego ciężarem, zaparł się nogą o podłogę i przeglądał raporty, pogryzając czekoladowy batonik z nadzieniem toffi.

- Dzień dobry - powiedział Logan.

Wszedł do pokoju z rękami w kieszeniach, chlupiąc wodą w butach. Przemókł do suchej nitki i zrobiło mu się zimno.

Insch podniósł wzrok, nie wypuszczając batonika z ust. Spiralny, ażurowy baton przypominał skrócone na kształt DNA cygaro.

- Witam, sierżancie.

Kiwnął głową i wrócił do lektury. Dwie minuty później oddał raporty umęczonej, bladej ja^ściana posterunkowej, mówiąc, że świetnie się spisała i ma się nie przejmować tym, co ludzie gadają. Nawet nie chciało się jej podziękować. Wróciła do swojej roboty, a Insch przywołał Logana.

- Nie za ciepło się pan ubrał do kąpieli?

Logan postanowił nie chwytac przynęty.

- Ciekaw byłem, jak wam idzie z tym podpaleniem.

Insch zmarszczył brwi i spojrzał na niego podejrzliwie. Światło załśniło na jego łysej, różowej czaszce.

- A co?

- Wiem, kim jest jedna z ofiar. Graham Kennedy. Drobny diler.

Inspektor się rozpromienił.

- No proszę... Dawno o nim nie slyszalem. Hej, ty.

Wybrał na chybił trafił jednego z posterunkowych i kazał mu obdzwonic wszystkie gabinety stomatologiczne w mieście. Chciał się dowiedziec, gdzie leczyl się Graham Kennedy, i zebrać dokumentację: rentgeny, karta pacjenta i tak dalej. Była to ich jedyna szansa na zidentyfikowanie zwłok z kostnicy.

Chociaz raz szczęście im dopisało: czwarta z kolei przychodnia przed niespełna ośmioma miesiącami wyremontowała uzębienie jakiegoś Grahama Kennedy'ego. Przesłali zdjęcia rentgenowskie kurierem i dziesięć minut później doktor Fraser potwierdził tożsamość ofiary. Graham Kennedy został oficjalnie uznany za zmarłego. Nareszcie mieli jakiś punkt zaczepienia.

Insch kazał posterunkowemu Jacobsowi zabrac z archiwum wszystko, co znajdzie na temat Kennedy'ego, i czekać z papierami na parkingu. Potem pogonił sierżanta Beattiego: niech jedzie do domu zmarłego i zawiadomi rodzinę. A przy okazji pogrzebie w jego rzeczach.

- Hm... panie inspektorze? - wtrącił Logan, idąc za Inschem. - Pomyślałem, że może mógłbym się z wami zabrac.

Insch uniósł brwi i serdelkowatym palcem wcisnął guzik windy.

- Tak? A co na to inspektor Steel? Jest pan u niej w zespole. „Bardziej bezpośredni nadzór”, pamięta pan?

Logan bezgłośnie poruszył ustami.

- Ale panie inspektorze! Nie prosiłem o przeniesienie! Poza tym, mam dzień wolny i...

- Ma pan dzień wolny i chce pan jechać na akcję? - spytał Insch | podejrzliwie. - Zwariował pan?

- Proszę, panie inspektorze. Jeśli nie wyrwę się z ekipy inspektor Steel, dostanę szalu. Tam wszystko jest popieprzone; nawet jeśli uda nam |ię rozwikłać sprawę, dowody będą marne i w sądzie pierwszy lepszy

rakat nie zostawi na nich suchej nitki. Jeżeli nie wykażę się jakimś iccesem, będę tam tkwił, aż mnie wywalą albo całkiem zgłupieję. Insch uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

- Nie cierpię patrzeć, jak dorosły człowiek żebrze. Zza zakrętu wyłonił się zdyszany, brodaty sierżant z dochodzeniów- naciągając kolorową kurtkę przeciwdeszczową. Insch odczekał, aż ebiegnie cały korytarz i z piskiem obcasów zatrzyma się przy windzie,

I dopiero wtedy go poinformował, że jednak nie będzie potrzebny, bo liast niego weźmie sierżanta McRae. Brodacz zaklął, zwiesił głowę owlókł się z powrotem. Inspektor uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Lubię patrzeć, jak ten grubasek truchta na służbie - stwierdził ^satisfakcją

Logan wolał nie wspominać o kotle, który przyganiał garnkowi. W drodze na parking Insch wypytał go o sprawy inspektor Steel: aordowaną prostytutkę i labradora w walizce. Ledwie Logan zdążył

mu wszystko streścić, stanął przed nimi czerwony jak burak posterunkowy Steve Jacobs. Z plikiem wydruków: akta Grahama Kennedy'ego. Insch wycelował pilota w oblepionego błotem range rovera i nacisnął guzik. Samochód zapiszczał, zamki się otworzyły.

- Dobrze - powiedział. — Posterunkowy, pan będzie prowadził. Sierzancie McRae, pan siada z tyłu. Tylko proszę nie wdepnąć w psią karmę.

Samochód Inscha pachniał tak, jakby mieszkało w nim coś kudłatego i mokrego. Solidna kratka oddzielała tylne siedzenia od bagażnika. Ledwie Logan wgramolił się na kanapę - próbując nie rozdeptać wielkiej paczki Senior Dog Mix - do kraty przycisnął się mokry czarny nos. Lucy, wiekowa spanielka inspektora, miała duże brązowe oczy i była śliczna, ale po deszczu zawsze śmierdziała jak menel po wyjątkowo ciężkim dniu.

- Dokąd jedziemy, panie inspektorze? - spytał Steve, kiedy powoli sunęli Queen Street.

- Słucham? - Insch pogрузzył się już w lekturze akt Kennedy'ego. - Ach, tak. Kettlebray Crescent. Zanim pojedziemy zameldować babci Kennedy'ego, że jej wnuczek nie żyje, chciałbym zasięgnąć opinii naszego szacownego kolegi po fachu. Posterunkowy? Ten samochód ma pedał gazu, wie pan? Z boku, obok tego dużego, prostokątnego. Proszę spróbować go użyć, bo inaczej będziemy tu tkwili do Bożego Narodzenia. r

Dom pod numerem 14 przy Kettlebray Crescent przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Puste okna wyzierały na ulicę, obwiedzione podłużnymi plamami sadzy. Dachy nie było w ogóle - zawalił się, kiedy w środku szalał pożar, i teraz słabe, przefiltrowane przez deszcz światło dnia bez przeszkód wpadało do wypalonego wnętrza. Dla sąsiednich domów los okazał się łaskawszy: strażacy zdążyli je uratować. Przyjechali jednak zbyt późno, aby ocalić sześcioro ludzi spod czternastki.

Insch wziął z bagażnika parasol i wkroczył do wypalonej rudery, nie czekając na moknących Logana i Steve'a. Pod domem zostało zapomniane ruchome stanowisko dowodzenia: skrzyżowanie kontenera i przyczepy kempingowej, tyle że bez okien. Standardowa taśma w czarno-białą kratkę, ze znakiem ostu i hasłem Semper Vigilo, biegła wokół całego budynku jak wstążka na brudnym, niechcianym prezencie świątecznym.

Zanurkowali pod niebiesko-białą policyjną taśmą przegradzającą ogrodową furtkę, i podeszli do drzwi. Zwisały krzywo na jednym zawiasie - strażacy wyłamali je w pośpiechu, gdy zrozumieli, że ktoś jest w środku, tyle że wtedy było już za późno. Logan zatrzymał się w progu, oglądając framugę: z drewna sterczało ze dwadzieścia błyszczących, pięciocentymetrowych śrub. Wnętrze przypominało piekło, w którym wygasł ogień. Nagie ściany w przedpokoju były czarne od sadzy.

- Panie inspektorze... - Steve zawahał się, zanim wszedł. - Czy to bezpieczne?

Piętra nie było. Z domu pozostała wypalona skorupa; zwęglone dźwigary i strzaskane dachówki wały się po ziemi. Deszcz padał równo przez otwór po dachu, bębniąc w inspektorski parasol. Insch wskazał jedno z okien na piętrze.

- Sypialnia. Tam wpadły butelki z benzyną.

Logan, ryzykując upadek, przedarł się przez zdradzieckie rumowisko śliskich od deszczu dachówek i wyjrzał na ulicę. Deszcz powoli Zmywał błoto z range rovera; śmierdząca suczka tęsknie przyciskała nos do tylnej szyby, spoglądając na dom, w którym sześcioro ludzi spłonęło żywcem; krzyczeli, dopóki żar i dym nie wypełniły im płuc; padali w agonii na ziemię, gdy od gorąca ścinały im się gałki oczne, a skóra zaczynała pękać...

Wzdrygnął się. Czy tu naprawdę śmierdziało przypalonym mięsem, czy po prostu ponosiła go wyobraźnia? Odwrócił się plecami do okna.

- Podobno śmierć mózgu następuje po dwudziestu minutach od zatrzymania krążenia krwi - powiedział. - Tak słyszałem. Tyle czasu trzeba, żeby impulsy przestały płynąć. -

Zmasakrowana, poparzona twarz patrząca na niego z worka w kostnicy. Bez oczu, nosa i warg. - Myślicie, "że z nimi też tak było? Już nie żyli, ale czuli, jak się pieką i palą?

Zapadło krepujące milczenie, które przerwał dopiero posterunko- Jacobs:

f - Rany boskie, panie inspektorze! To chore! f* Insch musiał mu przyznać rację.

|: Ostrożnie wyszli na dwór. W środku i tak nie było nic więcej do żądania.

f Logan zatrzymał się na najwyższym stopniu schodków, wodząc okiem po pustej okolicy.

- Zależliście coś w innych domach?

81

- Nic. Zupełnie nic. Zero.

Zamierające światło

Pokiwał głową i zszedł na jezdnię. Obrócił się w miejscu o trzysta sześćdziesiąt stopni, przyglądając się opuszczonym budynkom po obu stronach ulicy. Na miejscu zboka, który zaśrubował drzwi - uwięził w ten sposób w domu i skazał na spalenie żywcem trzech mężczyzn, dwie kobiety i dziewięciomiesięczne dziecko - na pewno chciałby pokręcić się w pobliżu i zobaczyć, jak płoną. To byłoby najfajniejsze. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął sprawdzać drzwi kolejnych domów, szukając niezamkniętych na zamek. Dwa budynki dalej coś zauważył: szare, wilgotne, wciśnięte w róg futryny - chusteczka higieniczna, prawie niewidoczna, rozmoczona deszczem i rozkładająca się na strzępy.

Wyjął z kieszeni foliową torebkę na dowody rzeczowe, wyrócił ją na lewą stronę i naciągnął na rękę jak zaimprovizowaną rękawiczkę. Zgarnął bibułkę, cofnął dłoń i chusteczka znalazła się w woreczku.

Cień padł na drzwi. Inspektor Insch.

- Co to?

Logan pociągnął nosem.

- Mogę się mylić, ale na mój gust to chusteczka onanisty. Wasz klient stał tutaj, patrzył, jak dom płonie, słuchał krzyków ofiar, wdychał zapach pieczystego i walił gruchę.

Insch się skrzywił.

- Posterunkowy Jacobs miał rację. Jest pan chory, sierżancie.

i

i

11

Sąsiadka znów była pijana. Nastawione na pełny regulator radio wyło, a ona podrygiwała chwiejnie w ogródku, popijając wino z butelki i nie zważając na strugi deszczu. Miała nie po kolei w głowie; to było widać, odkąd się wprowadzili - ona z tym swoim dziwnym chłopakiem o szczurzej twarzy i wielkim labradorem. Pies był kochany - taka wiecznie zaśliniona przylepa. Od dwóch tygodni nigdzie nie było go widać. Sąsiadka mówiła, że pewnie uciekł, bydlak niewdzięczny; nie zasługiwał na taki porządny dom.

To samo mówiła o swoim chłopaku.

Ailsa Cruickshank pokręciła głową, odwróciła się od okna i skończyła słać łóżko. Sąsiadka nie przejęła się zaginięciem psa, więc Ailsa ; sama musiała zrobić małe, laminowane plakaciki i rozwiesić je na latarniach i szybach sklepów w całym Westhill. Nikt jej nie zarzuci, że nie zrobiła tego, co należało.

Hałas był coraz gorszy: wstawiona kobieta zaczęła śpiewać jakąś rapową „piosenkę” z wyciszonymi przekleństwami - z tą różnicą, że jej nikt nie cenzurował. Wywrzaskiwała bluzgi, ile sił w płucach.

Ailsa westchnęła i nagłośniła telewizor. Babie brakowało piątej klepki, wszyscy wiedzieli, że bierze leki. Wulgarna, wiecznie pijana, pierwsza do bitki; koszmara każdego sąsiada. Jak ona i Gavin mogą założyć rodzinę, kiedy za ścianą mieszka taka wydzierająca się jędrza? Gavin miał z nią stale na pieńku: zwracał jej uwagę, kłócił się z nią, wzywał policję... Ailsa pokręciła smutno głową, patrząc, jak tamta potyka się, ślizga na mokrej trawie, zahacza głową o sznur do prania i rozciąga jak długa na ziemi. Ryczała i klęła dłuższą chwilę, a potem

rzuciła butelką w ogrodzenie. Bryznęło szkło. Ailsa aż się wzdrygnęła. I To się kiedyś źle skończy. Ta kobieta zrobi komuś krzywdę. Na bank.

Union Grove sprawiała wrażenie znacznie bardziej eleganckiej niż ; naprawdę była: długa aleja granitowych czynszówek odchodziła od Holburn Street w zachodniej części miasta. Parkowały przy niej sa- * mochody, czasem trafiło się jakieś drzewo. Ponury pejzaż w deszczu. Graham Kennedy miał mieszkać na ostatnim piętrze jednego z bardziej "zapuszczonych domów. Z frontowych drzwi płatami zlaźła niebieska j zielona farba. Ulica była pusta, tylko trójka dzieci w bramie naprze- -iwko zjadała chipsy i ciekawie obserwowała policjantów. Radiowóz A46 czekał już pod domem, kiedy posterunkowy Jacobs zaparkował range rovera kilometr od krawężnika i wysłuchał stosownej połajanki Jnscha. Zaczerwienił się po czubki uszu, pomanewrował chwilę wozem i w końcu podjechał znacznie bliżej. Inspektor kazał mu zostać ?i pilnować psa.

Insch polecił policjantom z A46 przywieźć kogoś z WSR. Trafił się młody niezdara z wiecznie ciekącym nosem. Gdy Insch z Lo- 'anem uścisnęli jego wąż, wilgotną dłoń i razem weszli do budynku, eby schronić się przed deszczem, przyznał, że to jego pierwsza praw- ziwa sprawa. Insch wyraził współczucie i poczęstował go landryn- a tamten prawie zaślinił się z wdzięczności. Schody na piętro były płożone brudnym, poprzecieranym chodnikiem; ze ścian obłaziła ta- sta. Wszędzie unosił się charakterystyczny smrodek kociego moczu.

Mieszkanie pod piątką: brązowe drzwi, śniedziejący mosiężny numer, tabliczka „Państwo Kennedy".

- To tu - powiedział Insch. - Robimy tak: wchodzimy, ja informuję o zgonie. - Poczęstował Logana landrynkami. - Sierżant McRae myszkuje po domu, korzystając z tego, że rodzina jest w szoku. - Wycelował paczkę cukierków w Ciekącego Nosa. - Pan parzy herbatę. - Młody człowiek chciał chyba zaprotestować, że zleca mu się zadanie godne sekretarki, ale inspektor nie dał mu dojść do słowa. - Kiedy ja z sierżantem wyjdziemy, będzie ich pan mógł bajerować tymi sztuczkami dla wrażliwców, których was uczą. A na razie proszę pamiętać: dla mnie do herbaty mleko i dwie kostki cukru, dla sierżanta samo mleko. Jasne?

Chłopak z WSR przytaknął półgłosem. Logan zadzwonił do drzwi. Czekali. I czekali. I czekali... W końcu światło rozjaśniło lufcik nad drzwiami. Dało się słyszeć szuranie stóp i głos starszej kobiety:

- Kto tam?

- Pani Kennedy? - Insch podstawił pod wizjer swoją legitymację.

- Możemy wejść?

Zagrzechotał łańcuch i drzwi się uchyliły. W szczelinie ukazała się ogorzała twarz w ogromnych okularach, zwieńczona siwą trwałą. Kobieta spojrzała na nich podejrzliwie. W ostatnich latach tyle było włamań w okolicy... Jejina jej sąsiadka, też starsza, to nawet wylądowała w szpitalu.

Insch podał jej legitymację. Obejrzała ją na odległość wyciągniętej ręki, spoglądając znad okularów.

- To ważne - nalegał delikatnie.

Drzwi się zamknęły; metaliczny szcęk - i otworzyły się na oścież. Weszli do zapuszczonego, biegnący w poprzek domu przedpokoju ze sklejkowymi drzwiami w stylu lat siedemdziesiątych. Gospodyni zaprowadziła ich do przestronnego salonu ze spłowiałą żółtą tapetą w czerwone i pomarańczowe różyczki na ścianach. Pośrodku wzorzystego dywanu stały dwie powycierane kanapy; drewno i obicie jęknęły niepokojąco, gdy Insch rozsiadł się na jednej z nich. Starsza pani zaczęła głaskać wielkiego jak piłka plażowa rudego kocura.

- Pani Kennedy... - zaczął Insch, gdy kot przeskoczył na stolik i zaczął się lizać po tyłku. - Mam dla pani złe wieści. Chodzi o pani wnuka, Grahama. Jest jedną z ofiar poniedziałkowego pożaru. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Mój Boże... - Przytuliła kota, odrywając go od ablucji. Osunął się jej na kolana. Łapy rozjechały mu się na boki prawie pod kątem prostym jak puszczalki w nadmiernie nadętych dudach.

- Czy zna pani kogoś, pani Kennedy, kto mógłby chcieć skrzywdzić pani wnuka?

Pokręciła głową. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Boże, Graham... Dziadkowie nie powinni grzebać wnuków!

Insch dał znak chłopakowi z WSR, żeby zakrzętała się koło herbaty.

Logan przeprosił i dyskretnie wymknął się z pokoju, aby rozejrzeć się po domu. Mieszkanie było spore i trochę zaniedbane, ale malowanie załatwiłoby sprawę. Zaglądał do kolejnych pokoi, pod łóżka, do szaf i szuflad. Zza zamkniętych drzwi salonu słyszał przytłumione głosy Inscha i gospodyni. Kuchnia. Łazienka. Pokój gościnny. Sypialnia pani Kennedy, dyplomy, grupowe zdjęcia szkolne... Tylko jedne drzwi w przedpokoju nie dały się otworzyć po naciśnięciu klamki - na pierwszy rzut oka musiały prowadzić na strych. Ale pokój Grahama był otwarty, łóżko zasłane, ubrania schludnie złożone i pochowane, skarpetki sparowane; nawet żadnych świerszczyków pod łóżkiem. Pokój nijak nie pasował do człowieka, o którym Logan czytał w policyjnej kartotece: rozbój, włamanie, posiadanie narkotyków... Niby drobiazgi, ale w masie robiły wrażenie.

Wrócił do salonu, kiedy Insch mówił akurat:

- Trafimy do wyjścia.

I wyszedł, zostawiając funkcjonariusza WSR sam na sam ze starszą panią

Przystanęli przy drzwiach na klatkę schodową. Deszcz dudnił o dachy samochodów.

- No i co? - spytał Insch.

- Nic. Czyściuteńko. Jeżeli miał towar na handel, nie trzymał go u babci.

Inspektor pokiwał smutno głową ssąc ostatnie landrynki.

- Biedna stara... Właściwie sama musiała go wychowywać. Rodzice zmarli, kiedy miał trzy latka, rok później zmarł jej mąż. - Westchnął. - A teraz... wszyscy jej bliscy odeszli.

- Mówiła coś o Grahamie? Czym się zajmował?

- Nie. Jej zdaniem był chodzącym aniołkiem i tylko przez złe towarzystwo pakował się w kłopoty. Nigdy nie przepadała za jego kumplami. Od czasów liceum sprowadzali go na złą drogę.

- No to pewnie nie wie, jak się...

- Że też o tym nie pomyślałem... - Insch uśmiechnął się i pokazał Loganowi notes z pięcioma nazwiskami. - No dobrze, wracamy do komendy. Pan ma wolne, a ja swoje śledztwo.

Nie zastał Jackie w domu. Na lodówce znalazł przyklejoną kartkę: „Mam dłuższą nockę. Wrócę jutro”. Żadnego „Całuję, Jackie” czy choćby „Trzymaj się”. Musiał więc sobie radzić sam, co oznaczało dużą pizzę i dwie butelki wina.

Niedziela nie zaczęła się szczególnie pomyślnie: obudził się w pustym łóżku, czując się jak wyżęta ściera. Snuł się po domu, wrzucił do mikrofalówki ostatnie dwa kawałki pizzy i zjadł je na śniadanie. Stał nago w kuchni, przeżuwał odgrzaną wołowinę na ostro z podwójnym serem i gapił się smętnie przez okno - deszcz na przemian to zaczynał padać, to ustawał. Z dietą zdecydowanie mu nie wychodziło. Pokryty bliznami brzuch nie przypominał tary, tylko raczej zharatany mięsień piwny. Poza tym ni w cholerę nie mógł zebrać myśli.

Kiedy do wpół do jedenastej Jackie nie dała znaku życia, wyszedł z domu. Nie chciała z nim rozmawiać? Chrzanić ją. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż łażenie bez celu po domu jak usychający z miłości nastolatek - tylko że na razie nie wiedział jeszcze, co to za sprawy. Poszedł więc szukać ich na ulicach Aberdeen.

W kinie Belfilont zrobili przegląd filmów Hitchcocka. Świetnie. Przez cały dzień będzie mógł patrzeć, jak samolot ściga Cary'ego Granta, Norman Bates podgląda gości pod prysznicem, James Stewart prawie spada z dachu...

Intryga Północ, północny zachód wkraczała w decydującą fazę, gdy dzwonki i piski telefonu Logana zagłuszyły odgłosy walki na Mount Rushmore. W sali rozległy się gniewne pomruki. Zaklął i wyjął telefon, zanim jednak go wyłączył, odczytał na ekranie, kto dzwoni: Steel.

- Niech to szlag!

Przeprosił, przecisnął się do wyjścia i wybiegł do holu. Dopiero kiedy zamknął drzwi, odebrał telefon.

Inspektor Steel w siedmiu słowach streściła mu najważniejsze wydarzenie: Jamie McKinnon. Próba samobójcza. Intensywna terapia. Migiem!

Szpital Królewski w Aberdeen był największą tego typu placówką w całej północno-wschodniej Szkocji, ale nikt, kto by się znalazł i w poczekalni na ostrym dyżurze, tego by o nim nie powiedział: klejące się do butów linoleum i odór wymiocin, silniejszy niż zapach środka odkażającego. Pielęgniarka, niska Azjatka, zaprowadziła ich na oddział pełen starszych ludzi, gdzie zalatywało gotowaną kapustą. Operacja Ja- j miego McKinnona trwała nieco ponad godzinę, teraz jednak siedział i już na łóżku, trochę otumaniony, z olbrzymim sińcem na pół twarzy, dokumentnie zapuchniętym okiem i rozciętą górną wargą. Skrzywił się z bólu, kiedy Steel klapnęła na łóżko.

- Jamie, Jamie, Jamie... - Poglaskała go po ręce. - Tęskniłeś za mną? To trzeba było mi powiedzieć, zamiast w ten sposób próbować zwrócić na siebie uwagę.

Cofnął rękę i zdrowym okiem spojrzał złowrogo na Steel.

- Nie rozmawiam z tobą Spadowa. Inspektor uśmiechnęła się do niego.

- Widzę, że więzienie nie przytępiło ci dowcipu. Dalej jak brzytwa, co, chłoptasiu?

Jamie wlepił wzrok w ścianę.

- Do rzeczy. - Steel podskoczyła na łóżku, aż jęknęły sprężyny. 1§- Dlaczego to zrobiłeś? Dręczyły ci wyrzuty sumienia po zabiciu uko-hanej? Szukałeś łatwego wyjścia z tej kabały? Lepiej pogadać ze mną. aiej boli.

Mówiła tak przez dobre dziesięć minut, drażniąc się z nim, prowo- ując, kpiąc, przypominając mu Rosie Williams - miłość jego życia. Tę dziwnego, że Jamie nie chciał z nią rozmawiać.

Zażenowany jej prymitywnymi metodami, Logan najchętniej za- adłby się pod ziemię. Począł, aż wściekła wyjdzie na papierosa, stawiając go sam na sam z McKinnonem, i dopiero wtedy się ode- va\:

- Posłuchaj, Jamie. Nie musisz męczyć się z tym sam. Więzienie a psychologów, mógłbyś...

- Za kogo ta suka się uważa?!

- Słucham?

- Pomarszczona wiedźma! Przyłazi i traktuje mnie jak śmiecia! -ja nie jestem śmieciem. Jestem człowiekiem!

- Wiem, Jamie. - Logan usiadł na miejscu Steel. - Kto cię tak adził?

Jamie podniósł dłoń do oka i delikatnie obmacał opuchliznę:

- Nie chcę o tym mówić.

- Na pewno? Jakiś fiut wyładował się na tobie, bo miał zły dzień, a ciebie to nie rusza?

McKinnon westchnął ciężko, tłumiąc szloch. Osunął się na poduszkę.

- Nie wiem, jak się nazywa. John... coś tam. Przyszedł... po towar. - Wzruszył ramionami. - A ja przecież nic nie mam. Siedzę w więzieniu, do cholery! Skąd tu brać prochy? A on mówi, że mam, tylko nie chcę mu sprzedać.

- To dlatego cię pobił?

McKinnon uśmiechnął się z dumą.

- Wcale mnie nie pobił. Wydymałem go aż miło...

Logan umiał rozpoznać bezczelne kłamstwo.

- Dlaczego myślał, że masz towar?
Jamie znów wzruszył ramionami. Wymuszony uśmiech zniknął.

- Nie wiem.
Logan usiadł wygodniej, nic nie mówiąc. Milczenie się przeciągało. W końcu Jamie poruszył się niespokojnie, aż zachrząściła wykroch- malona pościel.

- Znam... to znaczy: znałem odpowiednich ludzi. Mogłem różne rzeczy załatwić.

- Jakie rzeczy-
McKinnon spojrzał na niego z politowaniem.

- Dobrze wiesz.
- Mhm. Czyli ten mięśniak doszedł do wniosku, że kumple dostarczą ci towar do paki, tak?
Jamie parsknął śmiechem, ale bez przesadnej wesołości. Przygryzł wargę. Świeża krew pocięła na żółtoczerwony strup.

- Już nigdy nikomu nic nie załatwię...
- Nie? - Logan miał pewne podejrzenia co do tożsamości dostawców Jamiego: w tej chwili leżeli w plastikowych workach u Isobel w kostnicy. - Skąd będziesz teraz brał towar?
Długa cisza. I nagle:
- Ja jej nie zabiłem.
- Już to mówiłeś, Jamie, ale mamy dowody i świadków, a poza tym wiadomo, że wcześniej zdarzało ci się ją bić...
McKinnon pociągnął nosem. Rozklejał się.

- Kochałem ją.
Logan zmarszczył brwi. Nabierał coraz głębszego przekonania, że Jamie jednak mówi prawdę. Nieważne, co gada Steel.

- Opowiedz mi o tamtej nocy. Wszystko, od początku.
Inspektor Steel czekała na niego na korytarzu. Z rękami w kieszeniach stała oparta o ścianę obok ogromnego obrazu olejnego w odcieniach błękitu i pomarańczy.

- Ma pan jakiś pomysł, co to może być?
- Postmodernistyczna wizja narodzin człowieka. - Logan dobrze znał wszystkie obrazy w szpitalu: spędził wśród nich mnóstwo czasu, błakając się nocą po korytarzach, pod kroplówką i o lasce. - Po morfinie prezentuje się o wiele lepiej.

- Co kto lubi... - Steel pokręciła głową i spojrzała na niego chytrze. - I co? McKinnon się wyżył? Wyspowiadał się przed dobrym gliniarzem?
- Nadal twierdzi, że jej nie zabił. Ale podejrzewam, że sprzedawał prochy tym dzieciakom, które w poniedziałek zginęły w pożarze.

- Całkiem możliwe. - Steel pomachała kartą choroby McKinno- na. Logan nawet nie zauważył, kiedy ją zabrała. - Próba samobójcza, akurat! Połknął plastikowy widelec. Każdy w Craiginches tego próbuje. Zabić się tym nie można, a przenoszą człowieka do niestrzeżonego szpitala na miły urlop. A przy okazji odwiedzin można dostać prezent od bliskich. McKinnon jest dilerem; na pewno czeka, żeby ktoś mu podesłał towar, zanim wróci za kratki. Może trochę weźmie dla siebie, ale część na pewno sprzedaje. - Wrzuciła kartę do kosza na śmieci i ruszyła do wyjścia. - Trzeba go pilnować. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Logan ostatni raz zerknął na Narodziny człowieka i poszedł za nią.

Reszta dnia upłynęła im na załatwianiu dyskretnej obserwacji Ja- miego McKinnona, przy czym Logan - jak zwykle - musiał odwalić ^większość roboty. Steel przypalała papierosa od papierosa i szastała dobrymi radami, ale to on musiał się przedzierać przez gąszcz papierów. Sama zrobiła tylko jedno: przedstawiła swoją prośbę szefowi WK, Jctóry wcale nie był tym zachwycony; już i tak ledwie wystarczało mu ludzi. Najwyżej pośle tam kogoś w cywilu w porze odwiedzin, żeby miał McKinnona na oku - a i to pod warunkiem że nie wypadnie nic ilniejszego.

Potem inspektor Steel udała się na poszukiwanie butelki wina i pół tuzina czerwonych róż. Wyglądało na to, że z nich dwójga to ją czeka o wiele ciekawsza noc.

Niedziela wieczór, wpół do dziewiątej. Jackie pewnie szykuje się do nocnego dyżuru. Kiedy wszedł do domu, spod prysznic dobiegły go dźwięki katowanej niemiłosiernie melodii z Jaskiniowców. Śpiew przeszedł w „da-da, da-dam, la-la-la”, a potem prysznic ścichł i Jaskiniowcy popłynęli z nową werwą, tym razem w wersji dla dorosłych, którą Jackie uwielbiała śpiewać na ostro zaprawianych imprezach.

Logan rozpostarł na stole obrus, postawił świece. Rozstawił fikuśny indyjski serwis, prezent od matki na Gwiazdkę, kiedy wyszedł ze szpitala. Wyjął z lodówki butelkę białego wina. Wkładał właśnie bukiet goździków do przykurzonego wazonu, kiedy usłyszał:

- Z jakiej okazji to wszystko?

Odwrócił się. W progu stała Jackie w szlafroku różowym jak sukienki Barbie, z ręcznikiem na głowie i gipsem zapakowanym w folię, żeby nie rozmiękł pod prysznicem.

- Na zgodę - odparł, zamaszystym gestem wskazując stół. Sięgnął do firmowej torebki pobliskiej restauracji indyjskiej. - Kurczak jalfrezi, korma z kurczakiem, nan, papadumy, marynowane limonki, raita i to czerwone, cebulowe,»to tak lubisz.

Aż się do niego uśmiechnęła.

- Myślałam, że nie chcesz ze mną rozmawiać. No wiesz, po piątku... - Urwała. - Wczoraj cały dzień cię nie było.

- Pomyślałem, że wolisz pobyć sama. Spałaś na sofie...

- No bo... Balowałam do pierwszej. Nie chciałam cię budzić.

- Aha...

Cisza.

Jackie przygryzła wargę i westchnęła ciężko.

- Posłuchaj... Przepraszam, że wtedy tak wybiegłam. To nie była twoja wina, ale moja... No, może nie tylko. Niepotrzebnie dałaś się namówić tej starej babie: praca w wolny dzień? Ale jak znam życie, nie mogę o wszystko winić ciebie. - Odkleiła taśmę przytrzymującą torebkę foliową na opatunku: dawniej śnieżnobiały gips z czasem przybrał brudny, żółtoszary odcień.

- Odkąd złamałam rękę, zanudzam się na śmierć. Archiwum! Wyobrażasz sobie? Jestem całkiem niezłą policjantką, do cholery, a muszę się babrać w tej gównianej, niewdzięcznej, beznadziejnie nudnej kartotece. - Wzięła ze stołu widelec, żeby podrapać się nim pod gipsem.

- Ocipieć można...

Skrob, skrob, skrob.

Logan wyjął z szuflady czysty widelec.

- Bałem się, że masz mnie dość.

Przestała się drapać i spojrzała na niego badawczo.

- Uwierz mi: w tej chwili wszystkiego mam serdecznie dość. Ale jak za dwa tygodnie zdejmą mi to świństwo i wrócę do normalnej roboty, dojdę do siebie.

Logan też na to liczył. Bardzo, bardzo nie chciał doświadczać powtórki z tego weekendu. Nie chcąc psuć nastroju, zachował tę myśl dla siebie i nałożył curry na talerze.

Nie wystarczyło im czasu na szybki numer.

Kiedy w końcu po dziewiątej wygrzebał się z domu, poniedziałkowe wydanie „Press and Journal” czekało na wycieracze. Wziął gazetę do kuchni, żeby spokojnie pokruszyć na nią tosty i poplamić ją filizan- «ką z kawą ale ledwie zdążył wgryźć się w kanapkę, gdy jego wzrok padł na pierwszą stronę.

-A to drań...

§ Nagłówek rzucał nieco światła na tajemnicze piątkowe spotkanie Millera w pubie: „Przedsiębiorca budowlany z Edynburga proponuje nowe miejsca pracy!” Miller rozplątał się w zachwytach nad nową budową: w pasie zieleni oddzielającym Aberdeen od Kingswells powstanie trzysta domów. f< „McLennan Homes z dumą informuje o rozpoczęciu nowej

inwestycji na obrzeżach Kingswells, która zapewni pracę i dodatkowe wygody mieszkańcom miasteczka".

Logan prychnął. To dopiero nowość. Miller rozczulał się dalej nad ludźmi, jakich McLennan Homes - a w szczególności jej właściciel - pokonał w Edynburgu, gdzie „od ponad dziesięciu lat buduje wspaniałe domy jednorodzinne"! Ciekawe, że ani słowem nie zająknął się o innych inwestycjach Malcolma McLennana, lepiej znanego jako Maik Majcher: narkotykach, prostytutce, haraczach, lichwie, handlu bronią tak dalej... przejawach sprzecznej z prawem działalności, na których ogół położyć swoje małe, lepkie łapki.

Logan usiadł wygodniej i jeszcze raz przeczytał ten tekst. Nie dzielił się teraz, że w pubie Miller był taki zdenerwowany. Zwolnili go

ze „Scottish Sun” za odmowę dokończenia serii demaskatorskich artykułów o Maiku Majchrze szmuglującym narkotyki, ponieważ dwóch chłopaków Malka dało mu jasno do zrozumienia, że jeśli nie wypuści tej historii z rąk jak przysłowiowego gorącego kartofla, oberzną mu palce. A jakoś w ostatnie Boże Narodzenie Maik Majcher próbował - bez powodzenia - poprzez łapówkę załatwić zmianę planów zagospodarowania przestrzennego i wejść w lukratywną transakcję budowlaną. Wyglądało na to, że za drugim razem miał więcej szczęścia.

Wiadomość dnia nie znalazła się jednak w porannym wydaniu gazety, lecz trafiła prosto do wieczornych serwisów informacyjnych w telewizji.

12

Dźwięki były przytłumione. Mgła - gęstsza tutaj, w lesie, niż na drodze - czepiała się drzew i paproci, nadając im dziwny, obcy wygląd. W środku nocy deszcz przeszedł w drobną mżawkę i znad Morza Północnego napłynęła mgła, spowijając świat.

Ziemia pod jej stopami była zimna i wilgotna, kiedy szła grząską ścieżką, mijając majaczące po obu stronach sosny, dęby, jesiony i jodły. Drzewa ociekały wodą. Tego dnia Tyrebagger Woods wyglądał wyjątkowo mrocznie, aż ciarki przechodziły jej po plecach. Nie miała pojęcia, co może kryć się w gąszczu albo za zakrętem. Dobrze, że zabrała ze sobą Benjiego; będzie jej bronił. To znaczy: mógłby bronić, gdyby przy pierwszej okazji nie pognął gdzieś we mgłę.

- Benji! Bennisji? - Coś trzasnęło w głębi lasu. Zamarła. Sucha gałązka? - Benji?

Nic. Obróciła się powoli dookoła własnej osi. Białoszary krajobraz falował wokół niej. W lesie panowała martwa cisza - jak w horrorach, tuż przed tym, jak cycatą blondynkę spotyka tragedia.

Uśmiechnęła się do siebie. Tym chyba nie musi się martwić: jest brunetką, ma mały biust i dyplom inżyniera biologii molekularnej. Troszkę się tylko denerwuje przed rozmową w sprawie pracy.

- Benji?! Gdzie jesteś, kudłata łajzo?

Mgła połykała jej wołanie, nawet echo nie odpowiadało. A jednak była przekonana, że coś się w tych oparach kryje...

Pokręciła głową przyspieszyła kroku, przemierzając w niewłaściwym kierunku szlak rzeźb Tyrebagger Woods. Z mgły wyłonił się olbrzymi łeb jelenia, zawieszony wśród drzew. Wyglądał jak krzyżówka Rudolfa Czerwononosego, okrutnej bestii z Wodnikowego wzgórza i wraku żółciutkiego forda escorta. Ilekroć go widziała, nie mogła się nie uśmiechnąć - ale tym razem nie było jej do śmiechu. Teraz dostrzegła w nim przede wszystkim coś prymitywnego. Pogańskiego. Drapieżnego. Wzdrygnęła się i przebiegła obok, nawołując Benjiego. Dlaczego akurat dziś musiał gdzieś pognąć? Przecież nie mogła go szukać przez pół dnia! Była umówiona na rozmowę kwalifikacyjną o wpół do dwunastej, to miał być tylko krótki, uspokajający spacer po lesie - a nie gonitwa za durnym spanielem. - - Benji! Znów ten trzask. Stała jak wryta.

- Hop, hop! - Cisza. - Jest... - Niech to szlag! - Jest tam kto? Lepiej od razu włożyć szpilki, cyckonosz push-up, a potem sięść i czekać na mordercę z siekierą. Cisza.

Nie słyszała zupełnie nic, nawet najłżejszego szeptu - tylko łomo- fanie swojego serca. Co za absurd! To, że przed tygodniem pobito na śmierć jakąś kobietę, nie znaczy jeszcze, że coś czai się w lesie. Czyha właśnie na nią... Trzask!

Serce podeszło jej do gardła. Więc ktoś tam jednak jest! Uciekać czy walczyć? Uciekać! Na złamanie karku, ledwie widoczną ścieżką, : najdalej, byle na parking. Drzewa śmigały po bokach, zdeformowa- ; przez mgłę przybierały kształty dzikich morderców. Ktoś ją gonił; pszała, jak przedziera się przez zarośla i jest coraz bliżej. Sprintem wśród drzew, biegiem na wzgórze, po mokrym, zdradli- gruncie. Potknęła się o korzeń i upadła prosto w błocko; płomień lu przeszył starte do krwi dłonie i kolana. Wrzasnęła rozpaczliwie, 'e nie powstrzymała tym drania, który ją ścigał. Zdażyła krzyknąć zcze raz, zanim z mgły wynurzył się rozpedzony cień. I zaczął ją lizać wielkim, gorącym jęzorem.

- Benji!

Dźwignęła się na kolana i przeklinała, przeklinała łaszącego się do j spaniela; a on na przemian to na nią skakał, to przypadał do ziemi erdał tym swoim śmiesznym kikutem ogona. Nagle znieruchomiał pędził z powrotem w las.

- Co za francowaty pies!

Dłonie ociekały jej jaskrawoczerwoną krwią; w otarciach tkwiły ziarenka piasku. Przez dziury w spodniach wyzierały poharatane kolana. Głowa pękała jej z bólu. Ostrożnie sięgnęła ręką do czoła, pomacała obolałe miejsce nad lewą brwią. Skrzywiła się. Znowu krew.

- Pięknie, kurwa, pięknie - mruknęła. Tyle jeśli chodzi o dobre pierwsze wrażenie na rozmowie. Albo ją odwoła, albo pojedzie na nią poturbowana. - Wszystko przez tego cholernego psa!

Benji przystanął gdzieś na ścieżce i czekał jak opętany. Pewnie znalazł jakieś cuchnące paskudztwo i radośnie się w nim tarzał. Kulejąc, poszła w kierunku, z którego dobiegał psi jazgot. Myśli o groźnym napastniku kompletnie wywietrzały jej z głowy.

Reflektory radiowozu A20 wycinały we mgle dwa lite słupy. Stał na jednym z parkingów przy Tyrebagger Woods. Ściszone radio mamrotało schizofrenicznie. Posterunkowa Buchan i posterunkowy Jacobs powoli brnęli przez mgłę. Szukali zwłok.

Dwadzieścia minut temu odebrali zgłoszenie: w lesie znaleziono nagie ciało młodej kobiety, skatowanej na śmierć. Dyżurny w centrali uprzedzał, że wezwanie nie było zbyt spójne: bełkot o śmierci, mgle i drzewach. I o kupowaniu słońca?

Posterunkowa Buchan nie była w nastroju do pierdoł - nie po kolejnej kłótni z Robertem. Kiedy wrócił do domu, śmierdział tanimi perfumami i zastarzałym potem. Miał ją za idiotkę, czy jak? Szła wściekła błotnistą ścieżką z rękami w kieszeniach, marszcząc brwi.

Posterunkowy Jacobs wczuł się w rolę superpolicjanta i rozgarniając zarośla latarką gadał i gadał, na bieżąco opisując sytuację. Włokła się za nim, patrzyła, jak zagląda za krzaki po obu stronach dróżki. Co tam, że to maminsynek. Ma zgrabny tyłek. Mogłaby... Lekki uśmiech wypłynął jej na usta na myśl o tym, co mogłaby robić z posterunkowym Jacobsem. Na pewno lepiej by się z nim bawiła niż z tym śmieciem, do którego musiała wracać co wieczór.

Wdrapali się śliską ścieżką na pagórek. Tuż za wierzchołkiem stała drewniana tablica z oprawioną pleksi informacją- tu akurat o tym, że niejaka Matthews zbudowała posągi żubrów, mieszkańców pierwotnej puszczy, z drucianej siatki, mchu, wełny i złomu.

Tradycyjne bzdurzenie o dziedzictwie kulturowym, sztuce i funduszach rady miasta. A co tam. Buchan spojrzała w stronę lasu, gdzie ledwie widoczna ścieżka ginęła wśród drzew.

- Kupowanie słońca...

Nie mówiąc nic więcej, powlokła się za Jacobsem w mgłę. Słyszała, jak mruczy coś do siebie. Mgła i odległość stopniowo tłumili jego głos. Teren zaczął się wznosić, ścieżka się

skończyła, ale Buchan szła dalej, już po leśnym poszyciu. W lesie panował półmrok, w którym majaczyły złowieszcze cienie drzew. Jak w grobie.

I wtedy to usłyszała: cichy szloch. Stała jak wryta.

- Jest tam kto? - Pokonała niewielkie wzniesienie i wyszła na płaski teren. - Halo! Słyszysz mnie?

Cisza.

- Kurczę blade...

Wyjęła latarkę. Ale czy jej się przyda? Mgła tylko rozproszy światło i odbije je z powrotem w jej kierunku. Latarka przyjemnie ciążyła jej w dłoni i Buchan czuła się pewniej: w razie potrzeby roztrzaska jednak nią komuś łeb. Dalej więc, w mgłę... Co to, kurwa, jest?!

Trupie, nadgniłe stwory wynurzały się z mgły, skubiąc trawę u podnóża spowitych oparami drzew.

? To te rzeźby. Żubry, mieszkańcy pierwotnych puszczy. Posterunko- ! a Buchan nie musiała się znać na sztuce, żeby wiedzieć, dlaczego 'arki przechodzą jej po plecach, ale te druciane sierściuchy... to już esada. Szloch rozbrzmiał głośnie. Dobiegał od strony najbliższego ierzacia; mgła przepływała przez dziury w konstrukcji rzeźby, i - Halo?

Włączyła latarkę. Cały świat zbiełał. W matowej ścianie mgły błysło dwoje nienaturalnie zielonych ślepi. Gardłowy warkot wdarł się ciszę jak zardzewiały nóż.

- Ożeszty...

} Ślepią były coraz bliżej. Buchan sięgnęła wolną ręką do pasa i odęła pojemnik z gazem pieprzowym.

- Dobry piesek?

Wystarczyło solidnie psiknąć w pysk, żeby najgorsza bestia fiknęła iołka i padła jak trup.

Potwór, który wynurzył się z mgły, był spanielem, w niczym jed- nie przypominał swoich wesołych, beztrudnych pobratymców. Pysk ł cały we krwi, szczyrzył zębiska jak sztylety.

Wycelowała w niego 'emnik z gazem, pomodliła się i nacisnęła. Warkot ustał jak nożem "ł i przez ułamek sekundy panowała niezmacona cisza, dopóki pies

nie rozszczękał się rozpaczliwie, zataczając się i próbując uciec przed palącym bólem.

Buchan przeszła obok niego, ale uległa pokusie i wymierzyła mu solidnego kopniaka w zębra.

Szloch dobiegał zza żubra. Znalazła tam kobietę, sądząc po ubraniu, dwudziestoparoletnią.

Jej twarz, dłonie i kolana były lepkie od ciemno- fioletowej krwi. Więc jednak przeżyła,

głupie krówsko. Kolejne niepotrzebne zgłoszenie. Posterunkowa przyjęła pojemnik z gazem do pasa.

- Nic się pani nie stało? - zapytała.

Tamta nie odpowiedziała - przynajmniej nie wprost. Drżącą, zakrwawioną ręką wskazała pokrytego pleśnią żubra - leżał sflaczały na ziemi, jakby śmierć dopadła go w chwili, gdy próbował dźwignąć się na nogi. Buchan skierowała w tamtą stronę snop światła latarki i zobaczyła rzeźbę w całej jej nadpsutej krasie. Obok leżał jakiś biały kształt, który prawie zlewał się z mgłą...

- O kurwa...

Odpięła z ramienia krótkofalówkę i wezwała centralę. Znaleźli drugie ciało.

Steel zjawiała się u Logana w domu w kostiumie, który wyglądał prawie jak nowy. Nawet postraszyła włosy szczotką - niewiele z tego wynikło, ale liczyły się intencje.

- Panie bohaterze...^aczęła, wyławiając papierosa z prawie pustej paczki, jakby zapomniała o drugim, zapalonym, którego już trzymała w ustach. - Mam dobre wieści. Znaleźli następną zabita kurewkę.

Wkrótce potem pędzili drogą do Inverurie. Minęli lotnisko i podjechali do wzgórza. W Tyrebagger Woods. Nie było daleko - ponieważ prowadziła Steel, dotarli tam w kwadrans.

Logan siedział w fotelu pasażera sportowego wozu i starał się nie tracić zimnej krwi, kiedy jak pocisk cięli gęstą mgłą.

- Proszę mi powiedzieć... Dlaczego to dobra wiadomość?
- Dwie zabite prostytutki. Obie rozebrane do naga, obie zakatowane. To już nie jest zwykle śledztwo w sprawie zabójstwa: mamy do czynienia z prawdziwym seryjnym mordercą!

Zaryzykował rzut oka w jej stronę: inspektor szczyrzyła zęby w uśmiechu. Centymetrowy niedopałek w kąciку ust kopał niemiłosiernie, tak że wnętrze auta niewiele różniło się od świata za oknami. Mrugnęła do Logana.

- Niech pan pomyśli: to nam pozwoli wyjść z Ekipy Partaczy! Mamy już Jamiego McKinnona, wystarczy powiązać go jakoś z tymi i morderstwami, i po kłopotach. Żadnych więcej spadów, niechcianych ; spraw, współpracy z półgłówkami. Oboje wrócimy do prawdziwej policyjnej roboty.

Niewiele brakowało, a nie skręciliby w wijącą się wstążkę asfaltu, biegnącą w głąb spowitego mgłą lasu. Pojechali nią do miejsca, w którym niebieski stroboskop koguta radiowozu sygnalizował wjazd na parking. Steel stanęła między brudnym transitem BIO i lśniącym [mercedesem. To na pewno wóz Isobel, Logan jęknął w duchu. Tego ?jeszcze brakowało.

Las był mroczny, cichy, spowity gęstym białym całunem. Powie- | trze ani drgnęło.

Inspektor Steel otworzyła bagażnik i zmieniła zaskakująco czyste buty na stare kalosze. Weszli na ścieżkę.

; - Co wiemy o ofierze? - spytał Logan, gdy Steel, świszcząc i dy- | sząc, wspinała się obok niego na wzgórze.

f - Gównu. - Przystanąła i odpaliła ostatniego papierosa w paczce I od dogorywającego niedopałka, po czym wyrzuciła peta w mgłę. - Centrala zameldowała: naga i skatowana, a ja zawołałam: „Jest moja!” " - Więc skąd pewność, że to prostytutka?

; - W torebce miała pełno kondomów. Żadnego dokumentu, tylko | tony gumek. Mogła być jeszcze ewentualnie artystką specjalizującą się I w balonach erotycznych, ja jednak stawiam na dziwkę. l': - A jeśli pani się myli? I - A dokładnie?

97

I - Chodzi mi o tego seryjnego mordercę. Jeśli to nie McKinnon, i tylko ktoś, kto go naśladuje? I Steel wzruszyła ramionami. | - Będziemy się tym martwić w swoim czasie. I Mimo mgły miejsce zbrodni znaleźli łatwo: usłyszeli trzask mi- | pawki i zobaczyli błysk flesza fotografa z BIO. Flesz rozświetlał półmrok i tak już rozproszony błyskawicami. Między drzewami szybko Rozpięto pajęczynę niebieskiej taśmy policyjnej. Schylili się, przechodząc pod nią i kierując się hałasem i światłami. Nagle z mgły wyłoniły *ię zmurszałe ciała zwierząt. Minęli pusty namiot ekipy BIO - za duży, eby dało się go rozbić wśród drzew, więc po prostu kilometrami taśmy aocowano płachtę brezentu do pni. Logan i Steel przebrali się w białe kombinezony i włożyli ochra- | iacze na buty. BIO ułożyło ścieżkę z metalowych płytek - wielkości

Zamierające światło

tacek od herbaty - wijącą się przez polanę do miejsca, w którym zebrała się grupa ludzi, aby nie zdeptać śladów. Z łoskotem przeszli po tej wystającej dziesięć centymetrów nad ziemię grobli. Fotograf bez przerwy pstrykał. Pani patolog dokonywała oględzin zwłok młodej kobiety. Ofiara leżała na boku, z jedną ręką wyciągniętą nad głowę i nogami rozłożonymi na ciemnym leśnym poszyciu jak ostrza nożyc. Ktoś z BIO zapytał Isobel, czy może zafoliować ręce, a kiedy wyraziła zgodę, owinął pokrzwawione dłonie ofiary foliowymi torebkami, aby zabezpieczyć ewentualne ślady pod paznokciami. Logan ze zdumieniem stwierdził, że w podobny sposób potraktowali głowę - dopóki nie zauważył, że worek na niej jest niebieski i nieprzezroczysty. Białą jak porcelana skórę pokrywały pręgi i siniaki. Od spodu znaczył ją ciemny pas - tam, gdzie krew spłynęła po śmierci.

Isobel przykucnęła przy zwłokach i ściągnęła gumowe rękawiczki. Wyglądała na zmęczoną, jakby nie spała; nawet makijażem nie udało jej się zamaskować worów pod oczami. Jeszcze przez chwilę nie wstawała, wpatrując się w torebkę okrywającą głowę ofiary.

- Przewieźcie ją do kostnicy - powiedziała w końcu.

Technik z BIO wyjął komórkę i zadzwonił do pobliskiego zakładu pogrzebowego. Isobel westchnęła i zaczęła zbierać sprzęt.

- Co tu się stało? - spytał Logan.

Aż podskoczyła.' ?

- A... to ty. - Nie była zachwycona. - Jeżeli interesują cię spekulacje i domysły, to źle trafiłeś. Dopóki nie zdejmę tego worka z jej głowy, nie dowiemy się, czy została uduszona, czy zakatowana jak tamta.

- Czas zgonu?

Isobel powiodła wzrokiem po ciemnym, cichym lesie.

- Trudno powiedzieć... Stężenie pośmiertne pojawiło się i ustąpiło... przy tej pogodzie... Zmarła jakieś trzy dni temu. Biorąc pod uwagę, jak lało w tym czasie, nie liczyłabym na ślady. - Wskazała ciemnofio- letową plamę zakrzepłej krwi, od czubków palców rozpostartej dłoni aż do stóp: zagęszczona hemoglobina w trzycentymetrowej warstwie ciała tuż przy ziemi. - Sądząc po kolorze, to albo została tu zabita, albo ten, kto to zrobił, podrzucił ciało dosłownie godzinę, dwie po morderstwie. Pobierzemy próbki ziemi; spróbujemy wyciągnąć z niej krew albo inne płyny ustrojowe. - Stłumiła ziewnięcie. - Nieoficjalnie powiem ci, jak to widzę: przywiózł ją tu, kazał się jej rozebrać, a potem skatował ją na śmierć.

Logan spojrział na zwłoki.

- Obstawiam, że rozebrał ją po śmierci.

Isobel posłała mu jedno ze swoich morderczych spojrzeń.

- Próbowaleś kiedyś rozebrać trupa? Znacznie łatwiej namówić dziewczynę, żeby sama to zrobiła.

Logan nie odrywał wzroku od ciała.

- Trzy dni temu, tak? Piątek wieczór. Lało jak z cebra. Nie wierzę, żeby dała się namówić na spacer w deszczu. A potem niby rozebrała się tu do naga na szybki numer? W tej okolicy robi się to po bramach. W samochodach. Nie w środku lasu.

- No, pan na pewno wie lepiej, sierżancie. - Isobel się najeżyła. -Ateraz proszę wybaczyć: czeka mnie sekcja zwłok. Muszę się przygotować.

Okręciła się na pięcie i weszła na ścieżkę, ściskając torbę lekarską z taką siłą jakby chciała ją uszkodzić. Pewnie żałowała, że zamiast niej nie ścisła jąder Logana.

Steel odczekała, aż zniknie im z oczu, i klepnęła go w plecy.

- Bzykał pan toto kiedyś? - spytała z podziwem. - Współczuję. Przecież można odmrozić malucha.

Logan udał, że nie słyszy. Miejsce zbrodni wyglądało schludnie ?1 czysto. Może tym razem dopisze mu szczęście? Zadzwonił z komórki do centrali i kazał przysłać wszystkich wolnych ludzi z ekipy poszukiwawczej. I eksperta od tych spraw też - ktoś musi podzielić las na sktory i zorganizować akcję. Jak mawia inspektor Steel: po co same- lu szczekać, jak się ma psa? A tak przy okazji... Ruchome stanowisko uwodzenia też się przyda. Pomarszczona twarz Steel wyrażała pełną aprobatę.

- Nieźle... - stwierdziła, kiedy się rozłączył. - Proszę zebrać luna parkingu i centymetr po centymetrze przeszukać teren od samochodów do miejsca, w którym znaleziono ciało. Ustawić sześciu- letrowy kordon wokół miejsca zbrodni i przeczesać każdy krzak, ?de drzewo i każdą króliczą norę. A ja porozmawiam z kobietą która "laźła zwłoki.

Logan musiał się chyba wyraźnie zdziwić, bo Steel posłała mu dra- eżny uśmiech.

- I proszę nie zapominać: nie jesteśmy pierdołami. Modlił się, by miała rację.

Zanim zjawiła się asystentka pani prokurator, poszukiwania ruszyły pełną parą. Otulony mgłą parking pękał w szwach wyladowany brudnymi jak siedem nieszczęść radiowozami i furgonetkami policji. Zaparkowała blisko wjazdu, blokując jakieś małe sportowe auto. Na to właśnie czekała: wielka sprawa. Dwa morderstwa w niewiele ponad tydzień, obie ofiary rozebrane do naga i pobite na śmierć - albo seryjny morderca, albo diabelnie mało prawdopodobny zbieg okoliczności. Z ponurym uśmiechem na ustach wspięła się na pagórek, kierując się na migające we mgle snopy światła z policyjnych latarek. Jej pierwsza sprawa i od razu seryjny morderca. No dobrze, to nie do końca jej sprawa, tylko sprawa pani prokurator, ale ona jej pomaga, a teraz wręcz musi ją reprezentować. Lepszej okazji do zabłyśnięcia nie będzie miała. Śledztwo przyciągnie uwagę mediów, a uwaga mediów oznacza rychły awans. Oczywiście pod warunkiem że ktoś czegoś nie spieprzy i drań im się nie wymknie.

Wyprzedziła kordon policjantów w mundurach i kamizelkach odblaskowych, metodycznie przeszukujących leśne poszycie. Bardzo sprawnie to wszystko szło, pewnie dzięki Inschowi. Wszyscy policjanci w Aberdeen darzyli go ogromnym szacunkiem, a nie o każdym inspektorze dałoby się to powiedzieć.

Wspięła się na wzgórze, ale Inscha nigdzie nie było widać. Za to ludzie na polance skupiali się wokół niewysokiej postaci w kombinezonie, z papierosem w kąciu ust. Rachael pokręciła smętnie głową: skoro sprawę prowadzi inspektor Steel, szanse jej rozwikłania są zerowe. Rzadko miała z nią do czynienia - tylko w przypadku Rosie Williams, a potem zabitego psa - ale inspektor nie zrobiła na niej dobrego wrażenia. Poza tym zdażyła się już nasłuchać o tym, jak Steel przed rokiem spartoliła proces Geralda Cleavera: notowany pedofil, wieloletnia kartoteka w policji, blisko dwadzieścia ofiar, które zgodziły się zeznawać - a Steel i tak nie wywalczyła wyroku skazującego. Czyli sprawa z góry przegrana... To jednak jeszcze nie znaczy, że Rachael Tulloch nie powinna wywiązać się należycie ze swoich obowiązków.

Wyprostowała się, włożyła biały papierowy kombinezon, stanęła przed Steel i zażądała raportu. Poza tym, pani inspektor chyba powinna zgasić papierosa, prawda? Przecież to miejsce zbrodni!

Steel uniosła brwi i długo przyglądała się jej bez słowa - zbyt długo - zanim spytała, czy Rachael ma już jakiś kołek albo coś w tyłku, bo jeśli nie, to za chwilę może w nim mieć jeden z jej kaloszy.

Rachael zamurowała.

- Posłuchaj no, kręciloczku. - Steel strzepnęła popiół na ziemię. Głos miała spokojny, lodowaty. - Palę tutaj, ponieważ przeszukaliśmy już każdy centymetr kwadratowy tej polanki. Poza tym jestem inspektorem śledczym policji w Grampian, a nie jakimś tłukiem, którym możesz pomiatać. Zrozumiałaś? - Odwróciła się i rozgoniła otaczającą ją grupę posterunkowych uroczym: - Spadać do swoich zajęć. Macie mi wyrzucić ten las do góry nogami. Cały! Żebyście mi niczego nie przegapili: królicze nory, strumyki, krzaki, zarośla, kretowiska; wszystko.

Po krótkim: „Tak jest!” rozproszyli się we mgle, pozostawiając inspektor i wzburzoną asystentkę pani prokurator sam na sam na środku polany, wśród cuchnących śmiercią nowoczesnych rzeźb.

- To jak? Zaczniemy jeszcze raz? - spytała Steel.

Logan szedł przez mgłę, sprawdzając, co dają poszukiwania. Jego buty wydawały mlaszczące odgłosy. Właściwie tracili czas, czołgając się w mokrej trawie i szukając śladów, których nie mogło w niej być. Oprócz torebki ofiary - którą BIO poddało wszelkim możliwym badaniom - nie znaleźli nic ciekawego. A że parking wyglądał obiecująco? :o z tego - w tej chwili był zastawiony policyjnymi pojazdami; buty " opony wgniotły w żwir i błoto każdy ślad. Może jeszcze przy odrobinę szczęścia znajdą coś, co morderca przeoczył -

Logan nie robił sobie "sduka wielkich nadziei: facet poderwał dziewczynę, przyjechał, zaparował, wyrzucił ją na deszcz, pobił na śmierć i rozebrał trupa. I tyle.

cołwiek był, nie spacerował nocą po lesie i nie zostawiał tropów na awo i lewo jak jakiś lekkomyślny leśny duszek.

Przeszedł po śliskim mostku i ruszył pod górę. Ostatnia ekipa pracowała w południowej części lasu, cofając się do miejsca, w którym leziono zwłoki. Poszukiwania mogły okazać się bezsensowne, ale ona uparła się, żeby przeprowadzono je jak należy. Może była jeszcze a niej nadzieja?

Na tyralierę policjantów natknął się, kiedy schodziła stromym czem, rozgarniając poszycie. Mignęła mu znajoma twarz: wredna a z poniedziałku, ta, która nawrzucała mu za to, że posterunkowy aitland dostał kulkę. A obok niej zobaczył kogoś, kogo zupełnie się nie spodziewał: posterunkowa Jackie Watson objęła kijem krzak ostrokrzewu, gipsem odgarniając napierające na nią kolczaste gałęzie. Ona też niespecjalnie ucieszyła się na jego widok.

Wziął ją na stronę.

- Co ty tu robisz?

- Wyluzuj. - Uśmiechnęła się. - Mnie tu nie ma. Opracowuję właśnie zbiorczą statystykę przestępstw za ubiegły rok. Tak jest wpisane do dziennika służby, więc nie kłamię.

- Tak nie można, Jackie! Powinnaś wykonywać lepsze prace, a nie brać udział w regularnych akcjach! Jak się inspektor dowie, będziesz miała przechłapanie!

- Steel? Jej to zwisa. Zrozum, chciałam się na chwilę wyrwać z komendy. Zająć się czymś konkretnym, zamiast przekładać papiery z miejsca na miejsce. - Obejrzała się przez ramię. Zbliżał się do niej sierżant o wyglądzie karasia: sztuczna opalenizna, rozdęte policzki, wylupiające oczy. - Spadaj, bo oboje będziemy mieli przez ciebie kłopoty.

- Jakiś problem? - spytał sierżant.

Logan spojrział jeszcze raz na Jackie i odparł, że nie, żaden problem. A jak poszukiwania? Sierżant Karasek zmarszczył nos.

- Jesteśmy całe kilometry od miejsca zbrodni. Ktoś włókł tędy ciało, jeśli mógł je przenieść znacznie bliżej, z parkingu? Bez sensu. Tracimy tylko czas.

Logan próbował go wesprzeć: dokładność też się liczy, wszyscy doceniają ich ciężką robotę i tak dalej... Wredna posterunkowa jednym uchem przysłuchiwała się ich rozmowie, aż wypadła z tyraliery.

- Co my tu w ogóle robimy, do diabła ciężkiego? - warknęła. Twarz miała jak obity zad.

Logan ledwie zdążył otworzyć usta, gdy sierżant ryknął:

- Jesteś tu, bo jesteś policjantką. A teraz dupa w troki i do roboty, bo jak ci sprzedam kopa, to wylądujesz w Peterhead!

Wściekła spojrzała na Logana, jakby to była jego wina, a potem okręciła się na pięcie i dźgnęła pierwszy z brzegu krzak kijem, klnąc pod nosem. Dogoniła tyralierę i zajęła miejsce w szeregu obok Jackie. Pół minuty później Jackie popatrzyła na Logana znacząco. Westchnął ciężko: baba pewnie teraz tłumaczy jej, jakim on jest beznadziejnym dupkiem, a Jackie - sądząc po minie - chyba się z nią zgadza. Tyle jeśli chodzi o nowy początek: oparty na curry rozejm przetrwał zaledwie jeden dzień.

Dość tego. Powinien...

Krzyk poniósł się wśród drzew i rozdarł mgłę, która szybko go stłumiła. Przez ułamek sekundy było cicho, a potem wszyscy zareagowali jednocześnie. Logan popędził za tyralierą; sierżant Karasek deptał mu po piętach. Biegli w kierunku, z którego dobiegł krzyk, aż zatrzymali się w miejscu, gdzie zbocze stało się bardziej strome i gęsto porośnięte pokrzywą i kolcolistem. W połowie jego wysokości, ledwie widoczna w kłębach mgły, leżała policjantka. Stoczyła się prosto w dużą kępę pokrzyw, upadła w nią plecami. Turlając się po zboczu,

porwała koszulę i bluzę, które podjechały jej do ramion. Poparzona jasna skóra błyskawicznie poczerwieniała.

- Wszystko w porządku? - zapytał sierżant Karasek.

Odpowiedziały mu przekleństwa.

Logan, zdumiony, zorientował się, że Jackie stoi na skraju stromizny i beznamiętnie obserwuje miotającą się bezradnie - i coraz bardziej poparzoną - policjantkę.

- To posterunkowa Buchan - wyjaśniła. - Pewnie się potknęła - dodała z uśmiechem.

Po pięciu minutach zdołali wyciągnąć Buchan z zarośli. Zdyszana, poparzona, chrypiąc i przeklinając na czym świat stoi, wspierała się na i górę, posyłając Jackie mordercze spojrzenia. Od stanika do spodni była , cała czerwona i opuchnięta. Skóra kłuła ją i piekła niemiłosiernie, unie- możliwiając nawet obciążenie koszuli, bo wtedy ból stawał się nie Ido zniesienia... W końcu sierżant Karasek odesłał ją do domu. Kiedy »pokuśtykała ścieżką z rozłożonymi na boki rękami, żeby nie dotykać i obolałego tułowia, Karasek półgłosem powiedział Loganowi, że nic się |*ue stało, bo mogło trafić na kogoś bardziej sympatycznego. Jackie tyl- 'Jco mrugnęła porozumiewawczo.

f - Nie miałaś z tym nic wspólnego, prawda? - zapytał, kiedy znów Zostali na chwilę sami.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Nie może być tak, że ktoś wyzywa mojego faceta i uchodzi mu na sucho.

Logan wrócił do swoich zajęć, szczerząc zęby w uśmiechu. Spojrzał zegarek. Za dziesięć pierwsza. Jeżeli się ze Steel pospieszą uda im :ę jeszcze coś przegryźć w komendzie, zanim o wpół do drugiej Isobel : cznie sekcję. Idąc na skróty, ściał wzniesienie przy ścieżce i skierował ku polanie ze straszącymi ludzi rzeźbami. Kiedy znajdował się w naj- ' szym punkcie wzgórza, mgła przybrała złotawy odcień: pojedynczy promień słońca przeszył białą watę i padł na skraj polany, gdzie dwóch ludzi w czarnych garniturach wkładało niebieski foliowy worek z ciałem do poobijanej metalowej trumny, aby wyprawić zwłoki w podróż do kostnicy. Inspektor Steel rozmawiała z prokurator, coś tam pokazując i z powagą kiwając głową, gdy tamta coś odpowiadała. Logan stanął z boku, żeby nie przeszkadzać im w oględzinach. Słyszając za plecami dyskretne kaszlnięcie, odwrócił się i zobaczył nową asystentkę pani prokurator, ubraną w ochronny kombinezon, z wymykającymi się spod kaptura włosami. Zielone oczy błysnęły znad osłaniającej twarz maski.

- Jak poszukiwania?

Logan streścił jej rozwój wydarzeń, pomijając przekleństwa i wypadek posterunkowej Buchan. Rachael przytakiwała, tak jakby przeczuwała taki obrót spraw.

- Rozumiem... - Długa przerwa, mająca sygnalizować zadumę. - Co pan powie o torebce?

- To znaczy... Dlaczego jej nie zabrał, tak? - Tym razem to Logan się zamyślił. - Są dwie możliwości. Jedna: mógł nam zostawić wiadomość: coś, co jest w torebce, albo coś, czego w niej brakuje, ma być dla nas sygnałem. Druga: popełnił błąd. Może ona rzuciła w niego torebką i potem po ciemku już jej nie znalazł. A może zgubiła ją, próbując uciekać. - Wzruszył ramionami. - Mamy tylko dwa ciała. Trudno mówić o prawidłowościach.

- Jak to: tylko?! Jezu.».: - Rachael z niedowierzaniem pokręciła głową. Miejsce zbrodni, gnijący żubr, metalowy chodnik, kilometry policyjnej taśmy. - Ile jeszcze potrzebujemy?

Logan nie zdążył odpowiedzieć, bo Steel go zawołała i musiał drugi raz relacjonować przebieg poszukiwań: nikt nic nie znalazł.

- Nie liczyłam na wiele - oświadczyła Steel, zwracając się do pani prokurator. - Zwłaszcza po tych ostatnich deszczach. Ale nie wolno nam niczego zaniedbać. - Wypięła pierś i podniosła głowę, aż naciągnęła jej się zwykle obwisła skóra szyi. - Popełniono zbrodnię i zamierzamy złapać mordercę.

Logan omal się nie porzygał; od tygodnia nie słyszał takiego pieprzenia. Ale prokurator była pod wrażeniem. Też dumnie się wyprostowała, poprosiła, żeby informowali ją na

bieżąc, a gdyby mogła w czymś pomóc, to - i tak dalej, i tak dalej - po czym sobie poszła, zabierając asystentkę, która jeszcze tylko odwróciła się i spojrzała Loganowi w oczy. Odczekał, aż się oddała, i zapytał:

- Nie za dużo tego teatru?

Steel wzruszyła ramionami i wyjęła z kieszeni pustą paczkę po papierosach. Zaczęła nią potrząsać i zaglądać do środka, jakby chciała wyczarować dymka.

- W naszej sytuacji każdy przyjaciel jest cenny. Teraz prokurator i ta lala z loczkami wrócą i zameldują komendantowi, że się nie objamy. Że wszystko robimy, jak trzeba. - Uśmiechnęła się i zgmiotła paczkę w dłoń. - Sprawy pomału układają się po naszej myśli. Czuję to.

- Zdaje sobie pani sprawę, że Jamie McKinnon nie jest seryjnym mordercą - upewnił się Logan, obserwując przedsiębiorców pogrzebowych przy pracy. - Ta kobieta zginęła w piątek w nocy. Jamie siedział! w Craiginches.

- No wiem. - Inspektor westchnęła. - Ale pomarzyć zawsze miło...

Było punktualnie wpół do drugiej i w policyjnym prosektorium czynano się robić tłoczno.

Poza Isobel, asystującym jej Brianem, inspektor Steel i Loganem stawiała się też pani prokurator z asystentką igi patolog (doktor Fraser), fotograf z BIO, komisarz, szef WK oraz "waj zastępcy komendanta. Prawdziwa śmietanka aberdeeńskiej poli- 'i, zaniepokojona, że chyba chodzi o kolejnego seryjnego mordercę, "iedzieli, że gdy sprawa przecieknie do mediów, wybuchnie skandal rリティczny. Zjawił się nawet sam Bóg we własnej osobie: komendant licji zajął honorowe miejsce u szczytu stołu. Logan był ciekaw, czy modli się, zanim pokroją trupa.

Czuło się nastrój wyczekiwania, gdy Isobel zaczęła oględziny leżących na stole zwłok. Na jej prośbę ludzie z Biura Identyfikacji Ofiar - 'rzy wcześniej pod okiem Briana przenieśli ciało do karawanu - teraz żyli je dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej zostało znalezione: , boku, z rozłożonymi nogami i ręką zarzuconą nad głowę. Gruba kre- skrzeplęj krwi była precyzyjną wskazówką. Ofierze zdjęto worek 'owy - ukazała się posiniaczona twarz i wytrzeszczone, przekrwione y, którymi zdawała się spoglądać ze złością na stojących przy stole

Na widok całej tej sceny Logana przeszedł dreszcz. Nie przypomi- normalnej sekcji, kiedy umyte ciało układa się na stole na wznak; orzenie sceny śmierci czyniło z nich podglądaczy, świadków ostat- chwil życia ofiary. Trochę jakby morderca w ten właśnie sposób zaplanował ostatni akt dla swojej skatowanej aktorki. Logan znów się wzdrygnął.

Posterunkowy Jacobs chyba miał rację: naprawdę zachowywał się jak świr.

Trzy godziny później bladzi, milczący i poruszeni zebrali się w sali odpraw na piętrze.

Pierwszego z brzegu posterunkowego posłali po kawę - nie lurę z automatu, ale prawdziwą kawę, przygotowywaną na specjalne okazje i dla ważnych gości. Komendant uznał, że na nią zasłużyli. Logan nie zamierzał się z nim spierać.

Isobel stała w kącie razem z doktorem Fraserem. Uśmiechała się lekko, słuchając pochwał po pierwszorzędnie wykonanej sekcji. Rzetelnej. Bardzo odkrywczej.

- Boże... - jęknął ktoś za plecami Logana. - Naprawdę musiała jej zdjąć skórę z twarzy?

Komendant skończył właśnie opowiadać coś pani prokurator i oboje parsknęli śmiechem. Asystentka prokurator zdobyła się na uprzejmy uśmiech, ale było widać, że ciągle dokucza jej żołądek. W końcu śmiech przebrzmiał i zastępca komendanta zastukał łyżeczką w filiżankę. Zrobiło się cicho. Czas na sekcję sekcji.

Isobel zrelacjonowała im wydarzenia, tak jak według niej się rozegrały, ilustrując ważniejsze fragmenty rysunkami na tablicy, przedstawiającymi rozbite czaszki, połamane kończyny i popękane żebra - jak w jakiejś makabrycznej |rze w kalambury.

- Przyczyną śmierci było uduszenie - zaczęła, kreśląc czerwoną pętlę wokół głowy ludzika, którego naszkicowała na tablicy. - Złożyły się na nie dwa czynniki: torba foliowa wciśnięta na głowę ofiary oraz otwarta odma opłucnowa po tym, jak końce pękniętych żeber, czwartego i

piątego, przebiły płuco. Klatka piersiowa wypełniła się powietrzem, płuco się zapadło. Nastąpiła gwałtowna sinica i zgon.

Inspektor Steel zadała pytanie, które dręczyło wszystkich: czy mają do czynienia z tym samym sposobem działania jak w przypadku Rosie Williams? Czy obie ofiary zginęły z ręki jednego mordercy?

Isobel uśmiechnęła się z politowaniem.

- Pani inspektor... Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że byłyby to w znacznej mierze spekulacje...

Ale Steel nie dała jej dokończyć:

- Tak czy nie?

- Być może. - Isobel zeszywniała. - W tej chwili nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Być może? - Steel nie była zachwycona.

- Jak wiadomo, pierwsza ofiara nie miała worka na głowie. Musiałabym sięgnąć do notatek z tamtej sekcji...

Steel przerwała jej machnięciem ręki.

- W takim razie proszę to zrobić. Teraz. Musimy wiedzieć, czy szukamy jednego psychopaty, czy dwóch. - Widząc, że Isobel ani drgnęła, dodała: - Chyba że ma pani jakieś pilniejsze zajęcia?

Isobel zacisnęła zęby, odstawiła filiżankę, skinęła głową komendantowi, obiecała, że w ciągu godziny dostarczy pełny raport, i razem z Brianem wybiegła z pokoju. Przez chwilę było całkiem cicho - wszyscy wodzili wzrokiem od Steel do zatrzaśniętych przez Isobel drzwi i z powrotem. Steel uśmiechnęła się ponuro.

- Nie zamierzam ryzykować - wyjaśniła zebrany wokół niej szychom. - Tu stawką jest życie.

Posypały się pytania: „Pani inspektor, co pani zamierza?” „Co powiemy prasie?” „Ilu ludzi pani potrzebuje?”

Odpowiadała z kamienną twarzą ale Logan dobrze wiedział, że w środku wywija fikołki ze szczęścia. To był jej comeback.

14

Konferencję prasową zwołano na wpół do szóstej - w pośpiechu, żeby zdążyć przed telewizyjnym serwisem informacyjnym o szóstej. Komendant, jego zastępca, inspektor Steel i atrakcyjna blondynka z biura prasowego zasiedli za stołem ozdobionym logo policji z Grampian. Steel jakimś cudem zdołała okiełznać swoje niesforne włosy, co w połączeniu z względnie świeżym garniturem upodabniało ją do kompetentnej i zdeterminowanej policjantki, a nie krzyżówki włóczędzy i przestraszonego teriera, bo tak zwykle wyglądała, i* Logan zajął miejsce w głębi sali, za plecami kamerzystów i dziennikarzy, i patrzył na komendanta, który mówił o znalezieniu zwłok kobiety w Tyrebagger Woods... Isobel dotrzymała słowa: jej raport trafił biurko inspektor Steel w czasie krótszym niż godzina. Morderstwa iewiele się między sobą różniły i można było bezpiecznie zakładać, że skonała ich ta sama osoba.

Gdy tylko komendant wygłosił swoje oświadczenie, wszyscy reporterzy jednocześnie podnieśli ręce.

- Czy to robota seryjnego mordercy?

- Czy macie podejrzanych?

- Co z człowiekiem, którego wcześniej zatrzymaliście?

- Czy znana jest już tożsamość ofiary?

- Dlaczego śledztwo prowadzi inspektor Steel?

Komendant pochylił się do mikrofonu i odparł:

- Inspektor Steel cieszy się moim pełnym zaufaniem.

- Sarah Thornburn, Sky News. Czy to rozsądna decyzja? Biorąc pod uwagę to, w jaki sposób inspektor Steel poprowadziła sprawę Geralda Cleavera...

Steel zacisnęła zęby, ale powstrzymała się od komentarza. Komendant ponownie zapewnił wszystkich, że pani inspektor jest rzetelną i doświadczoną policjantką i ma jego bezwarunkowe poparcie. Logan się skrzywił: tak samo mówił premier, kiedy kogoś ze świecznika przyłapano z łapami w cudzej kasie albo cudzych majtkach. A zaraz potem z ogromnym żalem go wyrzucił.

Sypały się dalsze pytania, ale słuchał ich jednym uchem, wodząc wzrokiem po sali i wypatrując małego reportera z Glasgow w garniturze za duże pieniądze... Colin Miller siedział między reprezentującą BBC News kobietą o wydatnej szczęce i sflaczałym gościem z „Daily Record”, który z takim zapalem stuknął w klawiaturę palmtopa, że sam nie miał już czasu zadawać pytań. Ledwie komendant wstał na znak, że konferencja skończona, Miller wymknął się za drzwi.

Logan dogonił go na parkingu.

- O co chodzi? - zdziwił się. - Nie odzywasz się do mnie?

- Co? - Miller zatrzymał się, odwrócił, rozpoznał Logana i ruszył dalej. - Robota czeka... - Wyciągnął z kieszeni kluczyki.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Logan.

Miller podszedł do eleganckiego szarego mercedesa.

- Nie mam teraz czasu...

Logan złapał go za ramię.

- Co cię ugryzło?

- Mnie? Co mnie ugryzło?! No pomyślmy, kurwa, co mnie ugryzło... Wszystko, kurwa! Rozumiesz?! Mam dość! - Szarpnięciem otworzył drzwi wozu i wskoczył za kierownicę. - Wszyscy dranie na całym kurewskim...

Silnik ryknął głośno, Miller zatrzaskał drzwi, wcisnął pedał gazu i skrzywił kierownicą Logan patrzył, jak z piskiem opon rusza, hamuje gwałtownie przy wyjeździe, włącza się do ruchu i znika we mgle.

- Powiedziałem coś nie tak?

Wtorek zaczął się kwadrans po siódmej, kiedy telefon stacjonarny zaczął wygrywać swój elektroniczny werbel i dzwonił, dzwonił, dzwonił... Logan uchylił jedno oko, zamruczał i skulił się pod kołdrą. To robota dla automatycznej sekretarki; on dziś idzie na popołudnie - i tak przez najbliższe trzy dni: od czternastej do północy. Powinien był zacząć już wczoraj, ale po całym dniu spędzonym na poszukiwaniach Steel dała mu wolne w nagrodę za dobre sprawowanie. Zamierzał więc poczekać w łóżku na Jackie, zjeść z nią śniadanie, a potem zaciągnąć ją do łóżka na zabawę pod kołderką. Uśmiechnął się i zagrzebał głębiej w pościel, słysząc, że automatyczna sekretarka wreszcie przejęła rozmowę. Może mogliby z Jackie...

Komórka eksplodowała kakofonią pisków i gwizdów.

- No jak Boga kocham!

Wysunął rękę z pieczary, jaką urządził sobie pod przykryciem, na oślep namacał leżący na nocnym stoliku aparat i wciągnął go do środka.

- Czego?

- Gdzie pan jest, do cholery?

Jęknął w duchu: inspektor Steel.

- Wie pani, która godzina?

- Wiem. Gdzie pan jest?

- W łóżku! Dziś przychodzę...

- W łóżku... - powtórzyła lubieżnie Steel. - Co pan robi?

- Marszczę brwi. Dziś przychodzę na popołudnie, sama pani powiedziała...

- Co to za pieprzenie? Seryjny morderca zabija dziwki... Dupa ;w troki!

Logan zamknął oczy i policzył do dziesięciu, słuchając kazania Steel o poczuciu obowiązku i o tym, że dyżury są dla mięczaków. I - Dobrze, już dobrze! - przerwał jej w końcu. - Zbieram się. Będę za pół godziny.

Rozłączył się, zaklął, wylał spod kołdry, spojrzął wściekły na okienne żaluzje, znowu zaklął, wstał, potknął się o but Jackie, zaklął i pokuśtykał pod prysznic.

Kiedy w końcu dotarł do komendy, odprawa już trwała. Uczestniczyło w niej znacznie więcej ludzi niż zwykle - Partaczom przysłano posiłki w postaci prawdziwych policjantów. Zamiast byle jakiego rozwalania się przy stolikach wszyscy siedzieli w równych rzędach, i to prawie na baczność, słuchając raportu inspektor Steel z ostatniej doby. Znalazioną na miejscu zbrodni torebkę pokrywało mnóstwo odcisków palców, ale wszystkie należały do - zidentyfikowanej już - ofiary: Michelle Wood. To jej Isobel zdarła skórę z twarzy, aby obejrzeć uszkodzenia mięśni i kości twarzoczaszki. Logan wzdrygnął się na to wspomnienie. Po widoku ofiar pożaru sprzed tygodnia i po tej sekcji miał aż nadto inspiracji do sennych koszmarów.

Otrząsnął się, kiedy Steel przydzielała zadania na bieżący dzień. Potem zakończyła odprawę i rozesłała ludzi do roboty przy wtórze chóralnego: „Nie jesteśmy pierdołami!” Zostali sami. Steel uchyliła okno i zapaliła papierosa, zaciągając się jak człowiek, który długo wstrzymywał oddech. Przymknęła oczy, westchnęła z satysfakcją - i się rozkaszała.

- Jezu, dłużej bym bez szluga nie wytrzymała.

Jeszcze raz się zaciągnęła. Dym wypełnił jej płuca i ciało inspektor przeszył rozkoszny dreszcz. Wydmuchnęła dym, który otulił jej głowę jak prywatny zapas mgły.

- Widział pan gazetj^

Kiedy Logan pokręcił głową, wyjęła z kosza poranny „Press and Journal” i mu rzuciła. „Zabójca z Shore Lane znów zaatakował!” - na pierwszej stronie. Autor: Colin Miller. Tak wygląda szczytowe osiągnięcie sztuki reportażu?!

- Chyba pojedę powiedzieć ojcu Michelle, że jego córka nie żyje - mówiła Steel, kiedy Logan czytał. Westchnęła. - W prosektorium nie było tego widać, ale kiedyś to była ładna dziewczynka, zanim zaczął się trądzik, chłopcy i przedwczesne picie. Killkanaście razy ją aresztowałam za kradzież w sklepach: ciuszki dla dzieci, jedzenie, buty, alkohol, różne takie... No właśnie: tyle razy ją przymykałam, a wczoraj jej nie rozpoznałam z tą zmasakrowaną twarzą. Dopiero dziś się dowiedziałam, jak przyszły wyniki badań odcisków palców. Miała dwadzieścia cztery lata. Bidula.

- Długo była w branży?

- Z tego, co wiem, chyba nie. - Steel pokręciła głową. - Nienotowana za prostytutkę, nawet bez upomnienia.

Logan nic na to nie powiedział. Przypomniawszy sobie kobietę z portu - tę w foliowym płaszczu i czarnym gorsecie, całą posiniaczoną. W chwili gdy zrozumiała, że jest policjantem, od razu próbowała go przekupić - pieniędzmi albo propozycją przejażdżki wenerycznym ekspresem. Może Michelle Wood nie bez powodu miała czystą kartotekę; może któryś z dzielnych aberdeenkich stróżów prawa korzystał z darmowych usług.

- No dobrze. - Steel rozgniotła peta na dywanie. - Jadę. Pan zostanie tutaj i przypilnuje, żeby wszystko chodziło jak w zegarku. Bo ja •tym łajzom nie ufam za grosz.

- Nie chce pani, żebym z nią jechał? - zdziwił się Logan.

- Nie, ojciec i tak będzie miał dość zmartwień. Nie chcę mu zwabiać na łeb ekipy policyjnej.

I Szedł właśnie do pokoju operacyjnego, kiedy zza drzwi wychyliła "się znajoma twarz rudzielca z haczykowatym nosem. Napier pytał, czy Logan znajdzie dla niego chwilkę. Jego uśmiech przypominał bliźnię, kiedy Logan sadowił się niepewnie na plastikowym krześle, f - Witam, sierżancie McRae. - Inspektor zajął miejsce po drugiej stronie biurka i znów błysnął

swoim pooperacyjnym uśmiechem, fi- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z wagi dochodzenia, które prowadzi inspektor Steel.

f Logan ostrożnie przytaknął, zastanawiając się w duchu, do czego Spije Napier.

f-i - Nie muszę zatem podkreślać, jak bardzo zależy nam na szybkim H pomyślnym zakończeniu - ciągnął Napier. - Na skazaniu winnego. - Wziął do ręki srebrne pióro i zaczął się nim bawić. - Wiem, że ma pan... ? „przyjaciół” w mediach; będą próbowali pana chronić, gdyby coś poszło nie tak. - Uśmiech stał się lodowaty. - Nie od rzeczy byłoby ich uświadomić, że nie powinni robić wtedy z inspektor Steel kozła ofiarnego. - Znaczące zawieszenie głosu. - Rozumie pan, to praca zespołowa. Zapadło krępujące milczenie.

- A jeśli to będzie jej wina?

Napier machnął ręką jakby opędzał się od natrętnej muchy.

- Zna pan bajkę o lisie i kurczęciu? Kurczę spaliło stodołę i zrzuciło winę na lisa. Farmer zastrzelił lisa, a potem zjadł kurczę... - Wycelował pióro w pierś Logana, żeby nie było cienia wątpliwości co do tego, kto w tym scenariuszu jest kurczęciem. W ogóle przestał się uśmiechać. V- Ja dostarczę przyprawy.

Nowy pokój operacyjny - przydzielony im przez komendanta w chwili, kiedy okazało się, że mają do czynienia z seryjnym mordercą - był ogromny. Na ścianach wisały mapy Aberdeen i pokreślone mazakami tablice. Środek zajmowały telefony i komputery - umundurowani policjanci rozmawiali ze świadkami i wprowadzali dane do HOLMES-a. Na Logana czekał już stos generowanych automatycznie wydruków, więc wziął sobie krzesło i zaczął je przeglądać, dzieląc na dwie grupy: „Do załatwienia” oraz „Bzdury”. Największą siłą systemu była zdolność przedzierania się przez nieskończone ciągi danych - a największą słabością zerowe pojęcie o tym, co właściwie robi.

Kończył przerzucać papiery, kiedy wróciła inspektor Steel.

- Ico?

Wzruszyła ramionami i bez przekonania zaczęła kartkować „Bzdury”, wyrzucając je, jedna po drugiej, do kosza.

- Jak to co? Pojechałam powiedzieć temu gościowi, że jakiś czub zakatował mu córkę, a jej nagie zwłoki trzy dni leżały w lesie, zanim ktoś przypadkiem się na nie natknął we mgle... A przy okazji, pańska córeczka bzykała się z obcymi za pieniądze. - Steel westchnęła i potarła dłonią policzek. - Przepraszam, to był beznadziejny tydzień.

Logan podał jej kupkę „Do załatwienia”, którą przejrzała i starannie odchudziła, tak że zostało im niewiele do zrobienia - a to, co zostało, zwała na pierwszego z brzegu funkcjonariusza, każąc mu uporać się ze wszystkim przed końcem dnia.

- Załatwione - stwierdziła, gdy policjant, mrużąc pod nosem, odszedł do swoich zajęć. - Jaki mamy plan na dziś?

- Co z Jamiem McKinnonem?

- Nic. Na razie spokojnie możemy go oskarżyć o zamordowanie Rosie Williams. - Steel wyjęła paczkę king size'ów i zaczęła odwijać sreberko. - Jeśli złapiemy kogoś, kogo da się udupić za oba morderstwa, McKinnon pójdzie siedzieć za fast foody. Ale gdyby ktoś pytał, to badamy morderstwa tak, jakbyśmy podejrzewali seryjnego.

- Rozumiem. - Logan wziął mazak i na tablicy naszkicował plan portu. - Rosie Williams znaleziono tutaj. - Niebieskim kółkiem zaznaczył Shore Lane. - Czy Michelle Wood pracowała w porcie?

- Boja wiem...

- Gdyby tak było, to mielibyśmy rewir mordercy. Wystarczyłoby rozstawić ludzi w cywilnych wozach...

Zielonym mazakiem zaczął stawiać ikсы wszędzie tam, gdzie zardzewiały vauxhall nie zwróciłby niczyjej uwagi.

- A na cholere nam cywilne wozy? - prychnęła Steel, dłubiąc palcem w uchu. - Przecież tam stale ktoś podrywa panny. Jak chce pan rozpoznać naszego człowieka: zatrzymać i zapytać? - Zniżyła głos i mówiła teraz ze wschodnim londyńskim akcentem. - Przepraszam pana, czy poderwał pan tę dupencję po to, żeby ją skatować na śmierć, czy tylko na solidne rżnięcie? - Uśmiechnęła się z politowaniem. - Świetny plan. Już widzę, jak działa.

Logan zmarszczył brwi.

- Mogę skończyć? Dwie nasze dziewczyny przebierają się i idą na wabia. Mają mikrofony i nadajniki; kiedy ktoś zechce je gdzieś zabrać, jedziemy dyskretnie za nimi i łapiemy gościa na gorącym uczynku. Co pani na to?

Steel pokręciła głową przyglądając się topornemu rysunkowi.

- Nic z tego nie będzie. Ale też nic nie mamy do stracenia. Proszę wybrać dwie policjantki i pamiętać, że facet upodobał sobie Rosie Williams i Michelle Wood, więc nie może być wybredny. Niech to będą dziewczyny, które mają parę w łapach.

Logan obiecał, że zobaczy, co się da zrobić.

To był idealny dzień na suszenie ręczników: słoneczko, lekki wiatr, bez muszek. Ailsa uśmiechnęła się - swojska, domowa atmosfera. Gavin obiecał, że dla odmiany wróci wcześniej. Zapowiadał się wyjątko- , wy wieczór - tym bardziej że miała owulację. Wyjęła z koszyka ostatni ręcznik, powiesiła go na sznurku i przypięła żabkami. Koniec. I wtedy zaleciał ją znajomy, charakterystyczny zapach piersowego dymu, sączący się przez ogrodzenie z sąsiedniego ogród- To ten chłopak o szczurzej twarzy, cały posiniaczony. Znowu. Ailsa 'e mogła pojąć, dlaczego wciąż mieszka z tą potworną agresywną pijaczką. Każdy zdrowy na umyśle mężczyzna wyprowadziłby się po tym, : pierwszy raz złamała mu nos. Albo drugi. Albo trzeci...

113

Palił z głową opartą o ogrodzenie. Przy wydechu krzywił się z bólu przyciskał dłoń do żeber. Nie zorientował się, że Ailsa go obserwuje, kończył papierosa i pstryknął niedopałkiem w sięgającą kolan trawę.

-Zamierające światło

Aż podskoczył, kiedy z domu dobiegł przeraźliwy wrzask, i w tym samym momencie zobaczył Ailsę, która nagle zrozumiała, że chłopak tkwi w tej pułapce tak jak ona i Gavin, skazany na życie z wiedźmą, co działa jak maszynka do mielenia dusz; gnębi i gnębi... i zostaje tylko krwawa miazga. Chłopak zwiesił ramiona, odwrócił się i powłókł do domu.

Ailsa odprowadziła go wzrokiem. Wzdrygnęła się. Na miłość boską...

Steel zrobiła sobie kolejną długą przerwę na papierosa, a Logan po raz dziesiąty przeglądał raport z sekcji zwłok Michelle Wood. Morderca złamał jej nogę, obie ręce i prawie wszystkie żebra; organy wewnętrzne popękały - prawdopodobnie dlatego, że skakał jej po brzuchu. No i obrażenia głowy po ciosach zadawanych pięściami, butem, kamieniem... Gość naprawdę poszedł na całość.

Westchnął i spojrzął na zdjęcia z miejsca zbrodni: kolorowe, błyszczące, dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów - zbliżenia zawiniętej w foliowy worek głowy Michelle. Sprawa była oczywista: morderca nabierał wprawy. Każdy kolejny atak będzie bardziej brutalny od poprzedniego, aż...

Zaklął. Jak mógł to przegapić? Zawołał Renniego.

- Weź notes i pisz. Znajdź mi ludzi, którzy patrolują port. Potrzebny będzie ktoś, kto zna okolicę i dziewczyny, to..

- Przepraszam. - Steve uchylił drzwi i wetknął głowę do środka, uśmiechając się niepewnie.

- Inspektor Insch prosi pana do siebie.

Logan westchnął, zastanawiając się, co znowu zrobił nie tak jak trzeba.

- Dobrze, wystarczy - powiedział do Renniego. - Znajdź mi kogoś, z kim będę mógł porozmawiać. - Przypomniał sobie młodą Litwinkę i jej alfonsa. - Aha, i pokaż ludziom te portrety pamięciowe; ktoś musi ich rozpoznać.

U Inscha w pokoju na ścianie wisiała nowa tablica korkowa, podzielona na sześć części; na każdym kwadracie było nazwisko i dwa zdjęcia - jedno zrobione za życia, drugie w czasie sekcji zwłok. Cienka czerwona wstążka łączyła małą główkę w prawym dolnym rogu z fotografią zwęglonej buzi. Inspektor stał tam w towarzystwie chudej jak patyk asystentki: on pokazywał jej coś na tablicy, ona robiła notatki. Widząc Logana, przywołał go; asystentkę spławił dwoma musującymi żelkami o smaku coli.

- Chciał pan ze mną porozmawiać, inspektorze. O co chodzi?

- O to. - Insch postukał palcem w zdjęcie, na którym ludzka głowa przypominała kawał pieczonego boczku. - Pamięta pan? Zrobiliśmy listę szkolnych kumpli Grahama Kennedy'ego.

- Włożył do ust garść słodyczy i mówił dalej, żując: - Grahama pan zna. To są Ewan, Mark, Janette i Lucy. - Jedną po drugiej wskazywał fotografie, zostawiając na nich błyszczące ślady palca. - Zidentyfikowani na podstawie kart dentystycznych. Lekarze twierdzą, że niemowlę, Gemma, było dzieckiem Lucy. Biedna mała... - Westchnienie. - Babka Grahama podała nam pięć nazwisk: jeden, dwa, trzy, cztery. Jednego brakuje.

- Fakt. Czyjego?

- Karl Pearson. Dwadzieścia cztery lata, mieszka z rodzicami w Kingswells. To znaczy: mieszkał jeszcze jakieś trzy tygodnie temu. W poprzednią środę dzwonił do domu, bo skończyły mu się pieniądze, i i tyle. Od tamtej pory milczy.

Z kieszeni na piersi Insch wyjął zdjęcie z wakacji, przedstawiające młodego grubaska ze złamanym nosem i zrośniętymi brwiami. Wyglądał na gościa, który chętnie wda się w bójkę na meczu, bo uważa, że to świetna rozrywka.

Logan uważnie przyjrzał się fotce.

- Myśli pan, że to on był podpalaczem?

Insch pokiwał głową.

- Parę razy miał już kłopoty, spalił różne rzeczy, które do niego nie należały: szopę w ogródku sąsiadów, porzuconą przyczepę kempingową, szałas na plaży.

- To jego robota?

- Jego. Kazałem go szukać, ale oprócz tego mam też kilka ciekawych adresów. - Złowieszczy uśmiech pojawił się na twarzy inspektora. - Pomyślałem, że chętnie się pan trochę porusza.

- A co z pańskim sierżantem, tym brodaczem?

- Z Beattiem? - Insch włożył ręce do kieszeni. Napięty materiał zatrzeszczał niepokojąco. - Chrzanić go. Leń patentowany, nawet syfa by nie złapał w burdelu, a co dopiero bandziora.

- Jestem przydzielony do inspektor Steel, a ona...

- Już się zgodziła. Rozmawiałem z nią, do wieczora nie będzie jej pan potrzebny. Proszę tylko wziąć marynarkę i jedziemy.

- Ale...

Insch położył wielkająk szynka dłoń na ramieniu Logana i zniżył głos:

- Wydawało mi się, że chce się pan wyrwać z Ekipy Partaczy? Oto pańska szansa.

Ciężkim krokiem wyszedł z pokoju, łapiąc jeszcze posterunkowego Jacobsa za kołnierz. Logan zawahał się, spojrzął na galerię śmierci. Żeby szlag trafił tę całą Steel: oddała go Inschowi, nie pytając o zdanie! Zmełł w zębach przekleństwo i wyszedł.

Pierwszy adres Karla Pearsona okazał się chybionym strzałem - podobnie jak drugi, trzeci i czwarty. Od wieków go nie widziano. Piąty zamiar mieli na mieszkanie w bloku w Seaton, przy ujściu Don - jednym z czterech siedemnastopiętrowych wieżowców, z których roztaczał się wspaniały widok na morze; w ciepłe letnie dni mieszkało się tam cudownie, w paskudne

zimowe - marzło na kość, gdy wiatr znad norweskich fiordów hulał nad Morzem Północnym. Logan i Insch wjechali na górę, zostawiając Steve'a na parterze, aby pilnował wyjścia.

Piąte piętro, narożne mieszkanie. Insch poszedł prosto do drzwi domniemanego mieszkania Karla Pearsona i zapukał po policyjnemu, z całą siłą. Drzwi zadudniły i zatrzeszczały, jakby Bóg we własnej osobie zstąpił na ziemię, by obwieścić dzień Sądu Ostatecznego.

Nikt nie odpowiedział.

Insch zabębnił jeszcze raz. W korytarzu uchylili się inne drzwi. Lokator tylko zerknął na olbrzyma dobijającego się do narożnego mieszkania i czym prędzej się cdfnął.

- Myśli pan, że wezwie policję? - spytał Logan.

- Wątpię. Ale gdyby...

Insch wyciągnął komórkę i zadzwonił do komendy, aby poinformować, że bandziorem, który włamuje się do mieszkania na piątym piętrze, jest on sam, więc nie muszą przysyłać radiowozu. Logan tymczasem przykucnął i zajrzał do środka przez szczelinę na listy. Za drzwiami znajdował się krótki przedpokój udekorowany plakatami FC Aberdeen i wycinkami z magazynu „FHM” - półnagie kobiety i piłka nożna: marzenia każdego nastolatka. Na wieszaku wisiały jakieś okrycia, naprzeciw było lustro, w kącie stała torba odrapanych kijów golfowych, na dywaniku przy drzwiach zebrała się kupka przysłanych pocztą reklamówek. Na wprost zobaczył uchylone drzwi do kuchni. W przedpokoju znajdowało się jeszcze czworo innych drzwi, ale tylko jedno było uchylone i Logan mógł zajrzeć do pokoju. Już miał wstać, gdy nagle poczuł, że ktoś mu się przygląda... Spojrzał w lustro. Rzeczywiście, zza odbijających się w nim drzwi salonu ktoś naprawdę mu się przyglądał - ale raczej go nie widział. W ogóle niewiele widział, bo miał poderżnięte gardło. Brunatna, zakrzepła krew pokrywała wszystko w pobliżu.

Logan przysiadł na piętach i puścił klapkę - zamknęła się z trzaskiem.

- Nie rozłączył się pan jeszcze? - spytał.

- Nie.

- Mogą odwołać poszukiwania. Zależliśmy Karla Pearsona.

16

Funkcjonariusze Biura Identyfikacji Ofiar byli zachwyceni, że w końcu trafiła im się jakaś ofiara w domu, a nie pod gołym niebem; nie musieli przynajmniej szarpać się z tym przeklętym namiotem. Salon w mieszkaniu Karla Pearsona był obwieszony podobnie jak przedpokój - plakatami i rozkładówkami z magazynów dla panów, z tą różnicą, że tutaj rozkładówki były o wiele ostrzejsze. Ludzie z BIO rozłożyli swój metalowy chodniczek i obsypali wszystko wokół czarnym proszkiem ułatwiającym zdejmowanie odcisków palców; przerzucili zawartość worka z odkurzacza do plastikowej torby na dowody rzeczowe; pobrali próbki krwi - bez trudu, biorąc pod uwagę, ile jej było w pokoju; podyskutowali o tym, czy jedna z rozebranych kobiet - zdjęcie zrobione podczas zabawy różnymi elektrycznymi gadżetami - jest żoną sierżanta Beattiego; obfotografowali wszystko, co się dało, i poczekali spokojnie, aż doktor Wilson stwierdzi zgon mężczyzny, którego przed poderżnięciem gardła przywiązano do krzesła z jadalni.

- To niesamowite, co lekarze potrafią dziś zdiagnozować - stwierdził oparty o ścianę Insch. Naciągnął największy jednorazowy kombinezon, jakim dysponowało BIO, ale i tak za mały na jego potężną sylwetkę. - Zaryzykuje pan określenie czasu zgonu, doktorze?

Wilson zmroził go spojrzeniem.

- Nie. - Z trzaskiem zamknął torbę. - Czy wyście wszyscy powariowali? Jestem zwykłym lekarzem, a wy się zawsze dopominacie o podanie czasu zgonu. Wie pan co? Nie mam pojęcia, kiedy zginął.

Pasuje? Zadowolony pan? Jeśli interesuje pana, kiedy go zabito, proszę spytać patologa. - Wstał i ruszył do drzwi. W progu jeszcze się zatrzymał i zmierzył inspektora wzrokiem. -

Podam panu przybliżony czas zgonu, tak za friko: osiemnaście miesięcy, jeśli pan nie schudnie.

I wyszedł. Insch poczerwieniał. Prychnął. Logan jęknął w duchu. Tego im jeszcze brakowało. Doktorek Wilson podpałił lont i uciekł, nie czekając na eksplozję.

- Proszę się nim nie przejmować - powiedział. - Od tygodnia chodzi jak nakręcony i wścieka się na wszystkich bez powodu.

Insch spiorunował go spojrzeniem.

- Proszę powiedzieć temu palantowi, że jak go jeszcze kiedyś spotkam na miejscu zbrodni, dopilnuję, żeby trafił do kostnicy! - W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał. - Osobiście stwierdzę u niego zgon.

Ślina bryzgnęła z ust inspektora. Logan często widywał go w nerwach, ale nigdy tak wściekłego. Roztrzęsiony Insch wyszedł do kuchni i trzasnął drzwiami z taką siłą że różne przedmioty w mieszkaniu zaklekotały. Piętro wyżej sąsiedzi pogłośnili telewizor.

- Rany boskie... - szepnął kamerzysta BIO. - Nadepnął mu na odcisk czy co?

Insch, obrażony, dalej siedział w kuchni, kiedy przyjechał dyżurny patolog - tym razem dokW Fraser, co Logan przyjął z ogromną ulgą. Fraser potwierdził diagnozę Wilsona: Karl Pearson naprawdę nie żył, co oznaczało, że Logan może dzwonić po ludzi z zakładu pogrzebowego. Sekcję zwłok zaplanowano na trzecią po południu. Na tym formalności się skończyły i Logan mógł dokonać oględzin zwłok, nikomu się nie narażając - pod warunkiem że niczego nie będzie dotykał.

Karl Pearson - dwadzieścia cztery lata, rozebrany do naga, przywiązany do krzesła i bardzo, ale to bardzo nieżywy. Gardło miał poderżnięte tak głęboko, że głowa ledwie trzymała się tułowia: przechyliła się na bok, wytrzeszczone oczy wpatrywały się tępo w przedpokój. Z lewego ucha odcięto małżowinę od płotka po sam szczyt, zostawiając sierpowaty kawałek skóry. Ciemne pręgi na policzkach biegnęły od otwartych ust aż na tył głowy, tak jakby ktoś zakneblował ofiarę i umocował knebel skórzanym paskiem - ślad po sprzączce odcisnął się wyraźnie w woskowej skórze. Pearson ręce miał związane za plecami i przymocowane plastikowym sznurem do nóg krzesła. Dłonie pokrywała zakrzepła krew, co utrudniało rozpoznanie szczegółów, ale jedno było oczywiste: nie wszystkie palce zachowały swoją naturalną długość. Niektóre kończyły się przy drugim stawie, inne odcięto przy samej dłoni, jeszcze inne w połowie długości; ścięgna i kości wyzierały z krwawych kikutów, połyskując jak ugotowane rybie oczy. Brakujące kawałki leżały pod krzesłem. Paznokcie powyrywano. Pierś Karla - w miejscach, gdzie nie pokrywała jej krew z poderżniętego gardła - nosiła ślady przypalania papierosem. Prawy sutek został odcięty. Genitalia były albo porośnięte włosami łonowymi, albo nabite zszywkami - Logan dobrze nie widział, a nie zamierzał przyglądać się z bliska. Błede, owłosione nogi również nosiły blizny po papierosach, kolana były zdeformowane i opuchnięte, a stopy sprawiały wrażenie zmasakrowanych młotkiem.

- Co pan o tym myśli?

Odwrócił się i zobaczył w drzwiach asystentkę pani prokurator w białym papierowym kombinezonie. Starła się panować nad sobą, nie patrzyła na zakrwawione zwłoki. Ekipa z BIO gdzieś zniknęła - pewnie przeszukiwali mieszkanie, szerokim łukiem omijając kuchnię, dopóki inspektor Insch trochę nie ochłonie.

- Jeżeli coś wiedział, to powiedział - stwierdził Logan.

Rachael zaryzykowała rzut oka na trupa.

- Torturowali go, żeby wyciągnąć jakieś informacje?

- Przypuszczalnie jakieś narkotykowe porachunki. Karl był notowany za handel dragami, a z tego, co wiemy, na rynku pojawili się nowi gracze. Najwyraźniej ostro grają.

Rachael podeszła do okna i wyjrzała na pławiące się w słońcu Morze Północne. Była dalej od zwłok.

- Jak można kogoś torturować w bloku i nie dać się złapać?! Ktoś musiał coś słyszeć! Ten człowiek siedzi tu związany, maltretują go, a nikt nie dzwoni na policję?

- Na miejscu oprawcy zakneblowałam go, przywiązałam do krzesła, a dopiero potem torturowałam. Zgasiłbym kilka papierosów, wyrwał paznokcie, pogruchotałam palce u nóg... Potem, kiedy przestaje krzyczeć pod kneblem, zdejmujemy mu go i zadajemy pytania. On już wie, że nie żartujemy. Znowu zakładamy knebel i do roboty. Obcinamy ucho, parę palców, tak żeby naprawdę pocierpiał. Znowu pytamy; sprawdzamy, czy za drugim razem odpowiedzi są takie same. I jeszcze raz, na wszelki wypadek. - Logan westchnął. - Dopóki jest zakneblowany, kiedy się nad nim zنعamy, nikt nic nie słyszy... Może poza stukaniem młotka.

Asystentka milczała.

- Dobrze się pani czuje?

Wzdrygnęła się.

- Wie pan, jak to jest. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś w tej... w tej skali. - Wskazała zwłoki Pearsona. - Nie na żywo. W sądzie oglądaliśmy masę zdjęć, ale...

Machnęła ręką.

- Ale to nie to samo - dokończył Logan.

Unoszona wiatrem mewa przeleciała za oknem. Promień słońca zaślnił na jej białych piórach, jakby świeciła własnym światłem na tle granatowego morza.

- Co to za przekłete miejsce? - spytała Rachael, spoglądając na pędzące po niebie chmury. - Wydawałoby się, że Aberdeen to ciche, spokojne i bezpieczne miasteczko, a tymczasem... Widział pan statystyki? W przeliczeniu na milion mieszkańców mamy w Szkocji więcej morderstw niż Anglia i Walia razem wzięte. Co pan na to? - Oparła głowę o szybę. - A jakby tego było mało, na każde morderstwo przypada dwadzieścia sześć nieudanych prób. Można być dumnym, co?

Logan podszedł do okna i stanął obok niej.

- Naprawdę? Dwadzieścia sześć?

Pokiwała głową.

- Dwadzieścia sześć.

- No to faktycznie fe[^]teśmy beznadziejni! "Jak można tyle razy chybić? To вина rodziców. Rachael się uśmiechnęła.

- Ale do rzeczy. - Logan wrócił do zmasakrowanych zwłok na środku pokoju. - Podejrzewam, że nasza lokalna wojenka narkotykowa trochę się zaostrzyła i takie okrucieństwa będziemy oglądać coraz częściej.

Spojrzał na okaleczone ucho Karla Pearsona i zdał sobie sprawę, że jest głodny jak wilk. Było wpół do trzeciej; o trzeciej powinna się zacząć sekcja zwłok - czyli miał pół godziny na to, żeby coś zjeść i dojechać do prosektorium.

Szczęknięty drzwi i do pokoju zajrzała prokurator. Wprawnym okiem ogarnęła miejsce zbrodni, zmarszczyła brwi, weszła, wymięła trupa na krzesło i stanęła pod ścianą przyglądając się chałupniczej tapecie Pearsona.

- To nie jest czasem żona sierżanta Beattiego?

Sekcja zwłok Karla Pearsona ciągnęła się w nieskończoność.

O wpół do szóstej Logan wymówił się wcześniejszymi zobowiązaniami - musi dopilnować, żeby nocna operacja inspektor Steel poszła jak należy. Steel na pewno spodziewa się, że to on odwali całą czarną robotę. Ale właściwie jedyną ciekawostką, jaką miał dla niego doktor Fraser po pokrojeniu zmasakrowanych zwłok, były świeże ślady po igle na bicepsie. Logan mógłby się założyć, że badania laboratoryjne wykryją we krwi narkotyki - nie tyle, żeby Karl był na haju, ale w sam raz, żeby nie doznał wstrząsu. A może nawet ciut więcej, żeby w nagrodę za dobre sprawowanie nie czuł bólu.

Pokój operacyjny inspektor Steel był tylko odrobinę mniej martwy niż Karl Pearson - czasem zadzwonił jakiś telefon i tyle. Steel stała oparta o monitor komputera; dłuwała

wykałaczką w zębach i czytała „Evening Express”. Oczywiście, że przygotowała wszystkie papiery

I dała je do podpisania nie byle komu, bo nadkomisarzowi we własnej osobie. Co oznacza, że nie wolno im spieprzyć sprawy - bo wtedy wszyscy się na nich rzucają wściekłe psy. Poza tym bądźmy szczerzy: gdyby zaważyła akcję z przynętą, to co by jej pozostało? Nie cierpieli na nadmiar śladów. Dwie zabite prostytutki nie przyciągnęły na razie uwagi opinii publicznej, nawet kiedy padło hasło „Seryjny morderca”. Dzień minął, a telefonów było jak na lekarstwo.

- A gdybyśmy zrobili rekonstrukcję wydarzeń? - zasugerował Logan. - Może pokazałoby nas w dzienniku?

Steel uśmiechnęła się do niego niby z aprobatą, co go zaniepokoiło.

- Doskonały pomysł. Ktoś przebierze się za zabitą dziwkę, a ktoś inny za mordercę, który zwabił ją do samochodu. A potem poprosimy wszystkich, którzy po nocy włączą się do porcie, żeby się do nas zgłaszali, jeśli coś wiedzą.

Logan czuł przez skórę, że tak naprawdę wykpi go dopiero teraz.

- Wyobraża pan sobie tę lawinę zgłoszeń? Te tłumy alfonsów, którym leży na sercu dobro społeczeństwa? Te wszystkie kurwy i ich klien-

>w? „Tak, panie policjancie, byłem wtedy w nocy w porcie, szukałem)bie panienki. I widziałem, jak taki zły człowiek złapał tę dziewczynę, co jąpotem znaleźliście...” Trzeba zatrudnić więcej ludzi do odbierania telefonów, bo inaczej utoniemy w powodzi informacji!

- Dobrze. Jak pani chce.

- Niech się pan tak nie przejmuje, panie bohaterze. - Steel wy- zczyrzyła do niego zęby. - Jeśli dziś nam nie wyjdzie, pomyślę o tym.

Przynajmniej komendant będzie widział, że jest ruch w interesie. A teraz proponuję wybrać jakieś dwie miłe i brzydkie posterunkowe na przynętę. Proszę im powiedzieć, że stawiam butelkę wódki każdej, która nie da się pobić na śmierć.

O wpół do dziewiątej odprawa dobiegała końca. Inspektor Steel przedstawiła ogólne założenia akcji, zapoznała ludzi z planem działania - także nadkomisarza, który wygłosił pięciominutową pogadankę umoralniającą o ryzyku i zaletach tego rodzaju operacji - i podzieliła ekipę na cztery zespoły. Zespół pierwszy, najmniejszy, tworzyły przebrane za prostytutki posterunkowe Davidson i Menzies - żadna nie mogła liczyć na rychłe zwycięstwo w konkursie piękności. Miały krótkie spódniczki, push-upy, pięciocentymetrowej grubości makijaż i fryzury jak nieudana domowa trwała. Każda dostała dwa nadajniki - główny i zapasowy - i wszyty w seksowną bieliznę odbiornik GPS; cokolwiek się stanie, nie znikną bez śladu. Zaopatrzyły się również w pojemniki z gazem pieprzowym. Zespół numer 2 składał się z ośmiu policjantów w cywilu w czterech samochodach - po dwóch na wóz. Mieli zaparkować we wskazanych przez Logana miejscach i obserwować grające swoją rolę Davidson i Menzies. Zespół trzeci był zdecydowanie najliczniejszy: trzy radiowozy, dwa niqpnakowane samochody i niebieski ford transit z sześciuosobową ekipą Aiały krążyć po ulicach wylotowych dzielnicy czerwonych latarni, zaopatrzone w kamery, i na rozkaz wkroczyć do akcji. Zespół numer 4 miał czekać w centrali, prowadzić nasłuch na wszystkich kanałach, przekazywać informacje, pilnować, żeby każdy robił, co do niego należy, a także czuwać nad Davidson i Menzies. To była poważna akcja, wymagająca licznej obsady i sporych pieniędzy, ale nadkomisarz zapewniał ich o pełnym poparciu komendanta. Steel dostała zgodę, by kontynuować ją nawet przez pięć kolejnych nocy, chociaż sierżanci byli święcie przekonani, że o wiele szybciej znajdą winnego. Tylko Logan - boleśnie świadomy wszystkich niedostatków tego planu - wołał milczeć.

Po zakończeniu odprawy dopadł go posterunkowy Rennie.

- Znalazłem tego faceta, co pan prosił.

Logan musiał zrobić wielkie oczy, bo Rennie poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

- Tego, który patroluje port. Miałem go namierzyć.

- Tak, tak. Gdzie jest teraz?
- Przychodzi na dyżur o dziesiątej. Posterunkowy Robert Taylor. W wydziale od dwóch lat. Zostawiłem mu wiadomość, że chce pan z nim porozmawiać.

Rennie uśmiechnął się, jakby czekał na cukierka. Logan niczym go nie poczęstował.

- A co z portretami pamięciowymi?
- Nikt nie zna tej dziewczyny, ale paru ludzi z WK twierdzi, że facet może mieć na imię Duncan albo Richard... Jakoś tak.

Logan zmarszczył brwi. Litwinka mówiła, że Steve.

- Nieznany z nazwiska?

- Na to wychodzi.

- Psiakrew!

- No właśnie.

Ku zdumieniu Logana zaczęli punktualnie o dziewiątej. Siedział razem z inspektorem Steel w wysłużonym vauxhallu niedaleko wjazdu do portu, w pobliżu skrzyżowania Marischal Street z Regent Quay. Nie zaparkowali na samym skrzyżowaniu, bo nie chcieli niepotrzebnie wzbudzać podejrzeń, ale wybrali postój z dobrym widokiem na całą Shore Lane, ciągnącą się za wysokim żelaznym ogrodzeniem aż do miejsca, w którym posterunkowa Menzies czekała na klientów. Steel rozsądnie osłaniała dłonią żarzący się czubek papierosa, żeby widoczny z daleka ogień nie zdradził ich obecności. Meldowały się kolejne zespoły, na końcu ten najważniejszy: przynęty. Czyli Siostry Paskudy, jak uparła się je nazywać Steel. Całą operację ochrzciła zresztą kryptonimem „Kopciuszek”. Logan nie rozumiał, jak to się dzieje, że Steel regularnie nie obrywa pięścią w nos.

- Myśli pani, że coś z tego będzie? - zapytał. Menzies właśnie się poskarżyła, że w tej kretyńskiej mini tyłek jej marznie.

- Nie. - Steel dmuchnęła dymem za okno. - Ale na razie nic lepszego nie mamy. Gdybyśmy nie zaczęli pilnować portu, a on zabiłby następną dziwkę, pourywali by nam łby. Poza tym to był pański pomysł, więc niech pan nie zaczyna.

- A jeśli ktoś zaginie, kiedy my tu siedzimy? Inspektor aż się wzdrygnęła.

- O tym niech pan nawet nie myśli, do jasnej cholery!

- Ale my tu nie robimy nic konkretnego: gapimy się na dwie przebrane za dziwki policjantki. Przecież w tym samym czasie facet może zgarnąć do wozu kolejną ofiarę, a my się nie zorientujemy. On może być wszędzie!

- Wiem. - Inspektor zaciągnęła się po raz ostatni i wyrzuciła niedopałek za okno. - Wiem. Plan jest gówniany, ale lepszego nie mamy. Rosie Williams zginęła w poniedziałek, Michelle Wood w piątek. Cztery dni przerwy. - Policzyła na palcach. - Sobota, niedziela, poniedziałek, wtorek... To dziś. Jeżeli wypracował sobie schemat, zaatakuje dziś albo jutro.

- Chyba że już kogoś dorwał, tylko o tym nie wiemy.

- O co panu chodzi, sierżancie? - Steel spojrzała na niego z ukosa.

- To mają być przydatne uwagi czy po prostu chce pan sobie pogadać?

Logan milczał.

- Tak właśnie myślałam.

Niezręczna cisza. Logan patrzył w głąb ulicy.

- Odbyłem dziś rano ciekawą rozmowę z inspektorem Napierem
- odezwał się w końcu.

- Taaak? - spytała podejrzliwie Steel.

- A tak. Powiedział, że ma pani wyjść z tej sprawy czysta jak łza, bo inaczej ja pójde pod topór.

- „Pod topór”? Napier by tak nie powiedział. Do niego pasuje mi raczej: „Kreff to życie, ha, ha!” - odparła Steel z paskudnym transylwańskim akcentem. *

- No, posłużył się alegoryczną bajeczką o farmerze, lisie i kurczęciu, ale taki właśnie był jej sens.

- Kim pan był?

- Kurczęciem.

- Fajnie. - Steel wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Co się stało, że Napier tak się o panią troszczy?

Nie przestając się uśmiechać, wyjęła i zapaliła następnego papierosa.

- Powiedzmy, że zawarliśmy z inspektorem umowę. To musi panu wystarczyć.

Oczywiście nie wystarczyło, Steel nie zamierzała jednak ciągnąć tego tematu, więc znów zapadła cisza.

Przerwał ją dopiero głos Menzies:

- Jedzie coś.

Na drugim końcu Shore Lane rozbłysły reflektory. Z radia dobiegał tylko szum. Logan sięgnął po lornetkę z noktowizorem. Chwilę zajęło mu ustawienie ostrości, ale wreszcie uzyskał dobry, wyraźny obraz wlotu jednokierunkowej uliczki. Posterunkowa Menzies z rękami opartymi na biodrach i wyprężoną pierś nachyliła się do samochodu od strony kierowcy.

- Cześć, skarbie... - mruknęła sugestywnie. - Chcesz się zabawić?

Logan nie widział dobrze mężczyzny za kierownicą: Menzies zajęła stanowisko pod jedną z nielicznych działających latarni i światło odbijało się od przedniej szyby auta. Przez chwilę rozmowa toczyła się zbyt cicho, żeby dało się rozróżnić słowa; poza tym mikrofon chyba uwiązał w koronce stanika, bo przy każdym ruchu chrząścił głośno, zagłuszając inne dźwięki.

- Może byśmy tak... Ty skurwielu!

Steel wyprostowała się gwałtownie. Podejrzany samochód ruszył z piskiem opon. Przez lornetkę Logan widział, że Menzies trzyma się za pierś; potem skuliła się i zniknęła mu z oczu. Steel złapała nadajnik.

- Teraz! - krzyknęła do mikrofonu. - Wchodzimy!

Menzies wyprostowała się i rzuciła czymś za odjeżdżającym wozem. Rozległ się łomot. Samochód stanął. Kierowca wyskoczył: rozbita tylna szyba. Popędził do Menzies tak szybko, że nie zauważył dwóch nieoznakowanych samochodów policyjnych, które zablokowały oba końce Shore Lane.

Z radia dobiegł krzyk mężczyzny, czysty i wyraźny mimo kłopotów z szeleszczącym stanikiem:

- Ty suko!

Zamachnął się, ale Menzies, nie czekając na cios, podcięła go obrotowym kopnięciem - nie bez powodu należała do policyjnej drużyny kickbokserskiej. Zanim Logan i Steel dobiegli do niej, facet leżał już skuty na brudnym bruku, kłął jak szewc i żądał adwokata. Menzies przytrzymała go, żeby nie wstał.

- Jezu...-wysapała Steel, zgięta wpół z wysiłku, jakiego wymagało przebiegnięcie tych trzystu metrów. Chwyciła się za bok. - Menzies!

wycodziła przez zęby. - Nic ci nie jest? i'- - Sukinsyn złapał mnie za pierś! - odburknęła posterunkowa. - Mało mi cyca nie oderwał!

Odciągnęła brzeg stanika, żeby pokazać pierś, ale Steel zapewniła ją, że ma dwie własne i chwilowo nie musi oglądać cudzych.

Logan też nie zamierzał oglądać nagiego biustu posterunkowej Men- es, więc się ulotnił; wolał w tym czasie przyjrzeć się samochodowi tego typka. Był to przechodzony minivan z mnóstwem foteli, dużym bagażnikiem i naklejką „Taksówka mamusi” na resztkę tylnej szyby. Na środku kojca dla psa leżało jakieś zardzewiałe żelastwo, w tej chwili obsypane drobinkami potłuczonego szkła. Logan zadzwonił do centrali i poprosił o sprawdzenie wozu w rejestrze.

Nie wiedzieć czemu inspektor Steel uznała, że następny papieros pozwoli jej szybciej złapać oddech. Kaszłąc i plując, odciągnęła Logana od samochodu i kazała Menzies postawić podejrzanego na nogi. W zaułku było ciemno i nie widzieli dobrze jego twarzy - tym bardziej że leżąc na ziemi, trochę się ubrudził.

- Nazwisko? - spytała Steel. Wyjęła papierosa z ust i splunęła na chodnik czymś ciemnym i paskudnym.

Mężczyzna nie chciał jej spojrzeć w oczy.

- ...Simon McDonald.

Steel zmarszczyła brwi i przekrzywiła głowę jak kot, który przygląda się smakowitemu chomikowi.

- Wiesz co, Simon? Wyglądasz mi znajomo... Nie zapuszkowałam cię kiedyś?

- Nigdy nie miałem do czynienia z policją!

Zadzwoił telefon Logana: centrala. Samochodu z taką rejestracją nie ma w systemie. Na pewno dobrze odczytał numery?

Cofnął się i przykucnął przy tylnym zderzaku. Teraz, kiedy przyglądał się tablicy z bliskat widział, że coś jest z nią nie w porządku: nie odbijała światła latarki. Została oklejona papierem laminowanym, który z daleka wyglądał całkiem przekonująco i dopiero oglądany z bliska zdradzał, że numery nadrukowano na zwykłej kolorowej drukarce. Logan zdjął fałszywe numery, podał centrali prawdziwe i rozpromienił się, słysząc odpowiedź. Dumny z siebie wrócił do „Simona”, którego Steel przepytывała właśnie z zajęć, jakim oddawał się w poprzedni poniedziałek i ostatni piątek wieczorami. Logan odczekał, aż skończy, i wtedy zapytał:

- Nie słyszał pan o tym, że podawanie fałszywych danych jest wykroczeniem, panie Marshall? Nie wspomnę już o fałszowaniu tablic rejestracyjnych.

Marschall skulił się, a Steel złapała go za kłapy marynarki i przeciągnęła pod jedną z czynnych latarni. Gwizdnęła przez zęby, rozpoznawszy w nim radnego Andrew Marshalla - to głównie „dzięki” niemu policja z Grampian zyskała miano bandy nieudaczników. Ohydny uśmiech rozjaśnił jej twarz, rozlewając się po niej jak pożar po klasztorze.

- No proszę, członek rady miejskiej we własnej osobie - stwierdziła z satysfakcją. - Teraz to ma pan naprawdę przesrane.

Radny Marshall zabełkotał, bardziej przerażony niż oburzony.

- Nie macie prawa tak mnie traktować!

- Czyżby? - Steel mrugnęła do niego porozumiewawczo. - Molestowanie, czynna napaść, stawianie oporu podczas aresztowania, podawanie nieprawdziwych danych, jazda na fałszywych numerach... A jak pogrzebiemy w tym pana wózku, znajdziemy coś ciekawego?

Radny spuścił wzrok.

- Tak właśnie myślałam... Chyba powinniśmy pogadać, nie sądzi pan?

Objęła roztrzęsionego Marshalla ramieniem i pociągnęła w głąb ulicy.

17

Inspektor Steel ogromnie zależało na „przesłuchaniu” radnego Marshalla bez świadków; nie chciała nawet odwozić go na komendę, dopóki z nim nie porozmawia - i to w cztery oczy. Loganowi pozostało więc wydusić przysięgę od reszty ekipy, że dochowają tajemnicy, i przeszukać samochód radnego. Znaleźli w nim trochę przerażających zabawek erotycznych i dwa specjalistyczne pisemka, tak ostre, że Logan aż się speszył. Zebrał jednak wszystko i popakował w foliowe torebki, żeby nie zostawiać odcisków palców.

Steel przeparkowała samochód, którym przyjechała z Loganem do portu, kawałek dalej, by porozmawiać z Marshalllem sam na sam. Jedyne oznaki życia we wnętrzu starego vauxhalla były żarzący się pomarańczowo czubek papierosa i dym snujący się przez uchylone okno. Logan siedział w minivanie radnego, skulony, bo przez rozbitą tylną szybę wpadał wiatr. Podjechał do bramy portowej, skąd miał widok i na vauxhalla, i na Shore Lane.

Ruch w interesie był niewielki. Obecność policjantów po cywilnie- iu sprawiła, że prawdziwe dziwki wyniosły się gdzie indziej i Menzies ?niepodzielnie rządziła Shore Lane. Posterunkowa Davidson w podobny sposób objęła we władanie James Street. Przez tę jedną noc bardziej przysłużyły się sprawie oczyszczenia portu z prostytutek niż wielomiesięczna współpraca policji z okolicznymi mieszkańcami. Najlepsza metoda na ograniczenie seksbiznesu: zamiast tracić czas na kampanie uświadamiające i inne inicjatywy społeczne, wybiera się dwie brzydkie policjantki, robi je na dziwki i przydziela im dwudziestu alfonsów po cywilnemu. I problem rozwiązany.

Wstrząsany dreszczami Logan postawił kołnierz. Lato powoli uciekało gdzie pieprz rośnie, a jesień już się pchała. Zapowiadała się kolejna zimna i mokra końcówka roku. No, powinien się przynajmniej cieszyć, że nie musi nosić pończoch, podwiązek i push-upa, od których Hannibal Lecter straciłby apetyt. Jak na dany znak zgłosiła się poste- runkowa Menzies, skarżąc się na zimno i obolałą pierś i złorzeczając wszystkim pacanom, którzy o tej porze włączą się po porcie. Czy to naprawdę potrwa jeszcze cztery i pół godziny?

W końcu w vauxhallu otworzyły się drzwi i wysiadła zgarbiona, skulona postać. Odwróciła się jeszcze i powiedziała coś do kierowcy, zanim ze spuszczoną głową powlokła się w stronę bramy i własnego samochodu. Logan wyskoczył z niego, rozpromienił się w uśmiechu i usłudnie przytrzymał radnemu drzwi. Marshall potulnie wsunął się za kierownicę, włączył silnik i omal nie wrzasnął ze strachu, kiedy Logan życzył mu szerolftpj drogi. Strzelając na boki oczami, odjechał z miejsca swojego upokorzenia najszybciej, jak mógł - nie przekraczając dozwolonej prędkości. Logan machał, dopóki minivan nie zniknął mu z oczu, a potem wziął torbę z pornograficznymi zabawkami i gazetkami i podszedł do zadymionego vauxhalla.

- Jezu, jak zimno! - Wsiadł, podkreślił ogrzewanie i zaczął rozcierać zziębnięte dłonie. - Dużo wyciągnęła pani z Marshalla?

Zamiast odpowiedzieć, Steel spytała, co ciekawego znalazł w samochodzie radnego. Logan pokazał jej torbę i zaczął z niej wyjmować foliowe woreczki z różnymi przedmiotami. Największą atrakcją zachował na koniec: ogromny, czerwony, gumowy fallus, pokryty wypustkami, z pilotem zdalnego sterowania. Bawiąc się pokrętłami i przyciskami, Steel wprawiła go w ruch - drżał i wibrował, a gruzelki na powierzchni przesuwały się i obracały. Wibrator miotał się w torebce jak groźna larwa, która za wszelką cenę chce się wydostać na wolność.

- Piękna rzecz - stwierdziła pani inspektor, odczytując nadrukowaną na boku nazwę urządzenia: „Awanturnik analny”. - Świetna zabawa dla całej rodziny. - Wcisnęła jeszcze jeden guzik i końcówka wibratora zaczęła gwałtownie pulsować. Omal go nie upuściła. - Jezu, on żyje. On żyje! - Uśmiechnęła się, wyłączyła gadżet i rzuciła go przez ramię na tylne siedzenie. - Czyli nic nielegalnego, tylko zabawki dla dorosłych?

- Na to wygląda. A jak pani poszło? Dowiedziała się pani czegoś od naszego przyjaciela z rady miasta?

- Owszem. - Uśmiech Steel był niemal równie obleśny, jak czerwony gumowy fiutek na baterie. I ani słowa więcej.

- Powie mi pani? - spytał w końcu Logan.

- Nie.

Minęło w pół do dwunastej. Niewiele się działo. Zanim dzwony kościoła Świętego Mikołaja wybiły północ, Menzies doczekała się tylko trzech propozycji, licząc tę od radnego Marshalla. Posterunkowej Davidson szło niewiele lepiej: cztery okazje. Żaden z niedoszłych klientów nie wyglądał jak potencjalny morderca, ale na wszelki wypadek wszystkich zatrzymano. Rano ktoś sprawdzi, jakie mają alibi na poniedziałkową i piątkową noc. Logan nie robił sobie wielkich nadziei.

Stłumił ziewnięcie i zaproponował, że przyniesie coś do jedzenia - w końcu byli na służbie od ósmej rano...

- Od ósmej?! - prychnęła Steel. - Ja zaczęłam o siódmej. A pan się jeszcze przekimał dwie godzinki po południu. To porażająca różnica.

Logan uniósł brwi.

- Nie wiedziałem. Rano pojechałem z inspektorem Inschem na ? miejsce innego morderstwa, a potem do wpół do szóstej byłem przy sekcji zwłok.

Steel zmarszczyła brwi.

- A po co? Przecież wiedział pan, że będzie tu siedział całą noc.

- Zgodziła się pani, żebym pomógł Inschowi!

129

- Tak? - Steel wzruszyła ramionami. - No cóż, zdarza się. - Z kieszeni kurtki wyjęła poplamiony portfel ze sztucznego tworzywa, /•a z niego dwudziestkę. - Przynajmniej na coś się pan przyda. Biały pudding¹ z frytkami, podwójną solą i octem. I marynowane jajko. I sos pomidorowy, jeśli będą mieli. Sobie też niech pan coś weźmie, cokolwiek, byle starło panu z gęby tę paskudną minę.

Logan musiał się bardzo postarać, żeby nie trzasnąć drzwiczkami z całej siły. Przeszedł Marischal Street do Castlegate, cały czas klnąc pod nosem. Im szybciej złapią drania, tym lepiej - będzie mógł wrócić do Inscha albo McPhersona. Każdy jest lepszy od tej francy.

Mimo późnej godziny na ulicach panował całkiem spory ruch, najwięcej było taksówek. Taksówki, autobusy i pijaczkowie. Ludzie przenosili się z pubów do kasyn, klubów i lokali oferujących taniec erotyczny. Przy skrzyżowaniu na środku chodnika straszyla kałuża świeżych, jeszcze parujących wymiocin. Logan okrążył ją szerokim łukiem, unikając przy okazji kontaktu z zielonym na twarzy chłopakiem, który się nad nią zataczał. Mimo paskudnej pogody duppek ubrany był tylko w dżinsy i koszulkę FC Aberdeen. Zwrócone curry kleiło się do czerwonego materiału.

Całkiem niedaleko, przy George Street, znajdowała się knajpka, w której złożył zamówienie inspektor Steel. Sam wziął sobie ekstradu-żego sztokfisz z frytkami i marynowanymi cebulkami. Zajadając frytki i zapijając je irn-bru, ruszył z powrotem do portu. Rzygacz w FC Aberdeen gdzieś zniknął. Pojawiły się tam teraz dziewczęta w mini, szpilkach i obcisłych topach. Wymachiwały butelkami baccardi bree- zera i bluzgały na przechodniów. Zataczając się, przeszły po pasach, poprosiły Logana, żeby poczęstował je frytkami, i nawrzucały mu od „głupich chujów”, kiedy tyłmówił. Westchnął i poszedł dalej - najpierw jeszcze kawałek pod górkę, potem w dół. Ryba była pyszna, świeżutka, miękka, soczysta i... Szlag by to trafił. Telefon. Przytrzymał tackę jedną ręką, wytarł palce w papier i wyjął komórkę.

- Halo? Sierżant McRae? - Męski głos. Logan potwierdził. - Cieszę się. Podobno chciał pan ze mną rozmawiać. Mówi posterunkowy Taylor.

Kto taki? Zaraz, zaraz.

- Posterunkowy Taylor! - przypomniał sobie wreszcie, usiłując przykryć frytki papierem, żeby nie stygły. - Pan patroluje port, tak? Shore Lane, Regent Quay, te okolice... Zgadza się?

- Tak.

- Szukam młodej dziewczyny, czternaście, szesnaście lat. Pracuje na Shore Lane. Litwinka, nowa w mieście, ładna, włosy jak gwiazda rocka sprzed dwudziestu lat. Przedstawia się jako Kylie Smith. Interesuje mnie ona i jej alfons.

Chwila ciszy. I potem:

- Nie kojarzę. Ale mogę popytać.

- Będę wdzięczny. Dalej: kobieta. Biała, po czterdziestce, foliowa peleryna, czarny koronkowy gorset, wysokie buty. Blondynka, krótkie włosy, trwała. Wygląda mi na stałą pracownicę. Ostatnio dostała od kogoś ostre bęcki. Muszę z nią porozmawiać. To pilne.

Tym razem nie musiał czekać na odpowiedź.

- To mi pasuje do Agnes Walker. Dla przyjaciół Agnes Cichodajka. W tej chwili jest chyba na kuracji metadonowej.

- Ma pan jej adres domowy?

Posterunkowy Taylor nie miał zamiarów na Agnes przy sobie, ale obiecał, że ich poszuka. Logan podziękował i się rozłączył. Kiedy dotarł do samochodu, frytki inspektor Steel były jeszcze w miarę ciepłe. Bez słowa pochłonęła kolację. Logan dopił irn-bru.

- No... - Steel zlizła z palców resztkę soli i usadowiła się wygodnie za kierownicą. - Wracamy do roboty.

Piętnaście minut później głośno chrapała.

Logan westchnął. Zapowiadała się długa noc.

Koło wpół do trzeciej obudził panią inspektor. Plecy zaczynały go boleć od siedzenia w wozie i patrzenia, jak nic się nie dzieje. Czekając, aż Steel wyziewa się, wymruca i zapali następnego papierosa, wysiadł, żeby rozprostować nogi. Para z jego oddechu mieniła się w świetle latarni. Z tyłu cumował ogromny niebieskozielony statek zaopatrzeniowy; w ciemnych, pustych oknach odbijało się nocne miasto. Gdzieś fz oddali, z doków, dobiegały metaliczne szczęki; niebieskie światło i snopy iskier rozświetlały spawaną rosyjską jednostkę, pomalowaną na czerwono i poznaczoną zaciekami rdzy i brudu. Trzasnęły zamykane drzwi. Zajączał żuraw. Rozległ się pijacki śpiew.

Z rękami wbitymi głęboko w kieszenie Logan wybrał się na obchód okolicy. Wkrótce nocne kluby zamkną podwoje i dostarczą dziewczynom ostatnią partię klientów; będą miały niepowtarzalną okazję zro- ~ ić loda jakiemuś pijaczkowi w bramie - albo dać się pobić na śmierć i skończyć w rowie. A policja nie ma pojęcia, kiedy i gdzie morderca uderzy. I czy w ogóle zaatakuje. Dziś? Jutro? Pojutrze? Jeśli nawet upatrzy sobie ofiarę - jak się o tym dowiedzieć? Przecież jeżeli 'e wybierze któreś z wysłanych na wabia policjantek, jeżeli zgarnie awdziwą panienkę zamiast Siostry Paskudy z operacji „Kopciuszek”, dowiedzą się o tym, dopiero kiedy znajdą kolejne zwłoki. I zapłacą za to. Już widział te nagłówki w gazetach: „Uprowadzono kobietę. Policja się przyglądała!” Albo „Seryjny morderca znów uderzył - tym razem prawie na oczach policji!” Albo po prostu „Sierżant McRae znów zawałił sprawę!!!”

„To ja obmyśliłem ten plan. - Logan »Łazarz« McRae, dawny policyjny bohater, przyznaje się do porażki. - Przeworsowałem go, mimo że był gównem wart. Wystarczyło obserwować ulice, ale okazało się, że nawet do tego się nie nadajemy. Porwał ją, a my palcem nie kiwnęliśmy.

Komenda policji w Grampian w dniu dzisiejszym poinformowała o zawieszeniu sierżanta McRae w obowiązkach...”

Skręcił w lewo z Commerce Street tuż przed maleńkim płatnym parkingiem - trójkątnym skrawkiem asfaltu z parkometrem. Stał na nim tylko nieoznakowany ford transit z grupą policjantów w środku; Logan miał ochotę im pomachać, ale dał sobie spokój. Wiatr się wzmaczał, lodowate podmuchy wysysały mu resztki ciepła z policzków i mroziły koniuszki uszu. Minął sklep z materiałami budowlanymi i niewielki kompleks biurowy, zaglądając w odchodzące na boki zaułki. Niewiele dziewczyn zostało w pracy - albo spłoszyło je zimno, albo obecność policji. Ciekawe, czy zniechęci się także morderca. Może nie stanie mu na oczach armii świadków z WK. Albo farfocel skurczy mu się na zimnie i okładanie kobiety cegłą po głowie za cholere mu nie pomoże. Mniejsza o przyczyny - Logan miał przecucie, że ich człowiek tej nocy się nie pokaże. Na próżno tracą czas.

Stoi na rogu i stoi, wieki całe, a tu przecież zamarnąć można, do diabła! Przepętuje z nogi na nogę, żeby pobudzić krążenie krwi; chucha w ręce. Para bucha jej z ust, na chwilę rozgrzewa czubki palców, ale przeraźliwie zimny wiatr szybko porywa tę odrobinę ciepła.

- Psiakrew...-mruczy pod nosem.

Gdyby nie to, że tak rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy... Powinna siedzieć w domu, przy kominku, z butelką wódki, oglądać jakiś fajny film w telewizji...

Za dużo by chciała, prawda? Nie mógłby Joe zwlec dupska z kanapy i iść do roboty? Ale nie, wolał przeszukać mieszkanie, zgarnąć kasę przeznaczoną na opłatę za światło i się ulotnić. Co by zrobili bez światła? Przedpłata na prąd się kończyła, więc on poszedł chlać, a ona - na ulicę. W taki ziąb. Wszystko po to, żeby nie musieli siedzieć po ciemku.

- Zastrany sobek.

Nie zostawił ani grosza, nie miała nawet na fajki i musiała wyżebrać kilka od Joanny. Pokręciła głową. Pusto, żywego ducha. Dość tego dobrego. Pozbędzie się obiboka. Nigdy nie był dla niej miły - nic, tylko pretensje i wymagania...

Samochód. Zwalniał.

Wyprostowała się i uśmiechnęła z wysiłkiem. Ładna bryka, taka, co to teraz reklamują. Ktoś, kto czymś takim jeździ, na pewno ma trochę szmalu. Obciągnęła stanik, odsłaniając więcej biustu.

Może ta noc nie będzie zupełnie stracona.

18

Słońce zdążyło się wspiąć wysoko na niebo, zanim o wpół do dziesiątej Logan przywłókł się do pracy. Ten dyżur trwał stanowczo za długo: od ósmej rano we wtorek do piątej rano we środę. Dwadzieścia jeden godzin. Kiedy szedł po schodach do swojego mieszkania, świat wyglądał coraz dziwniej. Jego ręce przy każdym ruchu zostawiały po sobie mgliste ślady, oczy - kiedy się rozglądał - świszczwały głośno. Przespał się chwilę, wykapał pod prysznicem, z grubsza ogolił i zdążył do pokoju operacyjnego inspektor Steel na samą końcówkę spotkania z szefem WK, który przedstawił im najnowsze informacje.

Wszyscy zatrzymani mieli niepodważalne alibi na poniedziałek i piątek; o dziwo, sprawę radnego Marshalla i jego awanturnika anal- ego pominięto milczeniem. Mordercy nie złapano. Kiedy ekipa z WK wyszła, a posterunkowi zajęli się milionem zadań, które obmyśliła dla eh Steel, inspektor wzięła Logana na stronę i powiedziała mu, że wy- ąda jak odgrzana w mikrofalni kupa.

- Wielkie dzięki. - Potarł zmęczoną twarz. - Przez ostatnie półtora ia spałem w sumie ze dwie godziny.

Steel spojrziała na niego wyniośle.

- To tak jak ja, tyle że ja nie wyglądam w pracy jak zombi.

Łże jak najęta. Poprzedniego dnia poddała swoje włosy jakiemuś magicznemu zabiegowi, jednak fryzura nie przetrwała nocy. Kostium miała ten sam - nowy, może tylko trochę bardziej pognieciony - ale jej głowa przypominała spłoszonego ichneumona.

Logan wytrzeszczył oczy.

- Przespała pani pół nocy! Ja pilnowałem Shore Lane, a pani chrapała w najlepsze!

Uśmiechnęła się, bynajmniej niespeszona.

- Tak? No wie pan, przywilej rangi i tak dalej. Chodźmy. Po drodze kupię panu bułkę z bekonem.

- Po drodze dokąd?

Ale inspektor Steel już wyszła.

Z niezrozumiałych powodów jej twierdzenie: stałe dyżury są dla mięczaków, nie odnosiło się do posterunkowego Renniego, który zapowiedział, że przyjdzie po południu. Logan musiał sam wziąć służbowy samochód i zawieźć Steel do szpitala. Koncentrował się wyłącznie na tym, by uniknąć zderzenia z innymi pojazdami. Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle przy Westburn Road - po jednej stronie mieli świeżą zieleń Victoria Park, po drugiej rozległe, otwarte przestrzenie Westburn Park - Steel paliła kolejnego papierosa po przekąsce.

- Chyba się już pan nie złości, co? - spytała, kiedy światła się zmieniły i zaczęły pełznąć naprzód.

- Ja się nie złościę. Jestem zmęczony.

- Tak? - Spojrzała na niego z powątpiewaniem. - To czemu nie zapytał pan, po co jedziemy do szpitala?

Logan westchnął.

- Odwiedzimy Jamiego McKinnona.

- Zgadza się. A wie pan po co?

- Niespecjalnie mnie to interesuje.

- Według uznania.

Na oddziale panował względny spokój. Większość łóżek była zajęta; chorzy siedzieli sobie, czytali gazety albo gapili się przez okno. Jamie McKinnon, przeniesiony na łóżko w kącie sali, leżał na boku, skulony pod kocem i odwrócony plecami do drzwi.

Steel przysiadła na łóżku i przywitała go wesołym:

- Jamie, owsiankowy chłoptasiu, jak leci?

Chory z sąsiedniego łóżka chrząknął znacząco i zaszeleścił głośno gazetą.

- Nie bądź niegrzeczny, Jamie. Masz gości. Przyniosłam ci winogrona. - Wyjęła z kieszeni torebkę cukierków i rzuciła ją na łóżko.

- A właściwie galaretki winogronowe. Ale liczą się chęci, prawda?

McKinnon obrócił się i spojrzał na nią spoje zdrowym okiem. Siniaki jakoś nie bardzo chciały zniknąć mu z twarzy. Ba, wyglądał chyba gorzej niż poprzednio.

- Wal się.

- Ech, Jamie, Jamie, Jamie... Gdybym miała więcej czasu... Wiesz, znaleźliśmy wczoraj taki ogromny, naprawdę ogromny wibrator. Ale powiem ci w sekrecie, że strasznie zre baterie. - Wzięła galaretki do ręki. - Chcesz je czy nie?

Wyrwał jej torebkę.

- Nic się nie stało - burknął.

- Nie... - Steel przerwała i obejrzała się przez ramię na Logana, który stał obok łóżka. - Na miłość boską, niechże sobie pan weźmie jakieś krzesło. Z tą miną wygląda pan jak przedsiębiorca pogrzebowy.

Logan, mrużąc, przysunął sobie krzesło z pomarańczowego plastiku. Zanim jednak zdążył na nim usiąść, Steel kazała mu zaciągnąć parawan wokół łóżka.

- Od razu lepiej - stwierdziła, kiedy zasłonka oddzieliła ich od sali.

- Przytulniej. No, słoneczko... - Szturchnęła Jamiego w ramię. - Taka jedna milusia pielęgniarka powiedziała mi, że miałeś wieczorem gości. Podobno po ich wyjściu wezwałeś ją i trzeba ci było przeświecić rączkę.

Logan spojrzał na lewą dłoń Jamiego: cztery palce - wszystkie poza kciukiem - były usztywnione i razem owinięte bandażem.

- No bo... Przewróciłem się.

- Przewróciłeś się. - Steel pokiwała głową. - Przewróciłeś się i złamałeś sobie cztery palce.

- Właśnie.

- A przy okazji podbiłeś sobie oko. - Wskazała świeżą opuchliznę.

- Przewróciłem się, przecież mówię! Poleciałem na twarz, próbowałem oprzeć się na rękę i połamałem palce.

- Serio?

Jamie nagle zainteresował się galaretkami. Próbował otworzyć to- cebkę obandażowanymi palcami, ale koniec końców musiał sobie pomóc drugą ręką.

Logan mógł teraz zagrać rolę dobrego policjanta.

- Kto to był, Jamie? Ci ludzie, którzy do ciebie przyszli... Kim byli?

Jamie wzruszył ramionami. Nie odrywał wzroku od cukierków.

- Znajomi. No wiecie, kumple...

- Gówno prawda - prychnęła Steel. - Wiesz co, Jamie? Mnie się wydaje, że ci twoi goście chcieli ci przekazać jakiś trefny towar, więc na wszelki wypadek zadzwonię po chłopaków z wydziału narkotykowego i każę zrobić ci pełną rewizję osobistą. Co ty na to? - Uśmiechnęła się złośliwie. - Hm? Wyobraź sobie: kudłata męska łapa pakuje ci się do tyłka i szuka paczuski z rozweselaczem. I jak? Duża, bardzo duża, owłosiona ręka...

- Nic mi nie dali! Jasne? Chcieli, ale nie wziąłem.

Uśmiech Steel złagodniał.

- Chciałabym ci wierzyć, Jamie. Naprawdę bym chciała. Ale musiałbyś mi powiedzieć coś więcej. Potrzebuję nazwisk.

- Nie znam ich nazwisk!

Pokręciła głową. Udała, że naciąga na rękę lateksową rękawiczkę - długą, do łokcia - naśladując przy tym stosowne odgłosy. Spanikowany Jamie spojrzał na Logana.

- Nie znam ich! Nie przedstawili się! Proszę...

- Czego chcieli?

- Zostać moimi dostawcami. Powiedziałem, że już nie bawię się w to... - Podniósł rękę. Między palcami, tam, gdzie bandaż nie sięgał, widać było sińce. - To ich robota.

- Dlaczego nie wezwałeś pomocy?

Jamie roześmiał się z goryczą.

- A niby jak? Ten wielki przygniótł mnie do łóżka i wcisnął mi szmatę do ust, a ten drugi, taki rozchichotany, połamał mi palce. Nawet nie mogłem krzyczeć.

- Nikt nic nie widział?

- Zaciągnęli parawan.

- Mogłeś się poskarżyć, jak tylko się zmyli.

Jamie zdrową ręką dotknął opuchniętego oka. Skrzywił się z bólu.

- Powiedzieli, że wrócą. I że wiedzą, gdzie mieszkam. Grozili, że jak ich wydymam, zabawią się z moją siostrą.

Steel przysłuchiwała się tej rozmowie, zamyślona. Kiedy uznała, że nic więcej z McKinnona nie wycisną, zeskoczyła z łóżka i kiwnęła na Logana.

- Dzięki, Jamie. Pewnie się nie ucieszysz, jak ci powiem, że w piątek w nocy ktoś zakatował następną kurewkę.

Jamie zeszywniał.

- Nie podniecaj się - ciągnęła Steel. - Traktujemy to jako oddzielną sprawę. Ty pójdziesz siedzieć za to, co zrobiłeś Rosie. Bo widzisz, rano dostaliśmy wyniki z laboratorium: Rosie nosiła twoje dziecko. Wiedziałeś o tym. Nie mogłeś znieść myśli, że jacyś faceci będą co noc pukać matkę twojego dziecka. - Uśmiechnęła się szeroko, widząc, jak Jamie blednie. - No, baw się dobrze.

Płakał, kiedy wychodzili ze szpitala. Steel zadzwoniła do znajomka z narkotyków: Jamie McKinnon, pełna rewizja osobista.

Ailsa zmywała naczynia ze śniadania; zlew był pełen ciepłych mydlin. Zwykle zmywała od razu po śniadaniu, ale dziś odłożyła to na później. Gavin - dobry chłopak - kupił jej zmywarę, ale włączać ją dla dwóch talerzy na krzyż? To już marnotrawstwo. Nie mogła jednak znieść myśli, że naczynia miałyby gnić w zlewie do wieczora - wołała i, więc zmywać ręcznie. Wyglądała przez kuchenne okno, za ogrodzenie, patrzyła, jak dzieci przecinają trawnik i znikają w szkole. Modliła się w duchu, żeby pewnego dnia mogła tak odprowadzać wzrokiem własne dziecko... Teraz plac zabaw był pusty. Zapelni się podczas pierwszej długiej przerwy. Westchnęła i zabrała się do oskrobywania talerzy z przyschniętej jajecznicy.

Wieczorem Gavin był w paskudnym nastroju. Znów musiał zostać do późna - a przecież obiecał, że to się zmieni! - i kiedy w końcu wrócił, ta hetera z sąsiedztwa pałętała się po ogródku. Zataczała się, klęła i darła na swojego chłopaka. Gavin zostawił teczkę w

przedpokoju i od razu poszedł do sąsiadów, żeby przemówić im do rozsądku. Przy Ailsie jeszcze nigdy tak nie kłął - ale na tamtej suce nie zrobiło to wielkiego wrażenia: dla odmiany zaczęła się wydzierać na niego. Nie tylko wydzierać, bo zaraz potem rzuciła się na niego z łapami... Wrócił z podbitym, okiem. Zadzwoił po policję, chociaż oboje wiedzieli, że to niewiele da. Nie chciał jeść kolacji, którą mu Ailsa przyszykowała; wołał napić się, whisky. I mimo że w rozpisce, którą dostali od lekarza, jak byk stało, że: mogą próbować co noc, dopóki ona owuluje, powiedział, że nie da rady; nie po takim długim dniu w biurze i bijatyce na dobranoc. Raczej wypije drinka i poogląda telewizję. Ailsa poszła do łóżka sama. Ta głupia menda wszystko zepsuła...

Znów westchnęła i odłożyła ostatni kubek na suszarkę. Hałas za ścianą znów się wzmógł: krzyki, przekleństwa, trzask tłuczonych naczyń.

Chłopak o szczurzej twarzy wykuśtykał do ogródka, osłaniając głowę rękami, bo w ślad za nim przez okno poleciała butelka po piwie. Zaraz potem wybiegła wiedźma - pijana, o wpół do jedenastej rano! W dodatku pociągała z następnej flaszki. Chłopak próbował uskoczyć, ale złapała go za kołnierz i uderzyła pięścią w twarz!

Bije go-w ogródku, na oczach wszystkich!

Krew płynęła mu z rozbitego nosa. Zatoczył się i następny cios chybił. Osunęła się na trawę i rozpłakała, a on odwrócił się i pobiegł do domu, wrzeszcząc, że ma dość i tym razem naprawdę odchodzi. Trzasnęły drzwi.

I tyle go Ailsa widziała.

A ta straszna kobieta obróciła się na plecy, jak wyrzucony na plażę wieloryb w dresie, i zaczęła chrapać. Ailsa zadrzała. Może powinna wezwać policję?

Nie zrobiła tego. Wzięła ścierkę i zaczęła wycierać naczynia.

Pielęgniarka, która opatrzyła Jamiemu połamane palce, nie była najładniejszą z kobiet, jakie na przestrzeni dziejów przywdziewały pielęgniarski mundurek: brunetka, włosy w kok, zadarty nos, spiczaste uszy, wąskie wargi - ale inspektor Steel od razu coś w niej urzekło, bo przysiadła na krawędzi biurka i nie odrywała od niej oczu, kiedy ta opowiadała o gościach, Igórze w nocy przyszedł do McKinnona. Dwaj mężczyźni w garniturach, felondyn, krótkie włosy, piękne zęby, i brunet, dłuższe włosy, do ramion, wąsy.

W głowie Logana zadźwięczał dzwonek alarmowy.

- A nie mówili czasem z edynburskim akcentem?

Mówili.

Steel stawiała opór, ale w końcu zdołał ją wyciągnąć z dyżurki i zawlec do biura ochrony, gdzie strażnik, sam jeden, gapił się na monitory. Miał na sobie standardowy mundur w kolorze ekskrementów z mosiężnymi guzikami i żółtymi wstawkami, które niepokojąco przypominały kawałki kukurydzy. Trochę to trwało, ale wreszcie udało się go przekonać, żeby pokazał im nagranie z ostatniej nocy. W sali, gdzie leżał McKinnon, nie było kamery, ale była na korytarzu, całkiem niedaleko. Logan przewinął taśmę na podglądzie. System rejestrował pojedyncze klatki co dwie sekundy, dlatego lekarze, pielęgniarki, pacjenci i goście przemylkali po ekranie w dziwnym, szarpanym tańcu. W kadrze pojawiły się dwie postawne sylwetki, przeszły korytarzem i zniknęły w okolicy sali Jamiego. To było o dwudziestej drugiej siedemnaście; oficjalnie odwiedziny kończyły się o dwudziestej. Dwie postaci ponownie pojawiły się o dwudziestej drugiej trzydzieści jeden. Czternaście minut łamania palców i grożenia rodzinie McKinnona. Logan zatrzymał odtwarzanie: teraz, kiedy intruzi szli w stronę kamery, mógł dobrze się przyjrzeć ich twarzom. Jakość obrazu nie była najlepsza, ale wystarczająca: blondynem w garniturze był „doradca inwestycyjny”, z którym Miller jadł śniadanie w pubie. Drugi mężczyzna do złudzenia przypominał kierowcę, który czekał wtedy w samochodzie, aż Miller zgodzi się napisać laurkę o nowym przedsięwzięciu McLennan Homes.

- No, jesteśmy w domu!

- Że co? - Steel siedziała rozwalona na krześle, nie zwracając uwagi ani na monitory, ani na poruszające się na nich kukielki.

Logan postukał w ekran.

- Ten gość pracuje dla Malcolma McLennana.

Steel zakłęła szpetnie.

- Jest pan pewien?

- Na bank. Cokolwiek ten pani kumpel wydlubie z tyłka Jamiego, będzie to należało do Malka Majchra.

19

O jedenastej byli w drodze do redakcji największej lokalnej gazety. Logan prowadził, Steel siedziała obok, niespokojna, i skubała paznokcie kciuka.

Zleciła stały nadzór nad Jamiem McKinnonem - nie wolno mu było nawet wychodzić do łazienki - do czasu, aż pojawi się jej znajomy z narkotyków, uzbrojony w lateksową rękawiczkę. Chciała za wszelką cenę znaleźć haka na bandziorów z południa, ale oboje zdawali sobie sprawę, że zebranie odpowiednich dowodów będzie trudne. Logan jakoś nie mógł sobie wyobrazić Jamiego McKinnona, który zdobywa się na odwagę, staje przed sądem i mówi: „Tak, Wysoki Sądzie, to właśnie ci dwaj ludzie wepchnęli mi w tyłek sześć kilo koki”. Nie zrobi tak, bo nie chce skończyć w płytkim grobie gdzieś wśród okolicznych wzgórz.

Ale może będą mieli szczęście.

Przejechali Anderson Drive i wjechali na Lang Stracht. Redakcja „Press and Journal” - wiadomości lokalne od 1748 - wraz z siostrzanym „Evening Expressem” mieściła się w kompleksie przysadzistych betonowych klocków w niedużej dzielnicy przemysłowej, pełnej salonów samochodowych i magazynów. Wielkie otwarte biuro redakcji zostało podzielone na boksy i Logan za każdym razem dziwił się, że panuje w nim taka cisza; mącił ją tylko plastikowy klekot klawiatur, nakładający się nań pomruk klimatyzacji i - z rzadka - przyciszone rozmowy. Tylko Colin Miller siedział przy komputerze i walił w klawiaturę z taką złością jakby właśnie przed chwilą nawzywała mu matkę od najgorszych. Sąsiednie biurka były zavalone papierami, zastawione kubkami ze stygnącą kawą i zajęte przez okularników. Wszystkie głowy w promieniu ośmiu biurk podniosły się, gdy Logan położył Millerowi dłoń na ramieniu i poprosił go na słówko.

- A żeby cię wszyscy diabli! Nie widzisz, że jestem zajęty?!

- Colin... - powiedział Logan ściszone, przyjacielskim głosem.

- Uwierz mi, że tym razem naprawdę chcesz z nami pogadać. A będzie znacznie sympatyczniej, jeśli spotkamy się na wczesnym lunchu niż w komendzie. Więc jak?

Miller spojrzął na ekran i widniejący na nim artykuł - coś o dobroczynnej sprzedaży ciasteczek w Stonehaven, jeśli Logan się nie mylił

- po czym wcisnął Ctrl-Alt-Del i zablokował komputer.

- Chodźmy. - Podniósł się i wziął wiszącą na oparciu krzesła marynarkę. - Wy stawiacie.

Nie poszli do najbliższego pubu - Miller twierdził, że roi się w nim od wścibskich dziennikarzy, a jeśli ze spotkania wyniknie jakaś ciekawa historia, chce ją mieć tylko dla siebie. Kazał Loganowi jechać do centrum i zostawić samochód na parkingu przy komendzie, skąd w dwie minuty pieszo dotarli do Moonfish Café przy Correction Wynd. Po drugiej stronie wąskiej i ciemnej uliczki granitowy mur, wysoki na dobre sześć metrów, powstrzymywał napór ziemi i grobów z Centrum Umarłych - cmentarza przy kościele Świętego Mikołaja. Schwytane między kościelną iglicę i gałęzie powykręcanych wierzb niebo miało zimny odcień błękitu. Zaczęli zamawiać, kiedy Steel poruszyła się niespokojnie, a potem wyjęła z kieszeni komórkę.

- Z wibratorem - wyjaśniła, mrugając porozumiewawczo. - Tak? Słucham? Nie, w restauracji... No tak... Susan! Nie, nie dlatego... Wiem, że ci smutno, ale... - Zakłęła, wstała, zgarnęła żakiet z oparcia krzesła i wybiegła z pubu. - To nie tak, Susan...

- A zatem... - mruknął Logan. Za oknem Steel chodziła po chodniku w tę i z powrotem i wymachiwała ręką, więc dym ze świeżo zapalonego papierosa kreślił w powietrzu najdziwniejsze kształty. - Co u Isobel? Lepiej się czuje?

- Jak to: lepiej? - zdziwił się Miller.

- Doktor Fraser mówił, że się pochorowała.

- A, o to chodzi... - Dziennikarz wzruszył ramionami. - Przeziębienie, brak snu, wiesz, jak to jest.

Zapadło krępujące milczenie. Podano świeży chleb. Wzięli sobie po kromce i wdali się w niezobowiązującą pogawędkę o szansach FC Aberdeen w zbliżającym się meczu z Celtikiem, czekając, aż Steel skończy zażartą i - chyba - głośną kłótnię. W końcu drzwi otworzyły się z impetem i inspektor wparowała do pubu. Opadła ciężko na krzesło i wpatrzyła się w tablicę z wypisanymi daniami dnia.

- O co chodzi? - spytał Miller, kiedy kuchnia przygotowywała dla nich strzępiela w maśle rakowym.

- Już ty wiesz. - Steel spojrzała na niego z ukosa. - W zeszłym tygodniu umówiłeś się na śniadanie z jakimś dupkiem z Edynburga. Chcę wiedzieć, kto to był. Mam do tego prawo.

Miller uniósł brwi i, zamyślony, pociągnął łyk sauvignon blanc, zerkając na nią znad kieliszka: obwisła szyja, ostre rysy, zmarszczki, potargane włosy, żółte od nikotyny zęby.

- Rany, Łazarz... Twoja mama chyba na mnie leci - odezwał się wreszcie.

Loganowi udało się nie uśmiechnąć.

- Podejrzewamy, że twój „doradca inwestycyjny” poturbował wczoraj kogoś w szpitalu. Może nawet wmusił mu narkotyki do dalszej dystrybucji.

Dziennikarz jęknął i opróżnił kieliszek do połowy.

- Ja nic nie wiem, jasne? - Odsunął krzesło i wstał. - Wrócę taksówką...

Logan złapał go za rękę.

- Nie chcemy cię do tego mieszać. Potrzebujemy tylko informacji. Gdyby ktoś pytał, nic nam nie powiedziałaś.

- Akurat... - Miller spojrzał podejrzliwie na inspektor Steel. - Zresztą i tak wam nic nie powiem.

- Posłuchaj no, glasgowiański brudasie. Wolisz, żebym cię siłą zawlokła na posterunek i zmusiła do złożenia zeznań? Tego właśnie sobie życzysz?

- A to dopiero! Niby jak chcesz to zrobić, babciu? Nic ci nie muszę mówić, jeśli nie mam na to ochoty. Nakaz sądowy? Najpierw musisz ruszyć to swoje pomarszczone, śmierdzące dupsko i go załatwić.

Steel zerwała się na równe nogi, wyszczerzyła zęby i prawie rzuciła się Millerowi do gardła.

- Co ty sobie, kurwa, myślisz? Że kim jesteś?

- Ja? - Uderzył się pięścią w pierś. - Dziennikarzem wolnej prasy. Chcesz zobaczyć swój paskudny ryj na pierwszej stronie? Uważaj, bo jednym artykułem mogę ci rozdupczyć karierę.

Tego Logan by nie chciał: gdyby Steel została objechana na łamach „P&J”, przypowiaстка Napiera o lisie i kurczęciu znalazłaby zastosowanie i on wyleciałby z pracy.

- Pani inspektor... - Położył dłoń na jej żółtej od papierosów, drżącej pięści. - Pozwoli pani, że to ja porozmawiam z panem Millerem. Pani na pewno ma ważniejsze...

Ale Colin Miller nie czekał: porwał z wieszaka marynarkę i wybiegł z pubu. Trzasnął drzwiami z taką siłą, że zagrzechotało szkło w barze.

Steel odprowadziła go wzrokiem.

- Wracam na ranczo, gdyby mnie pan szukał - oznajmiła i również wyszła. i

Logan zwiesił głowę i oparł ją o blat stołu. Pod czaszką, za oczami, już czaiły się pierwsze zwiastuny migreny. Co za koszmarna baba: wystarczyło usiąść i spokojnie pogadać z Millerem, wysondować go, wydobyć od niego jedno nazwisko - i dalej pociągnąć sprawę na własną rękę. Ale nie: musiała go zdenerwować.

- Ehm... Przepraszam?

f.l

liii

4 1

Logan otworzył jedno oko: za jego plecami pojawił się niebieski fartuch. Śliczna brunetka balansowała trzema talerzami. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Strzępiel?

Kiedy wrócił do komendy i otworzył drzwi pokoju operacyjnego, zobaczył Steel pogrążoną w rozmowie z zastępcą komendanta. Nie miał ochoty na cywilizowaną dyskusję, nie po tym, jak na złość wszystkim próbował niedawno zjeść trzy porcje ryby - przeżuwał i myślał.

- O rany, panie sierżancie... Nic panu nie jest? - Posterunkowy Rennie pakował się do pokoju z kawą i herbatnikami w czekoladzie na tacy. - Wygląda pan jak wy... no, beznadziejnie.

Logan nie odpowiedział. Wziął tylko kubek brązowej lury i podszedł do biurka, które dzielił z funkcjonariuszką z administracji. Pół blatu zajmowały schludne stosy papierów i wiekowy komputer, drugie pół - należące do niego - było puste. Na środku widniała nowiutka żółta samoprzylepna karteczka. Nabazgrano na niej mniej więcej coś takiego: „Aopen Wulhir” oraz adres: „Sanittfiuld Drive” albo „Sunithfiuld Drive”. Posterunkowy Rennie, mijając biurko, rzucił okiem na kartkę.

- Smithfield Drive? Moja stryjeczna babka tam mieszkała. Bardzo miła starowinka: uwielbiała Coronation Street. - Poczęstował Logana ciastkiem. - Nie przegapiła ani jednego odcinka, dopóki nie odwieźli jej do kostnicy. W krematorium zagrali jej motyw muzyczny z serialu.

Logan podstawił mu kartkę pod nos.

- A to?

Wskazał na „Aopen Wulhir”. Rennie zmrużył oczy.

- To będzie chyba... Agnes Walker... Agnes Cichodajka? Kiedyś jęzgar- nąłem w porcie za zakłócanie porządku. Zarzygała mi cały tył radiowozu.

To do niej pasowało.

- Jest pan wolny? - spytał Logan.

Rennie kiwnął głową. Tego dnia miał tylko parzyć kawę i przekładać papiery z miejsca na miejsce.

Wzięli jeden z nowszych służbowych wozów. Rennie prowadził, Logan rozsiadł się w fotelu pasażera. W samochodzie było ciepło, słońce prażyło przez przednią szybę, otulając go jak ciepły koc i wzmagając nasenne działanie obfitego lunchu. Odpływał - nie spał, ale i nie był całkiem przytomny. Rennie wybrał drogę przez centrum i bajdurzył coś o tym, jak ktoś z obsady Home and Away przeszedł do EastEnders, gdzie gra czyjegoś wuja. Logan oparł głowę o szybę i zupełnie go nie słuchał. Kolejne ulice prześlizgiwały się za oknem, minęli Victoria Park, skręcili w Westburn Road. Przy szpitalu stanęli na czerwonym świetle. Wtedy zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia: nadal nie znalazł czasu, żeby odwiedzić umierającego Maitlanda... Czerwone, żółte, zie- lone - ruszyli, zostawiając szpital w tyle.

Smithfield Drive biegła po drugiej stronie North Anderson Drive, powyżej przelotowej dwupasmówki, do miejsca, w którym spadała z ostatniego pagórka i kończyła się przy rondzie Haddington. Zabudowa była w tej okolicy standardowa - komunalne, granitowe klocki,

typowe dla sporych obszarów Aberdeen. Cichodajka mieszkała w piętrowej kamienicy z czterema lokalami, ukrytej za frontowym ogródkiem, który aż uginał się pod ciężarem krasnali, studni życzeń i ozdobnych treliazy porośniętych pnączami żółtych róż. Nie tego Logan się spodziewał. Agnes mieszkała na górze, z prawej strony. Na błyszczących czerwona farbą drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem „Saunders”. Stłumił ziewnięcie i kazał Renniemu przycisnąć guzik dzwonka. Dopiero za trzecim razem drzwi się otworzyły i przywitała ich kobieta po trzydziestce. Farbowane loki - z jednej strony przylizane, z drugiej sterczące; czarno-żółty szlafrok niedbale przewiązany w pasie - odsłonięte obfite piersi; solidne nogi wystające spod tegoż szlafrocka; rozmazany tusz wokół oczu; pomarszczona twarz, harda, ale niebrzydka. To na pewno nie była Agnes Cichodajka.

- Która to godzina, do diabła?
- Za dwadzieścia druga - odparł Rennie.
- Ożesz ty... - Przy takim ziewnięciu mogłaby połknąć dorosłego kota. - Gliny to jednak mają źle w głowach. Nie moglibyście dać się ludziom wyspać?

Rennie nie był zachwycony, że tak łatwo rozpoznała w nim policjanta.

- Dlaczego nie pofiiyślała pani, że jesteśmy świadkami Jehowy?

Westchnęła, zmierzyła go wzrokiem i ścisnęła poły szlafrocka w dłoni, zasłaniając biust i obnażając niepokojący kawał ud.

- Chyba nie jesteście, co?

- Nie, ale moglibyśmy być.

Roześmiała się i puściła szlafrok - udrapował się na niej dokładnie tak samo jak na początku, tylko ciut bardziej się rozchylił.

- A jakże. Jesteście gliniarzami, od razu widać. Czego chcecie?

- Pani...

- Saunders.

- Pani Saunders, szukamy Agnes Walker. Mieszka tu, prawda?

Zmrużyła oczy.

- A bo co?

- Chcielibyśmy... To znaczy... - Rennie spojrział bezradnie na Loganę: sierżant nawet mu nie powiedział, po co przyjechali.

- Chcemy z nią porozmawiać o pobiciu, którego ofiarą padła dwa tygodnie temu.

Saunders spojrzała na Loganę. Zapewnił ją, że Agnes nic nie grozi i nie wpakowała się w żadne kłopoty, ale chcieliby wiedzieć, kto ją wtedy pobił, żeby uniemożliwić mu powtórkę z rozrywki.

Skrzyżowała ręce na piersi... i szlafrok podjechał dobre dziesięć centymetrów do góry.

- A co takiego się stało, że tak się nagle zainteresowaliście dobrym samopoczuciem Agnes, he? Gdzieście byli, kiedy ją tak prał?! - Nastroszyła się cała. - I czemu nie przyjechaliście wcześniej?

Logan musiał przyznać, że to celne pytania.

- Powiedziała mi, że to był wypadek.

- Wypadek? - prychnęła Saunders. - Jaja sobie robicie? Widzie- ' liście, jak wyglądała.

Dobre sobie, wypadek, jakiś kutas próbował ją udusić! Cztery dni przeleżała w łóżku! Sikała krwią! Cała pościel do wyrzucenia!

- Powiedziała pani, kto to zrobił?

- Nie wiedziała. Gdyby mi powiedziała, zaraz bym do niego poleciała z jakimś zardzewiałym sekatorem i obcięła mu fiuta!

Logan zajrzał ponad jej ramieniem do ciemnego mieszkania.

- Może moglibyśmy porozmawiać w środku...

- Wykluczone. Nie daję za darmo, a już na pewno nie w trójkacie.

- Nie przyjechaliśmy tu na numerek za friko. Ani ja, ani on. - Logan kciukiem wskazał Renniego. Trudno było nie zauważyć, że posterunkowy gapi się na odsłonięte kawałki ciała pani Saunders jak ciele na malowane wrota. - Może chociaż rysopis? Mówiła, jak wyglądał napastnik?

Saunders wzruszyła ramionami.

- Średniego wzrostu, brunet, całkiem zwyczajny... - A że Logan milczał, westchnęła i dodała: - Proszę pana, ja nic nie wiem. Powie-
i działa, że miał wypasiony wóz, nową, dużejbeemkę. To pamiętam. Jeśli chcecie wiedzieć więcej, ją musicie zapytać.

- Chętnie zapytam. Gdzie jest?

- Nie mam pojęcia.

Z mieszkania dobiegł męski głos - chrapliwy, basowy, akcent fe Fraserburgha:

- Kto przylazł?

Saunders odwróciła się i odkrzyknęła:

145

- Nikt! Zaczynj beze mnie, zaraz przyjdę. - Spojrzała na Logana. f- Dziś rano nie wróciła do domu.

,10 - Zamierające światło

Ten sam męski głos:

- No idziesz, kurwa, czy nie?

Saunders westchnęła.

- Zaraz! - zawołała i wyciągnęła rękę do Logana. - Niech mi pan da wizytówkę. Każę Agnes zadzwonić, jak wróci, a jak ona nie zadzwoni, to ja to zrobię. Ten gnojek, który ją tak załatwił, powinien za to zapłacić.

Ledwie Logan zdążył jej wręczyć policyjną wizytówkę, zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

- Powie mi pan teraz, o co właściwie chodzi? - zapytał Rennie, kiedy wracali do samochodu.

- Bodajże dwanaście dni temu ktoś poważnie pobił Agnes Walker. Cztery dni później ktoś zakatował Rosie Williams. Po następnych czterech dniach zginęła Michelle Wood.

- No i? - Rennie otworzył samochód z pilota i usiadł za kierownicą.

- Może Rosie wcale nie była pierwsza? - odpowiedział pytaniem Logan, sadowiąc się obok posterunkowego. - Może zaczął polowanie już wcześniej, tyle że pierwsza ofiara stawiała opór i nie dał sobie z nią rady. Ale uczy się na błędach. Drugim razem wybrał Rosie. Albo nie była taka silna jak tamta, albo on był lepiej przygotowany, nie wiem. Tak czy inaczej bił ją i k&pał tak długo, aż umarła. Cztery dni później wrócił. Z Rosie rozprawił się tam, gdzie ją spotkał: na ulicy. Ale to ryzykowne; ktoś mógłby go zobaczyć. Więc tym razem porwał ofiarę, zanim ją zamordował, przewiózł w ciche, odludne miejsce, gdzie mógł się spokojnie z nią zabawić, nie bojąc się, że ktoś go nakryje.

Rennie zawrócił na trzy i ruszył w stronę Anderson Drive; Logan mocował się z pasem bezpieczeństwa.

- Praktyka czyni mistrza - mówił dalej. - Na razie tylko Agnes Cichodajka przeżyła napaść. Jak wrócimy do komendy, każemy jej szukać. Musimy dostać rysopis faceta.

Rennie pogwizdywał, czekając na wjazd na rondo i dwupasmów-
kę.

- Czyli Jamie McKinnon za cholere nie mógł zabić Rosie...

- Chyba że mówimy o dwóch różnych facetach.

Rennie dodał gazu, samochód wjechał na rondo i przyspieszył, zanim rozwalila go rozpedzona ciężarówka. Przemknęli na drugą stronę Anderson Drive; wracali do centrum.

- Ale pan myśli, że facet jest jeden, prawda? Logan wzruszył ramionami.

- Jeśli nie, to zbieg okoliczności byłby niesamowity. - Zapatrzył się na mijane domy przy Rosehill Drive. - Zmiana planów: wysadź mnie przy redakcji. Muszę z kimś pogadać o narkotykach.

20

Rennie odjechał, a Logan zadzwonił do Millera na komórkę.

- Colin? To ja. - Odpowiedziała mu cisza. - Posłuchaj, wiem, że Steel nieraz odbija, ale... - Nie bardzo mógł znaleźć jakieś wytłumaczenie dla zachowania inspektora, więc postanowił użyć manipulacji: - Potrzebuję twojej pomocy.

- Jestem zajęty.

- Pięć minut. Czekam pod redakcją. Wyjdź, przejdziemy się. Słońce świeci...

Ciężkie westchnienie.

- Dobra, niech ci będzie. Ale potem dasz mi spokój? Obiecujesz?

- Słowo skauta.

Dziesięć minut później Miller wyszedł z budynku - w koszuli, marynarkę zarzucił sobie na ramię. Ruszyli w górę Lang Stracht ze słońcem w oczach i spalinami w płucach.

- To jak, powiesz mi coś o swoich kumplach z południa?

- Przecież znasz odpowiedź na to pytanie. - Miller westchnął i obejrzał się na znikający im powoli z oczu szary, przysadzisty gmach redakcji. - Wszystko się popieprzyło. - Pokręcił głową. - Miałem tu mieć łatwą i przyjemną robotkę, prawda? Pierwsze strony, niezły wóz, fajna dziewczyna... - Przerwał, jakby nagle sobie przypomniał, że roz- "lawia z byłym facetem Isobel. - Sam wiesz. A teraz te palanty chcą Wszystko zepsuć.

- Czytałem twój tekst o McLennan Homes.

- Gówno, nie tekst. Wiesz, że musiałem w redakcji błagać, żeby to -szło na pierwszej stronie? - Miller uśmiechnął się z goryczą. - Kumie myślą, że straciłem dar.

- Co tamci zrobili? Grozili ci?

Miller zmarszczył brwi.

- Kto? Chłopaki od Malka? Powiedzieli to, co zwykle: że trudno się pisze bez palców, że mam fajny dom i śliczną pannę, że szkoda by było, jakby jej się coś stało z twarzą... Więc wydrukowałem, co chcieli, i jestem skończony. Zostało mi pisanie pierdoł o wyprzedających i akcjach dobroczynnych.

- Nie wiem, czy od tego lepiej się poczujesz, ale dziś w nocy połamali palec jednemu gościowi w szpitalu. W ogóle trochę go poturbowali i chyba kazali mu wsadzić sobie w dupę kondomy z prochami. - Miller prawie, prawie się uśmiechnął. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jego twarz nie była nachmurzona. - Ty chcesz się ich pozbyć, ja mogę ci to załatwić, ale potrzebuję twojej pomocy. Powiedz mi, kim są, gdzie mieszkają...

Cokolwiek.

Przez chwilę szli w milczeniu. Zawrócili w stronę redakcji. Czysty błękit nieba zaczynał blaknąć: znad morza nadciągał fioletowy wał chmur.

- Brendan Sutherland - powiedział w końcu Miller. - Ksywa Ki- zior, bo ponoć lubi dźgać nożem.

- Kizior? Co to za wsiok?

Miller parsknął śmiechem.

- Debil z Edynburga z pretensjami do sławy. Marzy mu się wielka kariera. Problem z nim polega na tym, że gra naprawdę ostro. Kiedy pierwszy raz się zjawił, zrotfiłem mały wywiad. I okazało się, że koleś ma parszywą opinię. Nie patyczkuje się, więc Maik Majcher chętnie rzuca go na głęboką wodę. Kizior załatwia różne rzeczy, naprawia błędy, pozbywa się ludzi, których nikt ma nigdy nie znaleźć.

Logan przestał się dziwić, że Miller spanikował wtedy w pubie.

- A ten drugi? Kierowca?

- Nie znam gościa. - Miller pokręcił głową. - Jak usłyszałem o Kiziorze, przestałem pytać. Wystarczy, że ktoś mi wepchnął jaja do miksera; nie zamierzam go włączać.

- Isobel wie?

Reporter się zaczerwienił

- Ja... tego... Nie mów jej, dobra? Nie chcę jej martwić. Nie teraz.

- Kizior grozi wam obojgu. Ma prawo wiedzieć!

- Obiecuj mi, że nic jej nie powiesz. Ja to potem wyprostuję.

- Jak? Jak niby chcesz to „wyprostować”? Kizior przyjechał, bo ma wyrwać kawał Aberdeen dla Malka. Prędko stąd nie wyjedzie.

W oczach Millera zabłyśły złowieszcze ogniki.

- Chyba że coś mu się stanie...

- Nie żartuj. Co mu zrobisz? Walniesz go w łeb i zakopiesz w ogródku?

Dziennikarz się uśmiechnął.

- Mój kumpel ma hodowlę świń w okolicach Fyvie. Chętnie zeżrą takiego edynburskiego przygłupa. - Wzruszył ramionami. - Daj mi dzień. Jutro dostaniesz adres. Tylko, na miłość boską nie mów, skąd go masz!

- Załatwione.

Wrócili do redakcji. Miller obiecał, że zadzwoni, jak tylko będzie coś wiedział. Korzystając z okazji, Logan poprosił o małą przysługę:

- Odpuść inspektor Steel.

- Wykluczone. Nie będzie stara suka jeździć na mnie jak na łysej kobyle...

- Jeżeli ją obsmarujesz, wydział wewnętrzny zje mnie na surowo. Nie wiem, o co chodzi, ale ją chronią. Jeżeli polecą, ja polecę razem z nią. A wtedy nie będę mógł ci pomóc.

Miller zaklął.

- No dobra: ręce precz od sflaczałej krowy. Zrozumiałem. Ja jej nie dokopuję, ty nie mówisz nic Isobel. Umowa stoi?

Podali sobie ręce. Miller przestąpił z nogi na nogę, jakby zbierał się na odwagę, żeby coś powiedzieć.

- Łazarz? Posłuchaj... Wiesz, że teraz pisuję o ciasteczkach? Więc właśnie... Masz może coś... No wiesz, żebym mógł zrobić jakiś materiał? Coś o tych zabitych prostytutkach? Albo w ogóle coś... Psiakrew, ja się tu duszę!

p Logan już miał odpowiedzieć, że zobaczy, co się da zrobić, kiedy zadzwonił jego telefon: Steel kazała mu jechać do szpitala. Jamie McKinnon oblał egzamin analny.

Do szpitala nie było daleko: wystarczyło przeciąć Anderson Drive na światłach i zejść kawałek w dół. Logan pożegnał się z Millerem, 'anim dotarł na miejsce, cienki pas chmur - stalowoszary, ze złowiesz- zą fioletową nutą - zdążył przesłonić pół nieba. Kiedy wchodził do szpitala, pierwsze, jeszcze nieśmiałe krople deszczu zabębniły w auto- atyczne drzwi.

W holu - dużej, otwartej przestrzeni z mnóstwem obrazów i miejsca siedzenia - zawsze dostawał gęsiej skórki. Przebiegł po wprasowanym

w posadzkę szpitalnym herbie i skierował się prosto na oddział, na którym leżał Jamie McKinnon. Tylko że Jamiego już tam nie było. Zmęczona pielęgniarka w zakrwawionym ubraniu poinformowała Logan, że McKinnon został przeniesiony do prywatnej salki na drugim piętrze.

Nie musiał długo szukać. Na miejscu zastał już inspektor Steel i wysokiego mężczyznę z narkotyków. Steel dokonała prezentacji i Logan uściśnął mu rękę, ponieważ przypomniawszy sobie, gdzie niedawno była. Kiedy jego dłoń całkiem zniknęła w olbrzymiej dłoni gościa od drągów, poczuł nagły przypływ współczucia dla Jamiego McKinnona, który leżał na łóżku skulony jak zbite dziecko, twarzą do ściany. Ależ to musiało boleć! Radny Marshall byłby zachwycony.

- No dalej - rzuciła Steel zachęcająco. - Pokaż, co znalazłeś.

Mężczyzna uśmiechnął się kwaśno i wziął do ręki stalową tackę w kształcie nerki - leżały na niej dwie oślizłe kiełbaski długości najwyżej dziesięciu centymetrów.

- Tak na oko będzie tu ze ćwierć kilo cracku - powiedział. - Za dużo na własny użytek; facet zamierzał to rozprowadzać. Tu u nas rzadko widzimy takie ilości koki, ale może coś się zmienia.

Steel usiadła na łóżku obok Jamiego i poklepała go po udzie.

- To jak, Jamie? Opowiesz nam teraz o swoich kumplach z południa? Czy wolisz, żęj)ym do listy zarzutów-dopisała ci posiadanie narkotyków z zamiarem Sprzedaży?

Jamie miał jednak chwilowo dość kontaktów z karzącą ręką sprawiedliwości. Nie odwrócił się, leżał zwinięty w kulkę i milczał.

O wpół do piątej Ailsa Cruickshank zadzwoniła do Gavina do pracy. Odebrał Norman - notoryczny flirtiarz, stanowczo za młody na kierownika. Ailsa zaczerwieniła się i spytała, czy może rozmawiać z mężem. W słuchawce zrobiło się cicho, jakby Norman się nad czymś zastanawiał, w końcu usłyszała:

- Ailsa, kotku... Po co takiej ślicznej, gorącej lasce jak ty taki trep?

- Chcę, żeby zrobił zakupy na kolację - odparła zawstydzona, ale i podekscytowana „gorącą laską”.

- Poczekaj chwilkę, dobrze? - Stłumione głosy w tle. - Przykro mi, Ailsa, stary pierdziel pojechał do klienta. Wróci późno. Wiesz, jak to u nas jest: klient najważniejszy. Ale jeśli czujesz się samotna, mogę podjechać i dotrzymać ci towarzystwa.

Uśmiechnęła się, powiedziała, że sobie poradzi i się rozłączyła. Norman był okropny! Zawsze obsypywał ją komplementami i składał niedwuznaczne propozycje - zupełnie jak Gavin, zanim zaczęły się te wszystkie testy i zwyciężyła rutyna. Od czterech lat starali się o dziecko. Cztery lata badań i mierzenia cyklu... Ale co tam. Wszystko się jakoś ułoży. Życie samo wróci do normy. Zawsze wraca.

Odważnie sięgnęła po kluczyki do samochodu, który sobie niedawno kupili. Trudno, usiądzie za kierownicą, skoro musi, i pojedzie do sklepu. Gavin zawsze lubił w urodziny zjeść dobry stek, więc może dziś też go przyrządzi. Nie będzie mu żalować.

Za ścianą zadudniła głośnie muzyka.

Tego wieczoru obserwacja portu zaczęła się punktualnie o dziesiątej: ta sama ekipa, te same wozy, te same stanowiska. Gęsty deszcz przeszedł w kapuśniaczek, w końcu całkiem ustał. Bruk był mokry, wszędzie stały kałuże wody. Na Shore Lane mrok rozpraszał jedynie żółtopomarańczowy blask sodowych lamp odbity od niskich, ciemnych chmur. Trzy latarnie wyzionęły ducha i posterunkowej Menzies została już tylko jedna, pod którą mogła prezentować swoje wdzięki.

Logan zaparkował tam, gdzie noc wcześniej. Korzystając z tego, że Steel wywołuje przez radio pozostałe posterunki, aby upewnić się, czy wszyscy są gotowi, rozłożył sobie fotel, wyciągnął się i zamknął oczy; postanowił, że tym razem to on odeśpi zaległości. Po wyjściu ze szpitala poprosił Lothian i Borders o akta Brendana „Kiziora” Sutherlanda, sprawdził, jak wyglądająposzukiwania Agnes Walker - nadal nikt jej nie widział - i wypisał papiery niezbędne do oskarżenia Jamiego McKinnona o posiadanie narkotyków. McKinnon prosto ze szpitala trafi do sądu, a stamtąd wróci do Craiginches. Loganowi było go żal - przecież nie miał nic do gadania, kiedy Kizior postanowił wsadzić mu w tyłek ćwierć kilo koki.

Ułożył się wygodniej na fotelu, starając się nie deptać po pedałach i nie obijać kolanami o kierownicę. Wzięli ten sam samochód, co poprzednio - nikomu nie chciało się nawet wyrzucić śmieci po kolacji, leżały na tylnym siedzeniu razem z przedmiotami zabranymi z wozu Marshalla. Logan myślał, że zostaną wciągnięte na listę dowodów rzeczowych, ale w tym celu należałoby najpierw postawić radnemu jakieś zarzuty, a Steel stanowczo się temu

sprzeciwiła. Słowem nie zdradziła, jakiego targu dobiła z Marshallem, żeby oszczędzić mu procesu, no i wstydu, bo gazety nie pozostawiłyby na nim suchej nitki.

Już prawie zasypiał, kiedy z sąsiedniego fotela usłyszał donośne chrapanie. Steel była szybsza. Stęknął, postawił fotel i wlepił tępy wzrok w ciemną uliczkę - jedno z nich musiało czuć, na wypadek gdyby coś się jednak wydarzyło. Zapowiadała się kolejna długa noc.

Za pięć dwunasta inspektor posłała go po kolację. Znowu. Przynajmniej już nie padało, więc nawet z wdzięcznością przyjął polecenie jako pretekst do rozprostowania nóg. Steel przez całą noc jednym otworem wydawała odgłosy jadącego traktora, drugim zaś - nieszczelnej dętki.

Zamiast pójść Marischal Street prosto do restauracji, skręcił w prawo w Regent Quay, żeby z niej odbić w lewo w Commerce Street, ściąć rondo na przełaj i od drugiej strony wejść na Castlegate. W ten sposób przez całe dziesięć minut więcej nie będzie musiał zbliżać się do Steel i jej syczącego tyłka.

Tym razem na ulicach było znacznie więcej ludzi - głównie pijanych: chwiali się na nogach, zataczali i śpiewali ile sił w płucach; angielski mieszał się z rosyjskim. Pewnie do portu przybił jakiś duży statek.

Posterunkowa Davidson stała na rogu Mearns Street, ubrana w imponująco wywatowany stanik, minispódniczkę w tygrysie paski i narzuconą na wierzch budrysówkę. Na jego widok od razu wczuła się w rolę:

- Co, chłoptasiu, chcesz się zabawić? Złap mnie za cycki i do roboty! Wrrr! - krępująco dosadny chwyt za biust i wypchnięcie bioder w przód.

- Nie stać mnie na panią pani Davidson. To nie moja liga.

Pokazała mu środkowy palec na do widzenia i zaczęła dłużyć w zębach. Skręcił w lewo, w Commerce, i zszedł na jezdnię, żeby wyminąć ogromną oleistą kałużę.

Nikt chyba nie mógłby uczciwie nazwać tej okolicy najładniejszą w mieście. Niekochane, czysto użytkowe i jednolicie szare domy były przemieszane z nowoczesnymi klockami z plastiku i blachy falistej. Warsztaty spawalnicze i wypożyczalnie narzędzi budowlanych stały obok hurtowni dostawców okrętowych, po ulicach włóczyli się pijaczkowie i prostytutki na prochach. U wylotu maleńkiego, ciemnego zaułka jedna z nich negocjowała cenę usług z dwójką zalanych mężczyzn. Logan minął ich, starając się nie słuchać - ale i tak usłyszał:

- No weź pfeśtań - seplenil grubszy z mężczyzn, przeciągając głoski. - Mozes nas pfećies obu obsłużyć za tyle, nie? Jednofeśnie... Ten twój Steve mówi, że jesteś najlepfa.

Jego kumpel, który ledwie trzymał się na nogach, zawołał:

- Nie chcę być drugi!

- Kuźwa, zamknij ryja! Pfećies wiem. I powiedziałem, że zrobi nas razem. - Beknięcie.

Dwa kroki w tył, jeden w przód. - Z którego końca wolif?

- Dwóch naraz więcej kosztuje. - Słowiański akcent. - Więcej!

Logan zmartwiał. To była ona.

- Wienciej? - Grubas rozpiął spodnie, które zsunęły mu się do kostek. - No choś, jestem bogem seksu. To ty powinnaś mi płacić!

Poleciał w przód, zaplątał się w spodnie i zwałił na bruk. Jego kumpel posikał się ze śmiechu.

Logan wszedł w zaułek. Kumpel śmiał się dalej, zgięty wpół, a grubas dzielnie próbował wstać - najpierw podniósł wielki, biały, owłosiony tyłek.

Kylie przyglądała się im półprzytomnie, obojętnie drapiąc się w zgięcie łokcia - to, w którym Logan widział ślady po papierosach i igłach. Podeszedł prosto do niej. Przez chwilę jeszcze patrzyła przez niego na wylot, dopóki nie przeniosła wzroku na jego twarz.

Uśmiechnęła się.

- Chcesz się teraz pieprzyć? Jesteś z policji; możesz za darmo.

- Przejdziemy się? Pogadamy trochę...

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Umiem mówić świństwa. Jestem dobra!

- Wiem, już mi się tym chwaliłaś. Pamiętasz?

Złapał ją za rękę i pociągnął na główną ulicę. Facet ze spodniami na kostkach zaprotestował słabo: ktoś tu się wpycha bez kolejki!

- Ona ma czternaście lat - odparł Logan. - A ja jestem z wydziału kryminalnego. Przymknąć was za molestowanie nieletniej?

Grubas podciągnął spodnie, wymamrotał, że sam ma dzieci, że to straszne i że nie chciał źle, a poza tym naprawdę nie wiedział, że to taka maślana...

W świetle latarni Logan mógł się jej nareszcie dobrze przyjrzeć. Zdążyła się dorobić złamanego nosa.

- Co ci się stało w twarz?

Wzruszyła ramionami.

- Steve się wkurza. Mówię mu: deszcz, zły biznes. A on na to, że za mało zarabiam.

- Wyglądasz, jakbyś od tygodnia nie jadła.

Pokręciła głową. Chwiała się na nogach. Minęli cytadelę i weszli na Castlegate.

- Jem happy meal. Steve dla mnie dobry.

No tak, pomyślał Logan. Stary, dobry Steve.

- Chodź, kupię ci frytki.

Ogonek był dłuższy niż zwykle - pijani i mniej pijani klienci cierpliwie czekali na swoją kolej, żeby zamówić wędzoną kielbasę albo pud- ding. Nad kasą wisiał przyciszony telewizor. Logan i Kylie posuwali się noga za nogą. Litwinka tłumaczyła, dlaczego restauracje w Edynburgu są lepsze od tych w Aberdeen: tam dawali frytki z ketchupem, tu tylko z octem. Kiedy w końcu dotarli do stalowo-szklanej lady, na której czekały usmażone smakołyki, Kylie wskazała na telewizor i pisnęła z uciechy:

- Pieprzę się z nim!

Logan spieknął raka i spojrzał w górę. Z ekranu patrzył na niego zadowolony z siebie radny Andrew Marshall.

- Jesteś pewna? - wysyczał, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

Kiwnęła głową.

- Na prywatnej imprezie, zaraz po tym, jak przyjeżdżam do Aberdeen. On i jego łysy kumpel, razem. To się nazywa... „szaszłyk”? Ten łysy w buzię, a ten z telewizora w...

Logan nie musiał jej dalej słuchać: widział pisemka w samochodzie, znał gust radnego i wyobrażał sobie, gdzie Marshall chciałby się teraz znaleźć. Zapłacił za kolację i przeszli na drugą stronę ulicy, żeby spokojnie zjeść. Kylie była tak podekscytowana, że nie patrzyła, dokąd idą. Minęli Centrum Sztuki i weszli na podjazd na tyłach, zanim A62 zatrąbił, żeby go puścili. Dopiero wtedy zorientowała się, gdzie są: Komenda Policji w Grampian. Klnąc po litewsku, cisnęła tacką z frytkami w Logana i rzuciła się do ucieczki, ale złapał ją za kołnierz i zawłókł - rozwrzeszczaną i młócaącą na oslep rękami - do środka.

Pół godziny później zameldował się w porcie i podał Steel biały pudding z frytkami i obowiązkowym marynowanym jajkiem.

- Gdzieś pan był? Czekałem i czekałem...

Uśmiechnął się i wsiadł do samochodu.

- A, tak się włóczyłem tu i tam...

- To znaczy? - Zerknęła na niego podejrzliwie, żując garść frytek. - Co pana tak bawi?

- Właśnie zgarnąłem prostytutkę.

- Taaak? - Odgryzła kawałek puddingu. - Co się dzieje? Posterunkowa Watson jest dla pana za grzeczna? Bo jeśli tak, to ja mogę...

Nie dał jej skończyć.

- Czternastoletnią prostytutkę z Litwy. Kylie.

Steel spojrziała na Logana pytająco.

- To ona widziała, jak Jamie McKinnon uprawiał seks z Rosie Williams tej nocy, kiedy ją zabito.

Inspektor jęknęła tylko i wepchnęła do ust następną porcję frytek.

- Na cholerę mi ona? - Kawałki frytek spadały jej na bluzkę. - On już się przyznał, że posuwał Rosie. A jeżeli Rosie i Michelle Wood zabił ten sam człowiek, to nie ma znaczenia, kto widział czy nie widział McKinnona.

- Ona się przyda. Był na Shore Lane i widział się z Rosie. Na razie nie mamy żadnych dowodów. Zniszczyła pani... - Logan urwał w pół zdania, widząc minę Steel. - Magnetofon był popsuty.

- Lepiej żeby pan o tym nie zapomniał.

- Mam coś jeszcze, ale nie wiem, czy panią zainteresuje.

Uśmiechnął się i czekał. Inspektor odgryzła następny kawał puddingu tak chciwie, jakby chciała wykastrować niewinną kiełbasę.

- Ta czternastolatka twierdzi, że radny Marshall stukał ją w kakał-ko, kiedy w tym samym czasie robiła komu innemu loda.

Na wpół przeżuty biały pudding obryzgał pół przedniej szyby.

- Wiedziałem, że to się pani spodoba.

21

Czwartek zaczął się jak każdy inny dzień w tym tygodniu - niestety: Logan znów się nie wyspał, bo nawet kiedy po zakończeniu akcji „Kopciuszek” udało mu się wreszcie zasnąć, dręczyły go koszmary z martwymi dziećmi w rolach głównych. Rozmokłe, gnijące ciało odchodziło im od kości, kiedy bawiły się i płąsały w jego mieszkaniu; oczy miały jak niedogotowane żółtka jajek. Nic dziwnego, że rano czuł się fatalnie. Obiecał sobie, że tego dnia na pewno odwiedzi posterunkowego Maitlanda. Zajrzy, zapyta, jak się czuje. Chociaż trochę pozbędzie się wyrzutów sumienia.

Inspektor Steel była już w pokoju operacyjnym - obracała w palcach paczkę papierosów i rozmawiała z Inschem. Wykończony Logan nie miał siły ich słuchać, powłókł się więc prosto do biurka i zaczął dumać, co zrobić ze Steel. Powiedziała mu bez ogródek, żeby dał spokój Kylie, bo sama zamierza osobiście poprowadzić sprawę uprawiania seksu z nieletnią. Zagroziła, że jeśli komuś piśnie słówko, własnoręcznie ukręci mu jaja.

Na biurku zobaczył foliowy worek z kasetami wideo - każda opatrzona nalepką „Opernej a »Kopciuszek« noc 2” - a obok dużą szarą teczkę: akta „Kiziora” Sutherlanda. Zrobił sobie kawę i zasiadł do lektury.

Miller nie przesadzał: Kizior naprawdę był miłym gościem. Zamiast w szkole młodzieńcze lata spędził w poprawczaku, po tym jak dźgnął nożem jednego z opiekunów w swoim domu dziecka. Szybko wszedł w dorosłe życie i dokonywał poważnych przestępstw, a wkrótce potem zatrudnił się u sławnego filantropa Malcolma McLennana, lepiej znanego jako Maik Majcher. McLennan ukształtował chłopaka na swoje podobieństwo - małego skurczybyka, który nigdy więcej nie da się złapać. Komenda w Lothian i Borders twierdziła, że ośmiokrotnie podejrzewano go o morderstwo, ale za każdym razem brakowało niepodważalnych dowodów, więc uniknął wyroku. A tymczasem ludzie znikali bez śladu. Oprócz tego były także zwłoki, które udawało się znaleźć - zmasakrowane i okaleczone. Wszyscy wiedzieli, że to sprawka Kiziora, ale nie można mu było tego udowodnić. Potencjalni świadkowie dostawali nagłej amnezji - albo skutek „perswazji”, albo po uderzeniu kijem do krykieta.

- Czołem, Łazarzu. - Logan podniósł wzrok. Inspektor Steel szczyrzyła żółte zęby w uśmiechu. - Dobre wieści. Chociaż w takim specyficznym sensie. Wygląda na to, że starszy brat policjant z południa postanowił pomóc swojemu krewniakowi z Grampian. Pięknie, co? - Logan milczał, rzuciła mu więc na biurko dwie kartki formatu A4. - Przysłali nam wstępny

profil psychologiczny sprawcy. Super! Insch mówi, że współpracował pan już z okularnikiem, który u nich robi takie rzeczy, więc wpadłam na pewien pomysł. - Rozpromieniła się i szturchnęła go w ramię. - Ma pan „doświadczenie”. Chcę się dowiedzieć, co znaczą te wszystkie pierdoły w ich raporcie oraz, a właściwie przede wszystkim, czy ta pisanina jest warta chociażby papieru, który na nią poszedł. Radzę się pospieszyć: pan psycholog już tu jedzie. Będzie u nas o jedenastej. Chciałabym do tego czasu dostać jakieś streszczenie.

Logan pokręcił głową. Wskazał worek kaset i zapytał, co ma z nimi zrobić.

- A co mnie to obchodzi? Może je pan sobie zabrać do domu i coś na nich ponagrywać. Przecież i tak nie będziemy tego gówna oglądali.

- Ruszyła do wyjścia, ale przed drzwiami jeszcze się zatrzymała i odwróciła. -1 proszę nie zapominać, o czym rozmawialiśmy w nocy.

Groźba była oczywista: jeśli komuś powiesz, doigrasz się.

Doktor Bushel nic a nic się nie zmienił: arogancki, zadowolony z siebie, łysiejący, nieskazitelnie ubrany. Jarzeniówki odbijały mu się w okrągłych okularkach, kiedy elicie policji z Aberdeen wykladał zawilosci stworzonego przez siebie profilu psychologicznego seryjnego mordercy. Nie powiedział nic, czego Logan nie wyczytałby wcześniej w jego raporcie i nie streścił inspektor Steel, ale dla zastępcy komendanta i szefa wydziału kryminalnego były to rzeczy całkiem nowe. Morderca: biały mężczyzna pod trzydziestkę, problemy z seksem; korzystał wcześniej z usług prostytutek, ale było to dla niego upokarzające doświadczenie. Bicie sygnalizuje nienawiść do kobiet; złość i agresja wskazują na konflikt z matką. Wykonuje jakąś prostą pracę, jest jednak dostatecznie wygadany, żeby namówić Michelle Wood na przejażdżkę. Ma jakieś takie obycie towarzyskie. Zabiera kobietom ubrania nie po to, by mieć trofeum, lecz po to, aby upokorzyć ofiary. A także - być może

- mieć fetysz dla swoich fantazji. Jeszcze zaatakuje.

Po zakończeniu prezentacji inspektor Steel zaczęła zadawać pytania, które Logan podsunął jej we wcześniejszej rozmowie - chociaż udawała, że wymyśla je na bieżąco. Popisywała się przed wierchuszką a Logan mógł tylko krzywić się z niesmakiem.

Doktor Bushel chrząkał, dumał, spekulował i teoretyzował, ale zdaniem Logana zwyczajnie bredził. Na podstawie skąpych śladów - nie widział nawet na własne oczy żadnego z miejsc zbrodni - stworzył ledwie zarysowany szkic psychologiczny i Logan zastanawiał się, w jaki sposób ma im to pomóc w ujęciu mordercy.

Zastępca komendanta podziękował doktorowi za poświęcony im czas i zaprosił go na lunch z komendantem. Kiedy wszyscy już sobie poszli, Steel przysiadła się do Logana i parsknęła lekceważąco.

- Słyszał pan kiedyś takie bzdury? „Jeszcze zaatakuje!” Pewnie, że tak. Dwa razy uszło mu na sucho, to co, ma przestać i zająć się szydełkowaniem? - Pokręciła głową i podrapała się pod pachą. - A założę się, że Bushel dostaje dwa razy więcej kasy niż my. Dupek w szkiełkach.

- To dlaczego mu się pani tak podlizywała?

- Ech, sierżancie... Polityka. Kiedy wierchuszka podrzuca panu kupę, należy ją wypolerować do połysku i się nią zachwycić. Wtedy będą pełni podziwu dla pańskiego intelektu, przenikliwości i talentu. W przeciwnym razie zostanie pan sam z garścią gówna. Chodźmy, są ważniejsze rzeczy niż takie trucie. Trzeba złapać mordercę.

Tuż po lunchu Logan doczekał się wreszcie wiadomości o Agnes Cichodajce - chociaż niezupełnie takich, jakie sobie wymarzył. Policjantka odwiedzająca matkę w Szpitalu Królewskim na oddziale intensywnej terapii rozpoznała Agnes Walker w jednej z pacjentek: leżała na łóżku w kącie sali, podłączona do całej masy aparatury. Wstrzyknęła sobie heroinę, będąc w sztok pijana od taniej wódki - idealny przepis na przedawkowanie. Bezrobotna

recepjonistka znalazła ją nieprzytomną w damskiej toalecie w galerii handlowej Trinity. W karetce nastąpiło zatrzymanie akcji serca i od tamtej pory Agnes była w śpiączce. Steel posłała do szpitala poljcantkę; kazała jej siedzieć przy łóżku chorej, na wypadek gdyby ta cudownie ozdrowiała i zechciała podać im rysopis człowieka, który ją pobił. Ale nie robili sobie wielkich nadziei.

Loganowi zostało tylko przeglądanie listy znanych przestępców seksualnych i dopasowywanie ich do nedorzecznie ogólnikowego portretu psychologicznego autorstwa doktora Bushela. W pokoju operacyjnym panował zgiełk, wziął więc papiery i poszukał spokojniejszego miejsca. Nie znalazł pustego biura, wolny był za to pokój przesłuchań numer 4. Zaanektował go i pstryknął przełącznikiem, który zmieniał kolor światelka nad drzwiami z zielonego na czerwony: „Trwa przesłuchanie”. Rozłożył akta i zdjęcia na poszczerbionym blacie i zaczął szukać mordercy wśród gwałcicieli, pedofilów i ekshibicjonistów. Mimo otwartego okna w pokoju panował potworny upał. Poluzował krawat, ziewnął, oparł łokcie na stole i zwiesił głowę. Litery zaczęły mu się rozplątać przed oczami. Zamrugał. Gwałciciel. Zamrugał. Gwałciciel. Głowa mu opadła... Zamrugał. Pedofil. Ziewnął. Zamrugał, zamrugał... Ciemność.

- Mmmpf?...

Usiadł prosto i potarł twarz. Co to, do cholery, było... Jedną ręką wyciągnął z kieszeni komórkę, drugą otarł ściekającą z kącika ust ślinę. Zamrugał. Zegar na ścianie wskazywał siedem po piętej. Przespał bite trzy godziny.

- Słucham? - powiedział do aparatu, starając się nie dać po sobie poznać, że się obudził. Dzwonił inspektor Insch.

Salon w domu pani Kennedy wyglądał jak po kataklizmie: powywracane krzesła i stoły, pocięte obrazy, porozbijane ramki ze zdjęciami, porcelanowe pudelki potłuczone - błyszczące odłamki wały się po dywanie. Pani Kennedy siedziała na rozdartym fotelu, tuląc do piersi grubego kota, rudzielca, niczym ciepły koc. Kot nieufnie położył uszy po sobie i spod przymrużonych powiek obserwował stojącego na środku pokoju detektywa.

- Proszę posłuchać... - Starsza pani cała się trzęsła. - Nie chcę sprawiać kłopotu. Nic mi się nie stało, naprawdę...

Nie było jej w domu, kiedy to się wydarzyło. Sąsiedzi z dołu usłyszeli hałas i zadzwonili po policję. Nie mogli znieść myśli, że biedna pani Kennedy leży tam u siebie na podłodze, w kałuży krwi! Zamordowana! Byli poczciwi, ale zupełnie bezużyteczni. Nic nie widzieli, nie wyrzeli nawet przez wizjer, żeby zobaczyć, jak tamci zbiegają po schodach. Nie zerknęli przez okno, żeby sprawdzić, czy czekał na nich samochód, czy złapali taksówkę, czy pojechali autobusem - czy po prostu wdrapali się na grzbiet przechodzącego akurat ulicą słonia. Bali się, że ktoś zobaczy, jak patrzą. Byli beznadziejni - ale Logan ich rozumiał. Po co ludzie po siedemdziesiątce mieli ryzykować, że bandyci ich przyuwają i - być może - wrócą się zemścić? Woleli się schować i zadzwonić po policję. To i tak bardzo dużo. Mało kto by się na to dobył.

Kimkolwiek byli wandale, musiało im chyba zależeć na bankru- twie firmy ubezpieczającej mieszkanie pani Kennedy. Salon, kuchnię obie sypialnie wywrócili do góry nogami. W salonie jednak zrobili ś dziwnego, coś, co zupełnie nie pasowało do powszechnego obrazu szczeni: fluorescencyjną pomarańczową farbą wypisali na ścianie przeciw drzwi słowo „Przestań”.

- Nie wie pani, o co mogło im chodzić? - spytał Logan.

Pani Kennedy pokręciła głową i jeszcze mocniej ścisnęła kota, który zaczął się wic w jej ramionach.

- Może... Może o to, że udzielam się w klubie młodzieżowym? W szkole, wie pan... Pomagam organizować mecze, wyprzedaje...

- Hm... - mruknął Insch. - Jeśli przypadkiem nie zaplątała się pani w wojnę o wpływy między skautami i skautkami, to chyba mało prawdopodobne. Jakiś inny pomysł?

- Udzielam korepetycji. Odkąd przeszłam na emeryturę, to jedyne konkretne zajęcie, jakie mam.

- Ach tak... - Insch czubkiem buta szturchnął szczątki sporego porcelanowego psa. - Czego pani uczy? Francuskiego? Gry na pianinie?

- Chemii. Przez trzydzieści sześć lat uczyłam chemii w szkole.

- Pani Kennedy uśmiechnęła się, oczy jej się zaszkliły. Westchnęła.

- Miałam tysiące uczniów, a teraz... mam to.

Insch wyłgał się czymś i wyszedł, widząc, że starsza pani zaraz się rozplacze. Logan postanowił zachować się przyzwoicie i zaparzyć jej herbatę. Czajnik był wgięty, ale nie przeciekał. Postawił go więc na gazie i zaczął szukać herbaty. Torebki leżały rozsypane na podłodze, tuż obok przewróconego kosza na śmieci, przemieszane ze skorupkami jajek, obierkami z ziemniaków i innymi odpadkami. Wybrał taką która wyglądała w miarę higienicznie - ale co to ma za znaczenie, skoro za chwilę zaleje ją wizątkiem - i wrzucił do kubka, który jeszcze nie postradał ucha. Zalał herbatę i czekając, aż się zaparzy, zaczął szukać cukru i mleka. W lodówce znalazł... sporą torebkę foliową pełną czegoś, co wyglądało jak świeże zioła, chociaż z pewnością nie było tak zdrowe.

Słyszając chrobot porcelanowych odłamków pod butami, odwrócił się i zobaczył panią Kennedy. Stała w progu, bez kota, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. Patrzyła z przerażeniem, jak Logan prostuje się nad lodówką trzymając torbę „ziołek”. Otworzył strunowe zamknięcie i ostrożnie powąchał.

Wyjrzała do przedpokoju, gdzie posterunkowy w mundurze sporządzał szczegółowy opis zniszczeń.

- Ja... Mogę to wyjaśnić... - powiedziała półgłosem. - To na ból stawów... - Podniosła drżące ręce. -1 na ischias.

- Skąd pani to ma?

- Od... Jeden z moich byłych uczniów mi przyniósł. Powiedział, że jego ojcu pomogło. Od czasu do czasu przynosi mi świeży zapas.

- Sporo tego. - Logan potrząsnął torebką. - Wszystko na własny użytek?

- Tak, naprawdę. - Pani Kennedy znów zbierało się na płacz. - Po tym przestaje boleć. Ja nie chciałam łamać prawa...

Logan patrzył, jak wielkie łzy płyną jej po policzkach, jak zaczyna jej cieknąć z nosa. Kiedy sięgnęła po chusteczkę, przyjrzał się jej dłoniom: obrzmiałe stawy, wykrzywione palce. Tak samo wyglądały ręce jego babki pod koniec życia.

- Dobrze - powiedział w końcu i schował torebkę do lodówki. - Ja nikomu nie powiem, jeśli pani nie powie.

Wyszedł z domu. „Przestań”. Wypisać staruszce na ścianie taki dziwny tekst. Taki tajemniczy? Naćpany przygłup pewnie dobrze wiedział, co chce przez to powiedzieć, ale...

Niebo miało brudny, gołębioszary odcień. Biało-pomarańczowy radiowóz zwabił tę samą publiczność, co poprzednim razem: troje małych dzieci z rozdziawionymi buziami przyglądało się panom policjantom. Dla nich to pewnie było jak telewizja na żywo, która przyjechała do nich pod dom. Kto wie, jakie ekscytujące rzeczy się wydarzą...

Logan przebiegł na drugą stronę ulicy i po schodkach dotarł do dzieciaków; przykucnął, żeby nie patrzeć na nie z góry: dwóch chłopców - cztero-, może pięcioletków, z ogromnymi niebieskimi oczami i fryzurami na pazia - i dziewczynka w spacerówce, najwyżej dwuipółletnia. Kręcone włoski miała związane w dwa kucyki, jedną rączką ścisnęła misia, drugą trzymała w buzi i ssała kciuk. Patrzyła na Logana tak, jakby miał trzydzieści metrów wzrostu.

- Cześć - powiedział, jak umiał najłagodniej. - Nazywam się Logan. Jestem policjantem. - Wyjął legitymację i podał ją jednemu z chłopców, który wziął ją w brudne palce. - Byliście tu wcześniej?

Dziewczynka wyjęła kciuk z buzi. Niteczka śliny łączyła go jesz- < cze przez chwilę z ustami, dopóki nie skapnęła misiowi na nos.

- Pan.

- Widzieliście jakiegoś pana?

Wycelowała w niego obśliniony kciuk.

- Pan - powiedziała. Podniosła misia. Logan zauważył, że obgryzła mu całe futerko z jednego ucha. - Pan - powtórzyła.

161

Przestał się uśmiechać. Nie, to chyba jednak nie był najlepszy po- ysl.

1 - Zamierające światło

Inspektor Inch siedział za kierownicą swojego brudnego range ro- vera i patrzył, jak kapuśniaczek powoli przechodzi w ulewę.

- A chciałem wieczorem zrobić grilla - powiedział, kiedy Logan wskoczył do wozu, chroniąc się przed deszczem. - Co słysząc w fanklubie policji z Grampian?

Logan z westchnieniem zaczął czyścić upačkaną legitymację.

- Piesek Toma wygryzł palce w kapciach taty i zamknęli go na noc w łazience. Poza tym niczego się nie dowiedziałem.

Spojrzał na dom, przed którym zaparkowali. W kuchennym oknie dostrzegł przerażoną twarz pani Kennedy; pewnie umierała ze strachu, że zdradzi Inchowi jej brzydkią tajemnicę. Odwrócił się. Trójka dzieci też mu się przyglądała.

- Nie sądzi pan, że to dziwne? Znow spotykamy te same dzieci.

Teraz także Inch popatrzył na niego podejrzliwie.

- A nie przyszło panu do głowy, że po prostu tu mieszkają?

- Zgoda, to możliwe. - Logan zapiął pas. - Po co mnie pan tu ściągnął? - zapytał, kiedy inspektor zawrócił na trzy i ruszył Union Grove w stronę skrzyżowania z Holburn Street. - I po co pan przyjechał? Włamanie to przecież robota dla zwykłych policjantów?

Insch wzruszył ramionami i kazał mu zajrzeć do schowka. Logan znalazł w swoim starą paczkę cytrynowych, posklejanych landrynek - Bóg wie jak długo leżały w samochodzie. Inspektor jedną ręką przycisnął opakowanie do kierownicy, drugą sięgnął do środka i po chwili wyciągnął zlepek trzech albo czterech cukierków. Włożył je do ust, oblizał palce i podał paczkę Loganowi, który grzecznie odmówił.

- Tak sobie myślę... - zaczął Inch, obracając landrynki w ustach i włączając się do ruchu. - Chyba liczyłem na to, że będzie jakiś związek. No wie pan, jej wnuk zginął w tym pożarze, znaleźliśmy Karla Pearsona, ale ciągle nic więcej nie wiemy. Ktoś torturował chłopaka, zamęczył go na śmierć, a my możemy go tylko przewieźć do prosektorium i jeszcze bardziej pokroić.

Westchnął, a Logan nie po raz pierwszy nie mógł się oprzeć wrażeniu, że lewa ręka policji w Grampian jak zwykle nie ma pojęcia, czy prawa drapie ją po łokciu, czy dłużej w tyłku.

- Inspektor Steel nie wspomniała panu o Kiziorze Sutherlandzie?

Insch odparł, że nie, więc kiedy wracali na komendę, Logan streścił mu sprawę, włącznie z obietnicą Millera, że podeśle im jakiś adres edynburskiego bandziora.

- Dlaczego musimy wszystko zawdzięczać temu gnojkwowi z Glasgow? Nie, lepiej niech mi pan nie odpowiada. Nie chcę wiedzieć. Ale jeśli dostanie pan ten adres, proszę mi dać znać. Nie pozwolę tej głupiej, starej krowie... - Spojrzał z ukosa na Logana. Odchrząknął. - Inspektor Steel i tak jest zawałona robotą. Nie ma sensu, żeby pilnowała sprawy, która nie wiąże się bezpośrednio z jej śledztwem.

Logan uśmiechnął się szeroko. Nic nie powiedział.

Niewiele brakowało, żeby tej nocy czaty zostały odwołane. Deszcz ciągle się wzmagał, aż w końcu lało jak z cebra; woda zatapiała chodniki i wychlapywała się z rynien. Coś słabo błysnęło; jeden, dwa, trzy, cztery - i grzmot przetoczył się pod ciemnym niebem.

- Sześć kilometrów stąd - stwierdziła Steel. Usadowiła się wygodnie w fotelu, otwierając jedno ze specjalistycznych pisemek radnego Marshalla.

Logan pokręcił głową.

- Niecałe półtora. Dźwięk rozchodzi się z prędkością tysiąca dwustu kilometrów na godzinę, co daje...

Przerwał. Steel patrzyła na niego spode łba.

- Sześć kilometrów! - powtórzyła i zaczęła przeglądać świńskie obrazki przy świetle padającym z otwartego schowka na desce rozdzielczej. Od czasu do czasu wyrывało jej się: - Boże, to wbrew naturze... -Albo: -Auć! - A raz czy dwa także: -Hm...

Logan kulił się za kierownicą. Przez przednią szybę widział na drugim końcu Shore Lane posterunkową Menzies. Klęła, na czym świat stoi, przestępując z nogi na nogę i próbując choć trochę się rozgrzać. Dla zdrowia - i ze względów bezpieczeństwa - na swój strój roboczy narzuciła tej nocy długie futro, pobrane z policyjnego magazynu rzeczy znalezionych. W ręce ścisnęła parasol.

- Co za poroniony pomysł! - zaskrzeczał w radiu jej głos. - W taką pogodę nikt nie przyjdzie!

Natychmiast zawtórowała jej posterunkową Davidson. Zbliżała się północ, a one nie widziały jeszcze klienta na oczy. Czysta strata czasu. Logan musiał im przyznać rację, ale Steel nie chciała o tym słyszeć: dostali pozwolenie na pięć nocy i prędzej by ją szlag trafił, niż zgodziłyby się odpuścić. Koniec końców wszyscy zacisnęli zęby i w ponurych nastrojach tkwili na posterunku: Steel chrapała, Menzies i Davidson biadoliły, Logan dumał. Co za kretyński pomysł - dwadzieścia sześć osób siedzi po ciemku i czeka, aż jakiś świr uprowadzi brzydką policjantkę. Równie dobrze mógłby rozebrać się do gaci i biegać w deszczu po porcie. Skutek byłby taki sam.

Steel chrapała w monotonnym rytmie piły mechanicznej zamkniętej w pralce. Na kolanach trzymała otwartą gazetkę radnego Marshalla, z której światło ze schowka wyławiało coś, czego Logan nie chciał oglądać. Przechylił się nad nią i zamknął schowek.

- Umn, skrrr, hm? - Steel uchyliła jedno oko i spojrzała na niego półprzytomnie. - Ty mały perwersie, nie jestem... - Otrząsnęła się, ziewnęła, beknięła cicho. - Która godzina? Wpół do pierwszej.

Logan opuścił szybę - do środka wpadło świeże powietrze, a wraz z nim łomot ulewy. Steel znów ziewnęła i zaczęła się przeciągać, a on wreszcie postanowił skoczyć na głęboką wodę:

- Dlaczego nie chce pani postawić radnego Marshalla przed sądem?

- Słucham? - Inspektor odwinęła folię z pudełka papierosów i rzuciła ją na zaśmiecone tylne siedzenie. - Bo na gówna złapie się więcej much niż na ocet. Pan to tak patrzy... - Przypaliła sobie papierosa. - Patrzy i stwierdza: winny albo niewinny. Czarne-białe. Czasem to nie jest takie proste...

- Zapłacił czternastolatce za seks!

- Nie wiedział, że ma czternaście lat, prawda?

Logan nie wierzył tyłasnym uszom.

- I co z tego?!

- No właśnie, tak jak powiedziałam: czarne-białe. Warto mieć dłużników, sierżancie, zwłaszcza takich, którzy...

Steel urwała w pół zdania i wyteżyła wzrok. Ktoś szedł Marischal Street, ubrany w długie, zapięty pod szyję płaszcz przeciwdeszczowy. Był łysy jak kolano. Nad głową trzymał parasol, spowity mgiełką roz- bryźniętych kropel. Inspektor Insch.

- No proszę... - mruknęła Steel. - Wujek Fester.

Insch wolno przeciął ulicę i podszedł do samochodu od strony kierowcy. Na widok jego nieprzeniknionej twarzy Logan poczuł, że żołądek zaciska mu się w lodowatą kulę. Głos inspektora brzmiał tak, jakby przemawiał zza grobu:

- Chodzi o posterunkowego Maitlanda - powiedział. Logan miał wrażenie, że słyszy każdą kroplę deszczu z osobna. - Zmarł.

Ogień strzelał pod samo niebo, pochłaniał drewno i plastik, papier i ciało. Płomienie trzaskały i zasypywały deszczową noc skrami - ulewa nie mogła stłumić ich zachłanności. Nie po tym, jak wlał tyle benzyny przez szparę na listy. Zrobił sobie własne, prowizoryczne krematorium.

Miejsce doskonale się do tego nadawało: dom przy wąskiej, krętej drodze nad rzeką, w południowej części miasta. Z jednej strony wysoki kamienny mur, uniemożliwiający metom wejście na teren hotelu, z drugiej - rozproszone domki jednorodzinne. Odludzie, więc nie musiał się bać, że ktoś zaraz podniesie alarm, a zarazem mógł się dobrze schować i patrzeć, jak dom płonie. Zresztą nawet gdyby ktoś zawiadomił straż pożarną, gdzie indziej mieli pełno roboty.

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien był tu przychodzić. Nie tak szybko po tamtym pożarze. Wiedział, że może mu to nie ujdzie na sucho - ale nie potrafił się powstrzymać. Stał w półmroku po drugiej stronie drogi i ostro się masturbował, gdy okna na piętrze eksplodowały kaskadą szklanych odłamków.

Boże, jakie to piękne.

Krzyczeli całe dziesięć minut. Przez okna sypialni wrzucił cztery koktajle Mołotowa. Ktoś odważny przedarł się nawet przez szalejące na dole płomienie, dopadł do drzwi i próbował je otworzyć, nie wiedząc, że zostały przyśrubowane do futryny. Tak jak te na tyłach.

Przygryzł wargę. Oczami wyobraźni widział, jak ich ciała czernieją i pękają od gorąca. Piekło na parterze, piekło na piętrze. Nie mieli dokąd uciec. Mogli tylko umrzeć. Stęknął, zadrżał... Ścisnął mocniej, chciał, żeby trwało to jak najdłużej, ale nie mógł się powstrzymać. Zadarł głowę i jęknął z rozkoszy. Dach w końcu runął. Fontanna białych i pomarańczowych iskier trysnęła wysoko do góry.

W końcu zjawili się strażacy. Zaczęli biegać tu i tam z wężami i drabinami, ale dla czteroosobowej rodziny w zgłiszczach domu było już za późno. Nie powinien był go palić. Będzie miał kłopoty.

Ale chwilowo kompletnie go to nie obchodziło.

Piątek rano, siódma czterdzieści pięć, obolałe oczy, kac. Logan miał za sobą fatalną noc: inspektor Steel puściła go wcześniej do domu, gdzie zawarł bliską znajomość z butelką dwunastoletniej jednosłodo-wej whisky. Upił się, rozmazał i popadł w głębokie przygnębienie. W jednej chwili posterunkowy Maitland leżał w szpitalu, wegetując jak roślina - a w następnej już go nie było. Insch powiedział Loganowi, żeby się nie przejmował, bo takie rzeczy się zdarzają. To nie jego wina. Z czasem się pozbiera.

Ale kiedy inspektor sobie poszedł, Steel stwierdziła, że pieprzy głupoty. Dranie, którzy czyhali na jego spotkanie, mieli teraz doskonałą okazję, żeby wbić mu nóż w plecy.

Kiedy rano doczłapał do komendy, na biurku zobaczył kartkę: „Idź do Napiera”. Siedział teraz pod drzwiami wydziału wewnętrznego. Żołądek podchodził mu do gardła, kiedy czekał, aż inspektor wezwie go na Sąd Ostateczny.

Jak na dany sygnał Napier wychylił zza drzwi szczerzą twarz i poprosił go do siebie. Tym razem w pokoju było więcej ludzi. Poza Loganem, Napierem i jakimś milczącym inspektorem w kącie, na jednym z niewygodnych krzeseł gościnnych siedział Duży Gary; plastik niebezpiecznie uginał się pod jego ciężarem. Podniósł wzrok i skinął Loganowi głową.

A więc tak. Kłopoty.

- Sierżancie McRae - powiedział Napier, sadowiac się za biurkiem. - Jak pan widzi, poprosiłem przedstawiciela związku zawodowego o udział w spotkaniu. - Uśmiechnął się

chłodno i wskazał Gary'ego. - Zanim zaczniemy, chciałbym podkreślić, że wszyscy jesteśmy ogromnie zasmuceni przedwczesną śmiercią posterunkowego Maitlanda. Był dobrym policjantem. Kolegom i przyjaciółom będzie go brakowało. Łączymy się w bólu z wdową po nim i... - zerknął na leżącą na biurku kartkę - ...i córką.

Logan musiał jeszcze raz opisać przebieg nieudanej akcji; Napier z powagą kiwał głową, Duży Gary robił notatki.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mamy szczęście w nieszczęściu - oświadczył Napier, kiedy Logan skończył. Wziął do ręki najnowszy numer „Press and Journal”, w którym nagłówek „Cztery ofiary pożaru!” przecinał pierwszą stronę nad zdjęciem dopalających się zgliszcz domu, otoczonych przez wozy straży pożarnej. - Ta tragedia ściągnęła na siebie powszechną uwagę. Poza tym informacja o przedwczesnym odejściu posterunkowego Maitlanda dotarła do gazet już po zamknięciu numeru. Należy się, naturalnie, spodziewać, że pewni prominentni obywatele w rodzaju radnego Marshalla dadzą publicznie wyraz swojemu oburzeniu.

Nazwisko radnego brzmiało w ustach Napiera jak nazwa ohydnej zarazy.

Logan się załamał. No, pompatyczny, obleśny zbok będzie miał używanie.

- Wewnętrzne śledztwo musi w obecnej sytuacji uwzględnić fakt, że funkcjonariusz policji zmarł na skutek akcji, którą pan zaplanował, zorganizował i przeprowadził - ciągnął Napier, rozkoszując się zapewne każdym swoim słowem. - Jeżeli śledztwo wykaże, że dopuścił się pan zaniedbania, grozi panu degradacja, być może także zwolnienie z policji. Nie można również wykluczyć, że i prokurator postawi zarzuty.

Duży Gary przesunął się na skraj zmaltretowanego krzeselka. Zmarszczył brwi.

- Wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie na to, by mówić o prokuraturze. Sierżant McRae na razie jest niewinny.

Napier podniósł ręce.

- Ależ oczywiście. Przepraszam. Pański przedstawiciel z ramienia związków ma całkowitą rację: domniemanie niewinności i tak dalej.

- Wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je. - Dokładna data rozpoczęcia śledztwa zostanie ustalona już dziś. Gdyby chciał pan o tym jeszcze porozmawiać, jestem do pańskiej dyspozycji.

Pokój przesłuchań numer 6 był wolny, Więc Duży Gary wziął tam Logana na rozmowę w cztery oczy. „Pieprz Napiera. Nie zrobiłeś nic złego, prawda? No właśnie. Nie powinieneś się niczym przejmować. Śledztwo nic nie wykaże, dostaniemy nauczkę, nastąpi łzawe pojednanie i wszyscy będziemy żyć dalej”.

Wszyscy poza Maitlandem, pomyślał Logan.

W końcu Duży Gary sobie poszedł, a Logan oklapł na krzesło, odchylił głowę do tyłu i zagapił się na sufit. Szlag by trafił Napiera i to jego polowanie na czarownice - tak jakby on sam nie miał dość wyrzutów sumienia z powodu śmierci Maitlanda! Trafia się okazja, by zgnoić, zastraszyć albo spojrzeć z góry na człowieka - i Napier już jest, gotowy wbić nóż w plecy i jątrzyć ranę. I jeszcze urwał się jak z choinki z tym ostrzeżeniem, żeby Steel nie obsmarowano w gazetach

- Steel, z tym jej cholernym sarkazmem i pieprzeniem „nie wszystko jest czarno-białe”, jakby on, Logan, był dzieckiem. To na pewno ją należało chronić przed dziennikarzami? Przecież to jego obędrą żywcem ze skóry, jak tylko rzuci się na niego ten cwany hipokryta, ten zbok i pedofil Marshall. Jej jadł z ręki...

Tyle że... to gra dla dwojga. Logan wyciągnął telefon, zadzwonił do centrali i poprosił o namiar na radnego Marshalla. Zatelefonował pod podany numer, dobre trzy minuty użerał się z sekretarką, ale w końcu usłyszał ten znajomy władczy głos:

- Czy to coś ważnego? Za pięć minut mam zebranie rady.

Logan się uśmiechnął.

- Jedno szybkie pytanie. Czy imię „Kylie” brzmi znajomo? - Cisza w telefonie. - Nie? To młoda litewska prostytutka, która twierdzi, że w zeszłym miesiącu świadczyła usługi erotyczne panu i pańskiemu znajomemu. Jednocześnie.

Nieartykułowane jąkanie, a potem:

- Usługi erotyczne?

- Powiedziała „szaszłyk”. Pan pewnie był z tyłu?

- Ja... Nie wiem, o czym pan mówi.

- Zatrzymaliśmy ją. Rozpoznała pana na zdjęciu. Wiedział pan o tym, że ma czternaście lat?

- O Boże... - Długa cisza. - Czego chcesz? Pieniądzy, prawda? Wam zawsze chodzi o pieniądze! Dalibyście mi wszyscy święty spo- kój!

Logan znów się uśmiechnął. Od dawna podejrzewał, że inspektor Steel bierze.

- Czyżby już ktoś pana szantażował? Seks analny z czternastolatką...

- Boże, to jakiś koszmar... Nie wiedziałem, że ma czternaście lat! On mi dopiero później powiedział, przysięgam! Gdybym wiedział wcześniej, nie tknąłbym jej palcem.

Marshall wpadł w panikę.

Uśmiech Logana stężał.

- On panu powiedział? Jaki „on”?

- On... No... Nie wiem, jak się nazywa. Dostałem list ze zdjęciem, na którym jestem... jesteśmy wszyscy troje... razem. Nie wiedziałem, że to dziecko!

Krzyczał coraz głośniej, a Logan zastanawiał się, czy Marshall miał dość oleju w głowie, żeby wcześniej zamknąć drzwi do gabinetu. Jeśli nie, to przed lunchem cała rada będzie wiedziała o jego rozrywkach.

- Kim jest pański znajomy? Ten z drugiego końca różna?

Cisza. Odgłos przetykania śliny.

- Jego też chcesz szantażować, tak?

- Nazwisko!

John Nicholas, w radzie miejskiej odpowiedzialny za plany zabudowy pasa zieleni wokół miasta.

Zadowolony z siebie Logan się rozłączył. Nioletnia litewska prostytutka z Edynburga uprawia seks z urzędnikiem, który decyduje o tym, co można, a czego nie można budować pod miastem, ktoś robi zdjęcia, ktoś zastrasza urzędnika - i nagle okazuje się, że firma budowlana Malka Majchra dostaje pozwolenie na budowę w pasie zieleni. Jeśli to zbieg okoliczności, to cholernie mało prawdopodobny. Biorąc pod uwagę, że Brendan „Kizior” Sutherland wykonywał dla Malka różne zlecenia, to pewnie on odpowiada za ten niespodziewany uśmiech losu. Cóż, będzie go można o to zapytać - o ile Colin Miller znajdzie jakiś adres.

Wiadomość o śmierci Maitlanda szybko przedostała się do mediów: pierwszy telefon w biurze prasowym zadzwonił punktualnie o dziewiątej, psując Loganowi dobry nastrój. Rzecznik policji wydał oświadczenie, które do złudzenia przypominało wypowiedź Napiera: Maitland był świetnym policjantem, kolegom będzie go brakowało, bla, bla, bla. Kiedy posterunkowy Jacobs zajrzał do pokoju i poprosił go na chwilę, wszystkie agencje prasowe już wiedziały.

- Znowu pożar - powiedział Steve, pokazując mu „P&J”.

- Wiem, Napier mi pokazywał.

Steve uniósł brwi.

- Widział się pan z Drakulą? Po co...

Nie dokończył, bo sobie przypomniał. Wszyscy mówili o Maitlan- dzie. Kiedy Logan przyszedł rano do pracy, poczuł się jak w niemym filmie: na jego widok ucichły wszystkie rozmowy.

- No tak... - mruknął posterunkowy, cały czerwony. - Inspektor Insch prosi, żeby pojechał pan na miejsce pożaru i poświrował po swoim.

Logan nawet nie poszedł się odmeldować u Steel.

Trudno byłoby nie zauważyć pogorzelniska w pięknej, bukolicznej okolicy Inchgarth Road. Deszcz ustał i chmury się rozprzeczły; intensywnie zielone krzewy i drzewa złościły się w ciepłym, przymglonym słońcu. Miasto toczyło tu trudną bitwę z wsią, działki i pola przeplatały się z osiedlami mieszkaniowymi i posiadłościami bogaczy. Ziarnisty, czarny od sadzy osad śliską warstwą pokrył jezdnię i zatkał studzienkę; na asfalcie powstało płytkie bajoro. Zgliszcząca dymyła na końcu zwirowego podjazdu. Jedna ściana się zawałiła, przysypując pogorzelnisko gruzem. Przy osmalonym krzewie róż stał brudny transit BIO, a obok - nie mniej uświnione ruchome stanowisko dowodzenia w przyczepie. Ludzie w białych kombinezonach kręcili się po okolicy, zbierali próbki i robili zdjęcia. W przyczepie było ciasno, ale Logan i Steve znaleźli skrawek wolnego miejsca, żeby się przebrać; tuż koło nich ktoś gotował sobie wrzątek do zalania gorącego kubka. W kombinezonach wyszli do ogrodu.

Strażacy wyważyli drzwi frontowe - a musieli się przy tym nieźle napocić: tak jak poprzednio zostały przytwierdzone do framugi pięć- centymetrowymi śrubami. Tego im jeszcze brakowało: drugiego seryjnego wariata mordercy. Wyłamane drzwi leżały na środku przedpokoju, na wpół zagrzebane pod stertą potrzaskanych dachówek i zwęglonego drewna.

Na górze tylko kikuty belek pozostały z podłogi piętra, gdzie zginęła cała rodzina. Ściany były nadpalone i czarne od sadzy. W korytarzu leżał gruz i powykrzywiane resztki schodów.

Inscha znaleźli w dawnym salonie. Ubrany w opinający się na nim papierowy kombinezon, balansował na stercie kamieni, patrząc, jak mężczyzna w brudnych ogrodniczkach i hełmie strażackim długą tyczką sonduje gruz. Logan wspiął się na stos cegieł i nadpalonych polan.

- Chciał mnie pan widzieć, inspektorze.

- Tak? - Insch zmarszczył brwi. - Ach, tak. Czteroosobowa rodzina: ojciec, matka, dwie córeczki. Biegli ze straży ustalili, że ktoś wlał benzynę przez skrzynkę na listy, a potem wrzucił koktajle Mołotowa przez okna. Skąd my to już znamy? Podpalacz cztery razy dzwonił do straży pożarnej z kradzionej komórki, wzywając strażaków do rzekomych pożarów na drugim końcu miasta. Kiedy dotarli tutaj, mogli najwyżej zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia na sąsiednie domy. - Pokręcił głową i podszedł do okna. - Ci biedacy nie mieli szans. Myślałem, że może ten poprzedni pożar, w pustostanie, był jakoś powiązany z biznesem narkotykowym, ale to tutaj jest bardziej... Czyja wiem? Osobiste? Bez sensu. - Westchnął i potarł zaczerwienioną twarz. - To się kupy nie trzyma. Właśnie dlatego pana wezwałem: przyda się druga para oczu.

- Na pewno - powiedział Logan. - Znaleźli ciała?

- Kawalki... Sypialnia dziewczynek znajdowała się nad kuchnią. Kiedy runął dach, zawałiło się całe piętro. Matka i ojciec prawdopodobnie byli z nimi, ale żeby się upewnić, musimy uprzątnąć cały gruz.

Logan rozejrzał się po szczątkach domu. Chodził z pokoju do pokoju, chłonał obraz zniszczeń. Niewiele sprzętów dało się rozpoznać - albo spłonęły, albo się stopiły. Najmniej ucierpiały drzwi, leżące tam, gdzie upadły po wyważeniu. Farba z nich obłaziła, szybki były popękane i nieprzezroczyste od nadmiaru sadzy. Stał i patrzył na nie - tylko one ocalały z pożaru, który pochłonił cztery ofiary. Wzrok Logana padł na przykręconą mosiężną tabliczkę nad szparą na listy. Przykucnął, odgarnął kurz, zdmuchnął sadzę i przeczytał: „Andrew, Wendy, Joanna i Molly Lawsonowie”. Brakowało tylko „Panie, świeć nad ich duszami”. Już miał wstać i wyjść, kiedy coś zwróciło jego uwagę - coś ledwie widocznego po drugiej stronie czarnego szkła. Z bijącym sercem chwycił za krawędź drzwi, dźwignął je - drewno skrzypnęło, odłamki dachówek osypały się na usłaną gruzem ziemię - i zobaczył częściowo zagrzebaną w szczątkach sufitu ludzką twarz, pozbawioną rysów i rozpoznawalną wyłącznie

dzięki wyszczerzonym zębom, które przybrały barwę ochry. Odłamek muru sprasował czaszkę.

Skacowany żołądek Logana zrobił fikołka.

Wezwał pomoc. Inspektor Insch zbliżył się ciężkim krokiem, spojrzął na to, co pokazywał Logan, zmarszczył brwi - i zaczął kłąć.

- Wszyscy tu łazili, do jasnej cholery!

Zawołał strażaka z tyczką i zaczął się dopytywać, jak to możliwe, że nikt wcześniej nie znalazł zwłok. Korzystając z tego, że ci dwaj wdali się w rozważania kwestii odpowiedzialności za to, by ludzie nie deptali po ciałach zabitych, Logan wymknął się za próg i wrócił do świata żywych.

Słońce pięknie świeciło, w powietrzu unosił się jednak przykry odór przypieczonego mięsa i palonego drewna. Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Nie porzyga się, nie porzyga... Zwęglone kobiety i dzieci, skatowane prostytutki, obdarta ze skóry twarz dziewczyny, gnijące zwierzęta, Maitland... Nie, jednak się porzyga. Zdażył zrobić kilka niepewnych kroków w kierunku muru otaczającego ogród i darował sobie wszelkie pozory; popędził w bezpieczny cień obsypanej fioletowymi kwiatami budlei. Zerwał maskę z twarzy, osunął się na kolana i zwymiotował pod krzakiem. Kiedy w obolałym żołądku nie zostało już zupełnie nic, nawet żółć, chwiejnie wstał i rękawem kombinezону otarł usta. Boże, żeby tylko ktoś nie widział, jak wymiotował w krzakach... Rozejrzał się dyskretnie: wszyscy byli czymś zajęci, wykonywali swoje zadania; powinien do nich wrócić.

Stanął na zdeptanym trawniku, odwrócił się i spojrzął na zgliszcza, starając się nie myśleć o twarzach zmarłych. Pożar w pustostanie, w którym zginęło sześcioro ludzi, był widowiskiem, bez dwóch zdań. Ktoś stał w półmroku, patrzył i słuchał, jak żywi ludzie zmieniają się w zwęglone trupy, i zabawiał się ze sobą. Na pewno chciał mieć dobry widok, może nawet być dostatecznie blisko, aby słyszeć skwierczenie tłuszczu.

Ruszył na obchód ogrodu, szukając najlepszego punktu obserwacyjnego, który nie stałby się śmiertelną pułapką gdyby straż pożarna przyjechała przed czasem. Nie znalazł takiego miejsca. Obrócił się powoli dookoła własnej osi. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się hotelowy podjazd. Mur wokół hotelu miał wysokość dwóch i pół metra, bramę zdobiły dwie rdzewiejące latarnie. Tylko z tego miejsca naprawdę dobrze było widać płonący dom.

Nie zdejmując kombinezону, rękawiczek i ochraniaczy na buty, przeszedł przez kałużę, rozchlapując czarną wodę, i wszedł na teren hotelu. Zgoda, dałoby się przyczaić za granitową kolumną wychylić się, podziwiać przedstawienie i się masturbować, licząc na to, że nikt nie spojrzy w tę stronę, nie odbywałoby się to jednak w romantycznej atmosferze... Ale dwa metry od bramy rósł spory krzew rododendronu - idealnie nadawał się do tego celu. Nawet gdyby ktoś rzucił okiem w jego stronę, zobaczyłby najwyżej liście i gęsty cień.

Logan podszedł mokrej trawie do rododendronu i zajrzał pod obwisłe gałęzie z ciemnymi, woskowatymi liśćmi. Kwiaty wędły, w dodatku nocny deszcz zbił większość płatków - leżały na trawie podobne do plamek krwi. W miękkiej ziemi zachował się wyraźny odcisk stopy.

Kierownik hotelu trochę się niepokoił niekorzystnym wpływem obecności policji na samopoczucie gości. Nie dość, że od tyłu godzin droga była praktycznie nieprzejezdna, to jeszcze wokół hotelu kręcili się ludzie, jakby przyjechała telewizja... No, nie bardzo wiedział, po co mogłaby przyjechać telewizja, ale przysłał policjantom młodego, miłego człowieka z termosem herbaty, termosem kawy i półmiskiem ciasteczek. Insch był zachwycony.

Sprawa wyglądała lepiej, niż myślał. Liście rododendronu nie tylko podpalacza uchroniły przed zmoknięciem - dzięki nim zachowały się również ślady, które pozostawił. Poza odciskiem buta znaleźli następną śmierdzącą spermą chusteczkę higieniczną. Potem ludzie z BIO szukali w i wokół krzewu włókien i innych, mniej oczywistych śladów.

Zadowolony Insch dojadł trzecie ciasteczko, kiedy przy zgłiszczach zatrzymał się radiowóz i ze środka wynurzyła się znajoma, kompletnie łysa czaszka psychologa. Z rękami założonymi na plecach doktor Bushel zaczął obchodzić dom, rozglądając się ciekawie.

- No pięknie... - Insch strząsnął okruszki z podbródka. - Chce pan pogadać z Profesorem Mądralą czy ja mam się nim zająć?

Skończyło się na tym, że obaj wrócili na drugą stronę ulicy. Doktor Bushel przykucnął nad płachtą białej folii, na której leżały cztery otwarte worki na zwłoki. W każdym z nich znajdowały się szczątki ofiar: nadpalona kość udowa, poczerniały obojczyk, ciało spod drzwi, gruda spalonego mięsa - jeszcze wczoraj dziecięcy tułów... Pusty żołądek Logana podskoczył ostrzegawczo. Psycholog uśmiechnął się na ich widok. Słońce odbiło się w oprawkach okularów.

- Panie inspektorze, panie sierzancie, miło mi znów panów widzieć - powiedział, wstając. - Całe szczęście, że jeszcze tu jestem, nie sądzicie, panowie? Komendant poprosił mnie o sporządzenie portretu psychologicznego podpalacza. Chwilę mi to zajmie, ale pierwsze wnioski mogę panom przedstawić już teraz, jeśli jesteście zainteresowani? - Pytanie retoryczne, rzecz jasna. - Podpalaczem kieruje nienawiść, to oczywiste. Świadczą o tym staranne przygotowania: zaśrubowanie drzwi, wlanie benzyny do domu, uniemożliwienie ofiarom ucieczki... W dodatku zawsze swój gniew wyładowuje na rodzinach, zauważyliście panowie?

Insch poinformował go, że pierwsze ofiary nie były rodziną, tylko po prostu mieszkającą wspólnie gromadą bezdomnych. Bushel uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zgoda, inspektorze, ale w jego oczach tworzyli rodzinę: mieszkali razem, wychowywali dziecko... Przypuszczam, że podpalaczem kieruje głęboko zakorzeniona nienawiść do rodziny, to nienawiść popycha go do takich czynów. - Bushel pochylił skromnie głowę, jakby ktoś pogratulował mu błyskotliwej dedukcji. - Proszę jeszcze spojrzeć na drzwi. Te śruby. To wysublimowany akt penetracji. Morderca prawdopodobnie cierpi na zaburzenia erekcji, chociaż tego nie jestem pewny. Ale sam wybór pięciocentymetrowych śrub w charakterze narzędzia jest znaczący, prawda? Mają silne konotacje erotyczne. Nic dziwnego, że na miejscu pierwszego pożaru znaleźliście panowie dowody masturbacji. - Wzruszył ramionami. - Nie zdziwiłbym się, gdybyście znaleźli coś podobnego także tutaj, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać... - Obrócił się. - Podejrzewam, że schowałby się...

- Pod rododendronem. - Insch kciukiem wskazał hotelowy ogród za jego plecami. - Sierżant McRae już na to wpadł. Ale dziękujemy panu, doktorze.

Zmieszany doktor Bushel zdjął okulary i zaczął je starannie przecierać.

- No tak... Świetnie. Gratuluję.

- No, wystarczy tych pochwał jak na jeden dzień. Nie chcielibyśmy, żeby sierżant McRae zaczął się nam tu puszyć jak paw.

Na to się nie zanoszą, pomyślał Logan, patrząc, jak psycholog wsiada do radiowozu i odjeżdża na komendę. Nie teraz, kiedy wisi nade mną śmierć Maitlanda.

Insch odrzucił kaptur kombinezonu, odsłaniając spoconą, łysą głowę.

- Ależ w tym jest gorąco, Boże... - Rozpiął suwak do pasa, oparł się o mur... i niespodziewanie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Coś mi się widzi, że odebrał pan doktorowi Mądrali tytuł do sławy... Co się stało? Pana twarz wygląda jak dupa mojej teściowej.

Logan patrzył, jak technik z BIO ostrożnie wkłada zwęgloną grudę wielkości rzepy do jednego z dwóch mniejszych worków na zwłoki. Na miejsce główki. Joanna czy Molly?

Zaniknął oczy. Nie chciał tego dłużej oglądać.

- Maitland...

- No tak, posterunkowy Maitland...

- Chciałem go odwiedzić, ale... - Westchnął. - Wie pan, jak to jest. Zawsze coś wypadnie. - Podrapał się po zmęczonej twarzy. Lateksowe rękawiczki zaskrzypiały na skórze. - Jak mogłem tego nie zrobić!

Insch położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie ma sensu się tym teraz zadreć. Co się stało, to się nie odstanie. On nie żyje, a pan musi myśleć o sobie. Dobry z pana glina, sierżancie. Niech się pan nie da zaszczyć tym draniom. Nie warto.

23

Steve odwiózł go na komendę, starając się zagłuszyć niezręczne milczenie czężą gadaniną. Logan włączył radio, ale posterunkowy nie zrozumiał aluzji, tylko gadał jak najęty o pogodzie, o filmie, który niedawno widział w kinie, i o tym, że to super, jak kobitki chodzą w takich kusych koszulkach, nie? W radiu skończył się jakiś bezpłatowy popowy kawałek, zagrał didżej z Northsound, którego Logan nie kojarzył, puścili dwie inne piosenki i nadeszła pora na wiadomości.

„Dziesiątki mieszkańców Kingswells wtargnęły dziś na salę rady miejskiej, przerywając obrady. Protestują w ten sposób przeciw decyzji, która firmie McLennan Homes pozwala zbudować trzysta nowych domów...”

- Kryminał, co? - mruknął Steve, porzucając dotychczasowe rozważania na temat domniemyanych, nieoficjalnych zajęć dodatkowych żony sierżanta Beattiego. - Wszystkich tych z działu planowania powinno się wziąć i wystrzelać. Mój ojciec ubiegał się o zezwolenie na budowę domu. Jednego domu! Ale nie, odrzucili wniosek. A tu proszę: jakieś McLennan Homes chce postawić trzysta domów w pasie zieleni, i co? „Ależ oczywiście, szanowny panie McLennan, prosimy bardzo. A czy mogę, korzystając z okazji, zrobić panu laskę?” Rzygać się chce.

Logan nie chciał tłumaczyć Steve'owi, że jego ojciec miałby o wiele większe szanse, gdyby zrobił zdjęcie gościowi z wydziału planowania posuwającemu czternastolatkę.

Następna informacja dotyczyła nowej pracowni mody damskiej w Inverurie, która zdobyła jakąś ważną branżową nagrodę - tego posterunkowy Jacobs nie skomentował - a potem spiker przeszedł do głównego tematu dnia: cztery ofiary wielkiego pożaru. Ostatnia wiadomość, nadana tuż przed prognozą pogody, dobiła Logana:

„Koledzy i przyjaciele żegnają posterunkowego Trevora Maitlan- | da - zmarł wczoraj w nocy w szpitalu, gdzie przebywał po postrzale | w czasie akcji mającej na celu odzyskanie skradzionego mienia”. I Z radia popłynął łzawy głos kobiety, która postanowiła opowiedzieć I światu o tym, jakim Trevor był wspaniałym mężem i ojcem. Potem ktoś jeszcze dodał: I „Trevor był inny niż wszyscy. Nie chciał być kryminalnym. Pewnie, radził sobie super, ale zawsze mówił, że wolałby patrolować ulice, pomagać ludziom. Taki był”.

Na koniec zabrzmiały trąby wieszczące zagładę - jeśli nie całego świata, to przynajmniej policji w Grampian - czyli głos radnego Świntucha Marshalla:

| „W takich chwilach należy przede wszystkim pamiętać o tym, ile dobrego robią dla miasta tacy ludzie jak posterunkowy Maitland i jego koledzy. Nie wątpię, że wyrażę uczucia wielu z nas, kiedy powiem, że w tym trudnym czasie łączymy się w bólu z jego rodziną”.

I to wszystko. Bez oskarżeń o niekompetencję i tradycyjnego wylewania pomyj na policję. Gdyby to Logan prowadził, ze zdziwienia na pewno spowodowałby wypadek.

- Ja cię kręcę... - Posterunkowy Jacobs wytrzeszczył oczy i spojrzał na radio. - Dobrze słyszałem? Radny Ślimak naprawdę to powiedział? Dobrowolnie odpuścił sobie okazję, żeby zmieszać nas z...

- Niech pan patrzy na drogę!

Logan zaparł się o deskę rozdzielczą gdy Steve wcisnęła ostro hamulec i wrócił na właściwy pas.

Dotarli na miejsce chwilę po pierwszej. Logan miał jeszcze czas, żeby coś zjeść, zanim po południu wszystko zwali mu się na głowę jak tona cegieł. Zdażył wbić dwie pierwsze cyfry kodu otwierającego wewnętrzne drzwi, kiedy za szybą w recepcji wyrósł jak spod ziemi sierżant Erie Mitchell i zawołał:

- Panie sierżancie! Panie sierżancie, pomoże pan?

Logan obejrzał się - i zamarł, widząc, kto siedzi na jednym z paskudnych fioletowych krzesełek pod ścianą: drogi garnitur, teczka, opuszczone na czubek nosa okulary do czytania i wyniosła mina: Sandy Moir-Farquharson, znany także jako Sandy Wąż albo Sandy Tu-Wstaw-Dowolną-Oljelgę-Jaka-Akurat-Przyjdzie-Ci-Na-Mysł. Tego mu jeszcze brakowało: spotkanie z Sandym jako perfekcyjne ukoronowanie tego beznadziejnego miesiąca. Co tam miesiąca - całego roku! Sandy Moir-Farquharson, wredny gnojek: to on bronił Angusa Robertsona, Potwora z Mastrick, to on próbował przekonać cały świat, że to Robertson jest prawdziwą ofiarą a nie piętnaście kobiet, które Potwór zgwałcił i zamordował, i że głównym oskarżonym zbiorowym jest policja z Grampian, a indywidualnym - Logan. Niewiele brakowało, żeby mu się udało.

Moir-Farquharson poderwał się już z krzesła, kiedy Erie wskazał drugi rząd krzeseł - przy frontowym oknie. Pod tablicą ku pamięci policjantów poległych w obu wojnach światowych siedziała zapłakana, atrakcyjna kobieta. Ścisnęła chusteczkę w dłoniach z taką siłą jakby chciała ją udusić. Sandy zdażył powiedzieć: „Byłem pierwszy”, kiedy Logan już zaprosił kobietę do pokoiku przy recepcji i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Była bardzo ładna, nawet z podpuchniętymi oczami: długie, tlenione włosy, odrobinę zadarty nos - w tej chwili ciekący

- pełne wargi skrywające lekki przodozgrzyz... i figura, na której widok posterunkowy Rennie natychmiast zaczęłyby się ślinić.

- Panno...

- Pani. Pani Cruickshank. Chodzi o mojego męża, Gavina. W środę rano wyszedł z domu i nie wrócił! - Przygryzła wargę. W przekrwionych zielonych oczach wezbrały łzy. - Ja... Nie wiem, co robić.

- Zgłosiła pani zaginięcie?

Pokiwała głową, przyciskając chusteczkę do nosa. Westchnęła głęboko, aż wstrząsnął nią szloch.

- Powiedzieli... Powiedzieli, że nic nie mogą zrobić!

Ukryła twarz w dłoniach i płakała, płakała, płakała. Logan odczekał dłuższą chwilę w nadziei, że może weźmie się w garść, ale w końcu zaproponował jej herbatę i wymknął się z pokoju. Czuł się podle, zostawiając ją samą.

Na jego widok Sandy zerwał się na równe nogi i tym razem mówił szybciej:

- Sierżancie McRae, zmuszony jestem nalegać, aby...

Logan uciszył go gestem i spytał Erica, czy mógłby mu znaleźć raport ze zgłoszenia zaginięcia niejakiego Gavina Cruickshanka. I zaparzyć herbatę dla pani Cruickshank. Kiedy odwrócił się od biurka, Sandy Wąż zastąpił mu drogę. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i z powodzeniem mógł patrzeć na Logana z góry.

- Chodzi o mojego klienta, Jamiego McKinnona. Domagam się, panie sierżancie, byście umożliwili mi spotkanie z nim.

Arogancki kutas. Logan spojrział na niego krzywo, czując narastającą wściekłość. Za kogo ten gość się uważa, że tak po prostu przyłazi tu i się rzuca?

- Może się pan domagać do woli. Jestem zajęty, opiekuję się roztrzęsioną kobietą. Chce pan uzyskać dostęp do klienta? Proponuję spróbować w szpitalu: godziny odwiedzin od czternastej trzydziestej do siedemnastej.

Wyminął adwokata i ruszył w stronę pokoiku. Ciężka dłoń opadła mu na ramię.

- Żądam, aby pan...

Logan wolał się nie odwracać - bał się, że jak spojrzy na Węża, to mu w końcu przyłoży.
177

- Weź pan tę rękę, bo panu palce połamię - wycodził przez zęby.
12 - Zamierające światło

Czekał na pretekst, który pozwoliłby mu wyładować na tym obleśnym snobie całe napięcie, jakie nagromadziło się w nim przez ostatnie pół roku. Moir-Farquharson odskoczył jak oparzony.

Cisza.

Drzwi recepcji otworzyły się z hukiem i do środka wparował jakiś ob- darts. Magiczna chwila minęła. Intruz - w starym dresie FC Aberdeen, z brodą, która bardziej przypominała nalot pleśni niż prawdziwe włosy - zatoczył się pod samo biurko recepcjonisty, uderzył pięścią w blat i zawołał:

- Ktoś mi buchnął leki!

Formularz zgłoszenia zaginięcia pana Cruickshanka leżał na tacy przy dwóch kubkach z gorącą herbatą z mlekiem i złożonej na pół notce od Erica Mitchella, który sugerował, żeby Logan migiem załatwił tę rozmowę, a następnie zmył się z komendy i nie pojawiał do wieczora. Saridy Wąż właśnie składał na niego oficjalną skargę.

Logan zaczął wypytywać żonę Gavina Cruickshanka o szczegóły, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo mu się spieszy. Słuchał o tym, jak od miesięcy starają się o dziecko. Jak rzuciła pracę, żeby mniej się stresować i mieć większe szanse na zajście w ciążę. Jak Gavin ostatnio coraz częściej pracuje do późna. Jak toczy bitwy z sąsiadką. Kiedy ostatni raz pani Cruickshank widziała męża, wychodził z domu wściekły, w ciemnych okularach zasłaniających podsiniaczone oko - pamiątkę po bliskim spotkaniu z wiedźmą zza ściany. To było w środę rano. Od tamtej pory nie dał znaku życia.

- Dzwoniłam do biura, ale... powiedzieli, że pojechał do klienta i wróci późno. - W jej oczach kryła się rozpacz. - Ale on zawsze wracał na noc do domu. Zawsze!

- I dlatego kiedy nie wrócił, zawiadomiła pani policję? - spytał Logan, zerkając do raportu: zgłoszenie przyjęto w czwartek rano, wpół do ósmej.

Pokiwała głową, aż lzy skapnęły jej do stygnącej herbaty.

- Czasem zdarzało mu się wracać nad ranem, o czwartej, piątej, jak poszedł do kasyna albo jednego z tych... - Zaczerwieniła się. - ... klubów. Więc położyłam się spać. Kiedy o szóstej dalej go nie było, zadzwoniłam na komórkę. Połączyłam się z pocztą głosową. Dzwoniłam jeszcze kilka razy, aż w końcu... zadzwoniłam na policję.

Logan kiwał głową, bezskutecznie próbując skupić się na tym, o czym mówiła. Po co, do diabła, groził Wężowi? Zupełnie jakby dochodzenie w sprawie śmierci Maitlanda nie dość go stresowało i chciał sobie dorzucić do akt oficjalną skargę...

Dotarło do niego, że pani Cruickshank powiedziała właśnie coś ważnego i patrzy na niego wyczekująco.

- Hm... - Mruknął, marszcząc mądrze brwi. O co go mogła zapytać? - W jakim sensie?

- No wie pan. - Przynęła się do stołu. - Przecież mogła mu zrobić krzywdę. Ona jest niebezpieczna!

- Niebezpieczna... Rozumiem.

Nic nie rozumiał. Chyba będzie musiał się przyznać, że stracił wątek, i stawić czoło...

- Odkąd zamieszkała obok nas, są z nią same kłopoty! Pobiła go! Podbiła mu oko! Zgłosił to na policję... - Znów się rozplakała. - Musicie go znaleźć!

Obiecał, że zrobi, co w jego mocy, i odprowadził ją do wyjścia. Sandy Wąż gdzieś zniknął - pewnie poszedł osobiście poskarżyć się komendantowi. Logan skorzystał więc z okazji i

ulotnił się jednym ze służbowych samochodów. Było mu obojętne, gdzie pojedzie - byle jak najdalej od komendy, zanim ktoś się zorientuje, że go nie ma. Na wszelki wypadek wyłączył komórkę. Musiał czymś zająć myśli. Czymś, co wydałoby mu się pożyteczne - nawet gdyby miało służyć wyłącznie odwleczeniu kolejnej bury i być może wylaniu go z pracy. Pani Cruickshank powiedziała, że jej mąż pracował w firmie naftowej w Kirkhill Industrial Estate, zajmującej się wynajmowaniem i serwisowaniem podnośników na platformach wiertniczych. Zgoda, to było zwykłe zaginięcie, ale przynajmniej będzie coś robił.

Biura ScotiaLift mieściły się w nijakim, piętrowym klocku z ma- f łym parkingiem z przodu i ogrodzonym placem na tyłach, gdzie trzymali kolorowe podnośniki. Chlubą parkingu było porsche, terenówka bmw, kabriolet audi - wszystko nowe, i to z indywidualnymi tablicami rejestracyjnymi - oraz dwumetrowe logo firmy umieszczone na lśniącej płycie pleksi. Logan zostawił służbowego brudasa obok porsche, czym znacząco obniżył prestiż parkingu, i wszedł do budynku.

Aberdeen miało długą i szczytną tradycję zatrudniania młodych, atrakcyjnych dziewczyn w recepcjach firm - i ScotiaLift nie była wyjątkiem. Na widok gościa recepcjonistka uśmiechnęła się promiennie.

- W czym mogę pomóc?

Jej uśmiech zbladł, gdy Logan machnął jej przed oczami legitymacją i wyjaśnił, że przyjechał popytać o pana Gavina Cruickshanka. Dziewczyna patrzyła na przemian to na niego, to na dokument; niepokój wyciskał kurze łapki w kącikach jej oczu.

- Wiem, fatalne zdjęcie - powiedział. - Mimo to chciałbym porozmawiać ze współpracownikami pana Cruickshanka. Albo w ogóle z kimś, kto go widział w środę.

- W środę nie było go w pracy.

- Jest pani pewna?

Kiwnęła głową i pomalowanym paznokciem postukała w blat biurka.

- Widziałabym go.

Logan rozejrzał się po recepcji: małe pomieszczenie, drzwi wejściowe dokładnie na wprost biurka. Dziewczyna miała rację. Musiałaby go zobaczyć.

- Nie ma drugiego wyjścia?

- Jest, tam. - Wskazała otwarte drzwi po lewej stronie. - Ale prowadzi na plac, a brama jest stale zamknięta. Otwieramy ją tylko wtedy, kiedy wywozimy sprzęt. Pracownicy parkują przed budynkiem. Widziałabym jego samochód.

- W takim razie dlaczego, kiedy w środę po południu pani Cruickshank dzwoniła do niego, powiedziano jej, że pojechał do klienta?

Recepcjonistka lekko s^ę zaczerwieniła.

- Nie wiem.

Logan czekał, że powie coś więcej, ale milczała, wpatrując się z uporem w telefony, jakby siłą woli chciała je zmusić, by zadzwoniły - nie musiałaby wtedy dalej z nim rozmawiać. Z każdą chwilą czerwieniała coraz mocniej.

- Dobrze - westchnął w końcu. - Chciałbym porozmawiać z kimś, kto z nim pracuje.

Zaprowadziła go do pustego pokoju na piętrze. Biuro Gavina: bałagan, na drzwiach jeden kalendarz z dziewczynami, na ścianie drugi, dwa komputery i olbrzymie biurko, niesprzątane chyba od czasu ostatniego złodowacenia. Ale przynajmniej był stamtąd doskonały widok na parking. Pracownicy ScotiaLift jeden po drugim - od dozorczy po dyrektora - trafiali do zarekwirowanego przez Logana pokoiku i opowiadali mu, jakim świetnym gościem jest Gavin Cruickshank i że to zupełnie nie w jego stylu, tak zniknąć bez śladu. Nikt nie przyznał się, że rozmawiał przez telefon z jego żoną i mówił jej, że Gavin pojechał do klienta. Logan powoli zbierał się do wyjścia, kiedy na parking zajeżdżał dwumiejscowy sportowy wóz. Patrzył przez okno, jak wysiada z niego opalony dwudziestoparolatek, włącza alarm z pilota i

kieruje się w stronę budynku. Zniknął Loganowi z oczu. Trzydzieści sekund później ten sam młody człowiek zajrzał do pokoju i uśmiechnął się szeroko.

- Dzieńdoberek. Słyszałem, że mnie pan szuka?

Nastroszone blond włosy, płócienna koszula bez krawata, okulary Armaniego, lekki akcent z Dundee.

- To zależy. Czy to pan rozmawiał w środę z żoną Gavina Cruick-shanka?

- Z piękną Ailsą? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i powiesił marynarkę na haczyku za drzwiami. - Przyznaję się do winy. Któregoś dnia dziewczyna zmądrzeje i rzuci tego frajera. - Mrugnął do Logana. - Widział ją pan? Taaakie balony, seksowna jak diabli. Musi się bzykać jak króliczek...

Westchnął, zatopiony w swojej fantazji.

- Środa po południu. Dlaczego powiedział jej pan, że Gavin pojechał do klienta?

- Słucham? A, bo tak właśnie było.

- To ciekawe. Wszyscy poza panem twierdzą że w ogóle nie przyszedł do pracy.

Cisza. Nerwowy grymas. Znów uśmiech.

- Dobra, zełgałem. Nie było go w środę w robocie.

- No to dlaczego okłamał pan jego żonę?

- Widzi pan, Gavin czasem przyjeżdża później, a czasem w ogóle się nie zjawia. Dzięki niemu mamy sporo klientów, więc nawet gdyby kogoś tu zabił, uszłoby mu pewnie na sucho.

- Skąd pan wiedział, że jest u klienta? Rozmawialiście?

- Nie, właściwie nie. Przysłał mi SMS.

- Kiedy?

- Nie wiem, jakoś przed południem. Pisał, że będzie później, ale nie podał kiedy dokładnie.

- A pan uznał, że załatwia coś u klienta, tak?

- No... - Uśmiech pojawiał się i zniknął. Mężczyzna usiadł naprzeciw Logana i włączył komputer. - Właściwie to nie. Widzi pan, Gavin to niezły lowelas. Proszę spojrzeć.

Ze sterty papierów wygrzebał zdjęcie na błyszczącym papierze przedstawiające półnagiego Gavina w otoczeniu blondynek i brunetek o biustach wypychających opięte koszulki. Jedna z nich trzymała mu rękę na piersi, prawie zasłaniając czarny tatuaż. Dziewczyny miały na koszulkach napis „Hooters”, Gavin - na nagiej piersi - „Ailsa”.

- To z Houston. Byliśmy tam niedawno na konferencji producentów sprzętu wiertniczego. Przez cztery dni zaliczył trzy z tych dziewczyn. A jego biedna żona o niczym nie wie i dalej myśli, że ma najlepszego męża na świecie. - Pokręcił głową. - Trudno w to uwierzyć, co? Kurczę, przecież jeśli można w domu posuwać takie cudencko jak Ailsa, po co dalej szukać?! No ale takie są fakty. Gavin to dupek.

- Czyli kiedy przysłał panu SMS, w którym informował, że się spóźni, pomyślał pan...

- Że jakaś śliczna młódka właśnie robi mu loda? Mniej więcej. Nie byłby to pierwszy raz.

- Ma pan jakiś pomysł, kto by to mógł być?

- Widział pan Janet, dziewczynę z recepcji? Bzykają się czasem. Poza tym chyba spotyka się z żoną gościa od was, sierżanta... jakiegoś tam. Z dochodzeniówki. A oprócz tego rypie jeszcze taką laskę, Hay ley, co tańczy na rurze w Secret Service. To taki bar przy Windmill Brae, ze striptizem. Zna go pan? - Zazdrosny uśmiech. - Podobno nikt nie robi takich świństw z marchewką jak Hayley. Perwersja. Ale wie pan, może ona ma jakiegoś alfonsa i to on stuknął Gavina? A może uciekli we dwoje? Często o tym gadał, frajéi*.. - Uśmiech stał się bardziej obleśny. - Chętnie bym wtedy pocieszył tę jego seksowną żonkę. Mogłaby wypłakać się na moim ramieniu, wesprzeć na moim kiju... Jezu, to by było coś.

Logan przystanął na parkingu i patrzył na biurowiec, z którego pan Gavin Cruickshank zawiadował swoim erotycznym imperium. Cztery kobiety! Skąd miał na to siłę? Jemu ledwie starczało energii na jedną.

Telefon Logana ożył natychmiast po włączeniu: od kakofonii pisków i kwików ścisnęło go w żołądku. Ale dzwonił tylko Colin Miller, któremu udało się zdobyć namiar na „Kiziora” Sutherlanda. Informator Millera twierdził, że Sutherland i jego długowłosego kumpel z wąsami mieszkają w ekskluzywnym domku na zachodnich obrzeżach Manno-field. Logan miał wrażenie, że jest w tej sprawie coś więcej, coś, o czym Miller nie chce mu powiedzieć - jednak wszelkie prośby, prowokacje, próby podpuszczenia go okazały się nieskuteczne. Koniec końców musiał po prostu podziękować Millerowi za informacje i liczyć na to, że sam wkrótce wszystkiego się dowie.

- To jak, Łazarz? Masz coś dla mnie? No wiesz, qui pro quo?

Logan się zamyślił. Inspektor Steel chciała odpuścić radnemu Marshallowi seks z nieletnią, a jemu samemu, nie przebijając w słowach, kazała przymknąć oko i zapomnieć o sprawie, tak? Dobrze. Niech „Press and Journal” go wyręczy. Opowiedział Millerowi o Marshallu, o urzędniku z działu planowania i o młodej litewskiej prostytutce. Dziennikarz nie posiadał się ze szczęścia.

- Jasny gwint, to fantastyczne! Dał się złapać na gorącym, bardzo gorącym uczynku! - Przerwał. - Na pewno mogę to wykorzystać?

Logan zapewnił go, że tak, i się rozłączył. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczuł satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Pojechał na komendę, gdzie nie było go już przez całe cztery godziny i piętnaście minut, ale chcąc nie chcąc, musiał wrócić, żeby zająć się sprawą Kiziora i jego kolegi po fachu.

Erie Mitchell wyskoczył na parking na papieroska, kiedy Logan odstawiał samochód.

- Co pan tu robi, sierzancie?! - zawołał, nawet nie wyjmując peta z ust. - Chyba radziłem się panu zmyć, nie?

- Rozumiem, że Napier wciąż mnie szuka?

- O dziwo, wcale nie. - Mitchell wypuścił dym nosem. Wyglądało to tak, jakby wąsy zaczęły mu się tlić. - Uroczy hrabia Nosferatu wybrał się z komendantem na, jak to się ładnie nazwa, imprezę. Cały dzień go nie ma.

Logan pokiwał głową. To oznaczało tylko tyle, że obsobaczy go dopiero jutro.

- Za to szuka pana gość z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Chodzi o tego psa w walizce.

- O psa? - Po tych pożarach i morderstwach prostytutek całkiem zapomniał o psie. - Czegoś się dowiedzieli?

- A skąd mam niby wiedzieć?

- Piękne dzięki, Erie.

- Drobiazg. - Mitchell zaciągnął się głęboko i spróbował puścić kółko z dymu, ale z mizernym skutkiem. - Jeszcze jedno. Byli u nas ludzie z opieki społecznej. Ta mała kurewka ma trzynaście lat, nie czternaście. - Zasalutował papierosem. - Mieszkańcy Aberdeen mogą być z siebie diabelnie dumni. - Nagle znów zaczął wyglądać na swoje czterdzieści jeden lat. - A, inspektor Steel też chce pana zobaczyć. I od razu uprzedzam: nie, nie wiem, o co chodzi. Sam pan musi zapytać.

Pokój operacyjny inspektor Steel powoli podążał w otchłań chaosu, w miarę jak czas i naturalne zamięłowanie pani inspektor do entropii brały górę nad porządkiem. Druga zmiana odbierała telefony i przekładała papiery; niewiele się działo. Opracowany przez Bushela profil psychologiczny mordercy prostytutek - czy też, jak ochrzciły go media, Zabójcy z Shore Lane - nie został opublikowany, trafił za to na ścianę obok zdjęć z sekcji zwłok. Samej Steel nie było nigdzie widać.

Na biurku znalazł trzy samoprzylepne karteluszeki oraz kolejną torbę kaset z operacji „Kopciuszek”. Nie tracąc czasu na ich przeglądanie, schował je tam, gdzie pozostałe: do szafki. Pierwszą karteczkę zostawiła mu Steel: laboratorium wzięło się wreszcie do roboty i zbadało przedmioty wydobyte z tyłka Jamiego McKinnona. Czysty crack. Czyli zero

zdziwienia, ale i tak prosiła o kontakt. Notka numer dwa pochodziła od człowiek[^] z TOZ: przejrzał wszystkie zgłoszenia zaginięć labradorów i żadne nie pasowało do zwłok z walizki. Trzeci liścik napisał inspektor, którego nazwisko nic mu nie mówiło: prośba o pilny telefon - o ile wróci przed piątą. To wszystko. Było po piątej, więc Logan poszedł szukać inspektora Steel. Znalazł ją w stołówce; pochłaniała kanapkę z serem i szynką.

- Chciała mnie pani widzieć?

Usiadł naprzeciwko, spoglądając na nią podejrzliwie.

- Mhm...

Przeżuła, językiem przesunęła kawał kanapki na bok, aż wypchnął jej policzek, i wybełkotała coś o wiadomości, którą mu zostawiła.

- Mam adres, pod którym można by chyba zastać naszych znajomych dilerów z Edynburga. Drapieżny uśmiech rozjaśnił twarz Steel.

- Czas najwyższy. - Spłukała kanapkę łykiem irn-bru. - Dobra, trzeba załatwić nakaz rewizji i aresztowania. Zgarniemy ich od razu, zanim zdążą kogoś jeszcze urządzić.

- Co z Inschem?

Zmarszczyła brwi.

- To znaczy?

- Ci dwaj mogą mieć coś wspólnego ze śmiercią Karla Pearsona. Pamięta pani? Ktoś go torturował, a potem poderznął mu gardło.

- Co z tego?

- Nie sądzi pani, że powinniśmy powiedzieć Inschowi...

- Pieprzyć Inscha. To my ich przymkniemy. Możemy mu ich oddać, kiedy już uporamy się z kwestią narkotyków. - Steel zaczęła dłubać sobie paznokciem w trzonowcach. - To nasza wielka szansa, Łazarzu. Gdybyśmy powiedzieli Inschowi, przejąłby sprawę i już. A jeśli ktoś ma za nią zostać pochwalony, to chcę to być ja. Inschowi medal niepotrzebny.

W ten sposób ucięła dyskusję. Nie zgodziła się nawet, żeby Logan poinformował ludzi z narkotyków.

Prawie godzinę zajęło im załatwienie nakazów i zebranie ekipy na obowiązkową odprawę przed akcją. Mieli do dyspozycji dziewięcioro oficerów z bronią i kilkoro zwykłych posterunkowych - w odwodzie - mniej więcej po równo mężczyzn i kobiet, którzy spokojnie i ze śmiertelną powagą słuchali Steel streszczającej im barwne dzieje „Ki- ziora” Sutherlanda. Logan zdziwił się, widząc Simona Renniego wśród posterunkowych przeszkolonych do użycia broni. Gdyby to od niego zależało, nie dałby Renniemu nawet pistoletu na wodę, ale komputer twierdził, że egzamin zdał śpiewająco. Siedział na samym przodzie, a cywilne ciuchy zamienił ostentacyjnie na czarny strój komandosa

- taki sam, jaki nosiła reszta zespołu.

Steel skończyła mówić i Rennie natychmiast podniósł rękę.

- Jest pani pewna, że będą uzbrojeni?

Pokręciła głową.

- Nie, ale nie zamierzam ryzykować. Nikt tam nie wejdzie bez broni i kamizelki kuloodpornej, jasne? Wszyscy, którzy będą w środku, mają zostać policzeni, skuci i rzućni na ziemię w salonie, zanim do domu wejdzie ktoś nieuzbrojony. Rozumiemy się? - Westchnienie.

- Jeszcze coś, Rennie?

- Wiemy, ilu ich powinno być?

- Co najmniej dwóch, może więcej. Pewnie z bronią. Dlatego macie przewrócić chałupę do góry nogami. Nie chcę, żeby jakiś czub wyskoczył z szafy z maczetą, kiedy będziemy już siedzieć na kanapie, pić herbatkę i drapać się po tyłkach. - Wstała i wcisnęła ręce w kieszenie. - Musimy... Słucham?!

Rennie znowu podniósł rękę.

- Mają psa?
- Nie wiem, kurwa, czy mają! Gdybym wiedziała, to chyba bym wam powiedziała, nie?! Rennie spiekł raka i przeprosił.
- No dobrze. - Steel wyjęła z kieszeni spodni zmasakrowaną paczkę papierosów. - Chcę, żeby za piętnaście minut wszyscy byli gotowi.

Dwadzieścia minut później nowy oddział Steel zainstalował się w nieoznakowanej furgonetce i ruszył do Mannofield. Operacja „W Samo Południe”, jak gustownie ochrzciła ją pani inspektor, została rozpoczęta. Dwa radiowozy pojechały na miejsce akcji okrężną drogą, żeby nie rzucić się w oczy. Logan i Steel wsiedli do inspektorskiego dziw-kołotu i zajechali po drodze do Athol House przy Guild Street. Logan wyskoczył po nakazy, a Steel czekała na awaryjnych. Biuro pani prokurator mieściło się na czwartym piętrze, ale jej asystentka czekała już w recepcji ze skórzaną teczką w jednej ręce i filiżanką kawy w drugiej. Kręcone włosy związała w koński ogon - a i tak sięgały jej do łopatek; ciemnozielony kostium miała trochę wymięty po długim dniu w biurze. Pod oczami widać było bladą plackę. Oddała Loganowi teczkę, zatrzymując kawę dla siebie.

- Dziękuję - powiedział, kartkując dokumenty i sprawdzając, czy wszystkie podpisy są na swoich miejscach.

- Eee... Panie sierżancie? Jeśli dobrze zrozumiałam, nie można wykluczyć, że to wasi goście z Edynburga torturowali Karla Pearso- na?

- Słucham? Tak, to możliwe. Chociaż na razie nie mamy żadnych dowodów na to, że są w to zamieszani, więc to tylko luźne przypuszczenie. Dziękuję za tak szybkie załatwienie sprawy. Naprawdę bardzo nam zależało.

- Drobiazg. - Uśmiechnęła się. - Poza tym panna Tulloch, nie „pani”. A w ogóle proszę mi mówić po imieniu. Rachael.

Logan też się uśmiechnął.

- Skoro tak... Jestem Logan. - Podali sobie ręce. - Miło mi, Rachael. - Z ulicy dobiegł natarczywy ryk klaksonu, doskonale słyszalny nawet tu, w holu. - Pani inspektor się niecierpliwi. Muszę lecieć. Jeszcze raz dziękuję.

Wybiegł na chodnik - w sam środek siennej chmury dieslowskich spalin przejeżdżającego autobusu.

Steel wystawiła głowę za okno i kociła jak lokomotywa.

- Szybciej! Nie będą czekać do wieczora!

Przecięli miasto, ale nie zakorkowaną Union Street, i tylko opłótkami. Jasne granitowe ściany złociły się żółto i pomarańczowo, gdy słońce powoli zbliżało się do horyzontu.

Dotarli na miejsce i Steel zaparkowała trzy domy od tego, w którym spodziewali się zastać Kiziora z kumplem, po drugiej stronie ulicy.

- A słyszała pani o tym, że w Aberdeen przypada więcej morderstw na głowę niż w Anglii i Walii razem wziętych?

Inspektor zaciągnęła ręczny hamulec i spojrzała na Logana tak, jakby miał niezmywalnym flamastrem napisanie na czole: „Palant”.

- Niech się pan nie wygłupia: w samym Manchesterze ginie więcej ludzi przez miesiąc niż u nas przez rok. Kto panu naopowiadał takich bzdur?

- Rachael. Poza tym, jak się nad tym zastanowić, to wcale nie takie głupie. Sumę uśrednia się po...

- Kto to jest Rachael, do licha?

Uchyliła okno i zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu nieodłącznych papierosów.

- Nowa asystentka pani prokurator...

- Wydawało mi się, że bzyka pan posterunkową Watson. - Steel prychnęła, zapaliła i dym zaczął się snuć po wnętrzu wozu. - W przerwach między prostytutkami, naturalnie. Ale na pana miejscu bym uważała. Watson potrafi być mściwa. Może panu łeb ukręcić.

- Słucham?! To nie tak! - Logan wytrzeszczył oczy. - Nic nas nie łączy! Skąd ten pomysł?
Rozłożyła ręce. Dym spowijał jej głowę.

- Ja tylko radzę uważać. Po prostu lubię pana; jak na faceta jest pan bardziej pozbierany niż przeciętny okaz waszego gatunku, ale... - Wyrzała przez okno. - Są w życiu rzeczy, o które trzeba dbać. Wiem, co mówię. Bardzo łatwo postawić pracę na pierwszym miejscu i zapomnieć o tym, co naprawdę ważne. Zbyt łatwo. - Westchnęła. - Niech pan tego nie spieprzy, co?

Pierwszy raz Logan nie czuł w jej głosie i słowach sarkazmu - co zakrawało na ironię, bo to przecież ona cały czas dorzucała mu roboty i drażniła Jackie.

Siedzieli w milczeniu, dopóki po jakiejś minucie radio nie zatrzeszczało i Rennie nie zameldował, że furgonetka zajmuje umówioną pozycję: podjechała pod dom, blokując srebrnego mercedesa na podjeździe.

- Najwyższy czas... - mruknęła Steel. Wzięła do ręki mikrofon. - Czemu to tyle trwało?!

- Musieliśmy... zatrzymać się na siku...

- Boże święty...

Wyjęła papierosa z kącika ust i walnęła głową w kierownicę.

- Pani inspektor?

- Rennie, jak Boga kocham, najchętniej przyszląbym tam do was i dała ci kopa w dupę. No dalej, ruszcie się!

W głośnikach dały się słyszeć przytłumione głosy i otworzyły się tylne drzwi furgonetki. Na ścieżkę ogrodową wyskoczyło dwóch policjantów w czarnych mundurach, kamizelkach, masywnych hełmach i chustach przesłaniających dolną połowę twarzy. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe Heckler and Koch. Zatrzymali się po obu stronach drzwi wejściowych i dali pozostałym znak, unosząc zaciśniętą pięść. Następna dwójka dołączyła do nich - wszystko w bardzo hollywoodzkim stylu - a potem barczysta, utykająca na jedną nogę policjantka z taranem w rękach. W domu panowała głucha cisza.

- E-trzy-sześć, odbiór. Jesteśmy na pozycji. -

Steel zmarszczyła brwi! Sięgnęła po mikrofon.

- Jakie znowu „E-trzy-sześć”?

- No... meldują się posterunkowi Littlejohn, MacInnes, Clarkson i Caldwell. Jesteśmy gotowi.

- Trzeba było tak od razu. Dobra, słuchajcie: macie to załatwić czysto, szybko i dyskretnie. Nie strzelać bez potrzeby. Rennie? To do ciebie. Jeśli nie będzie rannych, stawiam wszystkim kolejkę. - Puściła przycisk nadawania i uśmiechnęła się do Logana. - A teraz mój ulubiony kawałek. - Wcisnęła przycisk. - Jedziemy!

Taran wyłamał drzwi, posterunkowa odskoczyła na bok, a jej uzbrojeni kompani wpadli do środka. Steel z uśmiechem patrzyła, jak znikają we wnętrzu domu. Stało się. Teraz mogli już tylko czekać, aż policjanci przeszukają dom i dadzą znać, że można wchodzić. Poczęstowała Logana papierosem; grzecznie odmówił.

- Nie? Na pewno? Jak pan chce... - Zapaliła. - No, korzystając z tego, że mamy chwilę dla siebie, chciałam z panem o czymś porozmawiać. Odwiedził mnie dzisiaj stary znajomy. - Z wewnętrznej kieszeni wyjęła dwie złożone na pół kartki formatu A4. Podała je Loganowi. - To skarga na pana.

Logan stęknął. Wydział wewnętrzny w natarciu. Niby się tego spodziewał, a jednak poczuł się tak, jakby ktoś kopnął go w genitalia.

- Rozumiem...

- Sandy Wąż! - Steel pokręciła głową. - Coś ty, człowieku, mózg w domu zostawił? Mało ci kłopotów?

- Bo on... złapał mnie na korytarzu. Chciałem... - Nie bardzo wiedział, czego chciał. - Byłem zdenerwowany, dostałem zgłoszenie zaginięcia, a ten arogancki gnojek mi przeszkadzał... Niewiele brakowało, żebym dał mu fangę w nos.

- No tak... Ja pana rozumiem. Pamięta pan, jak w zeszłym roku złamali mu nos? Mam to na kasecie, Insch mi nagrał. - Uśmiechnęła się. - Sam zresztą zrobił sobie z tego wygaszacz ekranu w komputerze w domu. Bam! Prosto w nos... - Dała się ponieść wspomnieniom tej szczęśliwej chwili, zaraz się jednak otrząsnęła i wróciła do rzeczywistości. - Najpiękniejsze było to, że nie mógł się do nas przyczepić. Mogliśmy patrzeć do woli i nikomu nie stała się krzywda! Poza Wężem, oczywiście. Nikt nie wyleciał, nikt nie dostał nagany... - Poklepała smętnego Logana po ramieniu. - Zachował się pan bardzo głupio, sierzancie. Ale może uda się coś na to poradzić.

25

Obeszło się bez jednego wystrzału. Jak opowiadał później Rennie, „Ki- zior” Sutherland i jego kudłaty kolega siedzieli sobie przy stole w jadalni, dojadając gotowy obiad z mikrofalówki. Nie krzyczeli, nie wrywali się, nic nie robili - po prostu grzecznie przyjęli żadaną pozycję: stanęli w rozkroku, z rękami na stole. Rennie i reszta ekipy przeszukali cały dom, ale nie znaleźli broni, narkotyków, fantów - w ogóle niczego, co uzasadniałoby wyważenie drzwi taranem.

- No dobrze - powiedziała inspektor Steel, wchodząc do salonu. Kizior z kumplem leżeli na brzuchach na podłodze. Dwóch policjantów stało nad nimi z gotowymi do strzału glockami. - Sprawiali kłopoty?

Kizior podniósł wtuloną w niebieski dywan głowę. Twarz miał spokojną i nieprzeniknioną.

- My z kolegą nie zrobiliśmy nic złego. Współpracujemy z policją.

- Czyżby? Wydawało mi się, że jesteście twardsi. Gdzie się podziali bohaterowie, co to ich policja żywcem nie weźmie?

- Nie musimy obawiać się policji. Nie zrobiliśmy nic złego.

W głosie Sutherlanda nie było ani śladu groźby - nie tak jak w pubie, kiedy kazał Loganowi spierdalać.

- Mniejsza z tym. Rennie? Zabrać ich na komendę. Osobno. Kiedy przyjadę, mają być wpisani do rejestru i czekać w oddzielnych pokojach. Jasne?

Rennie wyprężył się, zasalutował i szarpnięciem postawił Kiziora na nogi. Sutherland był od niego o dobre pół głowy wyższy, mimo to potulnie dał się wyprowadzić z salonu. Gdy przy drzwiach spojrzął na Logana, w jego oczach pojawił się błysk - rozpoznał go - ale już sekundę później jego twarz znów przybrała kamienny, pokerowy wyraz.

Herod baba, ta, co to wyważyła drzwi, wyprowadziła drugiego bandziora, którego twarz oprócz sumiastego wąsa zdobił teraz piękny siniak pod okiem. Logan i Steel zostali sami w pokoju. Steel w zadumie podrapała się pod pachą.

- Chodźmy - powiedziała. - Trzeba się rozejrzeć. Może Rennie i jego idioci coś przegapili.

Sypialnie wyglądały jak po przejściu tornada: wypatroszone łóżka, wyciągnięte szuflady, opróżnione szafy. Łazienka też wywrócona do góry nogami. Na poddaszu ludzie Renniego zajrzeli nawet pod izolację z waty szklanej, tu i tam odsłaniając nagi mur i dźwigary. Zdjęli pokrywę zbiornika na wodę. Wycieczka zakończyła się w garażu, gdzie Logan i Steel znaleźli zamrażarkę.

- Ha!

Inspektor podeszła do niej, chwilę siłowała się z wiekiem, aż w końcu je podniosła. Zamrażarka była prawie pusta: leżały w niej dwie paczki paluszków rybnych i kilka opakowań mrożonego groszku. Brakowało niezidentyfikowanych kawałków mięsa, jakie Logan zwykle widywał w zamrażarkach. Z triumfalnym błyskiem w oku Steel wyłowila tekturowe pudełko z napisem „Dorsz w chrupiącej panierce!” Otworzył je i wytrząsnęła sobie na dłoń kilka bladopomarańczowych filetów przetworzonej ryby.

- Psiakrew!

Wsypała je z powrotem do pudełka i w podobny sposób sprawdziła pozostałe opakowania. Każde zawierało ten produkt, którego nazwa widniała na wierzchu. Steel zakłęła i wytarła ręce w spodnie, zostawiając na nich dwie smugi z pomarańczowej, rozmrażającej się panierki.

- Nie lubi pani paluszków rybnych? - spytał Logan z miną niewiniątka.

- Niech mnie pan nie wpienia. Kiedyś znalazłam zamrażarkę pełną żywicy z konopi, popakowanej w pudełka po odchudzających daniach z kurczaka. - Pogrzebała jeszcze chwilę w mrożonym groszku, zmarszczyła brwi i zamknęła wieko. - Niech pan dzwoni do wydziału narkotykowego. Proszę im powiedzieć, że w razie potrzeby mogą rozebrać ten przeklęty dom na kawałki, ale muszą mi coś znaleźć!

Logan posłusznie zadzwonił, choć nie wierzył, żeby ludzie z nar- i kotyków mieli więcej szczęścia. Kizior i kudłaty zachowywali taki spo- | kój, że w domu na pewno nie było nic, co by im mogło zaszkodzić.

Zostawili jednego mundurowego na straży i wrócili na komendę, | zahaczając po drodze o Burger Kinga przy Union Street. Zegar na desce ś rozdzielczej wskazywał pięć po trzeciej, więc Logan spojrzął na swój i zegarek: dziewiąta siedemnaście. Kizior z kumplem już prawie od godziny byli w rękach policji.

- Musimy się sprężyć - powiedział. - Za pięć godzin trzeba albo ich wypuścić, albo przedstawić im zarzuty.

- Wypuścić, jeszcze czego. Są winni jak... Szlag by trafił ten majonez! - Steel wtarła kroplę tłustej bieli w czarny materiał. - No żesz kurwa mać, teraz wyglądam jak Monica Lewinsky... Nieważne. Niemy ich na taśmie ze szpitala. Albo Jamie zezna, że wsadzili mu crack w dupsko, albo go ścigniemy za dilerkę. - Jeszcze raz potarła bluzkę. - Nie ma pan serwetki? W pokoju numer 5 panowała niepokojąco swobodna atmosfera. Brendan „Kizior” Sutherland siedział po drugiej stronie stołu, ubrany w biały jednorazowy skafander - jego ubranie przesłano do laborato- 'um. Został obfotografowany, pobrano od niego próbkę DNA i odciski alców i w tej chwili trwało przeszukanie ogólnokrajowej bazy prze- tępców - chociaż przecież wiadomo było, z kim mają do czynienia.

- Jedna rzecz mnie zastanawia. - Steel postawiła przed Kiziolem lastikowy kubek ze słabą kawą. - Dlaczego jeszcze nie prosisz o ad- okata?

Uśmiechnął się. Wziął kubek do ręki, powąchał kawę i odstawił ją nietkniętą na wyszczerbiony blat.

- A co by mi to dało?

- Nic. - Steel spojrzała na Logana, który mocował się z foliowym opakowaniem kasety wideo. - Widzisz, kiedy wszyscy kwiczą o adwokata, strasznie mnie to wnerwia. Ale kiedy trafi się ktoś, kto tego nie żąda, czuję się zawiedziona.

Logan odchrząknął, włączył zapis audio i wideo i zarejestrował standardowe informacje wstępne. Przez następną minutę siedzieli w milczeniu, mierząc się nawzajem wzrokiem. W końcu Steel zaczęła zadawać pytania: Skąd Kizior wziął kokę? Dlaczego wybrali Jamiego na dilerę?

- Nie rozumiem. - Sutherland zrobił zdziwioną minę. - Czy ten cały McKenzie skarżył się na mnie?

- McKinnon, nie McKenzie, o czym zresztą dobrze wiesz, bezczelny gnoju. Napadliście go, kiedy leżał w szpitalu. Złamaliście mu cztery palce i wsadziliście mu w tyłek dwa kondomy pełne kokainy.

Kizior parsknął śmiechem.

- No nie, zaszła jakaś pomyłka...

- Mamy was na taśmach ze szpitalnych kamer. - Steel wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Możesz wziąć wszystko na siebie i strugać chojraka... Ale uprzedzam: czeka cię długa odsiadka.

Sutherland ze smutkiem pokręcił głową.
- Pani inspektor, nigdy nikomu nie wkładałem w tyłek nic wbrew jego woli. - Uśmiechnął się rozbijając. - Poza tym oboje wiemy, że nie macie nagrania, które pokazywałoby, jak popełniam tę okrutną zbrodnię, ponieważ jej nie popełniłem.
- Nie kpij sobie, słonko - prychnęła Steel. - Jesteś winny i już. Twojego kumpla pedofila w tej chwili przesłuchuje...
- Nie jest pedofilem. - W głosie Kiziora zabrzmiała złowieszcza nuta, którą Logan znał z pubu.
- Nie? - Steel zawiesiła głos. - Wąsy, długie włosy... Dla mnie wygląda na pedofila. Poza tym co ty sobie myślisz? Że cię nie wsypie? Puści farbę, a ty bekniesz za wszystko: handel narkotykami, rozbój, stawianie oporu podczas aresztowania...
- Niczego takiego nie zrobiłem! - Sutherland nachylił się nad stołem, opierając skute rękę o blat. - Od momentu, kiedy policjanci się przedstawili, posłusznie wykonywaliśmy ich rozkazy.

Steel wydeła wargi, bardziej niż zwykle upodobniając się do szczura.
- W dupę sobie możecie wsadzić wasze posłuszeństwo...
Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał posterunkowy Rennie, prosząc panią inspektor na słówko.
- Już idę. - Steel dźwignęła się ze skrzypiącego plastikowego krzeselka. - Minutkę. Przesłuchanie zostaje przerwane o... dziewiętej trzydziści siedem, prawda?
Wyszła z Renniem i w pokoju znów zrobiło się cicho. Kizior wyraźnie się odprężył.
- Wie pan co? Fatalnie pan wygląda. Ale trudno się dziwić człowiekowi, który ma zwyczaj tankować przed lunchem - stwierdził, kiedy taśma została zastopowana.
- Słucham?
- Nie pamięta pan? W zeszłym tygodniu spotkaliśmy się w pubie. Potracił mnie pan i chyba ze sto razy nazwał „brachem”. Chciał mi pan postawić drinka... - Kizior rozsiadł się wygodnie i posłał Loganowi swój najpiękniejszy uśmiech. - Pochlebił mi pan, posterunkowy...
- McRae. Sierżant McRae.
- McRae, tak? McRae, McRae, McRae, McRae. - Kizior zmarszczył brwi. - Łazarz McRae? Ten sam, o którym w zeszłym roku pisali w gazetach? To pan kropnął tego miłośnika małych dzieci?

Logan przytaknął.
- No proszę, prawdziwy policyjny bohater - powiedział z podziwem Sutherland. - Jak żywy. Wie pan co? Pedofilów to ja po prostu nie cierpię. Więzienie to dla nich za mało. Ale pewnie nie muszę tego panu tłumaczyć, co? - Mrugnął porozumiewawczo.

Logan spochmurniał.
- To był wypadek.
Gość z Edynburga w zadumie pokiwał głową.
- No tak, wypadek. Oczywiście. Jasna sprawa.
Milczenie, które zapadło po tych słowach, było wyjątkowo krępujące.
- A co tam słyszał u „Kylie”? - zagadnął wreszcie Logan. Twarz Kiziora stężała.
- U kogo?

193

- Litwinka, trzynaście lat, fatalna fryzura, pracuje na ulicy. Koja- pan?

3 - Zamierające światło

- Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.
- Na pewno pamięta pan „Kylie”. Wykorzystał ją pan, żeby załatwić Maikowi Majchrowi pozwolenie na budowę tych nowych domów.

Kizior zmarszczył brwi, udając, że myśli intensywnie.

- Nie, no chyba bym pamiętał. Pan najwyraźniej również mnie z kimś myli.

- Co pan z nią zrobił? Odsprzedał „Steve'owi”, kiedy przestała być potrzebna? A może on też dla pana pracuje? Może wszyscy jesteście jedną wielką szczęśliwą rodziną kryminalistów? Sutherland przekrzywił głowę i uśmiechnął się do Logana.

- Ma pan niezwykle bujną wyobraźnię, panie sierżancie. Powiedziałbym wręcz...

Drzwi się otworzyły i Steel kiwnęła na Logana. Wyszedł do niej na korytarz.

- Chodzi o podglądanie prostytutek. - Szturchnęła go w brzuch żółtym od nikotyny palcem, udając, że nie widzi, jak skrzywił się z bólu. - Ekipa siedzi jak stado durniów, czekają, żeby ktoś zrobił im odprawę.

Logan jęknął w duchu; wiedział, co się święci.

- Ja jestem teraz zajęta przy tych dwóch i nie mam czasu czekać całą noc, aż jakiś zaspany żul wyjdzie na podryw. „Kopciuszek” to pański pomysł, więc proszą ciągnąć to dalej. - Nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazała Loganowi schody. - A gdyby udało się wam złapać Zabójcę z Shore Lane, niech się pan nie waży aresztować go beze mnie. Muszę punktować.

Okręciła się na pięcie i zniknęła w pokoju przesłuchań, zamykając za sobą drzwi.

Operacja „Kopciuszek” zdążyła już stracić otaczającą ją początkowo atrakcyjną aurę nowości. Wierchuszka przestała się pojawiać na odprawach, podobnie zresztą jak dowództwo średniego stopnia, i tym sposobem sierżant Logan McRae sam stanął przed znudzonymi kolegami. Tej nocy i następnej mieli jeszcze zapewnioną pełną obsadę, później ich pięciodobowy mandat wygasał. Operacja nie zostanie odwołana - niebezpieczeństwo zaginięcia następnej kobiety i ewentualnej rzezi medialnej jest zbyt realne - ale po sobotniej nocy będą dysponować znacznie mniejszą liczbą ludzi: ot, żeby dla zachowania pozorów akcja trwała, lecz przy minimalnym obciążeniu budżetu nadgodzinami.

Logan wygłosił standardową mowę, odpuszczając sobie tylko tradycyjne: „Nie jesteśmy pierdołami”. Ponieważ Steel miała być nieobecna, musiał wprowadzić pewne zmiany. Dla posterunkowych Menzies i Davidson, ich opiekunów i kamerzystów będzie to taka sama noc jak poprzednio; reszta ubierze się po cywilnemu i pójdzie na obchód portu i okolicy: porozmawia z dziewczynami, popyta, czy któraś nie zniknęła ostatnio z ulicy. Jeżeli morderca pracuje w cyklu mniej więcej czterodniowym, powinien już uprowadzić następną ofiarę. Poza tym wszyscy jeszcze raz przejrzą profil psychologiczny stworzony przez doktora Bushela - nawet jeśli jest nic niewart - i popytają, czy dziewczyny albo ich alfonsi nie widzieli kogoś, kto by mu odpowiadał.

Zaparkowali służbowego vauxhalla tam, gdzie zawsze: niedaleko bramy portu - z tą różnicą, że tym razem Rennie siedział za kierownicą, a Logan rozwalał się na fotelu pasażera. Jeżeli ktoś miał spać - a Logan nie widział powodu, dla którego obaj mieliby czuwać do rana - to właśnie on. Przywilej rangi, jak by to powiedziała Steel.

Wkrótce świat zaczął mu przepływać przed oczami w postaci montowanych, spowolnionych ujęć. Powieki zamykały się na coraz to dłuższą chwilę, aż w końcu głowa opadła na pierś.

Granice snu i rzeczywistości się zacierały; ludzie pojawiali się i znikali, ale nikogo nie rozpoznawał. W samochodzie było zimno i niewygodnie, a Rennie za nic nie chciał przestać gadać i cały czas nawijał o swoich dziesięciu ulubionych odcinkach Coronation Street. Logan wreszcie wrócił do domu, rozebrał się i padł na łóżko.

- Spać, spać, spać...

Ciemność. Delikatne dotknięcie czyjejś ręki, ciepło nagiego ciała przy jego ciele. Muśnięcie ust na szyi, dłoni zataczające leniwe kręgi na poznaczonym bliznami brzuchu - a potem niżej. Pocałunki stały się bardziej natarczywe. I była już na górze. Kręcone włosy opadały jej na twarz i piersi. Pojękiwała i sapała głośno, aż leżąca obok Logana Jackie usiadła na łóżku i

spytała, co to za hałasy. Pstryk. Zapaliła się lampka na nocnym stoliku. Światło padło na piękną w swej nagości Rachael Tulloch, dosiadającą Logana okrakiem.

- A, to wy - powiedziała Jackie. - W porządku. Bałam się, że to myszy.

Logan chciał jej coś wyjaśnić, ale odwróciła się na drugi bok i zasnęła. Rachael przyciągnęła jego głowę do swoich jasnych piersi. Wtulił w nie twarz.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła jego matka z patelnią w ręce, ubrana jak Henryk VIII.

- Panie sierżancie! - zawołała. - Chyba coś mają!

- Hhmmpf?

Wyprostował się gwałtownie i uderzył głową w dach wozu. Posterunkowy Rennie przyglądał mu się z zatroskaną miną.

- Nic się panu nie stało?

Logan przetarł oczy, oklapł w fotelu i zaklął.

- Pierwszy raz od nie wiem jak dawna nie śnią mi się trupy, a wy mnie budzicie, posterunkowy! To draństwo!

- Przepraszam, panie sierżancie, ale pomyślałem, że to pana zainteresuje. Caldwell mówi, że słyszała o zaginionej prostytutce.

Logan próbował otrząsnąć się z resztek snu; w nozdrzach wciąż czuł woń nagiego ciała Rachael. Wszystko przez inspektor Steel! Gdyby nie insynuowała mu, że bzyka dziewczyny na prawo i lewo, nie miałby świńskich snów z asystentką pani prokurator w roli głównej - tylko normalne, uczciwe koszmary o rozkładających się ciałach dzieci, zmasakrowanych kobietach i zwęglonych trupach. No i na pewno tak dziwnie nie gryzłoby go sumienie.

- Jak to: słyszała? Co słyszała?

Zapach Rachael 9uleciał.

26

Nazywa się Joanna - powiedziała posterunkowa Caldwell, wskazując stojącą za nią dziewczynę, która wyglądała najwyżej na szesnaście lat i ledwie trzymała się na nogach. - Mówi, że zwykle spotykały się przed szychtą, ona i ta starsza. Popijały mocny cydr i tanią wódkę, żeby się znieczulić i poprawić sobie humor. - Pociągnęła nosem i obejrzała się przez ramię na prostytutkę. Pewnie właśnie pomyślała, że mogłaby być jej matką. - Tylko że dzisiaj Holly nie przysła. Wczoraj zresztą też nie.

Logan pokiwał głową. Pewnie niewiele z tego wyniknie; okaże się, że Holly wzięła sobie parę dni wolnego albo leży w szpitalu z rzeżączką - ale nigdy nie wiadomo. Joanna miała zapadnięte policzki, zamglone oczy człowieka, który znieczulił się czymś więcej niż tylko alkoholem, i po obu stronach szyi masę świeżych malinek. Jej piersi wypychały przybrudzony niebieski gorset, lewy sutek wystawał przez dziurę w koronce. Do tego czarna mini, krótkie kozaczki na obcasach i narzucony na ramiona powycierany brązowy płaszczyk. Bardzo stylowo - jeśli ktoś gustował w autentycznych épunkach.

- Joanno?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się zadziornie.

- Chcesz się zabawić?

- Nie, nie chcę. - Nawet gdyby chciał, to na pewno nie z nią. - Pogadajmy o twojej przyjaciółce Holly.

Joanna skrzywiła się i splunęła na ulicę.

- Nie przychodzi do roboty, krowa jedna! A wisi mi paczkę fajek. - Znów to rozjechane spojrzenie. - 1 pięć dych.

- Kiedy ostatni raz ją widziałas?

Wzruszyła ramionami i schowała ręce do kieszeni.

- Nie wiem. Co dziś mamy? - Kiedy Logan powiedział jej, że jest piątek, policzyła na palcach. Dwa razy. - We wtorek w nocy. Wyżebrała u mnie fajki.

Wtorek. Cztery dni po zabójstwie Michelle Wood. Joanna pochyliła się, odsłaniając więcej biustu, niż Logan miał ochotę oglądać.

- Od tamtej pory jej nie widziałam. W ogóle! A powinniśmy się spotykać na drinka przed... No wie pan, przed robotą.

Przejeżdżający samochód zwolnił - i zaraz przyspieszył, gdy kierowca zorientował się, że spod latarni przygląda mu się całe mnóstwo ludzi.

- Kurwa wasza mać! - Joanna tupnęła nogą, odprowadzając go wzrokiem. - Zatrzymałby się jak nic! Spadajcie! Dajcie mi spokój, bo nic nie zarobię!

- Jak tylko podasz nam nazwisko Holly. I adres.

Joanna patrzyła w głąb ulicy - tylne światła samochodu właśnie znikwały za zakrętem. Oblizwała wargi i chytrze spojrzała na Logana.

- Nic za darmo.

Skończyło się na tym, że musiał pokryć rzekomy dług Holly: pięćdziesiąt funtów i paczka papierosów. Dostał adres komunalnego mieszkania we Froghall, okolicy cieszącej się - mówiąc oględnie - nie najlepszą sławą. Nie wiedział na pewno, czy Holly z Froghall naprawdę zaginęła, ale warto było sprawdzić. Zadzwoił do centrali i poprosił, żeby posłali tam radiowóz. Jeśli otworzy im drzwi ubrana w lateksowy strój zakonnicy, będą przynajmniej wiedzieli, że żyje. Wsiadł do samochodu i przysypiając, czekał na raport. Rennie pilnował posterunkowej Menzies, urzędującej na drugim końcu Shore Lane.

Tuż po pierwszej ocknął się, sztywny i obolały, jak zwykle po drzemce w samochodzie. Rennie powiedział mu, że nic się nie działo; w aberdeńskiej dzielnicy czerwonych latarni interesy szły słabo. Logan ziewnął, dziękując w duchu Bogu, że następny dzień nareszcie będzie miał wolny - dłużej nie dałby rady tego ciągnąć. Pokręcił głową i rozmasował kark, po czym połączył się przez radio z resztą ekipy: Rennie miał rację - noc od początku była cicha i spokojna, ale teraz już nigdzie żywego ducha.

O wpół do drugiej oddzwonili z centrali: patrol A20 pojechał do Froghall, nikogo jednak pod wskazanym adresem nie zastał. Jeżeli nie wypadnie im nic ważniejszego, spróbują jeszcze raz później, ale proszę nie robić sobie nadziei. „Kopciuszek” i tak już poważnie obciążał nocną zmianę - a ktoś przecież musi patrolować miasto.

O trzeciej Menzies i Davidson grały już w dwadzieścia pytań przez radio, a reszta bawiła się w „Pójść do łóżka albo umrzeć”, wybierając takich kandydatów jak Saddam Husajn, królowa Anglii, Ann Widdecombe, Homer Simpson, Oprah Winfrey, a nawet inspektor Inch. Nikt się nie dziwił, że więcej ludzi wolałoby umrzeć, niż przespać się z In-schem. W końcu Logan zwinął operację i kazał wszystkim wracać na komendę.

Poleciał Renniemu zaparkować samochód, a sam poszedł prosto do pokoju operacyjnego inspektor Steel. Nie zastał jej - nadal przesłuchiwała Kiziora i jego kompana. Spojrzył na zegarek: za godzinę z kawalkiem trzeba będzie albo przedstawić im oficjalne zarzuty, albo ich wypuścić. Jakiś znudzony posterunkowy stał oparty o ścianę przed drzwiami pokoju przesłuchań numer 3. Czytał „Evening Express” i mamrotał coś pod nosem.

- Dobry, panie sierżancie - powiedział na widok Logana. - Szuka pan pani inspektor?

- Tak. Jest tam? - Logan wskazał drzwi.

- Nie, Kizior siedzi sam. Pani inspektor jest w czwórce, z tym drugim.

- Coś powiedział?

- Wątpię. Cały czas się wypiera. Nudy na pudy.

Logan nie był zaskoczony. Zdziwiłby się, gdyby człowiek z taką reputacją jak Kizior załamał się i wyznał wszystkie grzechy. Zapukał do drzwi z numerem 4 i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. Steel siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzyła spode łba na mężczyznę naprzeciwko. Miał na sobie papierowy kombinezon z BIO, ale czuł się w nim swobodnie, jakby przyszedł na pidżama party dla ludzi uprowadzonych przez UFO. W kącie stała policjantka, nie mniej znudzona od kolegi po fachu z drugiej strony drzwi.

Widocznie kumpel Kiziora też nie kwapił się do rozmowy. Na stole leżała tekturowa teczka. Logan zajrzał do niej i przekartkował zawartość. Steel była pochłonięta swoją cichą wojną i próbami rozmiękczenia przeciwnika..

Z akt wynikało, że podejrzany został zidentyfikowany jako Greg Campbell z Edynburga. Niewiele o nim wiedzieli: w dzieciństwie spędził trochę czasu w tym samym poprawczaku co Kizior, potem przyszła pora na włamania i paserstwo - sprzedawał kradzione radia samochodowe w pubach w edynburskim porcie - a w wieku siedemnastu lat wdał się w bójkę i stuknął kogoś za mocno. Ale odtąd miał względnie czyste konto. To znaczy - nie złapano go na niczym poważnym, a to dwie różne rzeczy. Jeżeli zadawał się z Kiziorem, to musiał pracować dla Malka Majchra. A Malkie nie zatrudniał ministrantów - przynajmniej nie takich, których mógłby wynająć „wrozumiałym” księżom.

Nagle inspektor Steel zakołysała się na krześle i obiema rękami uderzyła w blat, aż cały stół się zatrzęsł. Greg Campbell nawet nie drgnął; siedział spokojnie, wpatrzony gdzieś w przestrzeń.

- Dość tego! - Podsunęła mu wyprostowany palec pod nos. - Nie chcesz gadać? Dobrze. - Odwróciła się do znużonej posterunkowej. - Zabrać gnoja do celi. Przedstawić mu zarzuty: rozbój, posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży... Poza tym wygląda mi na pedofila.

Pierwszy raz twarz Campbella zdradziła jakieś emocje.

- Nie jestem pedofilem.

- Jezu Chryste na motorku! - Steel przybrała teatralną pozę. - To coś mówi!

- Nie jestem pedofilem - powtórzył spokojnie, bez cienia groźby w głosie. Po prostu stwierdził fakt.

- Jesteś, jesteś. Długie włosy i wąsy? Każdy ci powie, że tak właśnie wyglądają pedofile. - Inspektor nachyliła się nad stołem, niemal zetknęli się nosami. - Po to tu przyjechałeś? Co? Żeby zaspokoić swój zboczony popęd? Uzależniasz dzieci od cracku, a potem robisz z nimi to, co lubisz? - Mrugnęła. - No, Reggie, cioci możesz powiedzieć. Co cię do nas sprowadza?

Campbell wziął głęboki wdech, zamknął oczy i odparł:

- Nie zrobiłem nic złego. Współpracuję z policją.

I znów zapatrzył się w dal. Tym razem wszelkie prowokacje ze strony Steel były bezskuteczne. Nie odezwał się więcej. W końcu inspektor odpuściła i kazała zaprowadzić go do celi.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, eksplodowała stekiem wyzwisk. Wyrwała Loganowi teczkę z rąk i rzuciła nią o ścianę; akta rozsypały się po podłodze. Logan siedział na krawędzi stołu z założonymi rękami i czekał, aż jej przejdzie. Przeszło, bo zabrakło jej energii; rwący potok przekleństw zmienił się w strużkę, aż wreszcie całkiem wysechł.

- Boże... - Opadła ciężko na krzesło. - Musiałam sobie ulżyć. Gnojek mnie dobił! Pęknę, jak zaraz nie zakurzę.

Wyjęła papierosa, zapaliła i pokazała środkowy palec tabliczce z napisem „Zakaz palenia” zawieszanej na ścianie przy drzwiach. Dopiero wtedy zauważyła, że czerwona lampka w kamerze wciąż miga. Zaklęła i wdusiła przycisk „Stop”.

- Szlag by to trafił! Teraz będę musiała pomajstrować przy taśmie, żeby się pozbyć dowodów. Palenie w miejscu pracy: ciekawe, co na to rząd? i ^

Przetarła twarz dłonią, napinając skórę w jednych miejscach, rozluźniając w innych.

- Czy to znaczy, że z tego przyjemniaczka nic pani nie wyciągnęła?

Przesycony dymem śmiech Steel przypominał szczekanie psa.

- Ta chwila słabości, której był pan świadkiem, to jego najdłuższa wypowiedź. Na początku myślałam, że to w ogóle jakiś niemowa.

- Ale z tą pedofilią trafiła pani w czuły punkt.

- Tylko nic nam to nie dało. - Oparła się o ścianę, dopaliła papierosa i zdusiła niedopałek obcasem. - Chodźmy do pana Sutherlanda. Poświntuszmy sobie trochę.

Areszt nie służył Kiziorowi. Po pięciu godzinach z hakiem miał wory pod oczami i ślad blond zarostu na podbródku. Ziewał i przeciągał się teatralnie, patrząc, jak Steel sadowi się po drugiej stronie stołu. Szczęrzyła zęby jak lampion z dyni przygotowany na Halloween.

- Sierzancie McRae, będzie pan łaskaw czynić honory domu...

Logan odprawił proceduralny rytuał: odpakował kasety, włożył je do magnetofonów i nagrał wstęp do przesłuchania: „Kizior” Sutherland, inspektor Steel, sierżant McRae, znudzony posterunkowy z korytarza. Steel aż podskoczyła na krześle jak podekscytowana uczennica.

- Kizior, Kizior, Kiziorek... A nam ptaszek coś powiedział! Zgadnij co. - Złapała się krawędzi stołu i nachyliła do Sutherlanda. - No, zgaduj. Nie uda ci się, ale chociaż spróbuj! Nic.

- No dobrze. - Uśmiechnęła się obleśnie. - Podpowiem ci. Rozmawialiśmy z twoim kumpłem, Gregiem Miłośnikiem Dzieci. Ciekawe, rzeczy nam o tobie opowiadał. O tobie, dwóch kondomach z kokainą i tyłeczku Jamiego McKinnona.

Twarz Kiziora była jak wykuta z kamienia.

- On nie jest pedofilem. Nie będę tego więcej powtarzał.

- Biedny mały Kiziorek... Stara się, jak może, kryje kolegę, a kolega go wydymał jak się patrzy. Podobno sam wszystko załatwiłeś: połamałeś Jamiemu palce, a potem wsadziłeś mu dwie prezerwatywy pełne cracku w ten pulchny tyłeczek. - Włożyła palec do ust, wypchnęła policzek i zrobiła głośne plop! - Podobno bardzo ci się podobało. Lubisz takie zabawy...

Twarz Kiziora przybierała coraz ciemniejszy odcień jak burzowa chmura. Steel promieniała.

- Wiem! Pokażę ci takie gazetki... Będiesz zachwycony! Zarekwirowali je innemu zboczkowi. A tak między nami, uważam, że to niegrzeczne wpychać coś komuś między pośladki, i nie zaprosić go wcześniej na kolację.

- Nie zrobiłem nic złego. Współpracuję z policją.

Głos drżał z wysiłku, jaki Kizior wkładał w zachowanie zimnej krwi. Żyłka na skroni pulsowała mu rytmicznie.

Steel przysunęła się z krzesłem do stołu.

- Ale dlaczego crack? Nie wiedzieliście, że u nas koka jest de-model Chcieliście zapoczątkować nowy trend?

- Nie zrobiłem nic złego. Współpracuję...

- Z policją. Już to słyszeliśmy. Twój kumpel pedofil też to w kółko powtarzał, aż w końcu cię sypnął.

- On nie jest żadnym pedofilem! -Sutherland poderwał się z krzesła. Posterunkowy musiał go złapać za ramiona i usadzić z powrotem.

- Kizioru... - powiedziała Steel z uśmiechem. - Nie gorączkuj się tak, bo jeszcze coś ci się stanie. Ale wiesz co? Chętnie usłyszę twoją wersję. Spróbuj sobie pomóc. Bo na razie, jeśli pójdziemy do sądu i powiemy szeryfowi, co się wydarzyło, będziesz miał przerąbane. Twój przyjaciel będzie się cieszył życiem na wolności, a ty zgnijesz w ciupie. Uważasz, że to fair?

Kizior łypnął na nią i odparł:

- Nie zrobiłem nic złego. Współpracuję z policją.

I nie powiedział już nic więcej.

27

Słońce było tego dnia bledsze, jakby wiedziało, że nadchodzi jesień. Logan i Jackie szli bez pośpiechu Union Street, zmagając się z sobotnio-porannym tłumem na zakupach. Na razie ich dzień składał się z zasłużonego spania do późna, śniadania i długiego prysznica. Jackie odłączyła telefon w mieszkaniu i wymogła na Logana, by wyłączył komórkę: będą mieli prawdziwy wolny dzień jak normalni ludzie. Zatrzymywali się w przypadkowych sklepach: kupili dwa win|, płytę, czekoladę, a potem zanurkowali w Trinity Centre, gdzie Logan musiał

począć, aż Jackie przymierzy wszystkie wybrane przez siebie ubrania. Właśnie tym (!) chciał wypełnić wolny dzień. Oparł się o ścianę i stał tak wraz z innymi frajerami, chłopakami i mężami, których kobiety uznały, że zakupy to świetna rozrywka.

Korzystając z faktu, że Jackie zaszyła się w przebieralni z naręczem bluzek i spodni, włączył komórkę; chciał sprawdzić, czy ktoś go nie szukał. Odsłuchał wiadomość od Millera, który miał smętny głos. Odszedł dalej od przebieralni, żeby banda znudzonych facetów nie zaczęła go podsłuchiwać, ale żeby też nie tracić z oczu Jackie, i oddzwonił.

- O co chodzi, Colin?

- Cześć, Łazarzu. - Westchnienie. - Może masz coś ciekawego dla mnie?

- Znowu? A co z litewskim „szaszłykiem”?

- Ano nic. Poszedłem porozmawiać z tym facetem z działu planowania. Podobno straszili go, że jeśli Maik nie dostanie pozwolenia na budowę, to pójda do gazet ze zdjęciami jego i Marshalla, jak wtykają swoje pały w tę dziewczynkę. - Miller znów westchnął. - Wyobrażasz sobie te nagłówki? „Nieuczciwy deweloper wynajmuje nieletnie prostytutki i deprawuje pianistów. Tylko u nas!” Nie mogę tego zrobić. Zabiliby mnie.

Logan właśnie miał mu przyznać rację, kiedy Jackie wychyliła się z przechowalni i zaczęła go szukać w tłumie znudzonych facetów. Ledwie zdążył pożegnać się z Millerem i wyłączyć telefon, jak go zauważyła. Przywołała go, wręczyła mu górę ubrań i kazała przynieść takie same, tylko w rozmiarze czternaście. Grzebiąc wśród letnich bluzek, zastanawiał się, co sprawiło, że dał się namówić na tę wyprawę. Może prawdziwe szkockie śniadanie, które zaserwowała mu Jackie - pojednawczy gest, taki jak jego curry w zeszłym tygodniu. A może wyrzuty sumienia po tym śnie z Rachael Tulloch. Miała takie białe piersi...

Godzinę później dotarli do działu z bielizną u Marksa i Spencera - z pewnością po to, by uzupełnić zapas pancernych majtek i staników z demobilu po I wojnie światowej. Dopiero wtedy Logan mógł drugi raz dyskretnie włączyć telefon; chciał znów zadzwonić do Millera i zapytać, czy dowiedział się czegoś o znajomym radnego Marshalla. Wyświetlił mu się chyba z tuzin wiadomości - wszystkie przysłała inspektor Steel. Oddzwonić czy dać sobie spokój? Przecież ma wolne!

Oddzwonił.

- Gdzie pan się podziewa?! Od rana dzwonię i dzwonię!

- Mam wolny dzień. - Logan spojrzał ponad wieszakami z bielizną, sprawdzając, czy Jackie nie wyszła jeszcze z przymierzalni.

- Niech pan nie będzie takim mięczakiem. Musimy znaleźć zaginioną kurewkę!

- Nawet nie wiemy na pewno, czy zaginęła.

- O, i tu się pan myli. Załatwiłam dziś rano nakaz. Na miejscu zastaliśmy jej chłopaka: leżał nieprzytomny we własnych rzygowinach. Mówi, że od tygodnia jej nie widział.

- Może gdzieś wyjechała?

- A może pierdzą perfumami? Do roboty, McRae. Musimy coś wymyślić.

- Mam urlop! - Odwrócił się i stanął przed wieszakiem z czerwonymi stringami. - Nie poczekamy z tym do jutra?

- Nie, do diabła! Nie poczekamy!

Jackie od razu zorientowała się, że zrobił coś głupiego.

- Pryskasz do roboty, tak? Zadzwoń ta suka i musisz jechać! - Logan przytaknął. Jackie ściągnęła usta i w duchu policzyła do dziesięciu.

- Dobrze, ale masz wrócić na siódmą. Najpóźniej. Zaplanowałam kolację. Jeśli się spóźnisz, zabiję najpierw ciebie, a potem to babsko. Jasne?

Cmoknął ją w policzek.

- Dzięki.

- Nie dziękuj, tylko rozwiąż tę cholerną sprawę i pozbądź się wreszcie tej starej krowy.

Stara krowa stała przy tablicy w pokoju operacyjnym z magicznym flamastrem w jednej i kubkiem kawy z mlekiem w drugiej ręce. Na tablicy przybito nowe zdjęcie, niesparowane z żadnym portretem z sekcji zwłok. Steel wpatrywała się w nie, postukując sobie mazakiem o zęby. Kobieta z fotografii musiała dobiegać czterdziestki. Miała kręcone tlenione włosy, piwne oczy - jedno z lekkim zezem - szeroki nos, dołek w brodzie i pieprzyk na policzku, który wyglądał jak przyklejona czarna plamka. Nie należała do najładniejszych - w sam raz trafiała w gust mordercy.

Inspektor odwróciła się nagle i tuż przed sobą zobaczyła Logana.

- Rany boskie! Co się pan tak skrada? Chce pan, żebym zawału dostała?

Byłoby nieźle.

- To Holly? - zapytał, wskazując zdjęcie.

- Tak. Teraz pewnie leży zakatowana w jakimś rowie, ale przynajmniej wiemy, kogo szukamy. Wysłałam trzy zespoły. - Steel odliczyła na palcach: - Do Hazlehead, Garlogie i Tyrebagger. W Tyrebagger już jedną znaleźliśmy.

Logan kiwnął głową.

- Myśli pani, że on tam wróci?

- Postawiłabym na to swój lewy cycek, ale na wszelki wypadek kazałam też przetrząsnąć dwa inne miejsca. Jeśli nic nie znajdziemy, poszerzymy obszar poszukiwań. Weźmiemy więcej ludzi i przeszukamy wszystkie krzaki stąd do Inverurie.

Logan wzdrygnął się na samą myśl.

- A co ja mam robić? Widzę, że nad wszystkim pani panuje...

Steel otworzyła usta, zamknęła je i odparła:

- Cholera jasna, zapomniałam. A, tak: ta kobitka, co jej mąż zaginął, dzwoniła chyba z milion razy. Poza tym musi pan iść do wewnętrzznego. Proszę. - Podała mu nagryzmołoną na karteczce wiadomość.

- Radzę się pospieszyć.

Siedział w małej recepcji wydziału wewnętrznego i wpatrywał się w świstek, usiłując zrozumieć coś z chaotycznych gryzmołów. Najchętniej udusiłby Steel. Ściągnęła go do firmy w wolny dzień - znowu! - tylko po to, żeby ten przemądrzały skurczybyk Napier mógł mu powiedzieć, że go zwalnia. Hip, hip - hurra! Piękny dzień. Najlepiej by zrobił, gdyby po prostu wparował do środka bez pukania, rzucił policyjną legitymację na stół i wyrąbał hrabiemu Nosferatu, gdzie może ją sobie wsadzić. Legitymację i etat, razem, prosto w...

- Panie sierżancie, proszę...

To nie był Napier, tylko ten drugi, który zawsze siedział cicho w kącie i pisał. Wskazał Loganowi krzesło, sam również usiadł. Napier gdzieś wyszedł.

- Domyśla się pan zapewne, dlaczego został pan wezwany? - spytał, wyciągając kopię skargi Sandy'ego Węża. - Pan Moir-Farquharson twierdzi, że kiedy wczoraj zjawił się w komendzie, ubliżał mu pan i groził, że ponoć, cytując, „palce mu połamię”. Czy to prawda?

Logan bez słowa kiwnął głową.

- No tak... - Inspektor zanotował coś na swoim egzemplarzu skargi. - Czy byli jacyś świadkowie?

Westchnienie.

- Nie. Byliśmy sami w recepcji.

- Czyżby? - Inspektor zsunął się na skraj krzesła. - Pan Moir-Farquharson utrzymuje, że wszystko widział i słyszał pan... - Zjrzał do notatek. - Pan Milne. Przyszedł zgłosić kradzież.

- Milne? - Logan zmarszczył brwi. - Brudas Milne? A, przyszedł jak co tydzień w piątek i bełkotał coś, że ukradł mu lekarstwo. Jest na odwyku; myśli, że jak zgłosi kradzież, to dostanie nową receptę z centrum odwykowego. A tak naprawdę sprzedaje recepty i kupuje sobie heroinę. I dorabia sobie włamaniami.

- Uhm... Czyli jako świadek nie jest zbyt wiarygodny.

- Kiedy ostatnio stanął przed sądem, sędzia nazwał go bezczelnym kłamcą o szczerzej moralności. Poza tym on pojawił się w recepcji dopiero później.

- Świetnie. - Inspektor się uśmiechnął. - W takim razie mamy słowo pana Moir-Farquharsona przeciw panu słowu. Zwłaszcza jeśli ten cały Milne nie był obecny przy rozmowie... Doskonale... Cóż, dziękuję, że poświęcił mi pan tę chwilę, sierżancie. Nie będę pana zatrzymywał, na pewno czas pana goni.

I już. Odprowadził Logana do drzwi, podali sobie ręce i było po wszystkim.

Stanął w pustym korytarzu. Gdzieś za zakrętem słyszał czyjeś człapanie na brudnooliwkowej wykładzinie.

- Co to miało znaczyć? - mruknął.

Nic nie rozumiał. Inspektor zachowywał się tak, jakby chciał mu pomóc... Czyżby dla odmiany szczęście zaczęło mu sprzyjać? Jeśli tak, to powinien je chwycić w locie, zanim ucieknie. Wziął sobie dwóch ludzi, zarekwirował puste biuro i wypożyczył trzy przenośne odtwarzacze wideo. Chciał przejrzeć taśmy „Kopciuszką” z tej nocy, kiedy zaginęła Holly McEwan.

28

Inspektor Steel zmrużyła oczy, wpatrując się w ekran.

- Czego mam szukać?

Logan przewinął taśmę w tył i samochód jadący w stronę kamery cofnął się w głąb kadru. Włączył odtwarzanie. Samochód ruszył naprzód. Nowiutkie audi. Obraz był niewyraźny, ale pasażerka widoczna doskonale: tlenione loki, krzywy nos, dołek w brodzie, tona makijażu i pieprzyk na lewym policzku.

- To Holly McEwan. - Logan postukał w ekran. - Nagranie z kamery w furgonetce. Nie widać za dobrze tablicy rejestracyjnej, ale kiedy spojrzeć tutaj...

Pokazał drugi monitor: widok na Regent Quay. Obraz chwiał się i przeskakiwał. Logan włączył odtwarzanie i obraz się ustabilizował: to samo nowiutkie audi zatrzymało się na skrzyżowaniu, a potem skręciło w Virginia Street. Cofnął, wcisnął pauzę. Tym razem numery były widoczne.

- To na pewno ten sam wóz? - spytała Steel, prawie przyciskając nos do monitora.

- Na pewno. Pasuje obraz, zgadza się czas. A na wszelki wypadek poprosiłem chłopaków z laboratorium, żeby popracowali trochę nad tą pierwszą taśmą.

- No to pięknie! - Steel wyszczerzyła żółte zęby w uśmiechu. - Teraz trzeba tylko...

Logan pokazał jej zapisaną kartkę papieru.

- Numer rejestracyjny, nazwisko właściciela, adres.

- Sierżancie... Gdyby był pan kobietą, pocałowałabym pana.

Bridge of Don to rozległa dzielnica mieszkaniowa na północy Aberdeen, rozrastająca się z biegiem lat jak zbudowany z brązowej cegły i pełen ślepych zaułków fraktal Mandelbrota. Neil Ritchie był właścicielem domku z czterema sypialniami na skraju osiedla; rząd starych drzew w jego ogrodzie wytyczał granicę między miastem i polami rzepaku. Logan, Steel i Rennie całkiem czystym służbowym samochodem podjechali pod dom od frontu. Na podjeździe zamiast wychuchanego audi stało zwyczajne, granatowe renault clio i duży motocykl, ale na jego końcu znajdował się jeszcze garaż na dwa samochody. Steel zadzwoniła do Ritchiego z komórki.

- Halo? Pan Ritchie? - zapytała po aberdeensku. - Słucham? Tak, tak... Nie, ale pytał o pulpeciki. Niestety, nie możemy ich dostarczyć... Pulpeciki... Tak, pulpeciki... Da mi go pani do telefonu? - Zasłoniła dłonią mikrofon i uśmiechnęła się jak krokodyl. - Skurczybyk jest w domu. Wchodzimy.

Wysiadła z samochodu. Logan i Rennie trzymali się tuż za nią.

Ruszyła do drzwi. Logan sięgnął po krótkofalówkę i poinformował resztę ekipy, że akcja się zaczyna. Na znak pani inspektor Rennie nacisnął dzwonek.

- Halooo? - powiedziała Steel do telefonu. - Czy to pan Ritchie?
Z drugiej strony usłyszeli męski głos:
- Może pani chwilę zaczekać? Ktoś dzwoni do drzwi...
Otworzył mężczyzna po trzydziestce, z bezprzewodową słuchawką w ręce, ubrany w skórzany strój motocyklowy. Miał lekko zaokrąglony . brzuch i twarz niewartą drugiego spojrzenia - nie jakąś strasznie brzydką, po prostu kompletnie nijaką. W sam raz, żeby porywać i masakrować prostytutki. Uśmiechnął się do Renniego i przeproszającym gestem wskazał słuchawkę.
i - Zaraz z panem porozmawiam - powiedział. I do słuchawki: - Skąd pani dzwoni?
- Z policji - odparła Steel. - Przyszliśmy pogadać. Mężczyzna spojrzał na telefon, na panią inspektor i wykrztusił:
- Słucham?
Steel zamknęła klapkę telefonu.
- Pan Neil Ritchie? Wpuści nas pan do środka, czy mamy pana zabrać, wrzeszczącego i szarpiącego się, na komendę?
- Nie rozumiem... Właśnie wychodzę i...
- Nigdzie pan nie wychodzi. - Wyjęła nakaz i pomachała mu nim przed nosem. - I obyśmy nie znaleźli zabitej prostytutki na podłodze w kuchni.
Dom był urządzone z przepychem. Drogie tureckie dywany na drewnianych podłogach, kremowe ściany obwieszane akwarelami i zdjęciami
- całość sprawiała wrażenie, jakby w projektowaniu wnętrza maczał palce zawodowy dekorator. W przestronnym salonie siedziała kobieta, za- czytana w jakimś McDermidzie. Obok niej na orientalnym stoliku stała filiżanka herbaty z miętą. Kobieta podniosła wzrok i z niedowierzaniem patrzyła, jak posterunkowy Rennie mija ją i kieruje się wprost do kuchni.
- Neil? Kto to jest? Co się stało?
Neil stał przed kominkiem i nerwowo tarł ręce.
- To jakaś straszna pomyłka!
Inspektor Steel przysunęła się do niego i objęła go ramieniem.
- Zgadza się. Ot, pomyłka. Na pewno całkiem niechcący podrywał pan te prostytutki, rozbierał je i katował. Coś panu proponuję: napijemy się herbaty, a pan nam o wszystkim grzecznie opowie.
Kobieta zerwała się na równe nogi.
- Prostitutki?! J^kie prostytutki, Neil?. Co znowu masz na sumieniu?! - Przycisnęła' książkę do piersi. Łzy napłynęły jej do oczu.
- Obiecałeś! Obiecałeś, że więcej tego nie zrobisz!
- I nie zrobiłem! Przysięgam! Nic nie zrobiłem!
- Nie uwierzyłby pan, gdybym powiedziała, jak często słyszymy te słowa. - Steel poklepała Ritchiego po ramieniu. - Co robił pan w środę za kwadrans trzecia nad ranem?
- Za kwa... Byłem w domu. Spałem.
- Pani Ritchie pewnie to potwierdzi, prawda?
Pan Ritchie spojrzał błagalnie na żonę, a ona wytrzeszczyła przerażone oczy i osunęła się na sofę.
- Mój Boże... Wyjechałam na tydzień do matki. Neil został sam. To ty, prawda? To o tobie piszą w gazetach!
- Suzanne, to nie tak. Wiem, jak to wygląda, ale przysięgam, że nic nie zrobiłem.
- A jakże... - Steel uśmiechnęła się triumfalnie. - Proszę mi powiedzieć, panie Ritchie, gdzie pański śliczny nowy samochodek?

- Że co... W garażu, a gdzie? Ja nic nie zrobiłem!

- Pozwoli pan, że o tym zadecydują nasi specje z laboratorium. A na razie proponuję, żeby z własnej woli pojechał pan z nami. W komendzie wszystko sobie wyjaśnimy. Co pan na to?

Ritchie rozejrzył się rozpaczliwie na boki, ale Logan blokował drzwi, a w ogrodzie roilo się już od policjantów.

- Chcę rozmawiać z adwokatem!

Steel zrobiła smutną minę i pokręciła głową.

- To tak nie działa. Może pan pójść z własnej woli albo możemy pana skuć, ale tak czy inaczej jedziemy do nas.

Pan Ritchie trafił do pokoju przesłuchań numer 5 razem z kubkiem bezkofeinowej lury i posepnym jak chmura gradowa posterunkowym. Ekipa z BIO znalazła w jego audi tleniony włos do złudzenia przypominający próbki włosów pobrane z mieszkania Holly McEwan. W pokoju operacyjnym Steel w zadumie skubała ramiączko stanika, patrząc, jak Logan przypina na korkowej tablicy kartki z informacjami, co wiedzą o Ritchiem: trzydzieści cztery lata, żonaty, bezdzietny. Inżynier w dużym koncernie naftowym. Tylko dwa brzydkie ślady w kartotece - ostrzeżenia o nagabywanie prostytutek na ulicy, oba sprzed ponad czterech lat. Poza tym czysty jak łąza. Zorganizował nawet Misiową Loterię, żeby wspomóc Fundację Archiego - miejscową organizację charytatywną, zbierającą pieniądze na chore dzieci. BIO zaczęło mu już grzebać w komputerze w poszukiwaniu pornografii dziecięcej.

- No dobra - powiedziała Steel, kiedy Logan skończył. - Zobaczmy, co sam nam powie. Chce pan zagrać dobrego glinę?

- Nie mogę.

- Woli pan być zły, tak? Bez urazy, ale nie bardzo się pan...

- Nie, po prostu nie mogę być na przesłuchaniu.

Tej chwili bał się od początku. Już dwadzieścia po szóstej. Przesłuchanie długo potrwa, a Jackie uprzedziła go, co się stanie, jeśli się spóźni.

- To jakiś żart? Złapaliśmy drania za jaja, a pan nie chce mu ich ukreścić?

- Chcę. Ale nie mogę. Muszę wracać do domu.

209

- No tak... - Steel zrobiła mądrą minę i pokiwała głową. - Obiecał pan i teraz uważa, że bzykanie jest ważniejsze. Rozumiem. - Skrzyżowała ręce na piersi i zadarła nos. - Wezmę ze sobą Renniego. Niech się uczy. A pan niech idzie do łóżka.

14 - Zamierające światło

- Nie o to chodzi, ja po prostu...

- Był pan dziś rano u tych z wydziału skarg i dyscypliny?

- Słucham?... - Zaskoczyła go ta nagła zmiana tematu. Wydział wewnętrzny, wcześniej wydział skarg i dyscypliny - taką nosił nazwę, dopóki nie uznano, że należy ją zmienić na miłszą dla ucha. - No... byłem.

- I co, skończy się pewnie na upomnieniu?

- Właściwie to dziwnie wyglądała ta rozmowa. Można by pomyśleć, że w ogóle chcą odpuścić. Nie przedstawia mi żadnych zarzutów.

- Taak... sierżancie, niech pan więcej nie mówi, że nic dla pana nie robię - rzuciła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Okręciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju.

Logan też wyszedł - i dotarł prawie do wyjścia, kiedy dopadł go zdyszany posterunkowy Jacobs. Sapał, jakby właśnie przybiegł z Dundee.

- Przepraszam, sierżancie... - Uff, uff, uff. - Inspektor Insch chce pana zobaczyć. Natychmiast!

Logan spojrział na zegarek: miał jeszcze trzydzieści pięć minut - zdąży wrócić do domu, nawet zahaczając o kwiaciarnię: kupić coś Jackie, żeby wiedziała, że docenia jej gest. Parę minut go nie zbawi.

W głównym pokoju operacyjnym Insch zajął miejsce na biurku, w oku kontrolowanego cyklonu: jeden pośladek wsparł na blacie, drugi zwiesił obok i słuchał raportu brodatego sierżanta z dochodzeniówki, nad którym wcześniej się pastwił: Beattiego, męża gwiazdy porno. Wepchnął sobie do ust żelkę o smaku coli i wtedy zobaczył Logana ze Steve'em. Odprawił Beattiego i utkwiał lodowaty wzrok w Loganie.

- Panie sierżancie... Zapraszam do mojego gabinetu.

Biuro Inscha było większe niż pokój Steel: zmieściło się w nim duże, schłodzone biurko, komputer, trzy szafki na akta, duża donica z fikusem i dwa wygodne krzesła. Ale nikt nie proponował Loganowi, żeby usiadł: gdy tylko znalazł się w środku, Insch z hukiem zatrzęsął drzwiami i zapytał, co on sobie właściwie wyobraża, do stu tysięcy diabłów?!

- Nie rozumiem... - Logan cofnął się i wpadł na kosz pełen opakowań po słodyczach. Torebka po żelkach sfrunęła na przybrudzony dywan.

- Mielicie tu wczoraj tych drani i nic mi pan nie powiedział!

Logan podniósł ręce obronnym gestem.

- Kto? Kogo... - Nagle go olśniło. - Mówi pan o „Kiziorze” Sut-herlandzie i tym jego kumplu?

Insch czerwieniał coraz bardziej.

- Dobrze pan wiedział, że chcę z nimi gadać. I co, zadzwonił pan? Dał mi znać, że ich zatrzymaliście? Nie. Dowiedziałem się dziś po południu, że zostali zwolnieni za kaucją!

- Za kaucją?!

Typowe, psiakrew. W dzisiejszych czasach można zadźgać własną babcię obieraczką do ziemniaków, a i tak wypuszczą człowieka z aresztu.

- Oczywiście! - Twarz inspektora, różowa, czerwona, purpurowa, teraz przybrała odcień fioleto. Ślina przyskała mu z ust, kiedy mówił podniesionym głosem. - Wy chcieliście ich przyskrzynić za jakieś pierdółki z narkotykami, a ja za morderstwo. Morderstwo, rozumie pan?! Nie za dwa kondomy heroiny.

- Cracku...

Logan natychmiast pożałował, że to powiedział. Insch dźgnął go serdelkowatym palcem w pierś.

- Dla mnie mogłyby być nawet wypchane C4 i znaleźć się w dupie księcia Edynburga, nie mnie to nie obchodzi! Chciałem porozmawiać z tymi dwoma! - Sapnął i usiadł na biurku. Skrzyżował ręce na piersi. Spojrzał wściekle na Logana. - No, słucham. Jakie ma pan wytłumaczenie?

- Inspektor Steel powiedziała, że bym pana nie poinformował. - Może i czuł się trochę głupio, powołując się na nią, ale to przecież nie była jego wina. Proponował, żeby zawiadomili Inscha. - Zasugerowałem, że powinien pan dowiedzieć się o całej operacji, ale powiedziała „nie”.

Insch zmrużył oczy - upodobniły się do czarnych perełek, błyszczących złowieszczo w jego pociemniałej, trochę wieprzowatej twarzy.

- Ach tak... - Wstał i przeciągnął się, aż koszula zatrzęszczała rozpaczliwie. - Pan wybaczy, sierżancie. Mam pilną robotę.

Szare chmury wisały nisko nad luksusowymi domami z granitu w Rubislaw Den. Colin Miller wygramolił się z samochodu, wziął laptop z tylnej kanapy i włączył autoalarm. Kolejny beznadziejny dzień. Jeszcze nie tak dawno był dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia. Nawet zdobywał nagrody. A teraz? Musiał pisać gówniane kawałki pod publiczność - a wszystko przez ten cholerny pean na cześć Malka Majchra i jego inwestycji budowlanych. Nie dość, że Maik nasłał na niego psychopatów, którzy zmusili go do wyprodukowania tego

tekstu, to jeszcze po tej publikacji stracił zaufanie kolegów i mógł najwyżej pisywać o konkursach hafciarskich i wystawach psów pasterskich. A jedynej rzeczywiście dobrej historii - historii, dzięki której wygrzebałby się z tego gówna - nie mógł dać do druku.

Spojrzał w niebo. Powinien rzucić dziennikarstwo i napisać książkę. Taką naprawdę ostrą z mnóstwem krwi, seksu i trupów. A gazeta niech sobie w tyłek wsadzi swoje pierdoły. Będzie pił szampana i zagryzał kawiozem i nie potrzebuje do tego „P&J”! To oni go potrzebują...

Westchnął i zgarbił się pod ciężarem odpowiedzialności. Kogo próbuje oszukać? Nie może sobie pozwolić na utratę pracy. Nie teraz, kiedy...

- No proszę, czy to aby nie nasza gwiazda reportażu Colin Miller?

Basowy głos za plecami, akcent z Edynburga.

Odwrócił się i zobaczył Brendana „Kiziora” Sutherlanda, opartego niedbale o srebrnego mercedesa. Mój Boże, co znowu?

- Panie Sutherland... Miło pana widzieć.

- Wątpię, Colin. - Kizior smutno pokręcił głową. - To raczej nie będzie miłe spotkanie. Przejedziemy się? Możemy wziąć mój wóz.

- Ja... No... - Miller cofnął się o dwa kroki, zasłaniając się laptopem jak tarczą, i wpadł na jakąś przeszkodę: kompan Sutherlanda stał tuż za nim. - Nie mogę, jestem...

Kizior podniósł dłoń z wyprostowanym palcem.

- Nalegam.

Dwie silne ręce zacisnęły się na ramionach Millera i wepchnęły go do mercedesa. Prześliznął się po skórzanej tapicerce do drzwi po drugiej stronie i pociągnął za klamkę - niestety: były zablokowane. Kizior usiadł obok niego. Drzwi za nim zamknęły się z głuchym łoskotem.

- No dobrze - powiedział człowiek, którego Miller nazwał debilem z Edynburga, wyjmując z kieszeni płaszcz a nożyce do drobiu. Błysnęły w świetle wieczoru. - Mój kolega zawiezie nas w jakieś miłe, ciche miejsce, gdzie będziemy mogli liczyć na odrobinę dyskrecji. Ja muszę ci zadać parę pytań, a ty na pewno będziesz chciał sobie pokrzyczeć.

O szóstej czterdzieści Logan wyszedł z komendy: kwiaty u Marksa i Spencera, dalej Union Street, zakupy w Oddbins - drugie w tym dniu, tym razem schłodzone musujące chardonnay - a potem skręt w Maris- chał Street i na złamanie karku do domu. Pod drzwiami wejściowymi zameldował się z trzydziestosekundowym zapasem. Sapiąc jak lokomotywa, wszedł na klatkę, wbiegł po schodach i wpadł do mieszkania ułamek sekundy po tym, jak zegar wybił siódmą.

Cisza.

A spodziewał się świec, romantycznej muzyki, miłej woni znad kuchenki. Zrobił obchód mieszkania: było puste i zimne.

- Cholera!

Schował wino do lodówki, wetknął róże do przykurzonego wazonu, włączył ogrzewanie. Grzejniki brzęczały, podzwaniały i szczękały metalicznie, kiedy rozbierał się i szedł pod prysznic, zlany potem po tych wszystkich biegach ulicznych. Zmagając się z szamponem, usłyszał dzwonek telefonu, ale zdał się na automatyczną sekretarkę: ktokolwiek dzwonił, poczeka.

Przyszło mu do głowy, że może to inspektor Steel dzwoni z podziękowaniem za wrobienie jej w konfrontację z Inschem. „Po tym co dla niego zrobiła...” Wczoraj by ją wyśmiał za takie słowa - ale to było wczoraj, przed spotkaniem z inspektorem z wewnętrznego, który bardzo się starał, żeby skarga Sandy'ego Węza uszła mu płazem. Nie mógł jakoś przekonująco skłamać? Powiedzieć czegoś, co uspokoiłoby In- scha, a nie przysporzyło kłopotów Steel? Przecież ona go teraz zabije!

Zanim wytarł się i przebrał, mieszkanie już się przyjemnie nagrzewało, Jackie nadal jednak nie dawała znaku życia. Wpadła jak burza dopiero kwadrans później - klęła na czym świat stoi, uginając się pod ciężarem siatek z zakupami.

- Próbowałaś kiedyś robić zakupy z ręką w gipsie? Nie próbuj; to po prostu koszmar. - Zamarła na widok róż w wazonie. - Kupiłeś kwiaty?

- I szampana. To znaczy nie jest z Szampanii, tylko z Australii, ale podobno dobry.

- Wie pan co, panie McRae? - Jackie się uśmiechnęła. - Czasami całkiem do rzeczy z pana facet.

Postawiła siatki na dywanie i rzuciła mu się na szyję... waląc go przy tym gipsem w głowę. Wycisnęła mu na ustach mocnego, soczystego całusa. Logan zaczął rozpinąć guziki jej bluzki, odsłaniając...

- A to co, u licha? - Cofnął się i ze zgrozą spojrział na masywną konstrukcję z koronki, opinającą pierś Jackie. - Miałaś kupić bieliznę, a nie nowy most nad Forth!

- To, mój drogi... - odparła z dumą- ...jest Triumph Doreen, najlepiej sprzedający się stanik na świecie. Przyzwyczaj się.

- Naprawdę będziesz go nosić? - spytał podejrzliwie Logan.

- Kurczę, a jak będę musiała na patrolu pobiec za jakimś zulem? Majami się cycki bujać jak arbuzy w skarpetce? Wtedy szybciej obwisną. Tego właśnie chcesz?

Logan musiał zaprzeczyć: nie, tego na pewno by nie chciał. Starając się nie myśleć o piekielnym biustonoszu, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Jackie przymknęła oczy i przywarła do niego, napawając się ciepłem ich złączonych ciał - kompletnie nieświadoma, że wzrok Logana zbłądził ku lampce automatycznej sekretarki. Mrugała jak złowieszcze ślepię. Czerwony, migający wyrzut sumienia.

29

Las był gęsty i ciemny. Prześwitujące między gałęziami skrawki nieba zmieniały barwę od starego srebra po cmentarną czerń, w miarę jak ubywało światła. Na małej polance ktoś cicho zakaszłał... Miękki, wilgotny dźwięk, zakończony odplunięciem strużki krwi. Colin Miller ze zdumieniem stwierdził, że to on kaszle. Niedawno był gdzie indziej... w jakimś ciepłym, ciemnym miejscu. Ale teraz wrócił. Łapały go skurcze w nogach i ramionach, poza tym nic nie czuł. Zaraz wstanie. Gdy tylko przestanie to czuć. Gdy tylko... gdy tylko... Ciemność.

Białe i żółte iskry eksplodowały mu pod czaszką. Ktoś pchnął go w pierś, przewrócił razem z ogrodowym krzesłem na suche liście. Ręce i nogi miał przywiązane do krzesła. Nie mógł się ruszyć. I wtedy poczuł prawdziwy ból - nie skurcze, skurcze to jeszcze pikuś. Ból, który palił jak ogień. Jakby ktoś przypalał mu dłonie lampą lutowniczą. Otworzył usta i zaczął krzyczeć.

- Siemanko, przystojniaku. Miło, że się wreszcie ocknąłeś. - Przerwa, wypełniona krzykiem Millera. A potem: - Podnieś go, Greg, dobrze? I spróbuj go uciszyć.

Potężne ręce złapały go za przód koszuli i postawiły razem z krzesłem na nogi. Krzyknął. Coś twardego uderzyło go w policzek i poczuł w ustach smak świeżej krwi. Krzyk przeszedł w skowyt.

Z ciemności wyłoniła się twarz. Zawisła nad nim: krótkie jasne włosy, idealne zęby, oczy jak otwory wywiercone w marmurze.

- No proszę. Nie było chyba tak źle, co? - Miller nie odpowiedział. Bandzior z Edynburga wzruszył ramionami. - Greg? Rozwiąż mu ręce.

Ręce, tak! Na Boga! Ktoś pomajstrował przy zacisku do kabli, którym przywiązano mu ręce do oparcia, i po chwili mógł je wyciągnąć do przodu i zobaczyć, jak bardzo są przypalone. Wrzasnął przeraźliwie, kiedy to sobie przypomniał: potworny ból rozdzieranego mięsa, zgrzyt pękających kości, chrząstek...

- Rany, znów będziesz wrzeszczał?

Tym razem, nie czekając na polecenie, Greg zacisnął pięść i wyrznął Millera w twarz. Dziennikarz runął bokiem na ziemię, wciąż unieruchomiony więzami przytrzymującymi mu kostki. Spojrzał na swoje dłonie. Zapłakał.

- Posłuchaj, Colin. Jeszcze dwie sprawy i kończymy. Najpierw to.
- Kizior przyklęknął i podstawił mu fotografię pod nos, tak że Miller nie widział okaleczonych palców. To było zdjęcie z jego portfela; zdjęcie Isobel stojącej na balkonie hotelu w Hiszpanii. W lewym górnym rogu, gdzie dotknęła go lateksowa rękawiczka Sutherlanda, ubrudzone krwią. - Piękna kobieta. Jeżeli jeszcze kiedyś stwierdzę, że zadajesz się z policją, najpierw skończę z tobą, a potem bardzo, ale to bardzo oszpecę tę panią. - Pocałował fotografię i schował ją do kieszeni na piersi.
- Druga rzecz to już naprawdę drobiazg: trzeba tu trochę posprzątać.

Coś małego, twardego i zimnego trafiło Millera w twarz. Raz, drugi, trzeci. Czwarty. Kawalki palców, każdy długości paliczka, spadały z nieba.

- Masz je zjeść.

Roztrzęsiony Miller patrzył z bliska na leżące na ziemi białe klocki. Cztery z nich to były same koniuszki, z paznokciami, odcięte w pierwszym stawie; trzy następne - środkowe odcinki; dwa kolejne, z kawałkami ścięgien, obcięto przy samej dłoni. Dziewięć małych świnek wybrało się na rynek...

- Nie... Nie dam rady! - Zaszlochał. - Boże, błagam was, nie...

Kizior uśmiechnął się pobłażliwie.

- No już dobrze, dobrze. Nie marudź, tylko grzecznie jedz, a wszyscy wrócimy do domu.

Colin wyciągnął ręce, próbując zakrwawionymi kikutami zgarnąć z ziemi kawałki własnych palców. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Kurwa mać, Boże święty, moje ręce... Moje ręce!

- Colin, moja cierpliwość ma granice. Albo zaraz je zjesz, albo obetnę ci następny kawałek i zjesz go razem z tymi. - Sutherland podsunął mu nożyce przed oczy. Stał była umazana krzepnącą krwią. - Im dłużej będziesz się z tym bawił, tym mniej palców ci zostanie.

Ostatni i środkowy paliczek leżały na drżącej, zakrwawionej dłoni, białe i zimne. Końcówki czarno-czerwone, ze sterczącymi fragmentami kości i ścięgien.

- Boże... Można by je... Można je przyszyć! Mogliby mi je przyszyć! W szpitalu!

Dłoń złapała go za włosy i zadarła mu głowę. Spojrzał prosto w uśmiechniętą twarz Kiziora.

- A wiesz, że to możliwe? - Sutherland uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Ja jestem człowiek rozsądny. Wybierz sobie trzy kawałki i schowaj. Trzy kawałki to cały palec! Powiedzmy, że to będzie z mojej strony gest dobrej woli. Nie uważasz, że uczciwie stawiam sprawę?

Łzy płynęły Millerowi strumieniami po twarzy, żłobiąc ślady w kurzu i krwi na policzkach.

- Nie dam rady...

Głos mu się załamał. Zawył przeraźliwie, kiedy Kizior złapał go za lewy nadgarstek, pociągnął rękę do góry i wcisnął mu czubek palca wskazującego między ostrza nożyc.

- Wybierz sobie trzy kawałki, a resztę masz zeżreć, kutasie jeden. Kapujesz?

Płacząc jak przerażone dziecko, Miller zrobił, co mu kazano.

Sliczności...

Inspektor Steel stała przy oknie swojego biura i z papierosem w ustach czytała wstępne wyniki badań włosów znalezionych w pachnącym nowością audi Neila Ritchiego. Identyczne włosy zdjęto ze szczotki w mieszkaniu Holly McEwan.

Odwróciła się i promiennym uśmiechem przywitała Logana, kiedy wszedł do pokoju. Był półtorej godziny spóźniony, ale po tym, jak przepracował dwa teoretycznie wolne dni, miał prawo liczyć, że przełożeni przymkną oko na spóźnienie. Zresztą... odkładał spotkanie ze Steel najdłużej, jak się dało. Migająca czerwona lampka sygnalizowała nagranie: (kiedy

wreszcie w pół do piątej rano odważył się odsłuchać wiadomość) głos z taśmy informował go, że wygrał wycieczkę na Karaiby i pięć tysięcy funtów w gotówce - albo dyplom dla największego frajera świata. Nie oddzwonił.

Steel przywołała go gestem.

- Oto Łazarz, człowiek, na którego czekałam całe życie... - Spojrzała na zegarek. - A na pewno od siódmej rano. Mniejsza z tym, grunt, że w końcu pan przyszedł.

Logan zmarszczył brwi. Nie takiego powitania się spodziewał. Jakim cudem Steel nie wygryzła mu jeszcze połowy tyłka?

- No... - Zmień temat! - Jakie zarzuty chce pani postawić Ritchiemu?

Dopóki nie znajdą zwłok, trudno go oskarżyć o morderstwo.

- Na razie żadne. Nawet go nie przytknęliśmy! - Twarz Steel promieniała jak bożonarodzeniowa choinka. - Nieźle, co?

Czas liczył się dopiero od momentu formalnego zatrzymania, a Ritchie przebywał w komendzie z własnej woli, mogli go więc trzymać, jak długo zechcą. Albo przynajmniej dopóki nie poprosi, żeby go wypuścili.

- Przez całą noc mamrotał tylko, że nie zrobił nic złego i że to musi być jakaś okropna pomyłka. Poprosiłam tego nadętego buca Bushela, żeby z nim porozmawiał, zabawił się w psychiatrę kryminologa. Okularnik tak się podniecił, że mało się nie złał w gacie. Ritchie idealnie pasuje do jego profilu: wychowywał się bez matki, z dominującym ojcem, który chętnie bzykał profesjonalistki, przechłapanie dzieciństwo, biedny, niekochany, bla, bla, bla. Standard.

- Zaraz, ale w profilu stało też, że gość wykonuje jakąś prostą pracę, a Ritchie jest inżynierem. Specjalistą!

- No i co z tego? Takie portrety psychologiczne to przecież nie nauka ścisła. Poza tym mamy ślady z wozu. Jechała nim Holly McEwan. Prokurator się zgodziła: Ritchie jest nasz.

- Co z Michelle Wood i Rosie Williams?

- Niech pan nie utrudnia. Jeśli nawet nie zapuszczamy Ritchiego za całą trójkę, mamy w odwodzie Jamiego McKinnona. A tymczasem... - Z bałaganu na biurku wygrzebała karteczkę z adresem. - Ritchie twierdzi, że kiedy Holly zaginęła, nie miał jeszcze swojego ślicznego autka. Pewnie pieprzy, ale trzeba by to sprawdzić. Niech pan weźmie ze sobą Renniego. Od rana działa mi na nerwy.

Salon Wellington Executive Motors: parterowe szklane pudełko - wyłożone od środka i na zewnątrz luksusowymi samochodami, z których każdy kosztował więcej niż dwupokojowe mieszkanie Logan - przy Crawpeel Road, w Altens, przemysłowej okolicy przy południowej drodze wylotowej z Aberdeen, gdzie ulokowały się liczne biura firm naftowych. Nad placami i magazynami wznosiły się architektoniczne potworki ze szkła i stali... trzeba pokazać, kto tu rządzi. Ale w niedzielę rano tylko Wellington był otwarty.

Kiedy jechali z komendy, Logan - który nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego Steel nie pożarła go żywcem za poszczucie Inschem - jednym uchem słuchał Renniego. I chyba dobrze się stało: posterunkowy dosiadł swojego konika i rozwodził się nad jakimś pobocznym wątkiem fabuły Coronation Street, ponoć identycznym jak rozwiązanie zastosowane przed laty w Brookside.

Ciągnął ten temat, nawet kiedy przez szklane drzwi weszli do salonu z ciemną miękką wykładziną na podłodze. Wellington pachniał nowymi samochodami i świeżą kawą. Z ukrytych głośników dyskretnie sączył się Vivaldi.

- Dzień dobry panortif,- Sprzedawczyni odsłoniła w uśmiechu chyba wszystkie zęby naraz.

- Witam w Wellington Executive Motors. - Zamaszystym gestem wskazała salon, na wypadek gdyby nie zorientowali się jeszcze, gdzie trafili. - Z przyjemnością pomogę panom wybrać samochód do jazdy próbnej, a na razie proponuję cappuccino. A do niego biszkopty?

Kiedy Logan powiedział, że chce rozmawiać z dyrektorem, jej uśmiech zbladł - ale tylko na chwilę.

- Może ja mogłabym w czymś pomóc?

Nie, nie może.

- Hm... Pan Robinson przyjmuje w tej chwili klienta. Będziecie panowie musieli poczekać. Nie napilibyście się jednak kawy? Z biszkoptem?

Pan Robinson - krągłutki, jowialny, siwiejący dżentelmen z elegancko przyciętą bródką - był cały w skowronkach, dopóki się nie dowiedział, że Logan i Rennie są z policji. Wtedy przyszła pora na zadumę, przerażenie, wykręcanie rąk i:

- Coś się stało?

Logan uśmiechnął się rozbrajająco.

- Nic strasznego, proszę pana. Ale chcieliśmy porozmawiać o samochodzie, który w zeszłym tygodniu sprzedał pan niejakemu Neilowi Ritchiemu. Nowe...

- Audi. Tak, pamiętam, audi. Pełna opcja: klimatyzacja, szyber- dach, nawigacja satelitarna...

- Kiedy pan Ritchie odebrał auto?

Pan Robinson prychnął.

- Nie mógłbym... Nie, to wykluczone. Nie mogę ujawniać poufnych informacji. Wellington Executive Motors słynie z...

- To ważne.

- Przykro mi, ale musiałyby pan mieć nakaz...

Logan wyjął z kieszeni dwie złożone na pół kartki papieru.

- Mam - powiedział.

Kłamał. Kartki przedstawiały portrety pamięciowe Kylie i jej alfonsa, ale Robinson o tym nie wiedział; zbladł. Logan schował wydruki, żeby szef salonu przypadkiem nie zdążył o nie poprosić.

- Z dokumentów rejestracyjnych wynika, że kupił samochód w poniedziałek. Kiedy go odebrał?

Jąkając się i pochrząkując, dyrektor salonu tłumaczył, że niestety pan Ritchie nie mógł odebrać samochodu od razu w poniedziałek, a to na skutek niefortunnego incydentu z mewą. Spowodowało to przykrą konieczność ponownego mycia i woskowania maski. Logan zaklął pod nosem: to nie Ritchie prowadził...

- Jednakże... - Robinson uśmiechnął się z dumą. - Udało nam się dostarczyć samochód panu Ritchiemu już we wtorek, a dyskomfort przedłużonego oczekiwania miała wynagrodzić mu butelka veuve clicquot.

Holly McEwan zaginęła dopiero po jedenastej w nocy we wtorek: Ritchie spokojnie zdążyłby odebrać wóz, zabrać ją z ulicy, wywieźć do Tyrebagger Woods i pobić na śmierć. A to oznaczało, że Ritchie nadal tkwił po uszy w gównie.

- Potrzebne nam zeznanie osoby, która dostarczyła samochód.

Dyrektor spojrział za szklaną ścianę i wskazał im nijakiego mężczyznę w szarym garniturze, rozmawiającego z grubą kobietą w żółtym rozpinanym swetrze.

- W tej chwili ma klienta. Może cappuccino? I biszkopta?

Pili kawę i pojadali biszkopty, siedząc przy drzwiach i wyglądając na plac przed budynkiem. Zaczęło mżyć. Deszcz padał na zaparkowane przed salonem hektary kosztownego metalu. Mężczyzna w szarym garniturze podszedł z klientką do biurka, trochę się jej popodlizywał, pochwalił znakomity gust, kiedy wyłożyła niewiarygodnie wysoką zaliczkę za nowy model bmw, po czym wziął jeden z firmowych parasoli i odprowadził ją do samochodu. Gdy wrócił, Rennie natychmiast go zagadnęła. Owszem, dostarczył samochód panu Ritchiemu: pod dom, we wtorek, po pracy. Mewa zostawiła na masce gigantyczną plamę ekskrementów; mieli trochę zabawy z czyszczeniem.

Logan kazał Renniemu spisać zeznanie, a sam znów zaczął się zamartwiać: Co z tą Steel? Może chciała go w ten sposób ukarać - odwlekała zemstę, patrzyła, jak się dusi we własnym sosie... Nie, to do niej niepodobne. Nóż w jaja, to by było w jej stylu.

Szklane drzwi otworzyły się i znajoma postać weszła do salonu, pogrążona w rozmowie z niezbyt atrakcyjną kobietą. Na widok stojącego przy oknie Logana radny Marshall się zmieszał; tymczasem sprzedawczynie prześliznęła się między luksusowymi samochodami jak rekin i uśmiechnęła się drapieżnie: Niezmiernie jej miło znowu widzieć pana radnego. A pani Marshallowa - jakże uroczo wygląda!

Kłamała jak z nut: pani Marshallowa miała pięćdziesiąt kilka lat i figurę, która za żadne skarby świata nie chciała przestać się... rozprzestrzeniać. Głosem przypominającym świder dentystyczny poinformowała rekina, że przyszli po nowy samochód, bo poprzedni został uszkodzony... wypadek.1 »Prawda, Andrew?

Bóg jeden wie, jaki kolor włosów miała w młodości - teraz fryzurę ufarbowała na pomarańczowo i zrobiła taką trwałą że włosy ledwie dyszały. Logan zaczynał rozumieć, dlaczego radny szuka nowszego modelu. Z obrzydzeniem musiał przyznać rację Steel: może proste rozróżnienie winny-niewinny jest w tym wypadku niewystarczające? Może należy wydać trzeci, niezwykle, ale dopuszczalny w szkockim prawie werdykt: „winy nie udowodniono”?

- I co? - zainteresowała się Steel, kiedy wrócili z Renniem na komendę.

Siedziała przy zawalonym papierami biurku, z nogami na blacie, na stosie wydruków z przesłuchań. Zakiet przerzuciła przez oparcie krzesła, żeby każdy mógł zobaczyć, że nie wyprasowała sobie bluzki.

- Samochód dostarczono we wtorek po zamknięciu salonu, czyli po szóstej. Ritchie odebrał go najpóźniej o szóstej trzydzieści, szóstej czterdzieści pięć.

- Doskonale. Macie zeznanie?

- Tak.

- Świetnie. Niech je pan wprowadzi do akt. Rennie? Przynieś kawę.

Rennie był niepocieszony.

- Znowu ja? Dlaczego zawsze muszę...

- Hierarchia dowodzenia, posterunkowy. - Steel mrugnęła porozumiewawczo. - Poza tym zawsze udaje się panu skołować jakieś herbatniki.

Wyglądało na to, że posterunkowy ma ochotę dalej protestować, więc kazała mu brać dupę w troki.

- I niech pan dla odmiany umyje kubki!

Rennie wyszedł, pomrukując gniewnie pod nosem. Steel otworzyła okno i kazała Loganowi zamknąć drzwi, żeby mogła spokojnie zapalić. Dym snuł się w chłodnym powietrzu szarego niedzielnego poranka i rozplýwał na tle ciemnego nieba.

- No to słucham. - Steel zdmuchnęła przyklejony do warg okruch tytoniu. - Co ma mi pan do powiedzenia?

To był ten moment. Logan wziął głęboki wdech - i przeprosił Steel za napuszczenie na nią Inscha. Słuchała go w milczeniu, kopcąc jak przebudzony wulkan.

- Pytałam raczej o wydział wewnętrzny - wyjaśniła, kiedy skończył. - Wstawiłam się za panem, więc skończyło się na ostrzeżeniu. Nie wiedziałam o Inschu.

Logan zacisnął zęby. Nie mógł trzymać języka za zębami?

- Nie chciałem pani sprawiać kłopotów...

- Pańskie chęci w tym wypadku się nie liczą; nie sądzi pan, sierżancie? Liczy się to, co pan faktycznie zrobił. Nawet taki dureń jak pan powinien zdawać sobie z tego sprawę.

Logan aż się zjeżył.

- Powinna pani być mi wdzięczna, że nie powiedziałem mu o radnym Marshallu!

- No tak, to rzeczywiście wielka rzecz...

- A właśnie, że tak! Co powiedzieliby ci z wydziału wewnętrznego, gdyby się dowiedzieli, że go pani szantażuje?!

Steel zmartwiła. Oczy miała lodowate, bezlitosne.

- Dobrze słyszę?

Było za późno, żeby się teraz wycofać.

- Dochowanie przez panią tajemnicy musi go sporo kosztować.

Patrzyła na Logana, na przemian zaciskając i rozluźniając mięśnie szczęki.

- Nie wzięłam od niego ani grosza. Chce pan wiedzieć, jaka jest moja cena? Tak? Proszę bardzo: zażądałam, żeby przestał się do nas dopieprzać w gazetach i opowiadać na prawo i lewo, jaka to policja z Grampian jest beznadziejna. To wszystko.

Boże... To by tłumaczyło nagłą zmianę w zachowaniu Marshalla. Logan otworzył usta, żeby przeprosić za swoje podejrzenia, ale Steel nie dała mu dojść do słowa.

- A teraz niech pan stąd wypierdala, zanim zrobię coś, czego mógłby pan żałować.

Kiedy Logan zajrzał do pokoju operacyjnego Inscha, inspektor siedział na swoim stałym miejscu. Przy oknie pojawiła się nowa tablica korkowa, obwieszona zdjęciami Karla Pearsona. Na jednym z nich, zrobionym na stadionie, uśmiechał się do aparatu; pozostałe - to był kolaż z jego mieszkania w Seaton.

- Eee... Panie inspektorze... - Logan starał się nie patrzeć na kolorowe powiększenia poszatkowanych szczykami genitaliów. - Możemy porozmawiać? Chodzi o inspektor Steel...

- Insch spochmurniał, ale Logan brnął dzielnie dalej: - Chciałem zapytać, co pan wczoraj zrobił... w sprawie tych dwóch, którzy wyszli za kaucją...

- Nie pański zasmarkany interes. - Insch wyjął z kieszeni zgniecioną paczkę owocowych cukierków w kształcie rybek. Jeden po drugim wrzucał je sobie do ust i żuł wściekle. - Steel złapała swojego seryjnego mordercę, więc nasz ukochany komendant, żeby go cholera wzięła, jest zachwycony.

- Aha... - No proszę. Steel najwyraźniej przypisała sobie zasługę wytropienia Neila Ritchiego. - Czyli co? Aresztuje ich pan? Kiziora i tego drugiego?

- Na jakiej podstawie? Za to, że są z Edynburga i wyglądają podejrzanie? Myśli pan, że prokurator wyda nakaz bez dowodów? - Insch, marszcząc brwi, cmokał ostatniego cukierka. Zgniół torebkę w masywnej dłoni i wrzucił ją do kosza. - Przemądrzały doktor Bushel był dziś u mnie już dwa razy. Koniecznie chce zrobić portret psychologiczny mordercy Pearsona. Mały, wścibski, żądny sławy okularnik... - Skrzywił się i pokręcił głową. - Ale komendant pewnie jest zachwycony, że tak wyjątkowy, mądry człowiek wspomaga starego, przygłupiego Inscha. Tylko w jaki sposób? Co nam da to, że Bushel napisze o pożarach jako fetyszu seksualnym? Czy dzięki temu łatwiej złapiemy podpalacza? Na cholere mi jego profil? Mam go dać do gazety? „Poszukuje się białego mężczyzny, zamożnego, wykształconego, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Zainteresowania: podpalanie domów z mieszkańcami zamkniętymi w środku i onanizowanie się do wtóru ich krzyków. Zapewniamy długotrwały pobyt w placówce pod egidą Jej Królewskiej Mości. Uwaga: interesują nas tylko prawdziwe czuby". Jakoś nie widzę, żeby to się mogło sprawdzić. - Skrzywił się. - A, zanim zapomnę: przysły wyniki badań tych chusteczek, co je pan znalazł. To samo DNA. Kazałem wrzucić je do bazy danych, a nuż kogoś znajdziemy, ale w Dundee też mają seryjnego mordercę i komputery są obłożone. To potrwa.

- Może szukać po sposobie działania? Jest dość nietypowy...

- Świetny pomysł, sierzancie. Że też nie wpadłem na to, żeby sprawdzić coś tak oczywistego. - Insch posłał Loganowi mordercze spojrzenie. - Co pan sobie wyobraża, że przypłynąłem tu Donem na dmuchanym kondomie? Jasne, że już to sprawdziłem. Mamy jeszcze trzy przypadki podpalenia, w których podpalacz przyśrubował drzwi. Dostałem raporty z Lothian i Borders.

- Podejrzewają kogoś?

To samo spojrzenie.

- Nie wiem. Zapomniałem spytać. A co, myśli pan, że to ważne?

- Dobrze, w porządku. Nie musi mi pan od razu odgryzać głowy. Ja tylko chciałem pomóc. Insch przeszukał kieszenie marynarki, niestety nic nie znalazł. Westchnął.

- Wiem. Jestem rozdrażniony, bo nic się nie dzieje. Jakiś psychopata spala żywcem ludzi, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak go powstrzymać. - Zwlókł się z biurka. - Gdyby ktoś pytał, wyszedłem do sklepu. Czeka na mnie wielki wór landrynek.

Insch wyszedł. To tyle, jeśli chodzi o przeczekanie u Inscha, aż Steel się uspokoi. Logan uznał, że najlepiej będzie się ulotnić. Wziął służbowy samochód i włączył się do przedpołudniowego ruchu na chwilę przed tym, jak z nieba spadły pierwsze krople deszczu. Nastawił w radiu Northsound, program drugi, ale muzyka nie miała szans przebić się przez nieustające uiiiik-uooooonk wycieraczek. Nie myślał o tym, dokąd jedzie, próbował raczej skoncentrować się na planach na resztę dnia.

Dopóki Steel nie weźmie na wstrzymanie, on musi odpuścić sprawę mordowanych prostytutek. Tak jak „Kiziora” Sutherlanda i jego kumpla: nawet gdyby przekonał Jamiego McKinnona do złożenia zeznań, nie było mowy, żeby Jamie zgodził się pójść do sądu i tam stawić czoło bandzirom Malka Majchra. Równie dobrze mógłby owinąć sobie wacka płatem wędzonego boczku i zatańczyć na golasa w klatce pełnej wściekłych rottweilerów.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak zająć się zaginionym mężem. Przynajmniej nie będzie się nudził. Rozmawiał już z jego żoną z kolegami z pracy... Zostawała tancerka z baru i sąsiadka. Do baru miał bliżej.

Od Union Street odchodził wąski brukowany zaułek - który opadał stromo i w końcu znikał pod Bridge Street - Windmill Brae, uliczka nocnych klubów, barów ze striptizem i piątkowych bójek. Secret Service znajdował się w jej dolnej części. Prowokacyjne ozdoby w oknach

- kartonowe sylwetki nagich kobiet - przygotowywały przechodniów na niebezpiecznie lubieżne widoki wnętrza. Logan zostawił samochód na awaryjnych. Frontowe drzwi były otwarte. Wiadro z mopem stało na wąskim chodniku obok budki, w której sprzedawano bilety. Woda w wiadrze pieniała się od środka dezynfekującego, zmagającego się z unoszącym się wciąż po nocy odorem wymiocin.

Wnętrze wyglądało mniej więcej tak, jak się spodziewał: podłużne pomieszczenie, ciemne, trzy kondygnacje, po jednej stronie bar, po drugiej scena z czterema metalowymi rurami i lustrami od podłogi do sufitu - na wszelki wypadek, żeby widz niczego nie przeoczył. Wolną przestrzeń wypełniały okrągłe stoliki z postawionymi na nich krzesłami

- w taki sposób, by pryszczaty małolat mógł wjechać między nie froterką Głośne łup, łup, łup maszyny przerywane było dźwięcznym klang!, kiedy zderzyła się ze stalową nogą któregoś stołu. Za barem pojawił się mężczyzna z butelką płynu do czyszczenia.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś uważał?! - zawołał, przekrzykując hałas froterki. - To nie samochód wyścigowy! - Dopiero teraz zauważył Logana. - Zamknijcie.

- Widzę. - Logan wyjął legitymację. - Sierżant McRae. Pracuje u was niejaka Hayley, tancerka?

Mężczyzna się nie spieszył.

- Bo co? Przeskrobała coś?

Logan przeszedł po wilgotnej jeszcze podłodze i oparł się o bar.

- Nic nie przeskrobała. Chciałem się dowiedzieć, kiedy ostatni raz ją pan widział.

- To zależy, nie?

- Od czego?

- Od tego, dlaczego pan pyta.

Logan wyjął zdjęcie, które pani Cruickshank dołączyła do zgłoszenia o zaginięciu męża.

- Szukamy go od środy po południu. A ja słyszałem, że spotykał się z Hayley. Chciałem ją zapytać, czy wie, gdzie on może być.

- No to pech. W środę miała przyjść do roboty, ale nie przyszła. Od tamtej pory jej nie widziałem.

- W środę, tak?

- No. Tyle że z nią tak zawsze: trochę u nas potańczy, tak ze dwa, trzy miesiące, a potem, jak tylko uzbiera trochę kasy z napiwków, leci na Ibizę czy w inne turystyczne miejsce. Wyszukuje w Internecie last minute i znika bez słowa. Dowiadujemy się, gdzie jest, jak nam kartkę przyśle.

- Czyli w jej zniknięciu nie ma nic niezwykłego?

- Czasem zabiera ze sobą inną głupią krowę stąd, czasem jakiegoś faceta... Zależy, z kim się akurat puszcza.

Logan jeszcze raz pokazał zdjęcie.

- Zna go pan?

Mężczyzna zmrużył oczy.

- No znam. To Gav. Często tu przychodził, jak Hayley tańczyła. Posuwają od paru miesięcy.

Logan schował zdjęcie. Wyglądało na to, że Gavin Cruickshank jest jeszcze gorszym draniem, niż wcześniej myślał - ot, tak po prostu skoczył sobie na Ibizę z tancerką...

- Ma pan adres Hayley?

- Pan pokaże jeszcze raz legitymację. - Logan wyjął dokument, a właściciel baru obejrzał go dokładnie. - No dobra. - Wyjął spod lady pudło pocztówek. - Kazałem je niedawno wydrukować, wie pan, żeby się pochwalić najlepszymi dziewczynami. Będziemy je rozdawać w pubach przed zamknięciem, żeby się klienci napalali na nasze tańce.

225

Wziął pierwsze zdjęcie ze stosu, wypisał na odwrocie adres i numer telefonu i podał je Loganowi. Dziewczyna z fotografii miała dwadzieścia kilka lat i była cholernie ładna: śliczne piwne oczy, seksowny uśmiech, długie czarne włosy, czarne skórzane bikini, kozaki do kolan, 15 - Zamierające światło

diamantowy kolczyk w kształcie krzyża w pępku. Ailsa, recepcjonistka ze ScotiaLift, a teraz ona. Jak ten Cruickshank to robił, do licha?

- Niezła dupcia, co? - Właściciel się uśmiechnął. - Nie wyrzuciłby jej człowiek z łóżka za popierdywanie przez sen.

Logan dał mu swoją wizytówkę.

- Proszę zadzwonić, gdyby się odezwała, dobrze?

Deszcz się wzmógł i Logan musiał biegiem wracać do samochodu. Hayley mieszka przy Seaforth Road. Nie spodziewał się wiele po tej informacji, ale mimo wszystko postanowił tam podjechać, chociaż w tej ulewie samochody poruszały się żółtym tempem. Radio mamrotało samo do siebie, a on lawirował po podtopionych ulicach i zastanawiał się, czy ta ostatnia noc oznacza, że między nim i Jackie znów zaczyna się układać. Wieczór wypadł miło: smaczna kolacja, dobre wino - a i potem naprawdę nie mógł narzekać.

Zaczęły się wiadomości. Podkręcił radio i słuchał o wypadku w Torry, o kolejnym proteście zaplanowanym na poniedziałkowym zebraniu działu planowania - i o głównym wydarzeniu dnia: ktoś „postanowił wspomóc policję w śledztwie w sprawie morderstw prostytutek”. I klękajcie narody, oto radny Marshall osobiście obwieszczał światu, że policjanci z Grampian odwalili kawał dobrej roboty, dzięki czemu on sam i inni obywatele njogąspać spokojnie. Szantaż delikatny - a skutki godne podziwu. '

Hayley mieszkała na pierwszym piętrze dwupiętrowego bloku. Z salonu miała doskonały widok na rozległy cmentarz przy kościele Trójcy Świętej oraz na Pittodrie - ojczysty stadion chodzącej porażki, czyli FC Aberdeen. Teraz, w deszczu, ponury i smętny. Wprost uroczy.

Wysiadł z samochodu i wcisnął przycisk domofonu. Tak jak przewidywał, nikt się nie odezwał. Podzwonił do sąsiednich mieszkań: od środy rano nikt nie widział Hayley. Postanowił podjechać na lotnisko, popytać, czy ktoś nie widział, jak razem z Gavinem odleciała do ciepłych krajów. A jeśli i tam niczego się nie dowie, pozostaje mu jeszcze Inverness, Edynburg, Glasgow, Prestwick...

Gdziekolwiek się schowali, niedługo wypłyną: opaleni i zmordowani nadmiarem seksu. A pani Cruickshank siedzi w domu i zamartwia się o męża. Ale syf. Nie chciał być tym, kto jej powie, że idealny mąż wyskoczył po cichu na urlop, żeby pobzykać inną kobietę. Może uda mu się namówić jakąś miłą litościwą posterunkową żeby zrobiła to za niego.

Ledwie zdążył zawrócić, kiedy odezwała się komórka: dzwonił Rennie, aby w imieniu inspektor Steel - najwyraźniej nadal zbyt wściekłej, żeby porozmawiać z nim osobiście - poinformować go, że Jamie McKinnon nie żyje.

31

Miał zabrać Renniego z komendy i jechać do więzienia, żeby być przy składaniu zeznań i pilnować procedury. Lało jak z cebra i krople łomotały ogłuszająco o dach wozu, kiedy podjechał od tyłu pod komendę i zadzwonił do Renniego na komórkę. Dwie minuty później posterunkowy wskoczył na fotel pasażera. Wzdrygnął się.

- Ależ paskudny dzień! - Przeczesał palcami włosy i strzepnął wodę pod nogi, na dywanik. - To dla pana.

Podał Loganowi plik żółtych samoprzylepnych karteczek: na każdej z osobna odnotowano kolejne telefony od pani Cruickshank, która dopytywała się, czy już znaleźli jej męża. Od poprzedniego dnia dzwoniła wielokrotnie - cóż, na razie musi poczekać, aż załatwią wszystko w więzieniu.

Rennie milczał, kiedy jechali Market Street wzdłuż portu, ale Logan widział kątem oka, że rzuca mu ukradkowe spojrzenia.

- Mówcie, posterunkowy. O co chodzi?

Rumieniec.

- Nie... tak się tylko zastanawiam... Czym pan tak zdenerwował inspektor Steel?

- A co?

- Eee... - Rennie zmarszczył brwi, rozpaczliwie szukając taktownego sposobu na wyrażenie tego, co myśli. - Kazała panu przekazać, żeby pan tego nie spieprzył, bo inaczej ona zrobi panu to samo, co pan jej. Przysięgam, tak właśnie powiedziała. Słowo w słowo. I musiałem obiecać, że panu powtórzę. - Popatrzył z ukosa na Logana. - Przepraszam...

- Rozumiem. - Właściwie nie powinien się dziwić: nie ma nic gorszego niż upokorzona kobieta i tak dalej. - Niech mi pan opowie o Jamiem. Co się stało?

- Wczoraj rano wypisali go ze szpitala. Trafił do sądu, tam postawiono mu zarzut posiadania narkotyków i przewieziono go do Craigin-ches. Pół godziny temu znaleźli go na spacerunku. Podejrzewają że przedawkował.

- W więzieniu? Jakim cudem?

Rennie wzruszył ramionami.

- Wie pan, jak to jest. Jak ktoś bardzo chce, to sobie załatwi. Takie czasy.

- Chyba nie przywiózł sobie towaru ze szpitala?

- Nie. Sprawdziłem. Po tym, jak znaleźli u niego kokę, nawet do kibla nie chodził sam.

Superfucha, co? Stać w kącie, patrzeć, jak stawia klocka, i pilnować, żeby nie wyjął czegoś z muszli i nie wsadził sobie w tyłek.

Logan zaparkował przed więzieniem między radiowozem i znajomo wyglądającym mercedesem.

- O rany... - westchnął. Samochód Isobel. Jeszcze ona, jakby mało miał kłopotów. Znaleźli ją w rogu dziedzińca, ubraną - tak jak wszyscy - w papierowy kombinezon. Pochylała się nad ciałem Jamiego McKinnona. Wyglądała na wykończoną. Funkcjonariusze BIO rozpięli nad zwłokami zaimprovizowany daszek z brezentu: przeciągnęli sznurki od muru do muru na wysokości sześciu metrów i narzucili na nie niebieską płachtę, żeby choć trochę osłonić ciało przed deszczem.

Jamie McKinnon leżał na boku. Jedną rękę miał wykręconą na plecy, drugą zasłaniał twarz. Bandaże na połamanych palcach były brudne od ziemi i wymiocin. Lewe kolano podciągnął do piersi, prawa noga układała się w pozycji dokładnie na wschód.

- W porządku - powiedziała Isobel do fotografa z BIO; stał obok niej z wielkim cyfrowym aparatem w rękach. - Proszę wszystko obfotografować, szczególnie dłonie i podeszwy stóp. - Podniosła wzrok i zobaczyła Logana, który schował się przed deszczem pod płachtę. Zmarszczyła brwi. - Potem przewieźcie go do kostnicy.

Fotograf zabrał się do pracy; krople deszczu połyskiwały jak iskierki w blasku flesza, uchwycone w locie na ziemię. Isobel wstała, wzięła torbę i ruszyła w stronę wyjścia w asyście umundurowanej góry mięśni. Strażnik był pewnie niezbędny, żeby nie rzuciła się na kogoś i nie urwała mu głowy.

- Isobel? - zagadnął ją Logan, zanim go wyminęła.
- Słucham? - Nie patrzyła na niego. Wyglądała fatalnie: zmęczona, podpuchnięte oczy, jakby od tygodnia nie spała.

- Co tu się stało?

Spojrzała zniecierpliwiona na zegarek, potem na zwłoki.

- Nie żyje. Najprawdopodobniej przedawkował, ale to potwierdzę dopiero po sekcji. Wtedy dostaniesz też wstępny raport. - Jej głos był jeszcze bardziej oschły niż zwykle. - A na razie bardzo cię przepraszam, ale mam robotę.

Nie czekając na odpowiedź, poszła dalej; długo słyszeli, jak jej papierowy kombinezon szeleści rytmicznie: suiip-suoop.

- Jejku, jejku...-mruknął Rennie. - Syndrom niedopchnięcia... .

Znaleźli sobie kombinezony i się przebrali. Ekipa tymczasem zrobiła już zdjęcia i zaczęła się przygotowywać do transportu zwłok.

- Poczekać jeszcze? - spytał szef zespołu z BIO. Kropelki wody osiadały mu na siwiejących wąsach. - Byle nie za długo, bo deszcz pozaciera ślady.

Schował pod pachę zwinięty worek na zwłoki i razem z kolegami przycupnął pod murem, chroniąc się przed ulewą.

Logan przykucnął przy Jamiem. Stare siniaki trochę zbladły, ale pojawiły się świeże. Nie wiedział, co dokładnie się wydarzyło - wyglądało na to, że McKinnonowi przypadła rola ofiary. We włosach i na swetrze miał ślady wymiocin; ich kwaśny odór mieszał się z zapachem świeżego moczu.

- No i co? - Rennie wziął przykład z Logana i też ukucnął obok ciała. - Dlaczego myślasz, że przedawkował?

- To ma być żart, posterunkowy?

Rennie spojrzał na niego zaskoczony.

- Żart? Wiem, że brał i że handlował... - Urwał w pół zdania, kiedy wreszcie zobaczył, co mu pokazuje Logan: w zgięciu lewego łokcia Jamiego tkwiła igła ze strzykawką. - O rany! Paskudne to.

- Panie sierżancie? - Wąsacz z BIO przyciskał do piersi worek na trupa, jakby to był termofor. - Naprawdę musimy go już zabrać.

Logan nie protestował.

Pracownica administracji opiekująca się Jamiem McKinnonem - a także nie wiadomo iloma innymi więźniami przy okazji - siedziała smętnie w swoim pokoju w biurowej części

więzienia i bezmyślnie zamalowywała kartki służbowego notatnika trupimi czaszkami. Nikogo więcej tam nie było. Samo więzienie wydawało się Loganowi obskurne i przygnębiające, ale i tak prezentowało się nie najgorzej w porównaniu z biurami. Urządzono je w dawnej malarni z drażniącymi oczy jarzeniówkami, szarożółtymi płytkami na suficie, obłazącą farbą na ścianach i dokumentnie zadeptaną wykładziną na podłodze. Pod ścianami stały kartony z aktami i stopy papierów - zapępiały przestrzeń pomiędzy wysokimi zakratowanymi oknami i plakatem „Nie musisz być wariatem, żeby tu pracować”, na którym ktoś dopisał mazakiem „Chyba że chcesz zostać na stałe”. Jediną oznaką życia były mizerne kwiaty w doniczkach - liście brązowiały powoli, poddając się wszechobecnej atmosferze zaniedbania i potępienia.

Logan usiadł naprzeciw niej przy biurku i zapytał o Jamiego McKinnona.

Kobieta sprawiała wrażenie zmęczonej: wory pod oczami i tru- skawkowoczerwony - chroniczny katar? - koniuszek długiego prostego nosa.

- Super, nie? Tak jakbym i bez tego nie miała dość papierów do wypełnienia. - Westchnęła i przetarła twarz dłońmi. - Przepraszam, kłopoty kadrowe. Przejściowe, jak zwykle. Jedna poszła na macierzyński, dwie wzięły urlop na odreagowanie stresu, czwarta cztery miesiące temu rzuciła robotę w diabły, a my nie przyjęliśmy nikogo nowego na ich miejsce. %

Logan policzył biufka. Sześć.

- Właściwie została pani sama.

- Prawie. Jest jeszcze Margaret, ale ona nawet w szczytowej formie do niczego się nie nadaje. - Pociągnęła głośno nosem i z szuflady biurka wyjęła dużą chusteczkę higieniczną. Rozległo się donośne trąbienie. - Co chce pan wiedzieć?

- Wygląda na to, że Jamie przedawkował narkotyki. Myśli pani, że celowo?

Spochmurniała.

- Uważaliśmy na niego, bo uprzedzono nas, że to potencjalny samobójca, ale mamy za mało ludzi. Nie da rady wszystkiego...

- Nie szukam winnych. Pytam tylko, czy pani zdaniem był to wypadek, czy samobójstwo.

Westchnęła ciężko, zmęczona i przybita.

- Miał tu ciężkie życie. Regularnie obrywał, nawet nie wiem za co: po prostu go nie lubili. A potem nie dość, że ktoś mu zabił kobietę, to jeszcze sam został oskarżony o jej zamordowanie. Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałam, właśnie się dowiedział, że była z nim w ciąży. Płakał i płakał... - Wzruszyła ramionami. - Dlatego samobójstwo wydaje mi się całkiem prawdopodobne. Bo po co żyć? Jego ukochaną zabito, jego dziecko nie zdążyło się urodzić, a jego czekało w więzieniu regularne bicie przez następne trzynaście do dwudziestu lat.

Logan smutno pokiwał głową.

- Są jacyś świadkowie? Przecież był środek dnia, on wyszedł na dziedziniec, żeby dać sobie w żyłę... Na pewno ktoś to widział.

Urzędniczka prychnęła lekceważąco.

- Pan żartuje! Świadcowie? W takim miejscu? Musiałby pan mieć nieprawdopodobny fart.

- A kamery? Może...

- Zepsuły się. Ktoś miał przyjechać i w czwartek je naprawić, ale nie przyjechał. Tylko te w środku jakoś działają, a i to nie wszystkie. - Wzruszyła ramionami. - Wie pan, jak to jest.

- Jeszcze nie wiem, dopiero się uczę. - Ślepy zaułek. Jamie załatwił towar i skrócił sobie męki. - Skąd wziął narkotyki?

- Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, co tu można kupić. Robimy, co możemy, żeby ukrócić ten proceder, ale więźniowie ciągle znajdują nowe sposoby. Czasem czuję się tu jak w aptece.

Logan zapatrzył się w sufit. O co jeszcze powinien zapytać?

- Czy kiedy Jamie wrócił ze szpitala, ktoś go odwiedził?

Na przykład dwóch dużych dżentelmenów z Edynburga.

Urzędniczka nie wiedziała, ale postanowiła to sprawdzić. Jeden telefon i znała już odpowiedź: poprzedniego dnia wieczorem odwiedziła go jego dziewczyna.

To się nie trzymało kupy - i tak właśnie powiedział Logan.

- Dziewczyna? Przecież nie miał dziewczyny. Dopiero co ktoś zabił mu ukochaną kobietę!

Na szczęście sala odwiedzin należała do tych nielicznych miejsc na terenie więzienia, w których kamery działały. Logan i Rennie usiedli w dyżurce ochrony i zaczęli przeglądać taśmy z poprzedniego dnia. Na ekranie było widać puste pomieszczenie, stoliki ustawione w równych rzędach, po dwa plastikowe krzesła przy każdym. Logan włączył przewijanie w przód. Rozedrgane poziomie linie przecięły monitor, odtwarzacz zamruczał cicho i taśma ruszyła. W rogu sali jak spod ziemi wyrósł strażnik, a po nim w kadr wpadł pierwszy więzień. Zaraz po nim zjawili się dwóch kolejnych. Usiedli jak najdalej od siebie. Pomruk magnetowidu ścichł i obraz zaczął płynąć z normalną prędkością. Jamie McKinnon siedział po lewej stronie, nieco z tyłu, pod plakatem, na którym wypisano, czego nie wolno przynosić więźniom. W końcu pojawiła się „dziewczyna” McKinnona: kulejąc, weszła w kadr, zwrócona plecami do kamery - ale Logan nie musiał widzieć jej twarzy, żeby ją rozpoznać: czarna skórzana kurtka, wystrzępione dzinsy, różowe włosy. Puknął palcem w ekran.

- To Suzie McKinnon, siostra Jamiego. Jak ktoś mógł ją wziąć za jego dziew...

Suzie oparła się o stół i pocałowała brata - długo, głęboko, z języczkiem.

- No tak. Rozumiem.

Para na ekranie się rozdzieliła. Oboje wytarli usta rękawami.

- Wepchnęła mu coś więcej niż język - stwierdził Rennie.

Niby namiętny pocałunek - i paczuszka narkotyków przeszła z ust do ust.

- Na to wygląda - przytaknął Logan. - I tak musielibyśmy do niej pojechać. To jego najbliższa krewna.

Nie zastali Suzie McKinnon w jej tradycyjnej pijalni mocnych trunków - ani jej, ani pozostałych doradców króla Edwarda; deszcz zagonił pod dach nawet najtwardszych alkoholowych monarchistów. Logan z Renniem pojechali więc do Ferryhill, do domu, do którego poprzednio ich doprowadziła, kiedy ją śledzili. W suterenie paliło się światło, sącząc się przez okna w półmrok popołudnia. Suzie tam była.

- Zrobimy tak - zaczął Logan, wypinając się z pasów. - Ja podchodzę do drzwi i pukam, pan czeka na zewnątrz, tak jak poprzednio; nie chciałbym, żeby zwała przez okno i przepadła nam gdzieś w tym monsunie. - Odwrócił się do funkcjonariusza WSR, którego zabrali z komendy: to właśnie on opiekował się babcią Kennedy. - Pan idzie do ogródka, z tyłu domu.

Drzwi na klatkę były otwarte. Logan zszedł po schodach na poziom piwnicy. Pod nogami zachrząściło mu szkło z rozbitej żarówki. Od jego poprzedniej wizyty sporo się zmieniło: na drzwiach mieszkania McKinnonów widniał duży odcisk buta, drewno było popękane i wybrzuszone. Kiedy zastukał, uchyliły się pod naciskiem jego ręki - nie otworzyły się na oścież, bo założony był łańcuch; zamek ktoś wyłamał. W szczelinie mignęła spięta twarz: dziewczyna spojrzała na Logana i rzuciła się do ucieczki. Suzie McKinnon. Trzasnęły drzwi do salonu: zamierzała uciec przez okno od frontu.

I wpadła w objęcia Renniego. Różowe włosy oblepiły jej głowę, biały makijaż spływał, zmywany deszczem - wyglądała, jakby twarz się jej roztapiała. Ugryzła posterunkowego w rękę - krzyknął z bólu i na moment rozluźnił chwyt; a to wystarczyło, żeby się odwinęła i wyrznęła go kolanem w krocze. Zbladł, ale jej nie puścił; cedził przekleństwa przez zęby, a Suzie szarpała się i klęła na cały głos.

Logan złapał ją za rękę, zanim zdążyła dołożyć posterunkowemu.

- Suzie? Jamie nie żyje!

Zamarła, patrząc na niego z niedowierzaniem. Stali tak w deszczu i teraz, z bliska, widział, że makijaż maskował nie tylko niedoskonałości cery, ale też siniaki i zadrapania.

Poruszała bezgłośnie ustami, aż w końcu wydobyło się z nich ciche:

- Jak?

- Prawdopodobnie przedawkował, ale nie mamy pewności. Dopiero... - Logan nie chciał szczegółowo opisywać, co Isobel musi zrobić z ciałem Jamiego. - Później się dowiemy. Wejźmy do środka.

Łańcuch nadal trzymał drzwi, musieli więc dostać się do mieszkania przez okno w salonie; zostawili mokre ślady na wystrzępionej sofie, z której zeskoczyli na dywan.

Milczeli. Suzie ogryzała pomalowane na czarno paznokcie, Rennie chwiejnym krokiem poszedł do kuchni zrobić herbatę, wściekły za ten kopniak w jaja.

- Co z tymi drzwiami? - spytał Logan.

Suzie potrząsnęła głową, jakby słyszała go gdzieś z bardzo daleka.

- Z drzwiami... A, o to chodzi. - Wzruszyła ramionami. Syknęła z bólu. - Zapomniałam klucza.

Unikała jego wzroku.

- I w dodatku spadłaś ze schodów. Właściwie to nic dziwnego, ciemno tu i w ogóle.

Zamknęła oczy i przytaknęła. Łzy zawisły jej na rzęsach i skapnęły na posiniaczone policzki. Logan westchnął.

- Nie dam się nabrać. Ktoś najpierw wykopał zamek z drzwi, a potem cię pobił. I założę się o wszystkie kartofle w Szkocji, że wiem, kto to był.

- Czy Jamie... Czy on naprawdę przedawkował?

- Na to wygląda. Nie wiemy tylko, czy zrobił to celowo.

- Mój Boże... - Ukryła twarz w dłoniach; szlochała bezgłośnie i kołysała się na piętach. - Zabiłam go!

Logan patrzył na nią.

- Skąd miałaś towar, Suzie? Ale ona już go nie słuchała.

- Boże, Jamie...

Oplakiwała brata, szarpiąc farbowane na różowo włosy. Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim przypomnieli sobie, że w ogródku czeka przemoknięty funkcjonariusz WSR.

32

Wrócili do miasta. Posterunkowy Rennie prowadził i co pół minuty macał się po genitaliach, jakby chciał się upewnić, że są na swoim miejscu. Logan gapił się tępo przez okno na ludzi i samochody. Dobrze chociaż, że deszcz powoli słabł. Spoza chmur wyzierało błękitne niebo, asfalt wysychał w słońcu. Zatrzymali się za terenówką bmw i czekali na zielone światło. Następnym wypasionym wóz z indywidualną tablicą rejestracyjną. Rozplenili st^po mieście jak zaraza.

Logan zmarszczył brwi. Wypasiony wóz... Zabrzmiało znajomo. Tylko dlaczego?

Światła się zmieniły i bmw skręciło w lewo w Springbank Terrace. Odprowadził je wzrokiem, ale nadal nic mu się nie przypominało. Wyjął komórkę i sprawdził wiadomości. Jedną przysłał mu Brian, asystent Isobel: sekcja zwłok Jamiego McKinnona została przełożona na czwartą; doktor MacAlister nie czuła się najlepiej. Zamknął klapkę telefonu i w zadumie postukał się nim w podbródek. Dziwne... Isobel nie zwykła okazywać słabości. Skoro przełożyła sekcję, musiała być umierająca. Na czwartą, tak? Dochodziła druga. Schował telefon do kieszeni i wyjął żółte karteczki - wiadomości od pani Cruickshank.

- Jamiego będą kroić dopiero za dwie godziny, więc skoczmy do Westhill.

Westhill to wciąż rozrastająca się dzielnica mieszkalna, położona dziesięć kilometrów na zachód od centrum Aberdeen. Kiedyś znajdowały się tam farmy świń, dopóki terenami tymi nie zainteresował się przemysł budowlany. Od tamtej pory Westhill wspięło się od głównej drogi na wzgórze, obejmując ceglanymi ramionami pole golfowe.

Zanim Rennie objechał rondo przy zespole biurowców i znaleźli się we właściwym Westhill, chmury rozpięzchły się i wyjrzało słońce. Na trawnikach Denman Park przekomarzały się sroki, przechadzając się w tę i z powrotem, nadęte jak adwokaci w togach.

Minęli centrum handlowe, podjechali kawałek do góry i skręcili w lewo, w stronę Westfield Gardens, gdzie mieszkał cudzołóżnik Gavin Cruickshank. Jego dom stał w trzech czwartych długości ślepej uliczki odchodzącej od drogi dojazdowej do Westhill Academy. Od frontu - wypieszczony ogródek z różanymi klombami: żółte i różowe kwiaty mieniły się przeświecłanymi słońcem kropelkami deszczu; garaż; przeszklone drzwi wejściowe; elegancka drewniana tabliczka z napisem „Cicha przystań Cruickshan- ków”. Na lampach ulicznych żółte, zafoliowane zdjęcia formatu A4, przedstawiające olbrzymiego labradora. Ksero ziarniste i niewyraźne, informacja pod spodem: „Zginął Moppet!” Na dole podano adres właścicieli - dom obok Cichej Przystani Cruickshanków, identyczny, ale mniej zadbane. W ogrodzie swobodnie pieniały się dmuchawce i koniczyna, drzewom przydałoby się malowanie. W otwartym garażu stał zardzewiały fiat, walały się stare gazety, puszki po farbie, puste butelki i części rowerowe. Tylko zamrażarka w głębi chyba się jeszcze do czegoś nadawała.

- Po co tu przyjechaliśmy? - spytał Rennie, zamykając samochód.

Logan wskazał Cichą Przystań.

- Mąż kobiety, która tu mieszka, zaginął w środę. Biedaczka podejrzewa, że sąsiadka może mieć coś wspólnego z jego zniknięciem. Nie ma pojęcia, że jej ukochany Gavin bzyka panny po całym mieście, między innymi tancerczkę z nocnego klubu, która lubi wyjeżdżać na urlop bez uprzedzenia.

- I myśli pan, że ten gość z nią gdzieś wyskoczył?

Logan wyjął z kieszeni pocztówkę z Secret Service i podał ją Ren- niemu.

- Co pan na to?

Rennie pozerął wzrokiem Hayley w skórzanym bikini.

- No... Niezła. Na mojej rurze mogłaby tańczyć, kiedy by tylko... -Ej! - Logan zabrał mu zdjęcie.

- Idziemy. - Rennie się skrzywił. - Najpierw odwiedzimy sąsiadkę. Żonie zawsze zdążymy powiedzieć, że ma męża łajdaka.

Po naciśnięciu dzwonek dało się słyszeć tylko pojedyncze, głuche łup, musieli więc zapukać. Po pewnym czasie za matową szybą w drzwiach zamajaczyła jakaś postać. Klęła jak szewc.

- Jeśli to następny pieprzony skaut, który chce mi skosić trawnik...

- Drzwi się otworzyły i stanęła w nich niechlujna kobieta w szlafroku.

- Ożesz kur... O co chodzi? - Proste włosy z pięciocentymetrowymi odrostami wokół owalnej twarzy; podpuchnięte oczy, pokryte siateczką żyłek policzki i nos. - Mówiłam już na posterunku: czekam na ubezpieczenie. Ma przyjść pocztą

- My nie w tej sprawie, pani...

Najpierw panika i zaraz beczelny uśmiech.

- No to czego chcecie?

- Tydzień temu we wtorek wdała się pani w sprzeczkę z panem Cruickshankiem, sąsiadem z tamtego domu.

Drzwi zaczęły się pomalutku zamykać.

- Kto tak powiedział?

- Chciałbym, żeby nam pani o tym opowiedziała. Tu i teraz. Bo inaczej będę musiał panią aresztować i zawieźć na komisariat. - Logan uśmiechnął się nieszczercze. - Wybór należy do pani.

Kobieta zamknęła oczy i zaklęła pod nosem.

- W porządku.

Włożyła ręce do kieszeni i cofnęła się w głąb domu; drzwi nie zamknęła. Przeszli przez zagracony przedpokój do kuchni. Brudne okno wychodziło na prostokątny skrawek zdeptanej trawy, na którym walały się psie zabawki; okalał go pas błota i chwastów. W kuchni panował

bałagan: porozrzucane pudełka po pizzy, plastikowe, zalane tłuszczem pojemniki po jedzeniu na wynos, puszki po piwie. Brudne naczynia wysypywały się z kosza na bieliznę. Ze zlewu cuchnęło zgnilizną.

Na stole leżał stosik nieotwartych kopert z rachunkami. Logan wziął do ręki pierwszą z brzegu. W foliowym okienku widniał napis „Powtórne ponaglenie”, adres i nazwisko: pani Clair Pirie.

- Clair? Zastaliśmy pana Pirie?

Wyrwała mu kopertę i schowała ją do pękającej w szwach szuflady.

- Nie pański interes. Sukinsyn zwał dawno temu.

- Rozumiem...

Clair wściekłym gestem włączyła elektryczny czajnik i złapała jedną z suszących się na spodeczku torebek z herbatą.

- Dla nas nie trzeba... Więc mieszka pani sama, tak?

- Nie... To znaczy tak, sama.

Oj, kręcimy, strasznie kręcimy. Logan oparł się o blat i w milczeniu przyglądał gospodyni. Czajnik najpierw pomrukiwał, a potem buczał coraz głośniejsze.

- No dobrze, dobrze - mruknęła w końcu Clair. - Jezus Maria... Mieszkałam z chłopakiem, nie? Nawet miałam go już tu zameldować. Ale się rozeszliśmy, jasne? Zadowolony pan? Po prostu mnie zostawił, gnojek jeden.

Wrzuciła wysuszoną herbacianą torebkę do brudnego kubka i zalała ją wrzątkiem.

- Proszę nam coś opowiedzieć o sąsiadach.

- Ta baba to wścibskie krówsko. Powywieszała te plakaty o zaginionym psie, a to nie jej zasrany interes! Bezczelna suka. A ten facet to dupek. Ciągłe przyłazi do mnie i się dopieprza. Wiecznie niezadowolony.

- To dlatego go pani uderzyła?

Uśmiech przemknął po jej twarzy, ale szybko zniknął.

- Sam się prosił. Przyszedł tu i przeklinał jak skurwysyn. Nic się gość zachować nie umie.

Wyjęła z lodówki karton mleka i dołała trochę do herbaty. Buchnął potworny smród - woń pleśniejącego sera i charakterystyczny odór mięsa, któremu termin przydatności do spożycia minął dawno, dawno temu. Clair najwyraźniej niczego nie zauważyła.

- Słyszała pani, że zaginał?

Znieruchomiała z kubkiem przy ustach.

- Poważnie?

- W środę. Dzień po tym, jak go pani pobiła. - Logan patrzył jej w oczy. Coś ukrywała.

Tylko na razie jeszcze nie wiedział co. - Nie uważa pani, że to ciekawy zbieg okoliczności?

Wzruszyła ramionami.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego. Pewnie uciekł z którąś ze swoich panienek i zostawił tego mazgaja, swoją żonę. Wziął i ją rzucił...

- Widelcem wyjęła torebkę z kubka i wrzuciła ją do brudnego zlewu.

- Tacy właśnie jesteście wy, faceci. Może nie?

Gdy tylko wyszli, Rennie łapczywie zaciągnął się świeżym powietrzem.

- Rany boskie! - Pomachał sobie ręką przed nosem. - Co za smród. Nie dziwię się, że mąż ją rzucił. Co za niechluj... O co chodzi?

Logan bacznie obserwował dom.

- Posterunkowy, skontaktujcie się z centralą i poproście o informacje na temat pani Clair Pirie. Wszystko, co mają

- Myśli pan, że maczała palce w zniknięciu Cruickshanka?

- Nie. Dalej obstawiam Ibizę, Hayley i jej skąpe bikini. Ale pani Pirie coś kręci.

Poszli do Cichej Przystani Cruickshanków. Otworzyła im Ailsa w biało-niebieskim pasiastym fartuchu i gumowych rękawiczkach. Włosy miała związane w koński ogon. Na widok Logana zbladła jak płótno.

- Boże... - Wyłamała palce, aż zaskrzeczała guma rękawic. - Coś się stało!

Logan z trudem zdobył się na uspokajający uśmiech.

- Proszę się nie niepokoić, pani Cruickshank. Nie przynosimy żadnych złych wiadomości. Chcieliśmy tylko porozmawiać. Możemy wejść?

- Tak, proszę. Przepraszam, że tak panów... Napijcie się panowie herbaty? Zaraz zaparzę..

Zaprowadziła ich do wysprzątane, zadbane saloniku i poszła wstawić wodę. Ledwie zniknęła im z oczu, Rennie nachylił się do Logana i stęknął:

- Jeeezu... Ale towar.

- Kiedy pan wreszcie dorośnie, posterunkowy? Kobieta straciła męża.

- Wiem, wiem, tylko... Boże, jak można rzucić taką laskę? Jest fantastyczna! Ja bym ją zaraz... Pan nie?

- Ciszej! Usłysz!

Rennie spojrzał tęsknie w stronę kuchni.

- Wie pan co? Mogłaby nawet nie zdejmować tych rękawiczek. I tak bym...

- Posterunkowy! Ostrzegam...

Rennie wbił wzrok w dywan.

- Przepraszam, panie sierżancie. Pewnie jaja mam jeszcze w szoku po tej nieudanej kastracji kolanem, co mi ją Suzie McKinnon zaserwowała.

Logan nie mógł się nie uśmiechnąć.

Ailsa Cruickshank wróciła do pokoju; przyniosła tacę z herbatą i ciasteczkami w czekoladzie. Rennie poczęstował się, a ona przysiadła na skraju sofy i zaczęła nerwowo skubać obicie. Logan odchrząknął, skrępowany.

- Proszę pani... - zaczął. Nie miał pojęcia, jak jej wytłumaczyć, że jej ukochany Gavin uprawa dziki wakacyjny seks z tancerką z nocnego klubu. - Czy mąż się nie odzywał?

Westchnęła, jakby uszło z niej powietrze.

- Nie. Nie dał znaku życia.

- Rozumiem... -No dalej. Powiedz jej. - Bo... Kiedy zgłosiła pani zaginięcie, czy ktoś prosił panią o sprawdzenie, co mąż mógł ze sobą zabrać? Szczoteczkę do zębów, ubranie na zmianę, paszport... Tego typu rzeczy?

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że... Gavin by mnie tak nie zostawił. Nie on.

Logan przygryzł wargę i pokiwał głową.

- No tak, ale czy... mimo wszystko... moglibyśmy się rozejrzeć?

Zaprowadziła ich na górę do sypialni, kompletnie nieświadoma spojrzenia Renniego, który wpatrywał się w jej tyłeczek, kiedy szła przed nimi po schodach. Dom był utrzymany w pastelowych barwach, wszystkie elementy wystroju starannie dobrane. Pościel pasowała do zasłon, dywanu i pękatek poduszek na wiklinowym fotelu w kącie. Właściwie ogólną harmonię burzyła tylko kolekcja powieści detektywistycznych - wszystkie moje, jak powiedziała pani Cruickshank z uśmiechem winowajcy; Gavin nie czytał zbyt wiele. Z szuflady w komodzie wyjęła dwa unijne paszporty: swój i męża. Szczotka Gavina leżała na swoim miejscu w łazience. Maszynka do golenia, pianka, peeling do twarzy i żel do włosów też były tam gdzie zawsze - w szafce. Co jeszcze niczego nie dowodziło. Biorąc pod uwagę tryb życia Gavina Cruickshanka, przybory toaletowe trzymał pewnie w łazienkach wszystkich kobiet, z którymi sypiał. Poza tym wielu pracowników z branży naftowej ma więcej niż jeden paszport: to się przydaje, kiedy trzeba jechać na kontrakt i załatwić wizę na przykład do Azerbejdżanu, Angoli, Nigerii... A więc to, co nieuniknione, dla Logana odwlekło się w czasie, tyle że Rennie napatrzył się na tyłek pani Cruickshank, kiedy chodzili po domu.

No cóż... Logan wziął głęboki wdech i przekazał gospodyni złą nowinę. Przez blisko minutę stała przed nimi bez słowa, a potem się rozplakała.

Logan i Rennie dyskretnie się ulotnili.

Siedzieli chwilę w samochodzie - Logan cicho kłął, Rennie tęsknie wpatrywał się w dom Cruickshanków.

- Na pewno nie powinienem wrócić i jej pocieszyć? - rozmarzył się posterunkowy. - Mogłaby się wyplakać i w ogóle... - Widząc minę Loga- na, odchrząknął i przekreślił klucz w stacyjce. - Jasne. Rozumiem.

Logan obejrzał się przez ramię. Wcale się nie zdziwił, widząc wpatrzone w niego z sąsiedniej posesji świńskie oczka. Clair naprawdę coś kombinowała.

W policyjnej kostnicy unosił się dziwny zapach sera i cebuli, kiedy Logan siedem minut przed czasem przyjechał na sekcję zwłok Jamiego McKinnona, który już leżał na stalowym stole, nagi jak go Pan Bóg stworzył. Był jednak w prosektorium całkiem sam. Pożegnalny występ Jamiego nie powinien przyciągnąć licznej publiki - ot, po prostu kolejne samobójstwo ćpuna. Owszem, przedawkował w więzieniu, więc policja musiała postępować zgodnie z procedurą i przeprowadzić śledztwo, ale raczej nie zanosilo się na głośny skandal. Jedynym żyjącym krewnym Jamiego była jego rodzona siostra, a ponieważ sama dostarczyła mu narkotyk, raczej nie mogła oskarżyć władz więzienia o śmierć brata. Zanosilo się na to, że miejsca na widowni zajmą Logan i Rennie; nawet asystentka pani prokurator chyba się nie pofatyguje. Tylko że Rennie też gdzieś przepadł.

Za dwie czwarta Isobel ciężkim krokiem weszła do sali; ziewnęła szeroko i nawet nie zasłoniła ust. Bez przywitania podeszła do umywalki i zaczęła myć ręce.

Logan westchnął. A co tam, zaryzykuje.

- Żle spałaś?

- Słucham? - Wytarła ręce i odwróciła się do niego. Minę miała równie zaciętą, jak kiedy widzieli się rano. - Nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku.

Zanosilo się na kolejną fajną sekcję.

- Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to Colin nie wrócił na noc do domu.

Oderwała foliowy fartuch z rolki przy umywalce i narzuciła go na chirurgiczny kitel tak długi, że zasłaniał jej kalosze.

- Poważnie? - No to Millerowi się dostanie, kiedy wreszcie się pokaże. - Co powiedział?

Isobel jeszcze bardziej spochmurniała.

- W ogóle nie zadzwonił. - Odstawiła tackę z instrumentami na wózek obok zwłok. -

Czwarta. Gdzie oni wszyscy się podziali, do cholery?

Pierwszy zjawił się Brian, jej asystent, przepaszając za spóźnienie, zaraz za nim Rennie i doktor Fraser - wpadł do prosektorium całe osiem minut po czasie, nie okazując nawet cienia skruchy. Wyjaśnił, że był gotowy o trzeciej, ale potem coś mu wypadło, a teraz, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, chciałby sobie podliczyć wydatki i uporządkować rachunki: dwa miesiące zaległości - a on na gwałt potrzebuje gotówki. Potraktował milczenie Isobel jako zgodę, położył aktówkę na sąsiednim stole, otworzył ją i wyciągnął na lśniący stalowy blat kilometry papieru i kilogramy faktur.

Isobel westchnęła teatralnie i rozpoczęła oględziny, nagrywając komentarz na dyktafon. Zbadała zwłoki i odkryła ślady aktów przemocy - siniaki po najświeższym pobiciu nie zdążyły jeszcze nawet dobrze podejść krwią. Wyglądało na to, że ktoś przytrzymał Jamiego od tyłu, a ktoś inny okładał go pięściami po brzuchu. Pręgi na twarzy świadczyły o tym, że zatkało mu usta dłonią żeby nie krzyczał. Właściwie trudno się dziwić, że popełnił samobójstwo.

Kiedy nadszedł czas na krojenie denata, Logan zauważył, że Isobel robi to zupełnie mechanicznie: przerywała się przez kolejne warstwy tkanek bez przekonania, z roztargnieniem, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej. Pewnie planowała zemstę na Millerze, kiedy dostanie go w swoje ręce.

Wyjmowała właśnie zawartość jamy brzusznej Jamiego, gdy zadzwonił telefon. Brian pobiegł go odebrać. Ściszone głosem tłumaczył, że pani patolog jest „akurat w samym środku denata”, więc prosi o telefon za jakąś godzinę... Cisza. Zasłonił mikrofon ręką i zaskomlał:

- Bardzo przepraszam, pani doktor, ale... telefon do pani.

Isobel podniosła głowę. W ręce trzymała wątrobę Jamiego.

- Jestem zajęta - wycedziła przez zęby. - Niech zostawią wiadomość.

Na twarz Briana wypłynął przymilny uśmiešek.

- Strasznie mi przykro, pani doktor, ale oni mówią, że to bardzo pilne.

Zakłęła cicho.

241

- O co chodzi?!

16 - Zamierające światło

Brian podbiegł do niej, wlokąc za sobą przewód, i przystawił jej słuchawkę do ucha. Isobel odcięła ostatni skrawek tkanki łącznej i wyjęła wątrobę.

- Tak, tu doktor MacAlister... Słucham? Proszę mówić głośniej... - Wątroba Jamiego przelewała jej się przez palce jak olbrzymi, ciemno- fioletowy ślimak bez skorupy. - Co mu się stało?! - Widoczne nad chirurgiczną maską oczy Isobel rozszerzyły się gwałtownie. - O Boże...

Wątroba spadła na stół i po blacie zjechała na podłogę.

Isobel obróciła się na pięcie i wybiegła ze strefy sterylnej, pozbywając się rękawiczek, maski i fartucha. Logan pobiegł za nią i dogonił ją przy schodach na parking.

- Isobel? Isobel!

Pilotem otworzyła swojego mercedesa i wskoczyła za kierownicę, cały czas w zakrwawionym stroju chirurga. Logan załapał za klamkę, zanim zdążyła zatrzaskać drzwi.

- Isobel, zaczekaj! Co się stało?

- Nie mam czasu!

Trzasnęła drzwiami i wdusiła gaz do dechy. Na asfalcie zostały dwa czarne pasy spalonej gumy.

- Super... - mruknął Logan, patrząc, jak mercedes wyjeżdża z parkingu i znika za rogiem^ - Jak chcesz.

*

33

W prosektorium doktor Fraser bez pośpiechu przebierał się w zielony fartuch. Brian obmywał wątrobę Jamiego McKinnona z kurzu.

- O co chodziło? - spytał go Logan, kiedy Brian papierowymi ręcznikami zaczął wycierać fioletową grudę.

- Nie mam pojęcia. - Odłożył wątrobę do stalowej miski w kształcie nerki. - Dzwonili ze szpitala i powiedzieli, że to pilne. Nic więcej nie wiem.

- No, panienki... - Fraser naciągnął lateksowe rękawiczki. - Bierzmy się do pracy. Czeka mnie jeszcze mnóstwo roboty.

Doktor ciął, ważył i badał wnętrzności Jamiego, a przy okazji pobierał próbki, które Brian wrzucał do probówek z formaliną. Szybko to poszło i wkrótce Brian mógł upchnąć narządy wewnętrzne Jamiego z powrotem w jamie brzusznej i wypraktykowanym ścięciem zaszyć cięcie.

- No tak... - Fraser wyrzucił rękawice do kosza, jakby strzelał z gumek recepturek. - Muszę jeszcze przesłuchać nagranie Królowej Zimy, zanim postawię ostateczną diagnozę, ale wygląda na to, że chłopak wcale nie umarł z przedawkowania. Owszem, naszprycował się tak, że nie miał prawa przeżyć, ale zabiła go krojona w kostkę marchewka.

Logan spojrział na niego pytająco.

- Wydaje mi się, że ostatnio przez dłuższy czas nie brał, więc skutki działania narkotyku dodatkowo się nasiliły - wyjaśniał Fraser, kiedy Brian zabierał zwłoki do chłodni. - Heroina. Dużo heroiny. We krwi ciągle jest masa diamorfiny. Ładował się w takim tempie, że organizm nie nadążał z przyswojeniem. Chłopak stracił przytomność i zadławił się własnymi wymiocinami. Klasyczna śmierć gwiazdy rocka.

Logan smutno pokiwał głową. A więc dlatego znaleźli go ze strzykawką wbitą w rękę. Zwykle na efekt przedawkowania trzeba czekać dwie, trzy godziny po podaniu narkotyku. Przypomniał sobie świeże obrażenia: popękane wskutek uścisku dłoni usta, pręgi na nadgarstkach, skrępowanych, kiedy bito go w brzuch... A może po prostu ktoś go przytrzymał i uciszył, żeby nie wezwał pomocy, kiedy wbijają mu igłę w ramię i sykną: Nikt nie będzie dymał Malka Majchra!

Wzdrygnął się. Coś takiego pasowało do „Kiziora” Sutherlanda.

- Czy to możliwe, że nie zrobił tego sam?

Doktor Fraser zawahał się, zdejmując kitel.

- Nie przypominam sobie, żeby Isobel coś o tym wspomniała...

Zamyślił się, po czym kazał Brianowi przywieźć Jamiego z powrotem. Zapowiadało się dalsze krojenie.

Dwanaście i pół minuty - Fraser już wiedział, czy Jamieu ktoś pomógł. W zgięciu łokcia McKinnona, w zgrubiałej skórze widniały liczne ślady po igłach - w samym środku znajdował się czarny punkcik w bladej fioletowej obwódce. Jamie brał rzadko, ale na pewno umiał się wkłuć w żyłę, zamiast przebijać ją na oślep, przekłuwać sobie mięsień i dźgać się w kość. Doktor Fraser pogrzebał w rance pincetą i wydobyl z niej kawałek metalu, który pasował do ukruszonego czubka igły wbitej wcześniej w ciało. Wyjaśnił, że ślad po ukłuciu jest tylko jeden, ponieważ zanim nadłamana igła została wyciągnięta spod skóry, udało się ją wysunąć i trafić w żyłę. Trochę było mu głupio, że nie zauważył tego od razu - myślał, że Isobel zaczęła oględziny od miejsca nakłucia, tymczasem wyglądało na to, że zostawiła je sobie na deser.

Logan powiedział mu, żeby się tym nie przejmował. Przez następne półtorej godziny wypełniał papiery i elektroniczne formularze niezbędne w sytuacji, gdy śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Wydrukował komplet dokumentów - zamierzał zakraść się do biura inspektor Steel i kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, podrzucić je do poczty przychodzącej - byle tylko uniknąć konfrontacji.

Gdy jednak wszedł na górę, dopadły go wyrzuty sumienia: Jamie McKinnon został zamordowany. I czy mu się to podoba, czy nie, właśnie Jamieu jest winien przynajmniej tyle, żeby puścić maszynę w ruch. Westchnął smętnie i powlókł się do pokoju operacyjnego.

A tam panował chaos: stopy raportów; kolejka funkcjonariuszy, którzy chcieliby je przedstawić; przenośne tablice oklejone mapami okolicznych lasów, pokreślonymi czerwonym i niebieskim mazakiem; rozdzwonione telefony; przekrzykujący się ludzie. I w samym środku tego tornada - inspektor Steel. Logan wziął się w garść, przepchnął się na początek ogonka i podetknął jej papiery pod nos. Wyrwała mu je z ręki i przekartkowała, klnąc paskudnie.

- Co to znaczy: „zachodzi podejrzenie morderstwa”? Słyszałam, że gnojek popełnił samobójstwo.

- Wygląda na to, że ktoś mu pomógł.

- No tak, kurwa jego*ijiać, tego mi jeszcze brakowało! Śledztwo w sprawie morderstwa. - Skrzywiła się tak, że wszystkie zmarszczki zbiegły się jej wokół nosa. - I to w Craiginches! Przecież tam nikt nie będzie chciał z nami rozmawiać. Równie dobrze możemy iść pogadać z chodnikiem. Strata czasu... - Zagryzła policzek. - Rennie! - zawołała. - Do mnie!

- Słucham, pani inspektor.

- Postanowiłam dać panu niepowtarzalną szansę spieprzenia czegoś na własny rachunek. - Wepchnęła raport Logana w ręce posterunkowego. - Proszę to przeczytać, a potem jechać do Craiginches i dowiedzieć się, kto zabił Jamiego McKinnona. Jutro o tej porze chcę tu widzieć zeznanie na piśmie i paczkę papierosów. Embassy Regals.

Rennie się przeraził.

- Pani inspektor...

Steel wyrznęła go po przyjacielsku w ramię, aż jęknął z bólu.

- Wierzę w pana. A teraz spadać, nie mam czasu.

Rennie z niedowierzaniem pokręcił głową, ale zrobił, co mu kazała.

- Pani inspektor... - Logan wiedział, że tym, co za chwilę powie, najprawdopodobniej tylko pogorszy swoją sytuację. - Czy to na pewno dobry pomysł? Rennie jest przecież tylko posterunkowym, a...

- A pan zdradzieckim sukinsynem. Mimo to pozwalam się panu bawić w policjantów i złodziei, prawda?

Logan zaniemówił.

Steel zeskoczyła z biurka i zaczęła przeszukiwać kieszenie, dopóki nie znalazła wymiętej paczki papierosów.

- Co mu się może stać? Nikt się do niczego nie przyzna, a chłopak nabierze doświadczenia. Bardziej już tej sprawy sparać się nie da. Poza tym bądźmy szczerzy: nikt nie będzie płakał po takim dupku jak Jamie McKinnon. - Widząc zdeglustowaną minę Logana, prychnęła i wrzuciła ramionami. - Co pan tak na mnie patrzy? Przecież to był kawał gnoja. Pamięta pan Rosie Williams? Może jej nie zabił, ale pobił ją tak, że wyrzuciła go z domu. I co, naprawdę wierzy pan, że to był pierwszy raz, jak się napruł i przyszedł jej wlać? Polecam lekturę jego akt: pan McKinnon lubił pić i na cyku bijać kobitki. Tacy jak on nie zasługują na lepszy los. - Jej głos był wyprany z wszelkich emocji. - A teraz żegnam, sierżancie. Pracuję w policji, a tu nie brak roboty.

„Zdradziecki sukinsyn...”

Logan szedł po schodach i się wściekał. Steel najwyraźniej zdążyła już zapomnieć, że to on znalazł samochód z zaginioną prostytutką. Że gdyby nie on, nie zatrzymałaby podejrzanego... To nie jego wina, że Insch wkroczył na ścieżkę wojenną - gdyby Steel chociaż raz zachowała się, jak na policjantkę przystało, i powiedziała Inschowi o zatrzymaniu Kiziora i jego kumpla, wszystko byłoby okej. Ale nie; szlag by trafił i ją, i jej żądę poklasku.

Stanął przy tylnych drzwiach i patrzył na pędzące po szarym niebie chmury. Jackie wróci dopiero po północy, więc czeka go samotny wieczór w pustym mieszkaniu z jakimś obiadem na wynos i butelką wina. Albo dwoma butelkami. Przecież i tak nie przestrzega diety - zacznie od poniedziałku, jak to wszystko trochę się uspokoi. No tak, ale powtarzał sobie to od trzech miesięcy, a to wszystko jakoś nie chciało się uspokoić...

Czas do domu.

Zdążył zająć do alkoholowego, kiedy zadzwoniła komórka. Rany boskie, co znowu?

W słuchawce rozległ się przygnębiająco znajomy, chrapliwy głos:

- A pan gdzie się podział, sierżancie?

Jęknął. Przekląta Steel.

- Skończyłem dyżur. Właśnie idę do domu.

- Niech się pan nie wygłupia. Są w życiu ważniejsze rzeczy niż piwko i macanki. Wrócili nasi ludzie. Coś znaleźli.

- Holly McEwan? - Mieliby czwarte ciało do kompletu.
- Nie. Walizkę. Czerwoną walizkę. Śmierdzi jak zdechły pies w saunie. - Przytłumione głosy w tle. - No, sierżancie, dupa w troki i z powrotem na komendę. Jedziemy się zabawić półwiartowanym trupem.

34

Powtórka z Garlogie Woods. Logan zaparkował brudny służbowy samochód na trawie, sto metrów od zastawionej innymi pojazdami zatoczki. Steel przez całą drogę siedziała zamysłona i paliła papierosa za papierosem. Posterunkowy Rennie umościł sobie z tyłu gniazdko wśród papierków po rybie, tacek po frytkach i pudełkach po pizzy - wóz był wciąż niesprzątnięty po operacji „Kopciuszek” - i znalazł leżące na podłodze pisemka pornograficzne, ostre, że oczy bolały. Wykazując niezwykle silną wolę, zignorował je i pograżył się w lekturze raportu Logana na temat morderstwa Jamiego McKinnona; chciał go jak najszybciej przeczytać, a potem jechać do Craiginches i zacząć przesłuchiwać więźniów.

Inspektor wysiadła bez słowa i po błocie, brnąc w mokrej od deszczu trawie, przeszła do zatoczki, wymijając parkujące na pasie zieleni wozy. Przyjechali dosłownie wszyscy. Policjanci z psami stali na samym środku placu, w grząskim błocie, obok mikrobusu ekipy poszukiwawczej i... samochodu doktora Wilsona. Choć raz Logan był wdzięczny losowi, że współpracuje ze Steel, a nie z Inschem. Po ostatniej konfrontacji inspektora z lekarzem dyżurnym nie chciał być przy tym, gdy ci dwaj znów na siebie wpadną.

Odczekał, aż Rennie wygrzebie z bagażnika całe tony lateksowych rękawiczek i worków foliowych i wypcha sobie nimi kieszenie, i zamknął wóz. Zapytał posterunkowego, po co właściwie przyjechał.

- Steel chciała chyba, żeby zajął się pan morderstwem Jamiego McKinnona?
Rennie uśmiechnął się do niego spięty, tak jak już wcześniej, na komendzie.
- Powiedziała, że muszę się nauczyć „wielozadaniowości”. Twierdzi, że w tej sprawie mało komu ufa, panie sierżancie, i jest skazana na nas dwóch.

Logan parsknął śmiechem. Swoich relacji z inspektorem Steel z pewnością nie nazwałby „zaufaniem”.

Brama przed leśnym traktem była otwarta; kłódka została przecięta. Świeży ślad opon prowadził w głąb lasu, pod górę. Posterunkowy przy bramie zerknął na ich legitymacje i dał znak, że mogą przejść. Droga była nierówna, błotnista i śliska. Biało-liliowe gałązki kwitnących na poboczu wrzosów kołysały się na wietrze. Rennie i Logan szli skrajem. Z prawej strony gęsto krzewiły się żarnowce - ich brunatne kwiatostany szemrały na wietrze jak grzechotniki - z lewej rozciągał się wysoki jodłowy las, ziemię zaścielały mokre, prawie czarne igły. Gdzieś wyrastały z nich muchomory i lśniące od wody paprocie.

- Wybiera się pan jutro? - spytał Rennie. Szli przez mokrą trawę.

- Dokąd?

- Na pogrzeb. No wie pan, pogrzeb Trevora Maitlanda.

O kurczę. Zupełnie o tym zapomniał. Czy potrafi stanąć nad grobem Maitlanda i spojrzeć wdowie w oczy? Co powie - przepraszam, że to przeze mnie straciła pani męża? Ale by ją pocieszył...

Postanowił zmienić temat.

- Czego się pan dowiedział o tej Pirie?

- O kim? A, o niej... - Rennie pokręcił głową. - Niezła z niej żołą. Od Bożego Narodzenia Cruickshankowie złożyli na nią chyba ze dwadzieścia skarg, chodziło głównie o awantury po pijaku. Próbowali nawet podciągnąć to pod naruszanie norm życia społecznego, na razie jednak się nie udało. Trzy miesiące temu pan Cruickshank podkablował japołicji i za prowadzenie po alkoholu straciła prawo jazdy. W zeszłym roku aresztowana za napaść, dwa razy postawiono jej zarzut posiadania narkotyków. Skończyło się na pouczeniu. Krążyły też

śluchy, że udziela się w jakiejś siatce pedofilskiej. Skargi były anonimowe, ale ludzie z posterunku w Westhill rozpoznali głos dzwoniącego...

- Niech zgadnę: Gavin Cruickshank?

- Nie inaczej. - Wspięli się na szczyt pagórka i zaczęli schodzić z drugiej strony, podążając śladem kolein w błocie. - Jest tego więcej, ale da się streścić w paru słowach: wredna baba, a pan Cruickshank jest na nią cięty, odkąd się wprowadziła. Ostatnia skarga jest z wtorku. To wtedy podbiła mu oko.

Logan zagwizdał przez zęby. Nic dziwnego, że Ailsa podejrzewała sąsiadkę o maczanie palców w zniknięciu jej męża. Na pewno miałyby motyw. Tyle że to bez znaczenia, skoro Gavin gdzieś na ciepłej plaży bzyka tancerczkę, a jego żona wypłakuje oczy z żalu.

- Co z Ritchiem, Zabójcą z Shore Lane?

Rennie wzruszył ramionami.

- Musiałbym zapytać panią inspektor. Trzyma karty przy orderach.

No tak, to było do przewidzenia. Nie podzieli się ani odrobiną chwały...

Las urywał się nagle podtopionym zagłębieniem terenu. Tu właśnie utknęła furgonetka BIO: stała w koleinach, z tylnymi kołami do połowy zanurzonymi w brunatnej mazi. Niegdyś białe boki miała zachlapanne świeżym błotem. Niebiesko-biała taśma policyjna ciągnęła się od tego miejsca w głąb lasu. Dwieście metrów dalej drogę przegradzał wytyczony tą samą taśmą kordon.

Znudzona policjantka z notatnikiem w ręce kazała im włożyć papierowe kombinezony i5 ochraniacze na buty, a potem wciągnęła ich na listę obecnych. Na skraju polanki rozpięto między drzewami niebieską płachtę. Pod nią leżała czerwona walizka, identyczna jak ta pierwsza, wciśnięta pod pień wiatrołomu, częściowo przysypana warstwą ziemi i igieł i przykryta liśćmi paproci.

- Nie rozumiem... - mruknął Logan. Ktoś z BIO przykucnął przy walizce i zaczął ostrożnie zgarniać liście, igły i ziemię do dużego foliowego worka. - Po co kupować czerwoną walizkę, jeśli chce się ją schować w lesie? Przecież zawsze będzie się rzucała w oczy. Nie lepiej wziąć czarną? Albo zieloną? Dlaczego akurat czerwona?

Rennie wzruszył ramionami.

- Może ten ktoś chciał, żebyśmy ją znaleźli?

- No dobrze, to po co zawoził ją do lasu i chował pod jakimś zwalonym drzewem? I jeszcze przysypywał ziemią i obkładał paprotkami?

Chwila zastanowienia, a potem:

- Może po to, żeby było ją łatwo znaleźć, ale żeby się wydawało, że wcale nie było łatwo? Żebyśmy ją znaleźli, ale pomyśleli, że nie powinniśmy jej znaleźć, mimo że znaleźliśmy ją tylko dlatego, że ten ktoś chciał, żebyśmy ją znaleźli?

Logan spojrzął z ukosa na Renniego.

- Posterunkowy... Czy kiedy wymyślał pan takie wyjaśnienie, brzmiało ono sensownie? Bo teraz, wyartykułowane, to jakiś bełkot.

Doktor Fraser był już na miejscu. Odstawił torbę na foliową płachtę i oparty o drzewo czytał gazetę, czekając, aż ludzie z BIO skończą pobierać próbki, robić zdjęcia, kręcić film, szukać odcisków palców... Podniósł wzrok znad „P&J” i uśmiechnął się do Logana.

- Witam panów - powiedział z udawanym angielskim akcentem. - Piękny mamy wieczór na spotkanie z poćwiartowanym trupem, nieprawdaż?

Logan wskazał tłum techników z BIO.

- Pani prokurator już jest?

Fraser pokręcił głową. Nie, na razie jesteśmy tylko my, szaraczki. Nie pojawiła się nawet inspektor Steel, a przecież na logikę powinna była dotrzeć na miejsce przed Renniem i Loganem. Doktor Wilson kręcił się gdzieś w pobliżu, ale biorąc pod uwagę jego permanentny

ostatnio zły nastrój, patolog nie próbował zabawiać go rozmową i lekarz dyżurny schował się głębiej między drzewa, żeby spokojnie podzwonić.

Od strony drogi usłyszeli trzask łamanych gałązek i z gąszczu wyłoniła się rozdrażniona inspektor Steel, obciągając kombinezon na pośladkach.

- Zew natury - wyjaśniła. - Żadnych pytań. - Żwawym krokiem podeszła do zwalonego drzewa po ułożonym przez BIO chodniku z metalowych płyt. Obeszła je dookoła. - Panie doktorze? - zwróciła się do Frasera. - Będzie pan tak sobie czytał gazetę, czy weźmie się do pracy?

Nerwowy technik z BIO wyłamał zamek walizki i wrzucił go do plastikowej torebki. Doktor Fraser chwycił za uchwyt na wieku.

- Zdaje pan sobie sprawę, że wyjdziemy na durniów, jeśli w środku będzie jakiś cocker spaniel? - spytała inspektor Steel.

Fraser otworzył walizkę.

Smród był zaledwie cieniem odoru, jaki wydzielał rozkładający się labrador, ale i tak wszystkim zrobiło się niedobrze. W kałuży cuchnącej cieczy leżał kawał szarobiałego mięsa. I na pewno nie był to cocker spaniel: na piersi miał wytatuowany napis: „Ailsa”.

Rennie prowadził z pedałem gazu wciśniętym do dechy. Jechali wąskimi drogami, zmierzając najkrótszą trasą do Westhill. Logan zadzwonił do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i poprosił do telefonu faceta, który prowadził sprawę labradora. Czy rozmawiał z panią Clair Pirie, kiedy sprawdzał doniesienia o zaginionych psach? Nie, nie rozmawiał, ponieważ pani Pirie nie zgłosiła takiego zaginięcia. Siedząca z przodu inspektor Steel szczyrzyła zęby w coraz szerszym uśmiechu. Prokurator była zachwycona i szybko przygotowywała nakazy rewizji i aresztowania: obiecała przefaksować je na posterunek w Westhill, zanim Steel z ekipą dotrą na miejsce. Radiowóz A29 ruszył za nimi, ale nie mógł nadążyć za pędzącym na złamanie karku Renniem.

Kancelaria pani prokurator dotrzymała słowa i dwanaście minut później zajechali już pod dom Clair Pirie w Westfield Gardens. A29 stanął od tyłu, przy drodze prowadzącej do Westhill Academy. Na wszelki wypadek. Po sąsiedzku, w Cichej Przystani Cruickshanków, światła były pogaszone, na podjeździe nie stał samochód, a kiedy Logan zadzwonił, nikt nie odbierał telefonu. Za to salon w domu Clair Pirie mienił się odbłaskiem telewizora. Na tapecie podrygiwały sine plamy światła i cienia.

- Dobra. - Steel wyciągnęła rękę do Renniego. - Nakazy. - Posterunkowy podał jej plik przesłanych faksem dokumentów, opatrzonych wszystkimi stosownymi podpisami. - Wchodzimy.

Rennie, wiedząc, że dzwonek nie działa, od razu zastukał do drzwi frontowych i czekał. Podekscytowana inspektor przestępowała z nogi na nogę jak dziecko czekające na swoją kolej u lodziarza. W końcu Clair Pirie podeszła do drzwi, mamrocząc i klnąc pod nosem. Otworzyła je, poznała Renniego - i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

- Wypierdalać! - krzyknęła z drugiej strony matowej szyby. - Nie ma mnie w domu!

Steel odepchnęła posterunkowego i stanęła na najwyższym stopniu schodów.

- Niech się pani nie wydurnia. Proszę otworzyć drzwi, bo inaczej je wyważymy.

- Nie macie prawa!

- Taaak? - Steel przycisnęła nakaz do szyby. - Clair Pirie: oto nakaz rewizji w pani domu.

Może pani albo... Ożesz ty! - Widoczna za szkłem sylwetka zniknęła. Steel sięgnęła po nadajnik. - Uwaga, próbuje uciec! - Klepnęła Renniego w plecy. - Na co czekacie, posterunkowy? Wyważamy drzwi!

Rennie kopnął w drzwi na wysokości zamka. Otworzyły się z impetem. Zobaczyli korytarz, kuchnię, otwarte okno, za nim ogródek, a w nim - zadek pani Pirie, gramolącej się na ogrodzenie. Wdrapała się na górę, zamarła, a potem osunęła się z powrotem na zdeptany kwietnik. Zaraz za nią zeskoczył umundurowany posterunkowy z A29.

Inspektor Steel zetknęła dłonie czubkami palców. Uśmiechnęła się.

- Świetnie.

Furgonetka BIO przyjechała dwadzieścia po dziewiątej, prosto z Garlogie Woods. Tułów Gavina Cruickshanka był już w drodze do kostnicy. Zaczęli od łazienki - ludzie chętnie ćwiartują zwłoki w wannach, żeby nie zapaprać całego mieszkania. Steel zostawiła panią Picie pod czułą opieką Renniego, a sama poszła z Loganem na piętro, zobaczyć BIO w akcji. Jakby siłą woli chciała ich zmusić, żeby coś znaleźli.

Łazienka była potwornie zapuszczona: sterta brudnych ręczników w kącie; plastikowe opakowania po tamponach rozrzucone przy muszli; okrawki mydła dogorywające na mydelniczce pod prysznicem. Grzyb wyciągał szare macki na szafkę z lekami; pokryte kamieniem płytki zmieniły kolor z różowego na brudnoszary. Ależ przytulnie.

- Co za syf..

Wąsacz z BIO klęczał przy wannie i wacikiem wymiatał brudy z kratki w odpływie. Zgarnął garść włosów łonowych. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś pokroił tu trupa - dopóki nie zrobili testu na obecność śladów krwi, bo wtedy wanna zaświeciła jak choinka: drobinki skrzepłej hemoglobiny w obu odpływach, pod uchwytami, przy chromowanych kranach.

Inspektor Steel gwizdnęła z zadowolenia i popędziła do salonu, gdzie pani Pirie wierciła się na kanapie w kwiaty.

- Wie pani co? - Steel wyszczerzyła zęby w uśmiechu i pochyliła się ku niej nad niskim stolikiem. - Ma pani przesrane!

Uparła się, że osobiście przesłucha Clair Pirie. Owszem, Logan zidentyfikował zwłoki i naprowadził ich na trop, ale Steel nadal się do niego nie odzywała. Musiał więc zostać z Rennie i nadzorować rewizję, podczas gdy ona wróciła na komendę, żeby spijać śmietankę. Jak zwykle.

Ekipa poszukiwawcza zaczęła od poddasza, więc Rennie z Loganem, zamiast siedzieć z założonymi rękami, postanowili rozejrzeć się po salonie. I znaleźli kilka niedopalonych skrętów: leżały za kanapą i wciąż delikatnie zalatywały marihuaną. Ludzie z BIO przenieśli się tymczasem do kuchni. Logan i Rennie zeszli przez wewnętrzne drzwi do garażu. Wspólnymi siłami zamknęli zardzewiałą bramę wjazdową, która z przeraźliwym skrzypieniem i zgrzytem odcięła ich od tłumu gromadzącego się przed domem po odjeździe Steel i pani Pirie. „Eve- ning Express” już zdążył przysłać swojego dziennikarza, na razie jednak - chwała Bogu! - nie pojawiła się żadna ekipa telewizyjna. O dziwo, nie zjawił się również Colin Miller - zawsze pierwszy wszędzie tam, gdzie rozciągano policyjną taśmę.

Rennie zaczął grzebać w stosie rupieci pod ścianą w głębi garażu. Logan zainteresował się zamrażarką. Nagromadzony przez lata brud odłożył się na niej paskudnymi, szarymi plamami, a rdzawe zacieki pokryły całą powierzchnię. Dopiero za drugim razem zdołał podnieść wieko - wraz z grubą warstwą szronu i lodu, która skruszyła się i osypała na betonową posadzkę. Inaczej niż zamrażarka w domu Kiziora, ta była wyładowana paczkami podejrzanego mięsa i mrożoną kukurydzą. Przekopał się przez jedną trzecią jej zawartości i kiedy palce już zaczynały mu drętwieć z zimna i usłyszał, jak Rennie woła, że coś ma: przesunął stos starych numerów „Daily Mail” i znalazł leżący za nim nóż do kości z osiemnastocentymetrowym ostrzem, u nasady piłkowa- ny, jednosieczny, prosty,»tylko przy końcu lekko zakrzywiony.

Logan natychmiast zadzwonił do Steel; spacerował po domu, czekając, aż inspektor odbierze, ale został przełączony do poczty głosowej, więc zostawił wiadomość. Nóż, zwłoki i krew w łazience - Clair Pirie nie zdoła się z tego wykręcić. Nawet Sandy Wąż jej nie pomoże.

Zadzwonił do Jackie; miał nadzieję, że chociaż na chwilę oderwie myśli od pracy i mydlanych oper Renniego. Nie odbierała. Wybrał numer Millera i usiadł przy kuchennym stole pod oknem. Widział gmach Westhill Academy, podświetlony w nocy rzędem lamp

ulicznych. Telefon dzwonił i dzwonił, i dzwonił, aż w końcu w uchu Logana zaskrzeczał nagrany na taśmę głos Millera: Colin obiecywał, że jeśli poda nazwisko i numer i zostawi krótką wiadomość, to do niego oddzwoni.

- Cześć, tu Logan. Chciałem się dowiedzieć, czy jeszcze żyjesz po tym, jak Isobel cię dorwała, draniu. Może...

Prostokątna plama światła padła na trawnik w sąsiednim ogródku. Ailsa Cruickshank wróciła do domu.

- Cholera!

Rozłączył się. Do tej pory nie udało się z nią skontaktować, więc nie wiedziała nawet, że jej mąż nie żyje. A po tym, jak Steel się ulotniła, Logan automatycznie przejął dowodzenie.

Westchnął, poszedł do pani Cruickshank i najdelikatniej jak umiał, powiedział jej, co się stało; wziął ze sobą jedną z posterunkowych z BIO, żeby udzieliła mu wsparcia moralnego. Pan Cruickshank nie wyjechał na żadną egzotyczną plażę w towarzystwie tancerki z nocnego klubu; jego okaleczone zwłoki leżą w kostnicy. Logan właściwie nie wiedział, co gorsze: dowiedzieć się, że mąż notorycznie kłamie i sypia z innymi, czy że został zamordowany i poćwiartowany.

35

Na komendzie panował nastrój może niezbyt wesoły, ale optymistyczny. Inspektor Steel na razie nic nie wyciągnęła z Clair Pirie, ale z czasem jej się to uda. Dochodziło wpół do jedenastej i większość ekipy bawiła się w najlepsze w pubie Archibald Simpson przy końcu Union Street, dosłownie rzut kamieniem od komendy; wpadali tu przeważnie policjanci po służbie - by splukać czymś mocniejszym wspomnienie męczącego dnia. Pani prokurator postawiła wszystkim kolejkę, gratulując błyskawicznego ujęcia podejrzanej; zapewniła, że pani Pirie bardzo, ale to bardzo długo posiedzi w więzieniu. Stuknęła się kieliszkiem z Loganiem, Rennie i Rachael Tulloch - wiedziała, że wszyscy na nich patrzą, i wmawiała sobie, że wcale nie czują się idiotycznie. Po tym pierwszym drinku wyszła, ale jej asystentka została i z uśmiechem postawiła drugą kolejkę. Następna poszła na konto Renniego - i rozmowa powoli zeszała na mniej służbowe tematy. Kiedy Logan chwiejnym krokiem wracał do stolika, niosąc dwa piwa i duży dzin z tonikiem, obraz świata zaczynał mu się rozmywać: cóż, wypił trzy piwa na pusty żołądek i nie wysypiał się od dwóch tygodni. Rachael opowiedziała dowcip o dwóch zakonnicach w minicooperze, gubiąc puentę w napadzie śmiechu. A kiedy Rennie mówił o dwóch zakonnicach w fabryce kondomów, Logan miał wrażenie, że asystentka zaraz się posika. Wyła ze śmiechu i poklepywała go z uciechy po udzie - może trochę zbyt entuzjastycznie - drugą ręką ocierając łzy...

Do domu dowłókł się po północy. Rozrzucił ubranie na podłodze w przedpokoju. Doczłapał do łazienki, półprzytomnie wysikał się, z grubsza umył zęby i wypił litr wody. Podreptał do sypialni, zwinął się pod kołdrą i chwilę później już chrapał. Nawet nie słyszał, jak pół godziny później Jackie wróciła ze służby.

Muzyka miała pewnie działać kojąco, ale zabrzmiała smętnie: z organów płynęły dyskretne hymny, a kościół powoli wypełniał się policjantami. Logan usiadł z tyłu; miał nadzieję, że wygląda lepiej, niż się czuje. Poniedziałkowy poranek przyfrunął na skrzydłach kaca, łopoczących w rytm skurczów żołądka. Na razie nie wymiotował - ale jeszcze wszystko przed nim. Wpół do dziewiątej to stanowczo za wcześnie na pogrzeb.

Wybrzmiały ostatnie takty. Jackie podniosła wzrok znad programu uroczystości.

- Sporo ludzi.

Robiło się tłoczno - jedną z zalet tak wczesnego pogrzebu była obecność ludzi z nocnej zmiany - zajrzeli do kościoła, zanim poszli do domu. A posterunkowy Trevor Maitland często pracował na noc. W ciemnych drewnianych ławkach zajmowali miejsce jego koledzy z policji, przyjaciele i krewni; nie zabrakło też człowieka, przez którego zginął. Nagle zrobiło się cicho: ksiądz wszedł na podest i podziękował wszystkim za przybycie.

Zgodnie z przewidywaniami Logana nabożeństwo było przygnębiające. Podczas mów pożegnalnych - samych peanów pochwalnych - jego żołądek wyczylił dzikie harce. Na koniec wstał komendant i zaczął opowiadać o niebezpiecznym życiu policjanta i o tym, jakiej odwagi trzeba, żeby podjąć takie wyzwanie; a także o tym, że odwaga i poświęcenie ich rodzin wcale nie są mniejsze. Wdowa po Maitlandzie cicho płakała. A potem zagrała muzyka - Whitney Houston wyjodłowała po swojemu I Will Always Love You. Zebrano wieńce i ułożono je starannie na trumnie, którą następnie przewieziono do karawanu.

Świetny początek tygodnia.

Kiedy Logan przyjechał na komendę prosto z pogrzebu, z brudem za paznokciami - rzucił garść ziemi na piękną mahoniową trumnę - pokój operacyjny inspektor Steel kipiał podnieceniem. I nic dziwnego, wczoraj znaleźli zwłoki w walizce i od razu zapuszkowali podejrzaną.

Dzisiaj kontynuowali poszukiwania, przeczesując Tyrebagger, Garlogie i Hazlehead. Kawał lasu, ale szło im sprawnie: na rozwieszonych na ścianach mapach znikwały kolejne przekreślone kwadraty. Jeszcze dzień, góra dwa i będzie po wszystkim - czyli przeniosą się na następny zalesiony kawałek gruntu i tak do skutku, aż Holly McEwan znajdzie się u Isobel w chłodni.

Ktoś przypiął do korkowej tablicy najświeższy numer „Press and Journal” z krzykliwym nagłówkiem „Poćwiartowane zwłoki w walizce! Dokonano aresztowania!”, uzupełnionym fotografią kordonu policyjnego w Garlogie Woods i mniejszym zajściem inspektor Steel - zrobionym w któryś z tych nielicznych dni, kiedy jej fryzura nie przypominała ptasiego gniazda. Czytając newsa, można było się dowiedzieć, że inspektor Roberta Steel rozwiązała jedną z najtrudniejszych zagadek kryminalnych w historii szkockiej policji. Tekst uzupełniono nawet cytatem z radnego Marshalla, który zapewniał opinię publiczną, że Steel jest bezcenna dla policji i całe Aberdeen powinno się cieszyć, że ktoś taki tu mieszka i pracuje. O Loganie i Rennie - ani słowa.

Niepocieszony Logan powlókł się do administracji, gdzie usłyszał, że inspektor Steel nadal siedzi w pokoju przesłuchań z panią Piri i prosi, żeby jej nie przeszkadzać. Zaklął. Cholerna Steel! Szlag by ją... Zaczął sobie szukać zajęcia, ale wyglądało na to, że wszystko jest pod kontrolą: ktoś szukał zaginionej prostytutki, Steel przesłuchiwała morderczynię. Zostawały podpalenia, zamęczony na śmierć Karl Pearson... I morderstwo Jamiego McKinnona. Było oczywiste, kto stoi za jego „gwiazdorską” śmiercią: Brendan Sutherland. Umarł McKinnon, umarła sprawa narkotyków; nie mają dowodów, nie mają świadków. Prokurator nie zaryzykuje i nie pójdzie z tym do sądu. Bez sensu.

Dlatego jeśli chcieli Kiziora za coś ściągnąć, pozostawało im tylko morderstwo Jamiego McKinnona. Nic nie łączyło go z Karlem Pearsonem - w każdym razie nic, co można by obronić w sądzie - ale gdyby udało się wykazać, że to Kizior zlecił likwidację McKinnona, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

Rennie wszedł tyłem do pokoju, niosąc - jak zwykle - tacę herbaty i ciastek. Loganowi podał do herbaty alka seltzer i dwie pastylki paracetamolu.

- Dobrze panu zrobią - powiedział i usiadł przy swoim stole.

Sięgnął po raport z sekcji zwłok McKinnona - wczoraj, przy ogólnym zamieszaniu i imprezie w pubie, nie miał czasu go doczytać. Biedny chłopak, pomyślał Logan, łykając proszki. Skarżył się, że musi parzyć kawę i herbatę, ale zawsze bardzo się starał: odpowiednie kubki, ciastka i tak dalej. Najwyraźniej nie rozumiał, że dopóki będzie się tak przykładał, dopóty Steel nie zrezygnuje z jego usług. Gdyby naprawdę nie chciał...

Logan doznał olśnienia - i aż jęknął z rozpaczy. Znalazł się w takiej samej sytuacji: dopóki będzie wyręczał Steel w rozwiązywaniu spraw, dopóty w jej interesie będzie trzymać go pod ręką. Nigdy nie udzieli mu takiej pochwały, żeby miał szansę wyrwać się z Ekipy Partaczy. Tyle razy tłumaczył Jackie, że to jedyny sposób na wyzwolenie się spod wpływów starej,

wrednej manipulatrixki - a tak naprawdę na każdym kroku udowadniał swoją przydatność. Głupia suka. Insch powiedział mu, że najlepszą okazją do ucieczki z Partaczy byłoby dla niego zaangażowanie się w sprawę podpaleń, a on co? Posłuchał go? Gdzie tam! Wolał harować jak wół, żeby Steel mogła zgarniać zaszczyty.

- Coś się stało, panie sierżancie?

Logan otrząsnął się z zadumy. Rennie przyglądał mu się zaniepokojony.

- Tak, posterunkowy. Stało się. - Zwlókł się z krzesła. - Wychodzę. Gdyby ktoś mnie szukał, nie wie pan, gdzie mnie szukać.

Rennie był wyraźnie zmieszany.

- Aleja naprawdę nie wiem... panie sierżancie?

Logan wyszedł.

Wziął kluczyki do służbowego wozu i wpisał się do dziennika. Nie podał numeru rejestracyjnego - dopiero kiedy znalazł się na parkingu, rozpoznał wysypisko śmieci na kółkach, którym jeździli poprzedniego dnia. Wydawało się to niemożliwe, ale samochód prezentował się jeszcze gorzej niż wtedy: śmierdział starym fast foodem i papierosami.

Kiedy z trudem upychał śmieci w drucianym koszu przy wyjściu z komendy, na parking wjechał radiowóz. Wsiadła z niego znajoma postać: kumpel inspektor Steel z narkotyków, ten o dużych dłoniach. Poznał Logana, kiwnął mu głową na powitanie i pomógł wysiąść starszej pani... roztrzęsionej babce Grahama Kennedy'ego. Pewnie znów ktoś włamał się jej do domu i wszystko porozbijał.

- Co się stało, pani Kennedy? - spytał Logan, zatrzymując się przy niej ze stosem pudeł po pizzy, tłustych od stężałego sera.

Nawet na niego nie spojrzała, za to detektyw Wielkoreki uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nic wielkiego, ale miłe starsze panie nie powinny kierować z domu siatką dilerską w dodatku złożoną z dzieciaków. Mam rację, pani Kennedy? - Nie doczekał się odpowiedzi. - Korzystała z usług dwóch małych chłopców, którzy spacerowali po ulicy z siostrzyczką w wózku... wypakowanym towarem. Prawdziwe niewiniątka. Na strychu hodowla hydroponiczna i małe laboratorium chemiczne: konopie i anielski pył. Taki jednoosobowy kartel narkotykowy. No nie, babciu?

- Starsza pani milczała. Stała ze wzrokiem utkwionym w ziemię. - Bez komentarza, tak? Dobrze, może po dokładnej rewizji osobistej zrobi się pani bardziej rozmowna.

Weszli do środka, a razem z nimi posterunkowa, która prowadziła samochód. Niosła przezroczystą torbę foliową a w niej - misia z ogryzionym uszkiem. Logan został na parkingu, sam z naręczem tłustych pudełek.

- Psiakrew! - Że też się nie połapał. Przecież widział, jak to wygląda! Nawet znalazł paczkę towaru w lodówce, na miłość boską! - Niech to szlag! - Wrzucił pudełka do kosza i wściekły wrócił do samochodu. Dzieciaki stały pod domem i czekały, aż policjanci sobie pójdą w cholere, a one będą mogły spokojnie jak Teletubisie rozprowadzać narkotyki.

- Jasny gwint! - I jeszcze ta babcia: nauczycielka chemii. Zamknięte drzwi na strych. Wnuczek diler. Miał wszystko jak na dłoni - i nie skojarzył faktów. - Kurwa mać!

Klnąc na czym świat stoi, upchnął w koszu ostatnie dwa pudełka, a potem kopnął go z taką siłą że wgiął drucianą siatkę. Pokuśtykał z powrotem do wozu i z komórki zadzwonił po Renniego. Kazał mu natychmiast zejść na dół. Wyjeżdżają.

Zanim dojechali do Craiginches, rozpogodziło się: niebo bez jednej chmurki, parking praży się w słońcu. Tylko na horyzoncie utrzymywały się resztki porannej mgły, której żar nie zdążył jeszcze wypalić. Lato nie przeniknęło jednak za mury więzienia. W recepcji przy kaloryferze kłęczał mężczyzna w brudnym skafandrze i walił w grzejnik kluczem nastawnym, próbując zmusić go do działania przekleństwami i na siłę.

- Dobra, zrobimy tak - powiedział Logan, kiedy zmęczona recepcjonistka poszła po spis więźniów, którzy powinni być na spacerniaku wtedy, gdy Jamie McKinnon dał sobie w żyłę. - Pan prowadzi przesłuchanie, ja obserwuję. Jeżeli będę chciał o coś zapytać, to panu przerwę, ale to pan tu rządzi.

17 - Zamierające światło

Miał ochotę dla odmiany zagrać złego glinę, a nie przymilną małpkę.

Rennie odetchnął głęboko i kiwnął głową; to jego wielka szansa...

Cztery przesłuchania później nie byli ani o krok bliżej odkrycia prawdy o śmierci McKinnona. Nikt nic nie widział - a to ci niespodzianka. Czwarty więzień wyszedł i Logan ziewnął rozziewając. Ze zdumieniem stwierdził, że Rennie całkiem nieźle radzi sobie w roli przesłuchującego; on sam musiał się wtrącić dosłownie dwa razy, żeby coś wyjaśnić, i to tylko podczas pierwszej rozmowy. Później Rennie przyswoił sobie już te pytania i konsekwentnie je zadawał.

Nadal jednak do niczego nie doszli.

Sfrustrowany Logan rzucił okiem na listę więźniów: na dziedzińcu było dwadzieścia siedem osób, kiedy dwóch bandziorów dopadło Jamiego McKinnona, przytrzymało go i zatkało mu usta, żeby nie krzyczał, a trzeci wbił mu igłę w rękę. Jakim cudem nikt niczego nie zauważył?

- Panie sierżancie? - Rennie wiercił się niespokojnie. - Możemy zrobić przerwę? Pęcherz mi pęka.

- Świetny pomysł. Przerwa na siku i herbatkę.

Zrezygowany posterunkowy pokiwał głową.

- Tak jest, panie sierżancie. Dwie herbaty. Z mlekiem, bez cukru.

Logan przypomniał sobie swoją chwilę ołśnienia.

- Wie pan co, posterunkowy? Tym razem ja zaparzę.

Pokój socjalny był nieduży i żółty od gromadzącego się latami dymu papierosowego. Tabliczka „Prosimy nie palić” została przerobiona czarnym flamastrem w taki sposób, że papieros w czerwonym kółku przypominał penis ociekający spermą. Napis też się zmienił - na „Prosimy nie walić (konie)”. Żart najwyższych lotów.

Nalał wody do elektrycznego czajnika i pstryknął przełącznikiem. Nie znalazł w szafce czystych kubków, ale za stosikiem żółknących filtrów do kawy - paczkę herbatników. Wziął sobie dwa. Na korytarzu ktoś kichnął jak z armaty. Logan ledwie zdążył schować ciastka do kieszeni, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła dziewczyna z administracji, którą znał z poprzedniej wizyty. Przeziębienie zbijało ją z nóg. Logan uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Witam - powiedział, gorączkowo szukając innego niż kradzież ciastek pretekstu, dla którego grzebie się w szafce. - Szukam czystych kubków.

- Tutaj? Bez szans. - Wysmarkała się w wystrzępioną szarą chusteczkę i szturchnęła pomrukujący cicho czajnik. - Będzie pan musiał sobie umyć.

Tak też zrobił: wybrał dwa kubki - nie sprawiały wrażenia, że ktoś niedawno trzymał w nich pomyje - i opłukał je w gorącej wodzie.

- A pani wciąż siedzi sama? - zagadnął, czekając na wrzątek.

- Jak zwykle, kurczę. - Wrzuciła do dużego kubka całą górę rozpuszczalnej kawy. - Margaret nie mogła dziś przyjść. Bo Margaret ma grypę. - Dosypała mnóstwo cukru. - Guzik prawda, pewnie zwykły kac i tyle... A pana co sprowadza? - spytała, gdy z kubkami w rękach wyszli na korytarz.

- Pamięta pani Jamiego McKinnona?

- Jezu, jak mogłabym zapomnieć? Całe śledztwo było: wie pan, wypadek ze skutkiem śmiertelnym i tak dalej... - Pociągnęła nosem i wyrecytowała piskliwie: - „A dlaczego nie był lepiej pilnowany? Jak to się stało, że zdołał popełnić samobójstwo na terenie zakładu? Jak

wszedł w posiadanie narkotyków?" Tak jakby się spodziewali, że wypełnił formularz z prośbą o pozwolenie!

- Nie wiem, czy to pani pocieszy, ale podejrzewamy, że McKin- non został zamordowany. Właśnie przesłuchujemy wszystkich, którzy byli w tym czasie na spacerze.

Parsknęła śmiechem.

- No to życzę szczęścia, bez niego ani rusz. - Stanęli przed drzwiami pokoju przesłuchań. - No, nieważne. Wracam do moich papierów... cała sterta raportów: po tym wypadku z McKinnonem wszystkich trzeba było znów przebadać pod kątem „skłonności samobójczych”.
- Uśmiechnęła się gorzko. - I co, pochwali mnie ktoś za to, że sama odwałam robotę całego działu? Gdzie tam!

Logan odchrząknął.

- Wiem, co pani czuje. - Cholera by wzięła Steel i jej... Coś mu przyszło do głowy. - A co z Neilem Ritchiem? Jego też pilnujecie?

W pierwszej chwili nie skojarzyła nazwiska.

- Ritchie... Ach tak, Zabójca z Shore Lane. Jasne, że go pilnujemy. To wrak człowieka. A nam jeden zgon na tydzień zupełnie wystarczy.

Logan uśmiechnął się ponuro. Steel nic nie wyciągnęła z Ritchiego

- no pewnie, jeśli wziąć pod uwagę jej beznadziejną technikę przesłuchań. Ale gdyby on zmusił Ritchiego, żeby puścił farbę... Pożegnałby się z Partaczami raz na zawsze.

- Myśli pani, że mógłbym z nim pogadać? Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Krzywdy mu pan nie zrobi. Nie, pomyślał Logan. Nie zamierzam.

36

Neil Ritchie wyglądał żałośnie: zgarbiony, przekrwione oczy, wory pod oczami, włosy w nieładzie. Kołysał się na plastikowym krześle w przód i w tył. Codzienne odgłosy więziennego życia przesączały się przez ściany. Stary żeliwny grzejnik plumkał i rzeził bezsilnie w kacie. A wszystko to rejestrowało się dla potomności na taśmach w szmerzącym cicho magnetofonie. Kubek herbaty, którą Logan zaparzył dla Renniego, stał przed roztrzęsionym więźniem. Obok leżał wykradziony herbatnik. Ritchie ich nie tknął.

Logan pochylił się na krześle - celowo naśladował więźnia.

- Co słyszać, Neil? Jak się czujesz?

Ritchie wpatrywał się tępo w herbatę. Na powierzchni tworzyła się cienka warstewka osadus. Kiedy się odezwał, mówił głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

- Wsadzili mnie... do jednej celi... z bandytą. Z kryminalistą, który kogoś zadźgał! - Skrzywił się, z trudem powstrzymując łzy. - Ja tu nie pasuję. Ja nic nie zrobiłem!

Tej samej sztuczki użył wobec inspektor Steel: twierdził, że jest niewinny, i powtarzał to do znudzenia. Logan zdobył się na współczucie.

- A co z Holly McEwan? Znaleźli jej włos w twoim samochodzie na fotelu pasażera. Skąd się tam wziął? Pomóż mi zrozumieć, skąd się tam wziął. Może wtedy ja zdołam pomóc tobie. Podwiozłeś ją gdzieś?

- Nie! - jęknął Ritchie. - Trzymam się z dala od takich kobiet. Obiecałem Suzanne. Nigdy więcej. Nigdy.

- Ale w twoim samochodzie znaleźli jej włos.

Logan odchylił się na oparcie i pociągnął łyk herbaty. Czekał. Milczenie się przeciągało.

Ritchie się wzdrygnął.

- Już jej to powiedziałem, powiedziałem pani inspektor, że ten włos musiał się tam znaleźć, zanim dostałem auto! - Spojrzał błagalnie na Logana, w oczach stanęły mu łzy. - Ktoś inny ją woził, nie ja. Nie ja...

- Neil, dostarczyli ci nowiutkie auto z salonu przed siódmą wieczór tego dnia, kiedy Holly zaginęła. Mamy na taśmie, jak pięć i pół godziny później odjeżdża z kimś twoim samochodem.

- Nie! Wcale nie! Samochód podstawili dopiero rano! Czekał przed garażem, kiedy wstałem z łóżka. Wieczorem go nie było, musiałem wziąć motor, by pojechać po zakupy. Chciałem się nawet poskarżyć w salonie, ale zostawili liścik i szampana...

Kłamstwa. Logan siedział i słuchał, jak Ritchie dziamgocze o tym, jak to nie lubi się skarżyć - mały, pasywno-agresywny sukinsyn. Właściwie nie wyglądał na człowieka, który zamordował trzy kobiety. Nie mówiąc już o ciężkim pobiciu Agnes Cichodajki.

- A co się stało z twoim starym samochodem, Neil? - spytał, przerywając biadolenie Ritchiego. Był gotów się założyć, że w nim znaleźliby znacznie więcej śladów. - Teraz kupiłeś audi, prawda? A co zrobiłeś z tamtym autem?

Ritchie spojrział na niego, zdziwiony.

- Ja... Nie miałem samochodu. Od lat. Zawsze jeździłem motorem. Kupiłem to zastrane audi tylko dlatego, że Suzanne ciągle mi truła, że pora dorosnąć i da, da, da... - Pociągnął nosem. - Boże, czemu ja jej posłuchałem?

Logan wytrzeszczył oczy. Spokojnie, z namysłem, powiedział:

- Ożesz kurde...

Pięć minut później wparował do pokoju przesłuchań i kazał Ren- niemu natychmiast kończyć. Posterunkowy rozdziawił usta i wskazał siedzącego naprzeciwko brudasa.

- Dopiero zacząłem!

Logan pokręcił głową.

- Szybko, szybko. - Rzucił okiem na więźnia. - Poza tym Duncan „Świntuch” nas nie interesuje. Prawda, Dunky? Muchy by nie skrzywdził.

Więzień uśmiechnął się nerwowo, mamrocząc pod nosem. Cały czas poruszał rękami pod stołem.

- Ale...

- Żadnych ale. Dunky pewnie jak zwykle walił gruchę i nic nie widział. Mam rację, Dunky?

Duncan „Świntuch” Dundas pokiwał potulnie głową. Drżał, onanizując się pod blatem.

Wyszli, zanim się spuścił.

- Nie rozumiem! - jęknął Rennie, kiedy szli do samochodu. - O co chodzi?

- O co chodzi? Ktoś spieprzył sprawę, i to niewąsko. - Logan wskazał kciukiem za plecy. - Pamięta pan samochód Ritchiego? Audi, nówka? To jego pierwszy samochód od niepamiętnych czasów. Zwykle jeździ motocyklem. A jego żona ma mały hatchback.

- No i co z tego?

- Agnes Cichodajka: jej współlokatorka mówiła, że ten, kto ją zmasakrował, jeździł dużym, nowym bmw. Bmw, a nie renault clio.

Rennie zmarszczył brwi.

- Ożesz kurde...

- Też tak zareagowałem.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia!

- O nie... - Logan uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wcale nie.

Salon Wellington Executive Motors lśnił w słońcu - tylko otaczające go wywoskowane, drogie samochody przyćmiewały blask szklano- -chromowej budowli. Weszli do środka. Powitał ich znajomy Vivaldi, ale sprzedawczyni tym razem nie wybiegła im na spotkanie, najwyraźniej pomna nauczki z ich poprzedniej wizyty: panowie McRae i Rennie nie przyjechali wydawać pieniędzy.

Kierownik, pan Robinson, też nie ucieszył się na ich widok. Zapędził ich szybciotko do biura, żeby nie płoszyli mu klientów, którzy mogli dokonać zakupu.

- Co znowu? - zapytał, zaciągając żaluzje.

- Chodzi o pańskich pracowników. Czy kiedy salon jest zamknięty, mają dostęp do samochodów?

Pan Robinson oblizwał wargi i kilka razy odchrząknął.

- Zachęcamy naszych sprzedawców, aby jeździli egzemplarzami pokazowymi i czytali instrukcje obsługi. Dzięki temu potrafią później odpowiedzieć na każde pytania klienta. - Uśmiechnął się niepewnie. - To tylko dowodzi zaangażowania Wellington Executive Motors w proces...

- A ten człowiek, który dostarczył samochód panu Neilowi Ritchiemu... - Logan zerknął do notesu. - Michael Dunbar. Czym jeździ?

- On? No... - Na czole pana Robinsona zaczął się perlić pot. - To znaczy... Musiałbym sprawdzić.

- Bardzo proszę. A przy okazji... Proszę też sporządzić listę wszystkich samochodów, które brał z salonu przez ostatnie dwa miesiące. Chciałbym również zerknąć w jego kartę pracy. - Logan rozsiadł się w wygodnym skórzanym fotelu, takim dla specjalnych klientów - i uśmiechnął się do pana Robinsona; biedakowi pot zaczynał już ściekać po twarzy. - Aha, jeszcze jedno: z przyjemnością napijemy się cappuccino.

Z firmowej kartoteki wynikało, że Michael Dunbar co tydzień zmienia samochód: lexus, porsche, mercedes... W tygodniu, w którym pobito Agnes Cichodajkę, jeździł srebrnym bmw.

- A gdzie jest dzisiaj? - zainteresował się Logan.

Robinson przeczeszał palcami rzadkie włosy.

- Doprawdy nie rozumiem, po co panom taka informacja. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś z moich pracowników...

- Gdzie możemy go znaleźć?

- No... Dzwonił rano, że źle się czuje. Migrena. Od czasu rozwodu skarży się czasem na bóle głowy...

Logan przejrzał listy obecności z ostatnich dwóch tygodni.

- We środę też był chory - zauważył. Dzień po tym, jak Holly McEwan zniknęła bez śladu. - Migrena?

Robinson przytaknął. Logan dokładnie wczytał się w tabelki: za każdym razem, kiedy ktoś porywał i mordował prostytutkę, Michael Dunbar następnego dnia nie przychodził do pracy, tłumacząc się migreną. Dziś również. A więc kolejny trup.

W garażu gra radio: Radio Klasyka i Lament Dydony; lady Janet Baker śpiewa tak, że każde słowo zawisa w powietrzu jak gasnący klejnot. Nucąc, składa odkurzacz i wnosi go z powrotem do domu, do schowka pod schodami. Odkąd Trący... Od rozwodu utrzymuje dom w idealnym porządku. Wszystko jest na swoim miejscu.

To duży dom - akurat dla małżeństwa z trójką dzieci. I wystarczająco duży, żeby teraz, kiedy został w nim sam, wydawał mu się przeraźliwie pusty. Z westchnieniem opiera czoło o ścianę i zamyka oczy, wczuwając się w pustkę. Łączy się z domem w jego smutku.

Muzyka narasta, urywa się - i z głośnika płynie jakaś tandetna reklama plastikowych okien. Nastrój pryska.

Z nachmurzonym czołem wraca i ścisza radio. Stojący w garażu samochód jest teraz równie schludny, jak cały dom: błyszczące bmw coupe, najdroższy model, srebrne, czarna skórzana tapicerka i detale w orzechowym drewnie. Bardzo stylowe - i przez całe trzy dni do jego wyłącznej dyspozycji. Potem może wypróbuje lexusa; ma o wiele większy bagażnik. Bo tym razem bmw okazało się trochę przyciasne. Zamyka kłapę bagażnika, odsuwając folię, żeby nie zaplątała się w zamek. Później się przejedzie - w jakieś ładne, odludne miejsce, gdzie nikt go nie zobaczy.

Jeszcze raz rzuca okiem na samochód i wraca do domu.

Piwnica jest ogromna. Przed rozwodem ją zagrabili: zapomniane prezenty ślubne, stare zabawki, pełne zdjęć pudełka po butach, meble, które Trący odziedziczyła po rodzicach... Ale tak było dawniej. Wszystkie te rzeczy odeszły razem z nią. Piwnica jest teraz pusta i martwa; zamiata w niej dwa razy dziennie, a co drugi dzień zmywa podłogę. Czystość - to ważne. Bardzo ważne. Nie chciałby przecież czegoś złapać.

Dzwonek do drzwi. Podnosi wzrok i patrzy w sufit... Może jeśli uda, że go nie słyszał... Nie, znowu go słyszy: zimny, głuchy dźwięk w zimnym, pustym domu. Wzdycha ciężko i zapina spodnie. Przecież zdąży wrócić. Nie ma pośpiechu.

Wchodzi po schodach do przedpokoju i zamyka na klucz drzwi do piwnicy. Dzwonek znów rozdziera ciszę.

- Już idę! Chwileczkę!

Przegląda się w lustrze i robi zbolaną minę: ach, ta migrena... To na wypadek, gdyby ktoś z firmy wpadł sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Kumple, ludzie.

Otwiera drzwi, krzywiąc się i mrużąc oczy, jakby głowa pękała mu z bólu, i widzi nieznajomego mężczyznę w ciemnym garniturze - przydałaby się pralnia. Na pewno gdzieś go już widział...

- Pan Dunbar? - pyta ten facet, uśmiechając się lodowato i pokazując jakiś dokument tożsamości. - Sierżant McRae. Możemy wejść?

37

Zwłoki znaleźli w garażu Michaela Dunbara, w bagażniku nowiusieńkiego bmw. Nagie ciało kobiety - sztywne, zimne, zmasakrowane - zostało zawinięte w plastikową folię z niebieskim workiem, dodatkowo, na głowę.

- Rany boskie... - mruknął Rennie. Włożył dłoń w rękawicze do bagażnika i dotknął zwłok. - Twarda jak kamień.

Logan odwrócił się i spojrzął na milczącego Michaela Dunbara: około trzydziestki; dzinsowa koszula, brązowe sportowe spodnie - zaprasowane w perfekcyjne kanty. Nieco kanciasta szczęka, ogolony, schludna fryzura. Ot, niepozorny człowiek... Morderca.

- No, panie Dunbar... - Logan z trudem opanowywał gniew. - Zechce nam pan wyjaśnić, co naga i martwa kobieta robi w bagażniku pańskiego samochodu?

Dunbar przygryzł wargę i pokręcił głową.

- Rozumiem - ciągnął Logan. - Ale wie pan co? To bez znaczenia, czy nam pan powie, czy nie. Złapaliśmy pana na gorącym uczynku. Teraz przeszukamy dom, a potem zabierzemy pana na posterunek. Tam pobiorą panu odciski palców i próbki DNA, a chłopcy z laboratorium na ich podstawie potwierdzą że zabił pan również dwie inne kobiety.

- Zaraz, zaraz... - Wielkie jak spodki oczy Dunbara prześliznęły się po Loganie i spoczęły na bagażniku wraz z jego zimną martwą zawartością. - Ja... Nigdzie nie jadę. Żądam adwokata.

- Nie wątpię. - Logan spojrzął na Renniego, który stał jak skamieniały, gapił się na zwłoki i bezgłośnie poruszał ustami. - Posterunkowy? Niech pan łapie za telefon: chcę tu mieć lekarza dyżurnego, patologa i prokuratora, migiem.

Rennie oderwał wzrok od trupa i sięgnął po komórkę. Logan wyprowadził podejrzanego do przedpokoju. Z piętra dobiegały głośnie hałasy: czterech mundurowych z komendy głównej wywracało dom do góry nogami.

Łomot do drzwi - i do przedpokoju wtargnął znajomy wśczech, odpowiednio zaopatrzony.

- Gdzie?

Logan kazał zacząć od zwłok w garażu, a potem udawał, że nie widzi defilujących przez przedpokój techników z BIO, którzy pogwizdywali: „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło!”

Kiedy pudła ze sprzętem zniknęły z parteru, Logan zaczął się rozglądać po domu, ciągnąc Dunbara ze sobą. Ogromny salon - mnóstwo zdjęć: Dunbar, jakaś kobieta i troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynka; idealnie czysty dywan; kominek bez ozdóbek na półce. Kuchnia - duża, swobodnie zmieściły się w niej biały śniadaniowy i spory stół - też sterylna. Spiznarka przy kuchni: zamrażarka pełna mrożonych gotowych dań, zmywarka, zlew, szafka. W przedpokoju jeszcze jedne drzwi. Zamknięte na klucz.

- Dokąd prowadzą? - zapytał, ale Dunbar unikał jego wzroku. - Klucze.

- Ale... Tak nie można! Chcę się widzieć z adwokatem! Nie ma pan prawa tak sobie tu przychodzić i się rządzić. To mój dom!

- Owszem, mam prawo... nakaz prokuratora. - Rachael Tulloch uwinęła się w rekordowo krótkim czasie. - Klucze proszę.

- Ja... Źle się czuję. Muszę się położyć...

- Klucze, do kurwy nędzy!

Drżącą dłonią Dunbar wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Logan wyrwał mu je i próbował, jeden po drugim, otworzyć solidne yale, aż w końcu jeden zaskoczył, rozległo się ciche klik! i drzwi się uchyliły. Drewniane schody prowadziły w dół, w ciemność. Logan włączył światło. Słaba poświata rozproszyła zmrok.

- Rennie?! - zawołał.

Posterunkowy przybiegł z garażu, z telefonem przy uchu, bo tłumaczył komuś po drugiej stronie, że patolog jest im potrzebny natychmiast, a nie za tydzień. Logan przekazał mu Dunbara.

- Co mam z nim zrobić?

- Zaprosić go na kolację, a potem wziąć na tańce. Co za głupie pytanie? Niech go pan przypilnuje.

Logan już na schodach poczuł wyrzuty sumienia. Cofnął się, przeprosił Renniego i zaproponował, żeby szedł z nim. Tylko niech trzyma mocno Dunbara, żeby ten przypadkiem nie spadł ze schodów.

Schody prowadziły w dół między ściankami z płyty gipsowo-kartonowej, wzmocnionej nieheblowanymi latami. Grube zwoje szarego drutu łączyły odsłonięte spojenia pod sufitem. W końcu folia zaszeleściła Loganowi pod nogami.

- Boże...

- Co? Co tam jest?! - krzyknął Rennie.

- Ja naprawdę źle się czuję - poskarżył się Dunbar. - Muszę się położyć...

Podłoga, wyłożona przezroczystą folią, w świetle nagiej żarówki migotała jak marszcząca się powierzchnia ciemnego jeziora. Folia pokrywała także całą ścianę naprzeciw wejścia - dobry sposób na wykorzystanie kilometrów srebrnej taśmy izolacyjnej. A wszystko po to, żeby po skatowanej, nagiej kobiecie - leżała na plecach, nogi w lekkim rozkroku, cała w siniakach, twarz zakrwawiona i spuchnięta, nie do poznania, ręce związane nad głową i przytwierdzone do ściany dziesięciocentymetrową śrubą - nie pozostał żaden plamisty ślad.

Kobieta się nie ruszała.

Szuranie za plecami i świst wciągniętego do płuc powietrza - to Renniemu zaparło dech w piersi. A potem znów odezwał się Dunbar:

- Aleja... naprawdę... źle się czuję...

Logan chwycił go za koszulę i pchnął na gołą, ceglana ścianę.

- Ty chory pojebie!

Przerażonemu Dunbarowi oczy niemal wyszły z orbit. Logan znieruchomiał. Puścił go i się cofnął. Nie warto - tyle że naprawdę chętnie dołożyłby draniowi.

Opanował się, chociaż kosztowało go to sporo wysiłku, i drżąc na całym ciele, ostrożnie ruszył w stronę kobiety. Folia przesuwiała mu się i ślizgała pod nogami. Jako najwyższy stopniem funkcjonariusz na miejscu zbrodni miał obowiązek sprawdzić, czy ofiara nie potrzebuje pomocy lekarza - chociaż było oczywiste, że ta ofiara na pewno nie żyje. Wyglądała jak po zderzeniu z kombajnem. Może Michael Dunbar jednak powinien spaść ze schodów...

Zacisnął zęby i naciągnął lateksowe rękawiczki. Kucnął przy zwłokach. Spojrzał z bliska na twarz kobiety, próbując rozpoznać dziewczynę z portu - jedną z tych, co to proponują rozrywkę za gotówkę. Tyle że tym razem zamiast zapłaty doczekała się śmierci z rąk...

Między opuchniętymi wargami nabrzmiał krwawy bąbel. Ona żyje!

Pokój numer 4 śmierdział brudem, co chyba przeszkadzało Michaelowi Dunbarowi: siedział na samym brzegu krzesła i, dzięki widocznemu wysiłkowi woli, nerwowo się nie wiercił. Logan kazał Renniemu założyć świeże taśmy i odprawić rytuał prezentacji. Przewieźli Dunbara na komendę, wciągnęli go do ewidencji i zaprowadzili do pokoju przesłuchań bez udziału Steel, która, jak twierdził Duży Gary, wciąż maglowała Clair Pirie i zabroniła sobie przeszkadzać.

- Chyba wiesz, co to znaczy... - dodał na koniec Gary.

Tak. To znaczy, że oficjalnie Logan nadal prowadzi sprawę Dunbara.

- No, panie Michaelu... A może Mikey? Mogę tak do ciebie mówić?

- Michael, bardzo proszę. Michael. Nie Mikey.

- Dobrze, niech będzie Michael - zgodził się Logan z uśmiechem.

- Opowiesz nam o tych dwóch kobietach, które znaleźliśmy u ciebie w domu? Jeśli chcesz, zacznij od tej żywej.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł Dunbar, wpatrzony tępo w kręcące się pod szkłem szpule magnetofonu.

- Nie wygłupiaj się. Znaleźliśmy je u ciebie w domu! Byłeś przy tym, pamiętasz?

Dunbar odetchnął głęboko. Zadrżał.

- Źle się czuję.

- Poważnie? Bo wiesz, lekarz dyżurny twierdzi, że wszystko z tobą w porządku. Nie tak jak z tą biedną kobietą którą znaleźliśmy w piwnicy: pęknięta czaszka, połamane ręce, nogi, żebra, palce, krwotoki wewnętrzne... Chcesz coś powiedzieć? To przerwij. Nie krępuj się.

- Miała romans. - Bezbarwny, monotony głos. - Miała... - Dunbar zamknął oczy, wciągnął głęboko powietrze, zatrzymał, wypuścił je w długim, drżącym wydechu. - On się nazywał Kevin i był dyplomowanym księgowym. Któregoś... któregoś dnia wracam do domu, a oni pieprzą się w naszym łóżku, na górce. A dzieci na parterze oglądają Boba Budowniczego... Nawet się nie zorientowali, że już jestem. - Gorzki śmiech. Łza w kąciuku oka. - Postanowiłem się zemścić. Poszedłem do portu, znalazłem jakąś maS^Jcarę i ją zerznąłem. Potem wróciłem do domu i zerznąłem Trący, tak jak on ją rznął..

- Domyśliła się, prawda?

Znowu ten śmiech przez łzy.

- Trzy dni później fiut mi zropiał. Miałem wrażenie, że sikam drutem kolczastym. Ona też to złapała. A od niej jej ukochany Kevinek.

- Tym razem śmiech brzmiał naprawdę szczerze. - To go nauczy, drania! - Przerwał i znów gapił się na magnetofon. - Odeszła. Zabrała dzieci i wszystkie swoje rzeczy i odeszła...

Logan wyjął plik zdjęć i postawił jedno z nich na stole - oparł je o magnetofon, żeby Dunbar dobrze widział: naga kobieta, leżąca na wznak w ciemnej uliczce.

- Opowiedz mi o Rosie Williams.

Dunbar przesunął się i usiadł tak, żeby nie musieć patrzeć na fotografię. Logan podstawił mu kolejne zdjęcie pod nos: druga kobieta, również bez ubrania, leżąca na boku, na ściółce w lesie.

- Nie chcesz? To może o Michelle Wood?

Następna fotografia: zwłoki zawinięte w folię i wciśnięte do bagażnika.

- A o Holly McEwan? Też nie? To może o tej?

Zmasakrowana, zakrwawiona twarz ofiary, która przeżyła - zdjęcie sprzed godziny, zrobione wtedy, gdy czekali na przyjazd karetki. Ostatnią fotografię Logan wyciągnął z policyjnego archiwum: Agnes Walker, Cichodajka, en face i z profilu. Dunbar zeszytywniał.

Logan postukał w zdjęcie palcem.

- Ona była pierwsza, prawda?

- Wstrętna suka... - Słowa ledwie dało się zrozumieć.

Zapadła cisza; mącił ją tylko cichy turkot magnetofonu i skrzypienie czyichś butów na wyłożonym linoleum korytarzu.

- Tiffany. Ta z piwnicy. Powiedziała, że ma na imię Tiffany. Zabrałem ją wieczorem do pięknego nowego samochodu. Pojechaliśmy na plażę w Balmedie. - Dunbar uśmiechnął się lekko na to wspomnienie.

- Zapłaciłem jej, ona mi obciągnęła, a potem walnąłem ją młotkiem w głowę. I wepchnąłem do bagażnika. Przywiozłem do domu, zawlokłem do piwnicy i związałem. Świetnie wyczułem moment, wie pan?

- Pochylił się nad stołem i zniżył głos do szeptu: - Bo przez ten czas ta poprzednia już umarła.

Logan poczuł, jak lodowata kula zaciska mu się w żołądku.

- Umarła?

- Tak. Ale wystarczyła na całe trzy dni. To było tak: jak z pierwszymi dwoma mi się upiekło, pomyślałem, co mi szkodzi? Po co się spieszyć? Przecież mogę ją zabrać do domu i tam naprawdę mi zapłaci za to, że zaraziła mnie tą ohydną chorobą. Spokojnie, nie nerwowo... Zapłaci za to, że mnie zostawiła...

Rennie zbladł jak ściana.

- Jezu Chryste...

A tamy puściły. Michael Dunbar nagle zapragnął opowiedzieć im wszystko, nie pomijając żadnego makabrycznego szczegółu - o tym, jak je bił, gwałcił i znowu bił; jak skakał im po żebrach, łamał ręce i nogi; jak mścił się za to, co zrobiły z jego małżeństwem, rodziną, dziećmi, życiem. Rozbierał je do naga, żeby nie było dowodów. Pozbywał się ciał, kiedy za bardzo wystygły i zabawa z nimi przestawała mu sprawiać przyjemność...

Na korytarzu, już po przesłuchaniu, Logan oparł się ciężko o ścianę. Miał mdłości. Rennie odprowadził Dunbara do celi. Zabójca z Shore

Lane stawi się w sądzie następnego dnia rano, o dziewiątej. Tam usłyszy, że nie zostanie zwolniony za kaucją i trafi do Craiginches, gdzie będzie czekał na proces. Sąd, biorąc pod uwagę jego zeznanie i zebrane przeciw niemu dowody, z pewnością wyda wyrok: winny. Wszystko zgodnie z regulaminem.

Westchnął ciężko, wyprostował się - i zobaczył inspektor Steel. Wściekła, pędziła do niego.

- Gdzie on jest, do diabła?!

- Kto?

- Dobrze pan wie, o kogo pytam, do cholery! Skurczybyk, którego pan tu przywiózł, nie pytając mnie o zdanie!

- Była pani zajęta z panią Pirie...

- Niech mi pan nie wciska kitu! Dobrze pan wie, że przerwałabym przesłuchanie! - Dźgnęła go w pierś kościstym, twardym jak kamień palcem. - Przesłuchał go pan bez mojego zezwolenia. Jak pan śmiał?!

Logan wypiął pierś.

- Do wszystkiego się przyznał: cztery morderstwa, dwie próby. Przesłuchiwałem go ja, bo pani zakazała sobie przeszkadzać. Ale najważniejsze, że przyznał się do winy!

- Gównu mnie to interesuje! Znowu zrobił pan coś za moimi plecami. Jest pan...

- Ja tylko wypełni ąm swoje obowiązki.

- To ja określam twoje obowiązki, ty zdrajco, żądny sławy...

- Zdrajca, żądny sławy? - Nie wierzył własnym uszom. - A co powiedzieć o pani?! Pamięta pani dzisiejszy „P&J”? „Inspektor Steel rozwikłała jedną z najtrudniejszych spraw w dziejach szkockiej...”

- To nie ja piszę artykuły, o czym doskonale pan wie. - Oboje się przekrzykiwali, teraz jednak Steel zniżyła głos do lodowatego szeptu: - Wie pan, co to jest? - Wyjęła z kieszeni kopertę, otworzyła i wyciągnęła kartkę. - Pochwała dla pana i Renniego... zamierzałam przedłożyć ją komendantowi. - Podarła papier na strzępy i rzuciła mu je w twarz. - I może mi

pan wierzyć, sierżancie: jeśli jeszcze kiedyś spróbuje mnie pan wydymać, zgnoję pana tak, że nie będzie pan wiedział, czy się trzymać za jaja, czy po prostu płakać.

Okręciła się na pięcie i odmaszerowała. Logan zaczął zbierać kawałki papieru. Powinni świętować, ale Logan nie miał nastroju. Jego komórka dzwoniła kilkanaście razy. Ilekroć spojrział na wyświetlacz, rozpoznawał numer inspektor Steel - pewnie chciała mu się znowu dobrać do tyłka

- pozwalał się jej więc wydzwonić i przełączyć na pocztę głosową, po czym ją wyłączał. Skończył służbę; jeżeli Steel chce sobie na niego po- wrzeszczeć, może to robić w godzinach urzędowania. W tej chwili zżerały go takie wyrzuty sumienia, że naprawdę nie chciał się z nią widzieć

- zwłaszcza po tym, jak przez dziesięć minut sklejał kawałki jej listu do komendanta w całość: w pochwałach Steel potrafiła być niezwykle wylewna.

Wpół do ósmej posterunkowy Rennie przyniósł z baru drinki - dzin z tonikiem dla Rachael, po kufłu Stelli dla Logana i siebie, wódkę z irn- -bru, kufel piwa i dwie cole z rumem dla ludzi, którzy pomagali im przeszukać dom Dunbara - i wygłosił zaimprovizowaną mowę o tym, jacy są wspaniali, że udało im się złapać Dunbara, zanim zdążył znowu zabić. Wzniósł toast za sierżanta Logana McRae: bez niego akcja nie zakończyłaby się sukcesem.

Wiwaty i brzęk szkła, kiedy stuknęli się kieliszkami i kufłami. Rachael tłumaczyła jednej z posterunkowych, za ile to sznurków musiała pociągnąć, żeby tak szybko załatwić nakazy rewizji i aresztowania - ale wiedziała, że to się opłaci, bo ten Logan jest niesamowity. Dwie duże sprawy rozwiązał w dwa dni: najpierw Trup w Walizce, a teraz Zabójca z Shore Lane. Dla niego nie ma rzeczy niemożliwych.

Zmordowany doktor Fraser zdążył akurat na drugą kolejkę. Pociągnął solidny łyk guinnessa, westchnął ciężko i otarł pianę z górnej wargi.

- O Jezu... Tego mi było trzeba.

- Ciężki dzień?

Kiwnął głową. Napił się jeszcze.

- Mało powiedziane. Isobel nie ma, więc wszystko spada na mnie, a wiecie przecież, jak to teraz wygląda: wszędzie trupy. Ilu ja musiałem pokroić ćpunów w tym tygodniu... A, póki pamiętam: ten korpus, który mi wczoraj podrzuciliście w walizce... Liczne rany klute, żołądek pełen antydepresantów, jak wtedy u tego psa. - Zmarszczył brwi. - Wie pan, sierżancie, to ciekawe... Każdego cuchnącego, rozkładającego się trupa, jakiego kroilem w ostatnim półroczu, znalazł pan. Oficjalnie skreślam pana z listy ludzi, którym kostnica wysyła kartki na święta.

- E tam, przecież pan to uwielbia. - Logan się uśmiechnął. - Ale dlaczego sam pan robi wszystkie sekcje? Co z Isobel?

Patolog wzruszył ramionami i dopił piwo.

- Nie mam pojęcia, po prostu nie przyszła. Dzwoniłem, nie odbiera. Wie pan co? Od paru tygodni zachowywała się jak nienormalna... Może w końcu zabrały ją chłopaki z Cornhill. Dostała miękko wyłożoną celę i tyle kredek, że nie da rady wszystkich zjeść.

Nastrój popsuł im trochę facet z narkotyków: wpadł jak po ogień i zaczął opowiadać, jak to inspektor Steel złapała prawdziwego Zabójcę z Shore Lane! Rennie zerwał się na równe nogi.

- Kto powiedział, że Steel w ogóle kogoś złapała?! To my go aresztowaliśmy! - Uderzył się w pierś. - Nawet jej przy tym nie było!

Logan tylko cicho stęknął. Nie zdążył jeszcze powiedzieć Rennie- mu o liście.

Stawiał czwartą kolejkę. Wrócił do stolika na chwiejnych nogach z tacą pełną kufli, kieliszków i zagrychy: dla zwykłych ludzi chipsy ziemniaczane, dla doktora Frasera - chrupki wieprzowe. Zestawiał drinki na blat, kiedy ktoś zaklął, pociągnął go za rękaw i pokazał wiszący w kącie telewizor. Z A^anu spoglądała na nich inspektor Steel, bardzo poważna. Mówiła coś do kamery, ale w hałaśliwym pubie nie dało się rozróżnić słów. Jej kościstą twarz

oświetlały błyski fleszy. Usiadła za biurkiem i kamera pokazała komendanta policji; wygłosił mowę. Na koniec poleciały ujęcia Shore Lane z telewizyjnego archiwum i fotografie ofiar Michaela Dunbara.

Logan zamknął oczy. Zmełł przekleństwo w zębach. Rozwiązał sprawę Trupa w Walizce, ale sam pozbawił się szansy zebrania za nią pochwał, a teraz wyglądało na to, że Steel odbierze mu również laury za Zabójcę z Shore Lane. Na pewno - po tym jak pokłócili się na korytarzu... Nic tylko ostro pić.

Wytoczył się z taksówki i zachwiał. Nie przewrócił się ani w przód, ani w tył - trwał tak, niby zachowując równowagę, tymczasem taksówka zawróciła na trzy na ruchliwej ulicy i odjechała. Zmarszczył brwi i patrzył, jak zardzewiały ford znika za zakrętem. Jasna cholera. Zapomniał powiedzieć kierowcy, żeby poczekał.

Wepchnął koszulę do spodni, odetchnął głęboko, podjął decyzję i ruszył do drzwi domu Isobel MacAlister. Miller miał kiedyś mieszkanie w tej okolicy, ale sprzedał je i wprowadził się do Królowej Zimy.

- Niech żyją długo i szczęśliwie! - zawołał do czyhającego w półmroku rododendronu. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i fioletowe kwiaty przybrały odcień pozłacanej wątroby.

Wcisnął dzwonek. Z drugiej strony matowej szyby dobiegło znane diiing-donng. Ciekawa okolica: Rubisław Den - kraj pieniądza. Trzypiętrowe granitowe domy, warte fortunę i przekazywane w spadku z pokolenia na pokolenie. Prawnicy, księgowi, grube ryby z przemysłu naftowego - takich ludzi stać na cztery zagraniczne urlopy rocznie i na posyłanie dzieci do najlepszych prywatnych szkół.

Drugi raz wcisnął guzik.

Lampa nad drzwiami się pali. Muszą być w domu.

Przykucnął, zajrzał do środka przez szparę na listy - i klapnął na tyłek. Ledwie zdążył się pozbierać i wstać, gdy po drugiej stronie zamajaczył jakiś cień.

- Kto tam?

- Isobel? To ja - odparł bez namysłu, po czym dodał: - Logan.

Mogła go przecież nie pamiętać. Co z tego, że połączyła ich osoba niedoszłego mordercy i wspólne łóżko przez siedem miesięcy?

Nie otworzyła.

- Jesteś sam?

- Czy jestem sam? - Cofnął się o krok i omal nie spadł ze schodków. - No wiesz, mieszkam z posterunkową Watson. Poza tym wydaje mi się, że ta nowa asystentka pani prokurator na mnie leci... - Uśmiechnął się. Dwie babki naraz. No, no... - Colin wyjdzie się pobawić?

Drzwi się uchyliły i wyrzała zatroskana twarz. Isobel wyglądała fatalnie: twarz blada, ściągnięta, sine worki pod oczami, zmarszczki na środku czoła, bruzdy przy ustach - jakby przez tydzień postarzała się o dziesięć lat.

- Uchlałeś się.

Logan zasalutował.

- A tobie płacą za to, że zabawiasz się z trupami. Aleja to szanuję. Gdzie Colin?

- To ty nic nie wiesz?

273

- O czym?

18 - Zamierające światło

Colin Miller leżał skulony w łóżku. Był szary na twarzy, trząsał się, ręce miał w bandażach. Logan tylko rzucił na niego okiem i... wytrzeźwiał.

- Co ci się stało?!

Miller spojrział na niego. Posiniaczona, opuchnięta twarz, jeden ogromny fioletowozielony krwiak na lewym policzku, drugi na podbródku, nos jeszcze bardziej skrzywiony, niż kiedy poprzednio się widzieli.

- Mnie? Co mi się stało?! Ja ci, kurwa, powiem, co mi się stało! Ty mi się stałeś, kutasie!

Logan cofnął się odruchowo.

- Aleja przecież... nic nie zrobiłem.

- Musiałeś się bawić w detektywa, prawda? Musiałeś wtykać nos w nie swoje sprawy! -

Miller powoli gramolił się z łóżka, starając się nie opierać na obandażowanych dłoniach. - On cię rozpoznał, palancie. Fikaleś do niego w pubie, chociaż prosiłem cię, żebyś tego nie robił, a potem on cię rozpoznał! - Jego nagie stopy zatoneły w puszystym niebieskim dywanie.

Zatoczył się, pokazując Loganowi ręce. - Potem go aresztowałeś. Domyślił się, że to ja go przekręciłem. To wszystko twoja wina!

- Colin, ja... s

- Obciął mi palce, kurwa mać! - Miller płakał. Jego twarz pod siniakami przybrała czerwony odcień, ślina przyskała z wykrzywionych ust... połamane zęby, dziury w dziąsłach. - Palce, rozumiesz? - Ukrył twarz w dłoniach. - Moje palce...

Siedzieli w kuchni. Na stole stała otwarta butelka whisky i trzy szklanki, chociaż Colina z nimi nie było. Dogasające światło dnia wpadało przez kuchenne okno - meble barwiły się bursztynowo; cienie z fioletowych stawały się ciemnosine. Isobel zaciskała palce na szklance, do której Logan właśnie dolewał potężną porcję trunku. On jednak pił wyłącznie wodę.

- Co się stało?

Isobel pociągnęła solidny łyk. Zadrzała lekko.

- Dopadli go przed domem. Wepchnęli do samochodu i wywieźli gdzieś do lasu...

Przywiązali do krzesła i obcięli mu palce, po kawałku, nożycami do drobiu. - Mówiła cicho, spokojnie, jakby nagrywała na kasetę relację z kolejnej sekcji zwłok. - Najpierw lewa ręka, mały palec: ostatni paliczek, środkowy, pierwszy. Serdeczny: ostatni, środkowy. Potem prawa: ostatni paliczek z małego palca, cały palec serdeczny. Cięcia w stawach. Pojedynczo. - Następnym haustem prawie opróżniła szklankę. - Zostawili go... w zatoczce przy drodze. Zadzwonili z jego komórki po karetkę i odjechali. - Zadygotała. - Lekarzom udało się przyszyć trzy kawałki. Nie wiadomo, czy się przyjmą.

Logan znowu jej dołał.

- Tak mi przykro...

Miller miał rację: to jego wina.

Isobel spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby dopiero teraz go zobaczyła. Wstała, podeszła do lodówki, wyjęła z niej niebieski plastikowy pojemnik i przyniosła go na stół. Logan ostrożnie podniósł wieczko. Zobaczył szarobiałe cylinderki, trochę podobne do albinotycznych kiełbasek... Jedna miała na końcu paznokiec.

- Rany boskie...

Isobel ani drgnęła.

- Zwymiotował pod znieczuleniem.

- Zwymio... To znaczy... Zjadł je? - Logan przykrył pudełko. - Ja tego nie chciałem, Isobel.

Nigdy...

- Nie chciałeś, tak? Ale się stało. - Ostatni skrawek słońca zniknął za granitowym murem.

W kuchni zapadł nieprzyjemny półmrok. - Masz ich znaleźć i zapłacić im za to. Jasne?

- Colin zgodzi się zeznawać?

- Powiedzieli, że jeśli pójdzie z tym na policję, wróca i dokończą to, co zaczęli. - Tym razem Isobel sama dołała sobie whisky. Ręce jej się trzęsły; trunek chlapnął na blat. - Nie mieszaj go do tego. Sam ich znajdź i to załatw.

- Ale...

- Colin jest twoim przyjacielem! Jesteś mu to winien! Jemu... i mnie.

Logan nie wrócił taksówką - wolał się przejść w zapadającym zmierzchu, pogrążony w smętnych rozmyślaniach. Z jego winy Colin Miller stracił prawie połowę palców. Tak - przez to, że on, Logan, musiał się do wszystkiego mieszać. Musiał się wtrącić, kiedy Kizior rozmawiał z Millerem - bo taki był ciekawy, o co chodzi.

Usłyszał pijackie śpiewy i zobaczył grupkę półnagich dziewcząt - właśnie wytoczyły się z Windmill Inn. Wywrzaskiwały jakieś niecenzuralne teksty ile sił w płucach, obejmowały latarnie, gwizdały na przejeżdżające samochody.

Co powinien zrobić z Kiziosem i tym jego kulawym kumplem? „Znajdź ich i zapłać im za to”. Łatwo jej tak mówić. Tyle że on jest policjantem. Nie może tak po prostu wpaść do nich i ich rozstrzelać - to Aberdeen, nie Nowy Jork. Skoro Colin Miller nie chce zeznawać, on ma praktycznie związane ręce...

Chyba że złapie ich na gorącym uczynku - choć pewnie i to nie zadowoli Isobel. Ona nie chce sprawiedliwości, tylko zemsty. Trudno, będzie jej musiało wystarczyć to, co dostanie. Włączył komórkę. Trzy wiadomości, wszystkie od inspektora Steel. Zignorował je i zaczął dzwonić.

39

Jesteś pewien, że powinniśmy tu być? - spytała Jackie po raz chyba tysięczny w ostatniej półgodzinie.

W samochodzie było zimno i niewygodnie. Zaparkowali w plamie ciemności między dwiema latarniami na cichej uliczce w dzielnicy mieszkalnej. I Logan p6 raz kolejny odparł, że nie, wcale nie jest pewien, i gapił się dalej na dom Brendana Sutherlanda.

Nieautoryzowana zasadzka w nieoficjalnie wypożyczonym służbowym samochodzie?

Oczywiście, że nie powinni. Choćby dlatego, że Jackie jeszcze przez trzydzieści dwie minuty była na dyżurze.

Z tylnego siedzenia dobiegł cichy jęk. Rennie usiadł, trzymając się za głowę, zielony na twarzy.

- Jak się pan czuje? - Logan zerknął w lusterko.

- Beznadziejnie... - Posterunkowy przymknął jedno oko i zmrużył drugie. - A Steve'a gdzie poniosło?

Jackie odwróciła się do niego.

- Daj mu spokój, co? To nie on się dziś nawalił.

- A ciebie co znowu ugryzło?

Logan zgrzytnął zębami.

- Zamkniecie się czy nie?

Zmarszczył groźnie brwi. Rennie podniósł ręce na znak, że się poddaje, i w brudnym vauxhallu znów zrobiło się cicho: Jackie siedziała naburmuszona, a Rennie wygrzebał ze śmieci na tylnej kanapie jedno z pornograficznych pisemek radnego Marshalla i, uśmiechając się pod nosem, zaczął je przeglądać w słabiutkim świetle najbliższej latarni.

Logan zabrał mu świerszczyk.

- Ej, czytam!

- Skąd pan to ma?

Rennie wzruszył ramionami.

- Leżało tu, pod pudełkami z Burger Kinga i KFC.

Logan pokręcił głową i oddał mu gazetkę. To jakiś absurd - przecież tym razem wziął inny samochód niż zwykle. Najwyraźniej kolekcja Marshalla poszła w obieg: funkcjonariusze i funkcjonariuszki od Stonehaven po Fraserburgh nabijali się z analnych zamiłowań radnego. I już jesteś dumny z takiej policji.

- Ale pamiętasz, że o dwunastej muszę się wymeldować? - powiedziała Jackie, zerkając ponad ramieniem na pisemko w rękach Renniego.

- Zrobimy tak: jak tylko Jacobs wróci, pójdziecie razem na komendę i się odmeldujecie. W porządku?

- A jeśli akurat wtedy Sutherland wyjdzie z domu?

- Pojadę za nim.

- Nie możesz - prychnęła Jackie. - Piłeś. Tak samo jak ten Jaskiniowiec z tyłu.

- A nuż będziemy mieli szczęście i... Mamy towarzystwo.

Dwa reflektory zbliżyły się i stary, brudny fiat zaparkował po drugiej stronie ulicy. Reflektory zgasty. U Kiziora w domu nic się nie działo. Z samochodu wysiadła znajoma postać: posterunkowy Jacobs, w mundurze, zjedzeniem na wynos. Wgramolił się do vauxhalla i usiadł obok Renniego.

- Witam wszystkich - powiedział, podnosząc tekturowe wieko dużego kubelka z kurczakiem. - Przywiozłem aspirynę, zestaw rodzinny i... Ej, poczekaj! - Skarcił Renniego, który od razu chciał się poczęstować. - Pani inspektor się dodzwoniła, sierżancie? - Podał Loganowi frytki. - Mówiła, że to pilne: jakaś konferencja prasowa.

- Widzieliśmy - odparł Rennie z pełnymi ustami. - W telewizji, w pubie. Przypisała sobie wszystkie zasługi, wredna krowa.

Logan poczerwieniał, ale nie zareagował. Jedli w ciszy. Mąciło ją tylko mlaskanie i siorbanie, kiedy popijali pepsi z krążącej między nimi dużej butelki. Wrzucili serwetki, opakowania i kości do kubelka, który Jacobs upchnął sobie pod nogami z mnóstwem innego śmiecia.

- Co teraz? - zapytał Rennie, łykając dwie aspiryny.

- Teraz... - Jackie spojrzała na zegarek. - To musimy się odmel- dować.

- Spokojnie - odezwał się Jacobs. - Poprosiłem Dużego Gary'ego, żeby to za nas załatwił.

Kosztowało mnie to trzy marsy, ale przynajmniej mamy spokój.

Przez jakiś czas grali w połyka-wypluwa - tylko Logan demonstracyjnie stronił od zabawy; za bardzo kojarzyła mu się z palcami Millera. Potem zaczęła się szeroko zakrojona, filozoficzna dyskusja o wyższości stringów nad zwykłymi majtkami, a w końcu długaśny monolog Renniego na temat czarnych charakterów w EastEnders na przestrzeni dziejów. Od czasu do czasu Jacobs podrzucał ciekawe tematy, w rodzaju: „Kto by wygrał zapasy w błocie: Marge Simpson czy Wilma Flint- stone?”, po których połyka-wypluwa przeżywało krótkotrwałą drugą młodość. Betty Rubble podobno wypluwała. W końcu jednak znów zapanowała cisza i nuda.

Wpół do drugiej - a w domu Kiziora wciąż ciemno. Logan się przeciągnął, aż strześliło mu w krzyżu; siedział bez ruchu przez dobre dwie godziny. Po alkoholowym dreszczyku pozostał już tylko ból głowy i zgaga. Z tylnej kanapy dobiegało ciche chrapanie, podczas gdy siedząca z przodu Jackie przeglądała pismo radnego Marshalla, obracając je, aby jak najwięcej skąpego światła padało na stronie.

- Wiesz co... - powiedział Logan, kiedy na piętrze u Sutherlanda zapaliło się światło. - Może to wcale nie był taki dobry pomysł?

Jackie podniosła wzrok znad zdjęcia, które musiało - po prostu musiało! - być komputerowo podkręcone.

- Mówiłeś chyba, że to jedyny sposób, jeśli chcemy znaleźć coś na Kiziora i jego kolesia?

Wzruszył ramionami i oparł głowę o boczną szybę.

- Sam nie wiem... W ogóle nic już nie wiem.

Zebrał się w sobie i powiedział jej o Colinie Millerze. I że to wszystko przez niego.

- Nie wygłupiaj się. - Jackie spojrzała na Renniego i Jacobsa: spali zwinieci na siedzeniu jak dwa psy. Zniżyła głos: - Jaka twoja wina? Przecież to nie ty obciąłeś Millerowi palce, prawda? No właśnie. - Wzięła go za rękę. - Jesteś dobrym gliną Logan. Złapałeś Dunbara, złapałeś Pirie... Ta suka Steel spieprzyła te dwie sprawy tak samo jak pieprzy wszystko inne. A Miller... po prostu miał pecha. - Logan nie zareagował. Ścisnęła jego dłoń. - Coś ci

zapropnuję: odpuśćmy już sobie. Jutro pójdziemy do Inscha i poprosimy o zlecenie regularnego nadzoru. Pomarszczona wiedźma nie dzieli się zasługami, ale Insch owszem. Załatw mu sprawę Karla Pearsona, a migiem wyciągnie cię z Partaczy.

Pstryknęła palcami. Chóralne chrapanie nagle się urwało i rozespany posterunkowy Jacobs wystawił głowę, pytając, o co chodzi. Logan już miał mu odpowiedzieć, że będą się związać, kiedy nad drzwiami domu Kiziora zapaliła się lampa i zobaczyli przyczajoną postać z dużą torbą.

- Uwaga - powiedział Logan. - Ktoś idzie.

Zmrużył oczy. Żałował, że nie kazał Jacobsonowi przynieść noktowizora. Postać przemknęła pod latarnią: czarna kurtka, czarne dżinsy, czarna wełniana czapka, długie czarne włosy, wąsy. Kumpel Kiziora - Kulas

- doszedł do skrzyżowania i skręcił w prawo w Countesswells Avenue.

- Super! - zawołała Jackie, zachwycona, że coś się wreszcie zaczyna dziać. - Zapinamy pasy!

Logan powstrzymał ją, zanim przekreśliła kluczyk w stacyjce.

- Nie możemy. Kizior został.

- I co z tego? Kizior został, ale Kulas wyszedł. Zgubimy go!

- No wiem, wiem... - Logan desperacko obmyślał nową strategię.

- Jedź z Simonem za nim. A ja i Steve dalej będziemy obserwować dom.

Jackie zmarszczyła brwi.

- Dlaczego z Simonem? Wolałabym Steve'a.

- Dlatego, że ja i Simon piliśmy. Nie możemy prowadzić.

- No to ty jedź ze mną.

- I co, mam zostawić tych dwóch na czatach? Widzisz, wolałbym, żeby w każdym zespole była przynajmniej jedna rozsądna osoba...

Rennie się najeżył.

- Słyszałem!

- Bez urazy. - Logan uchylił drzwi i wysliznął się z samochodu. -No, wysiadka!

Dziesięć sekund później skulili się z Jacobsem w cieniu, a Jackie ruszyła z kopyta za Kulasem. Posterunkowy Rennie przewalał się sennie na tylnej kanapie.

- Panie sierżancie... Naprawdę uważa pan, że to dobry pomysł, żeby oni sami śledzili tego pedofila? - spytał Jacobs, kiedy przekradli się do fiata.

- Spokojnie. Pójdzie pewnie pomasturbować się na placu zabaw, i tyle. - Logan wskazał cień poruszający się za oknem na piętrze. - My musimy dopaść tego skurczybyka.

Tak przynajmniej twierdził Colin Miller.

Noc była ciemna i cicha, taka jak lubił. A to miała być specjalna noc, wyjątkowa, taka do zapisania w kalendarzu na czerwono. Chichocząc cicho, przeszedł na drugą stronę ulicy i przyspieszył kroku. Przemykał skrajem terenów sportowych, ciesząc się na przemian światłem lamp ulicznych i plamami mroku między nimi. Przy Airyhall Avenue stały piękne rodzinne domy: matka, ojciec, dwoje lub troje dzieci - szczęśliwe rodzinke, smacznie śpiące w łózkach, śniące szczęśliwe rodzinne sny i wyczekujące świtu kolejnego rodzinnego dnia. Mimo chłodu spływał potem. Przełożył ciężką torbę z ręki do ręki. Dziś się zabawi na całego - jak zawsze, kiedy łączył przyjemne z pożytecznym. Tym razem Brendan nie będzie na niego zły. Nie podbije mu oka. A zresztą i tak niedługo wyjadą z Aberdeen, wrócą do domu, do Edynburga. Uśmiechnął się na tę myśl. Tu pogoda jest nieznośnie nieprzewidywalna: w jednej chwili świeci słońce, a zaraz potem leje jak z cebra. Czasem jedno i drugie naraz.

Przy końcu Airyhall Avenue przystanął, żeby zorientować się w terenie. Serce zabiło mu żywiej na widok tabliczki po drugiej stronie: „Dom Dziecka Airyhall”. Ża daleko, nie powinien był iść tą ulicą. Powinien trzymać się tej, którą szedł na początku... Dom był

mniejszy od tego, gdzie się wychował - i gdzie mieszkał ten pan, którego Brendan dla niego zabił - ale wcale nie wyglądał mniej przerażająco.

Wzdrygnął się, zawrócił i pomaszerował w stronę centrum, aby jak najszybciej oddalić się od domu dziecka. Tylko raz obejrzał się przez ramię, by popatrzeć na przysadzisty budynek - tam ktoś śpi.

Dziesięć minut - i minął cmentarz przy Springfield Road. Gdy zobaczył tabliczkę przy wejściu, zaczął rażno pogwizdywać melodyjkę z Simpsonów; skręcił w prawo w Seafield Road i dotarł do ronda na Anderson Drive. Zatrzymał się: światła. Odstawił torbę na trawnik. Po co spakował aż tyle gratów? Wygrzebał kartkę od Brendana - narysowana odręcznie mapka: uśmiechnięty ludzik z patyków idzie za strzałkami w kierunku płonącej trupiej czaszki. W kierunku domu, w którym zrobili rozpiarduchę, bo babcia się ulotniła. Dziś starucha nie będzie miała tyle szczęścia.

Cichy nocny pomruk miasta - i nagle skowyt policyjnej syreny. Na chwilę serce zamarło mu w piersi. Minął go biały radiowóz na sygnale: na rondzie nawet nie zwolnił, mignął niebieskim kogutem i zniknął w ciemności. To nie jego szukają.

Uśmiechnął się, podniósł torbę, rozejrzał się, przeszedł przez ulicę i ruszył dalej. Do centrum.

- No dobra. - Rennie wygramolił się z tylnego siedzenia, dwa razy depcząc po zagipsowanym przedramieniu Jackie, która manipulowała dźwignią zmiany biegów. - Myślisz, że coś kombinuje?

- Zabierz mi dupę sprzed nosa i siadaj! Zatrzymałabym się, trzeba było powiedzieć.

- Nie chciałem, żebyś go zgubiła.

- Niby jak? Przecież idzie piechotą. Nie mógłby nam odskoczyć.

- Okej, okej, przepraszam. Kurczę... - Zapiął pas i wlepił wzrok w człowieka, który szedł dwieście metrów przed nimi, wyraźnie uginając się pod ciężarem zarzuconej na ramię torby. - Wiesz co? Odkąd złamałaś sobie rękę, zrobiłaś się strasznie wredna.

- Nie złamałam sobie ręki! Ktoś mi ją złamał. Jasne?

- Widzisz? Wściekasz się o byle co.

Jackie otworzyła usta, zamknęła je, pociągnęła nosem i wzruszyła ramionami: okrutna szczerłość, ale Rennie pewnie ma rację.

- Mniejsza z tym - powiedziała. - Na pewno coś kombinuje. Inaczej byśmy go nie śledzili.

Zjechała do krawężnika i zgasiła światła; czekała, aż Kulas trochę się oddali.

- Ale co? Ubrał się na czarno, taszczy torbę... Myślisz, że planuje jakiś skok?

- Nie, za ciężka torba; nie dałby rady nic w niej wynieść. Może rozprawdza prochy? I właśnie dostarcza towar swoim dilerom?

Jackie uznała, że podejrzany zyskał wystarczającą przewagę, włączyła reflektory i ruszyła za nim. Minęli boiska, przecięli rondo i wjechali w Union Grove.

- A słyszałaś, że zgarnęli tu dziś taką jedną starszą panią? Wykorzystywała dzieci jako kurierów. Anielski pył, trawka, crack... Wszystko miała.

- Poważnie? No to może nasz chłoptaş zamierza przejąć interes.

- Coraz bardziej mi się to podoba. - Rennie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Niedługo przeczytamy o „policjantach w cywilu, którzy pokrzyżowali szyki baronowi narkotykowemu”.

- Dobrze by było - odpowiedziała Jackie i też się uśmiechnęła.

Kulas zatrzymał się w połowie długości Union Grove przed brudną kamienicą. Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Jackie podkręciła radio, aż uszy bolały, i samochód cały dudnił - w jedynce jakiś nocny didżej do białego rana puszczał muzykę dance - i przejechała dalej, patrząc prosto przed siebie i nie zwracając uwagi na mężczyznę z torbą pełną narkotyków. Chyba się udało: Rennie zsunął się z fotela i w bocznym lusterku obserwował Kulasa, który tymczasem wyjął z kieszeni klucz i wszedł do domu.

Rennie uderzył otwartą dłoń o deskę rozdzielczą.

- Jest w środku!

- Dobrze.

Jackie wyłączyła radio, zawróciła i jechała powoli, szukając miejsca do zaparkowania; znalazła je dwie parcele od kamienicy.

Siedzieli po ciemku, obserwując dom.

- Co teraz?

- Czekamy.

W ciszy słychać był tylko murmurando Renniego, który nucił temat z Emmerdale. . *

- Hm... Jackie? - odezwał się. - A nie lepiej przyłapać go z towarem? No bo wiesz, jak się pozbędzie prochów, to za co go aresztujemy?

Potarła twarz i cicho zaklęła. Co racja, to racja. Otworzyła drzwi i wysiadła na cichą o tej porze ulicę. Wciąż miała na sobie mundur i bardzo rzucała się w oczy.

- No to chodź! Na co czekasz?

W domu żadne światło się nie świeciło, nawet światło w korytarzu - byłoby widoczne w okienku nad drzwiami. Ale też czemu się dziwić: druga w nocy, wszyscy śpią - wszyscy poza Kulasem i człowiekiem, z którym się umówił. Jackie spojrzała podejrzliwie na granitowe ściany.

- Mówiłeś o tej kobiecie, którą przymknęli za dilerkę... To było tutaj?

Rennie tylko wzruszył ramionami, więc włączyła przypięty do barku nadajnik i poprosiła centralę o sprawdzenie adresu starszej kobiety, kierującej przedszkolnym gangiem narkotykowym. W głośniku zabrzmiał znajomy głos; ściszyła, żeby nie spłoszyć Kulasa. Sierżant Erie Mitchell się zdziwił:

- Po co ci ta informacja i dlaczego właściwie używasz policyjnej krótkofalówki. Przecież powinnaś już skończyć służbę?

- No tak... - przyznała Jackie, próbując na gwałt wymyślić jakąś dyplomatyczną odpowiedź.

- Odwoziłam posterunkowego Renniego do domu, kiedy zauważyliśmy, że do domu przy Union Grove zakrada się jakiś podejrzany osobnik. - Brzmiało to jak oficjalne zeznanie składane w sprawie o kradzież sklepową, ale było za późno, żeby się wycofać. - Dlatego chciałam potwierdzić adres. Rozpoznałam w tym osobniku człowieka, którego już wcześniej podejrzewaliśmy o handel narkotykami.

- Czy ty specjalnie ćwiczysz takie teksty? - zapytał głos z radia. - Bo jeśli tak, to na razie słabo ci idzie.

- Posłuchaj, Erie: widzę podejrzanego typa, który taszczy wiel- gachną torbę, najprawdopodobniej wyładowaną narkotykami. Dasz mi ten adres czy nie?

Chwilę to jeszcze potrwało, ale w końcu sierżant Mitchell potwierdził, że znajdują się przed właściwym budynkiem. To nie mógł być zbieg okoliczności.

- Przesłać wam wsparcie?

- Nie trzeba, wszystko pod kontrolą. Po prostu przygotuj listy pochwalne, okej?

Mitchell obiecał, że się postara.

Kulas zaniknął drzwi frontowe tylko na klamkę, bez przeszkód weszli więc do miniaturowej sieni. Mata kokosowa zachrzęściła im pod butami. W środku było ciemno - i robiło się coraz ciemniej, w miarę jak Rennie ostrożnie przymykał drzwi. Błask jedyne źródła światła - najbliższej latarni - przesączały się przez matową szybę w drzwiach, właściwie nie rozświetlał mroku. Naprzeciwko znajdowały się następne drewniane drzwi; za nimi panowała absolutna ciemność.

Coś musnęło włosy Jackie - omal nie wrzasnęła, zanim zorientowała się, że to ręka Renniego.

- Co ty wyprawiasz?! - syknęła.

- Szukam pstryczka.

- Ocipiałeś?! Chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, że tu jesteśmy?
- Ale ja nic nie widzę...
- To zamknij jadaczkę i słuchaj!

Cisza. A potem niegłośne sapanie i od czasu do czasu stłumione stęknienie gdzieś na górze. Jackie złapała Renniego za ramię i centymetr po centymetrze zaczęli się przemieszczać w stronę schodów. Krok za krokiem pokonali pierwszy odcinek i przystanęli na półpiętrze, gdzie duże witrażowe okno wpuszczało odrobinę światła, tylko odrobinę, ale lepsze to niż nic. Jackie zadarła głowę, wypatrując źródła dźwięków na wysokości ostatnich stopni i dostrzegła latarkę, a w jej blasku przykucniętego nad czymś mężczyznę. Zachowywał się podejrzanie.

Ruszyła ostrożnie dalej - i dotarła prawie na pierwsze piętro, kiedy drewniana poręcz skrzypnęła jej pod ręką. Posapywanie ucichło. Słyszała już tylko łomot serca w uszach. A potem snop światła z latarki omiótł schody i wyłowił z mroku twarz Renniego. Ktoś zaklął:

- O kurwa!

I rozpętało się piekło.

Nad ich głowami rozbiła się butelka. Na ścianę bryzgnęła ciecz, sądząc po zapachu, benzyna. Jackie nabrała tchu i wrzasnęła ile sił w płucach:

- Stać! Policja!

Chwilę potem musiała uskoczyć przed następną butelką: roztrzaskała się o poręcz i benzyna chlapanęła na schody i chodnik, którym je wyłożono.

Rennie krzyknął z bólu, wpadł na nią po ciemku i razem runęli na podest na półpiętrze. W tej samej chwili schody zadrżały: nadbiegał Kulas. Jackie próbowała wstać, ale Rennie leżał na niej i kłął szpetnie. Uderzyła go na odlew.

- Zejdz ze mnie, kretynie!

Dum, dum, dum! Kulas zeskokczył na podest i minął ich w pełnym pędzie. Jackie wyprostowała nogę, trafiając go butem w kolano. Rozległo się bolesne stęknienie, a potem łoskot i trzask, gdy Kulas spadł ze schodów.

- Złaź!

Drugi raz grzmotnęła Renniego, który wreszcie się z niej stoczył, jęcząc i klnąc. Zerwała się i skoczyła w dół schodów, celując w ciemną sylwetkę. Zderzyli się, zanim Kulas zdążył wstać. Wśród szczęku szklanych butelek potoczyli się w kąt. Jackie uderzyła głową o ścianę - Bam! I fajerwerki wybuchły jej przed oczami. Dzwoniło jej w uszach.

Zatoczyła się, pośliznęła na stopniu i osunęła na podłogę przy balustradzie. Kulas poderwał się z ziemi.

Kopnęła na oślep, chybiła - a on nie. Ciężki buciór trafił ją w żebra. Jezu, co za ból! Spięła się, gotowa na przyjęcie następnego ciosu - ale nic takiego nie nastąpiło. Kulas rzucił się do ucieczki.

Ostre światło - jakby ktoś nagle włączył słońce; kłuło w oczy, wyławiało z ciemności wszystkie kształty. Zmrużyła powieki i zobaczyła, że Rennie stoi na półpiętrze, pod ścianą zakrwawioną ręką przyciskając wyłącznik światła - i wciąż klnie z takim zapamiętaniem, jakby od tego zależało jego życie.

Łoskot na dole: Kulas był już prawie na parterze. Jackie podniosła się z wysiłkiem - i od razu zrobiła unik; na ścianie za jej plecami rozbiła się kolejna butelka. Benzyna bryzgnęła na wszystkie strony.

- Ty draniu!

Dopadła do schodów - i stanęła jak wryta, widząc, co Kulas trzyma w ręce: zapalniczka. A ona ma całe włosy w benzynie!

Z rany na jego czole sączyła się krew, spływając mu z boku nosa i wsiąkając w włosy. Uśmiechnął się. I podpalił świat.

- Jezu, ale nuda... - Posterunkowy Jacobs oparł się ciężko o kierownicę swojego wiekowego fiata. Westchnął teatralnie i zaproponował: - Może połyka-wypluwa? - Logan pokręcił głową.

- Pójść do łóżka albo umrzeć? - Też nie. - Zastrzel, bzyknij, ożeń się?

- Nie! Nie chcę w nic grać, jasne?

- Czas by szybciej zleciał...

Cisza potrwała całe dwie minuty, po czym posterunkowy wyskoczył z następnym tekstem:

- Słyszał pan o facecie Karen?

- A kto to jest Karen, do cholery?

- Nie zna pan Karen Buchan? Taka posterunkowa... Mniej więcej tego wzrostu. To z nią znalazłem Rosie Williams.

Zamyślenie, a potem gniewny grymas.

- A, ta...

- No właśnie. - Jacobs nachylił się do niego i dalej mówił konspiracyjnym szeptem, chociaż ulica była kompletnie wyludniona: - No więc podobno jej facet, Robert Taylor, też policjant, regularnie zalicza inne bazy, że tak powiem.

Logan uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

- Dobrze jej tak.

- To prawda; głupia z niej cipa. Ale najciekawsze jest to, że ktoś widział Taylora w porcie, jak się z którąś bzykał. Poważnie! Uwierzyłby pan? Mówię do Jackie...

Jacobs mówił dalej, ale Logan się wyłączył. Wpatrywał się w ciemny dom. Bardzo miło z ich strony, że zgodzili się mu pomóc, ale najzwyczajniej tracili tu czas. Jeszcze pół godziny i zamykają interes. A jutro porozmawia z Inschem i...

Zapaliła się lampa nad wejściem.

- ...a ona na to: „Przecież już bardziej łysy nie będzie”. No to ja... - Jacobs gadał sam do siebie, dopóki Logan nie szturchnął go pod żebro. - Auć! Za co to?

- Niech pan uważa.

Wskazał na dom: „Kizior” Sutherland wybiegł właśnie frontowymi drzwiami z komórką przyciśniętą do ucha. Wsiadł do stojącego przed domem srebrnego mercedesa i ruszył z piskiem opon. Jacobs zaklął, obudził stareńkiego fiata i pojechał za mercedesem, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

- Co mu odbiło? - zdziwił się, kiedy Kizior śmignął na czerwonym przy Springfield Road.

- Nie mam pojęcia...

Ale cokolwiek to było, zapowiadało się kapitalnie.

.*

Błękitne płomienie pomknęły po schodach, wspinając się ze stopnia na stopień po nasączonym benzyną chodniku. Jackie rzuciła się do ucieczki - ściana za jej plecami buchnęła ogniem w miejscu, w które trafiła ostatnia butelka; macki czarnego dymu snuły się spiralnie w górę klatki schodowej. Zatrzymała się na podeście, gdzie Rennie dobijał się do drzwi jednego z mieszkań, krzycząc:

- Otwierać! Otwierać natychmiast!

- Wyważ je! - wrzasnęła Jackie.

Rennie cofnął się, po czym kopnął w drzwi. Zadrżały, ale nie puściły.

- Jeszcze raz!

Drzwi eksplodowały do wewnątrz razem z połową framugi. Z góry dmuchnęło żarem. Na suficie farba zaczęła schodzić, stopiony syntetyczny chodnik powoli skapywał ze schodów. Dym błyskawicznie wypełniał klatkę - gęsty, ciemny, duszący, cuchnął benzyną i palonym nylonem.

Wpadli do mieszkania. Ktoś się darł: „Złodzieje! Złodzieje!” W końcu zadziałał wykrywacz dymu i przez przekleństwa, krzyki i huk płomieni przedarło się przenikliwe wycie syreny.

Jackie wezwała przez radio straż i karetki. Wparowała z Renniem za kolejne drzwi.

Sypialnia. Starsza kobieta w łóżku, koc podciągnięty pod szyję, zęby w szklance na nocnej

szafce; mąż już na nogach: pasiasta piżama, pomarszczony interes wyglądający z rozporka, wściekła mina, laska w garści.

Rennie zatrzęsął drzwi.

- Jesteśmy z policji, pałancie! Ktoś jeszcze jest w domu?

Mężczyzna opuścił prowizoryczną maczugę i pokręcił przecząco głową.

- Macie państwo sąsiadów?

- Tak, państwa Scottów. - Staruszek zakaszłał; dym powoli wciskał się do sypialni. - Mają córkę i psa...

Rennie zaklął.

- Proszę otworzyć okno. - Pokazał ręką. - I wyrzucić materac na dwór. Niech najpierw wyjdzie żona, a potem pan. Posterunkowa Watson państwu pomoże.

Odwrócił się - Jackie podawała właśnie centrali rysopis napastnika: „szybko go złapcie i skopcie mu dupsko” - otworzył drzwi i wybiegł na korytarz, zamykając je za sobą.

Zanim Jackie zrozumiała, co się dzieje, było już za późno.

- Rennie?! Rennie, ty głupi draniu!

Nie pozostało jej nic innego, jak liczyć na to, że Rennie jednak wie, co robi. Pomogła staruszkowi przy oknie zalepionym warstwą farby; szarpali się z klamką tak długo, aż trzasnęło jak zreumatyzowany staw i otworzyło się na oścież. Podwójny materac wyfrunął na dwór. Obrócił się w locie, kołdra zahaczyła się na antenie satelitarnej. Mężczyzna spojrział niepewnie na prostokąt sprężyn i pianki. Niby tylko pierwsze piętro - ale jednak wysoko.

Jackie złapała go za rękę i popchnęła.

- Pan musi wyjść pierwszy. Ja pomogę zejść pana żonie, a pan ją złapie.

Musiała podnieść głos, bo huk płomieni zagłuszał wszystkie dźwięki poza wyciem syreny detektora. Staruszek wciąż się wahał. Jackie wyjrzała przez okno - ze cztery metry do materaca.

- Proszę się nie martwić, będzie dobrze - skłamała.

- Nie jestem dzieckiem - warknął.

Ostrożnie wyszedł przez okno, zwiesił się na rękach - i puścił. Spadł prosto na materac, lądując nieporadnie przy wtórze przekleństw. Kobieta była bardziej zdenerwowana i znacznie cięższa, ale Jackie w końcu wypchnęła ją przez okno. Lądując, omal nie zmiażdżyła męża.

Coś eksplodowało w budynku. Drzwi sypialni się zatrzęsły. Z oddali dobiegł jazgot syren. Jackie wzięła głęboki wdech i skoczyła.

41

Na Union Grove „Kizior” Sutherland zaczął prowadzić znacznie spokojniej; jechał sporo wolniej niż nakazywały znaki, jakby czegoś szukał. Steve również zwolnił, aby zachować stały dystans. Z przodu usłyszeli wycie syren, a potem zobaczyli łunę na niebie. Pożar.

Mercedes zahamował gwałtownie na środku jezdni. Od krawężnika oderwała się zgarbiona, utykająca postać z dużą sportową torbą w rękach. Wsiadła do wozu, który jeszcze chwilę stał, po czym ruszył dalej.

- Cholera jasna...

Logan sięgnął po telefon i wybrał numer Jackie. Zaczynał się martwić. Miała z Renniem śledzić Kulasa, który właśnie wsiadł do samochodu Sutherlanda, najwyraźniej poobijany. A tymczasem ani jej, ani Renniego nie było nigdzie widać.

- No, dalej! Odbierz!

Po dwunastu dzwonekch włączyła się poczta głosowa. Logan zaklął, rozłączył się i zaczął dzwonić od nowa. Steve siedział Kiziorowi na ogonie; jechali Union Grove w stronę skrzyżowania z Holburn.

- Ożesz ty w mordę...

Obaj wytrzeszczyli oczy na widok pożaru: ogień buchał z dachu kamienicy, jaskrawe jak neony iskry ulatywały w noc, smoliście czarny, gęsty dym snuł się po niebie jak rozlewający się krwiał. Płonęły całe dwa górne piętra. Sutherland spokojnie przejechał obok.

Logan znów zaklął: nagrany głos poinformował go właśnie, że Jackie nie ma czasu odebrać telefonu, ale można zostawić wiadomość. Rozłączył się. I znów wybrał numer. Ściągnął Jacobsowi radio z ramienia, włączył nadajnik i poprosił o połączenie z posterunkową Watson - na co usłyszał, że będzie musiał poczekać: zgłosiła się przed chwilą krzyknęła, że jest w płonącym domu, a potem przestała odpowiadać.

- Zatrzymaj się!

Steve wcisnął hamulec do oporu. Logan wyskoczył i popędził w stronę płonącego domu, wrzeszcząc: „Jackie! Jackie!” Syreny wyły coraz głośniejsze.

Na chodniku leżała jakaś postać, obok już gromadzili się gapie. Ktoś próbował ją reanimować, reszta lamentowała i płakała.

- Jackie?!

Czarna od sadzy twarz zwróciła się w jego stronę: posterunkowy Rennie. To on robił sztuczne oddychanie. Ofiarą była kobieta w średnim wieku w za dużym T-shircie Uniwersytetu Aberdeńskiego podwiniętym tak, że odsłaniał szare majtki i blady brzuch.

- Tam jest! - Rennie wskazał postać skuloną przy drzwiach.

Rozżarzony popiół leciał z nieba jak ognisty śnieg.

- Jackie?

Głaskała delikatnie nieruchomego golden retrievera. Leżał na boku, z głową w powiększającej się kałuży ciemnej cieczy. Spadła iskra i w powietrzu uniosła się gorzka woń przypalanej sierści.

Logan przykucnął obok. Poklepał ją po ręce.

- Jackie? Nic ci się nie stało?

Miała brudną twarz i czarną od sadzy koszulę munduru. Nie spojrzała na niego. Strąciła tylko żarzącą się iskierkę.

- Wyśliznął się, kiedy Rennie opuszczał go przez okno - powiedziała.

Logan spojrzał na materac z dwuosobowego łóżka.

- Chodź. - Pomógł jej wstać. - Tu jest niebezpiecznie.

Odprowadził ją na chodnik. Cały czas patrzyła na psa, dopóki tuż przed nimi nie zatrzymał się radiowóz, A36. Zaraz za nim przyjechał wóz strażacki, z którego wysypali się ludzie i masa sprzętu; syrena następnego samochodu wyła coraz bliżej.

- Uciekł! - Jackie przekrzykiwała zgiełk. - Kumpel Kiziora! Wszędzie porozlewał benzynę. - Minął ich strażak, ciągnąc wąż. - Uciekł nam!

- Wiem, Kizior zabrał go do samochodu. Jechaliśmy za nim i...

289

- Musimy ich gonić, bo nam zwieją! - Jackie złapała Logana za ramię i pociągnęła w stronę fiata Jacobsa. - Steve! - krzyknęła, wskazując na fotel obok kierowcy. - Gazu!

19 - Zamierające światło

Logan usiadł z tyłu i Jacobs wcisnął gaz do dechy. Minęli karetkę, która pędziła w przeciwnym kierunku.

- W prawo czy w lewo?

- Nie wiem.

- No dobrze... - Steve zmarszczył brwi. - W prawo.

Skreślili w Holburn Street i dostrzegli w oddali tylne światła samochodu -jedyne na całej ulicy. Steve przyspieszył. Mercedes zbliżał się do ronda Garthdee; kiedy go dogonili, jechał z rozważną prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Steve wyprzedził go

niewłaściwym pasem - silnik zabytkowego fiata ryczał przy tym jak wściekła suszarka do włosów - zajechał mu drogę i dał po hamulcach. Zapiszczały opony, samochodem zarzuciło, wykręcił piruet i stanął w poprzek jezdni. Mercedes wyhamował - dygotał od włączonego ABS-u i znaczył asfalt śladami gumy jak kreskami alfabetu Morse'a. Jackie pierwsza wyskoczyła z fiata; Jacobs i Logan tuż za nią. Chwyliła pałkę oburącz i jak kijem bejsbolowym wyrzuciła ją w przednią szybę mercedesa. Po szkle rozbiegła się pajęczyna pęknięć. Znow się zamachnęła i wtedy drzwi po stronie pasażera otworzyły się gwałtownie - na jezdnię wyskoczył Kulas. Coś trzymał w ręce...

Logan zdążył tylko krzyknąć:

- Ma broń!

I rozległ się huk. Posterunkowy Jacobs padł jak ścięty, krzycząc.

Logan i Jackie rzucili się na ziemię. Druga kula wyrwała kawałek asfaltu tuż obok nogi Logana, który wycofał się na czworakach za fiata. Samochód dawał mu osłonę. Trzeci pocisk trafił w maskę, czwarty w drzwi. Jacobs cały czas jęczał. Pisk opon - i mercedes odskoczył w tył na wstecznym. Zatrzymał się na ułamek sekundy, po czym z rykiem silnika, w kłębach dymu wystrzelił naprzód, omal nie rozjeżdżając Jackie. Jeszcze jeden strzał i mercedes odjechał. Zahamował ostro przy rondzie i wpadł na nie z poślizgiem; tylne felgi zgrzytnęły o barierkę, aż zaiskrzyło. W końcu przemknął przez most i zniknął.

Steve Jacobs leżał na wznak na środku jezdni, biały jak płótno. Z prawej strony na jego piersi rozlewała się ciemna plama, krwawe bąbelki pienily mu się na ustach. Jackie podbiegła, spojrzała na ranę, zaklęła i wzięła się do roboty - próbowała zatamować upływ krwi. Logan wezwał karetkę. Przy odrobinie szczęścia posterunkowy powinien dożyć jej przyjazdu.

Jackie podniosła wzrok.

- Co się właściwie stało?!

Posterunkowy nie jęczał już, tylko dyszał ciężko, przy każdym wydechu plując krwią; ściekała mu po brodzie.

Logan uklęknął.

- Co z nim?

Jackie zerknęła na niego. Rękaw jej koszuli powoli nasiąkał krwią.

- A jak myślisz?

Jacobs jęknął. Krew buchnęła mu z ust i ściekała po policzkach. Jackie ocierała ją, ale krew nie przestawała płynąć.

- Steve? Tylko mi tu nie umieraj, skurwielu! Jeśli zostawisz nas samych z tym dupkiem Renniem, to cię zabiję!

- Czy byliście... - Logan urwał i zaklął przez zęby.

- Co?

- Już rozumiem. Wszystko jasne. To wojna o wpływy. Maik Majcher chce wejść do Aberdeen. Przysłała Kiziora, żeby ten rozpracował mu lokalny rynek. Kizior dowiaduje się, że Karl Pearson jest dilerem. Jedzie do niego i torturuje go tak długo, aż Karl poda mu wszystkie nazwiska. A potem Kulas pali tych ludzi żywcem. Tak samo z babcią Kennedy'ego. - Wskazał Holburn Street, gdzie niebo nadal jarzyło się pomarańczowo. - Najpierw próbowali ją przestraszyć, ale się nie dała. Dlatego była następna na liście. Bóg jeden wie, jak się ma do tego drugi spalony dom, ale może tamci ludzie dowiedzieli się o planach Malka. I wydali na siebie wyrok. Kizior i Kulas po prostu pozbywali się konkurencji.

Zadzwoił z komórki do centrali, żąc jak najszybciej przysłać ze dwa radiowozy. Jackie przesunęła dłoń, które ześlizgiwały jej się ciągle z zakrwawionej piersi Jacobsa.

- Gdzie ta cholerna karetka?!

- Zaraz przyjedzie. Wszystko będzie dobrze - powiedział Logan z udawanym przekonaniem. Kłamał. Przecież to jedna wielka porażka. - Co z nim?

- Świetnie, prawda, Steve?

Wesołość w głosie Jackie była równie wymuszona jak jej uśmiech. Steve drżał i krwawił. Logan podniósł głowę, słysząc jazgot syreny.

- Czas najwyższy, do czorta! - Złapał Jacobsa za zimną, drżącą, lepka od krwi dłoń. - Trzymaj się, Steve. Już niedługo.

Ale Steve patrzył w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Oddychał z coraz większym trudem, krwawe pęcherze bulgotały mu na wargach, krew przeciekała Jackie przez palce.

42

Zimne niebieskie światło koguta karetki odbijało się w szybach domów i zaparkowanych samochodów przy końcu Holburn Street. Firanki zaczęły się odchylać już po pierwszym strzale, a teraz mieszkańcy po prostu stanęli w oknach - cienie na tle rozświetlonych sypialni - i gapili się na fiata, karetkę i umierającego policjanta.

Jackie przysiadła na masce podziurawionego kulami samochodu, opędzając się od ratownika, który wodził jej palcem przed oczami, starając się ustalić, czy ma wstrząśnienie mózgu.

- Nic mi nie jest! Dajcie mi, do cholery, spokój!

Steve został pospiesznie przypięty do noszy. Ratownicy podłączyli go do kroplówki, założyli mu maskę tlenową i opatrzyli pierś ogromnym zwojem gazy. Wstawili nosze do karetki, drzwi się zamknęły, syrena ożyła i kierowca A[^]zył jak szatan, najkrótszą drogą do Szpitala Królewskiego.

Logan rozmawiał przez telefon z komendą:

- Zablokujcie wszystkie drogi wylotowe na południe od miasta. Kizior na pewno przy pierwszej okazji pozbędzie się samochodu, srebrny mercedes z rozbitą przednią szybą za bardzo rzuca się w oczy, więc niech policjanci szukają dwóch wysokich mężczyzn mówiących z edynburskim akcentem: jeden ma krótkie blond włosy, drugi, wąsacz, długie i ciemne. Obaj prawdopodobnie są uzbrojeni. To bardzo niebezpieczni bandyci.

Rozłączył się i wybrał numer Inscha; chwilowo nie miał ochoty na rozmowę z inspektorem Steel. Potrzebował wsparcia człowieka, który mu ufa.

- I jak? - zainteresowała się Jackie, kiedy skończył rozmawiać.

- Nie był zachwycony, że go budzę w pół do trzeciej w nocy, ale zaraz przyjedzie. - Logan potarł twarz. Poziom adrenaliny, który podskoczył, kiedy do nich strzelano, powoli opadał, potęgując zmęczenie. - Zadzwoń do komendanta i poinformuj go, co się stało.

Zapowiadał się niezły meksyk: znów postrzelono policjanta. Zaczną się konferencje prasowe, odprawy, spotkania, aktualizacje, znowu spotkania... Które w żaden sposób nie pomogą Steve'owi Jacobsonowi.

- Co mówili lekarze z pogotowia?

- Niewiele, głównie klęli... - Jackie zwiesiła głowę i westchnęła ciężko. - Drań.

Logan musiał jej przyznać rację.

- Powinniśmy... - Przerwał, słysząc następną syrenę. - Zaczyna się.

A27 zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Wysiedli z niego dwaj mundurowi. W milczeniu wpatrywali się w plamę krwi na asfalcie, słuchając Logana, który zrelacjonował im przebieg wydarzeń, kazał zablokować wjazd na ulicę z obu stron i wezwać ekipę z BIO. Należało przeczesać całą okolicę.

Wieści rozchodziły się szybko. W trzy minuty zjawiły się kolejne trzy radiowozy. Policjanci i policjantki bledli jak prześcieradła, kiedy dowiadywali się o Stevie - wszyscy poza posterunkową Buchan, która zrobiła wyniosła minę: „A nie mówiłam?“, i pomrukiwała, że tak samo było z posterunkowym Maitlandem, i czy to nie ciekawy zbieg okoliczności, że w obu wypadkach akcją kierował sierżant McRae?

Logan był zbyt zmęczony i rozdrażniony, żeby nie dać się sprowokować.

- Posterunkową! Do mnie!

Buchan przeszła przez ulicę i stanęła przed nim, wlepiając w niego spojrzenie paskudnych, lodowatych oczu.

- Słucham... panie sierżancie.

Szturchnął ją w ramię.

- Ma pani coś do powiedzenia, posterunkowa? - wycedził przez zęby. - Tak czy nie? Bo jeśli tak, to słuchamy. Tylko głośno i wyraźnie, żeby wszyscy zrozumieli, co chce nam pani powiedzieć.

Buchan zacisnęła usta. Twarz wykrzywił jej wściekły grymas. Logan odczekał, aż cisza jeszcze trochę się przeciągnie, i warknął:

- To, że twój facet bzyka się z innymi, nie upoważnia cię do wyzywania się na mnie. Jasne? Szczerwieniła jak piwonია.

- To nie ma nic... On nie... My...

- Steve Jacobs jest moim przyjacielem. Chcę złapać skurwiela, który go postrzelił, i nie zamierzam tracić czasu na użeranie się z panią, posterunkową.

- Ale...

- Do radiowozu! I niech pani się z niego nie rusza.

Posterunkowa Buchan odwróciła się, szukając wsparcia u innych, ale nagle wszyscy zrobili się bardzo zajęci. Byle czym. Obejrzała się przez ramię na Logana, a on dodał:

- Nie życzę sobie, by kręciła mi się pani po miejscu akcji. Może się pani spodziewać pisemnej skargi na swoje zachowanie. - Nachylił się nad nią tak, że ich twarze prawie się zetknęły. - A teraz jazda mi stąd!

- Jak to: zniknęli? Gdzieś przecież muszą być! - Logan krążył po ulicy, w ogóle nie rejestrując, co się wokół niego dzieje. Ekipa z BIO musiała go wymijać i uskakiwać przed nim, próbując sfotografować łuski po pociskach i plamy krwi. - Sprawdzają wszystkie samochody?

Zmęczona kobieta w słuchawce telefonu zapewniła go, że tak, sprawdzają wszystkie, i że szukają nawet w bagażnikach, bo - w co pewnie trudno mu uwierzyć - znają się na swojej robocie i nie jest to ich pierwszy raz! Przeprosił i się rozłączył. Cholera! Zablokowali wszystkie główne drogi i większość mniejszych, bocznych - a to niełatwe w rolniczej okolicy, pociętej wzdłuż i wszerz bitymi traktami łączącymi skupiska farm i <^omy mieszkalne. Ktoś, kto zna ten teren, może wybierać wśród setek dŏg prowadzących na południe. Jednak szanse na to, że taki miastowy chłopak jak Kizior zna na pamięć rozkład dróg i drózek w Lower Deeside, są minimalne. Raczej będzie się trzymał szerokich dwupasmówek.

- Gdzie oni się podziiali?!

Zatrzymał się i spojrzał na Jackie; skulona na fotelu pasażera w jednym z pustych radiowozów, spała z otwartymi ustami, pochrapując cicho. Była brudna: umorusana sadzą i krwią Steve'a na twarzy i na mundurze; nad lewym okiem - tam, gdzie uderzyła głową o ścianę - miała wielkiego jak jajo guza.

Westchnął ciężko. Tej nocy już nic nie dziająją. Policjanci na blokadach albo znajdują Kiziora, albo nie; a jeśli nie, jeśli uciekinierzy dotrą do Edynburga, złapie ich policja z Lothian i Borders i odstawi do Aber- deen na przesłuchania i proces. Kizior ma przechłapano: uczestniczył w strzelaninie, zraniono policjanta i nie pozbył się świadków. Czegoś takiego nawet Maik Majcher nie potrafi zatuszować.

- Co tam się stało, do diabła?! - Kizior krzyczał. Ścisnął kierownicę obiema rękami i trzął się ze złości. - Wyzaczyłem ci proste zadanie, pierdoło... - Puścił kierownicę i spoliczkował Grega, który syknął z bólu. - Skąd tam się wzięła policja, co?!

- Nie wiem! Nie wiem!

Greg osłonił głowę ramionami, ale Kizior uderzył go jeszcze raz, chociaż wiedział, że dopadną go wyrzuty sumienia. Zawsze tak było. Zaklął, wprowadził furgonetkę w spokojną ślepą uliczkę i zgasił silnik, który stygnąc, postukiwał metalicznie.

Siedział wściekły, bez słowa. Uwielbiał swojego mercedesa, ale trzeba się go było pozbyć: porzucili go i spalili na South Deeside Road. Zgrzytnął zębami, odetchnął bardzo, bardzo głęboko i policzył do dziesięciu: to nie jest wina Grega...

- Okej - odezwał się w końcu. - Przepraszam, że cię uderzyłem. Źle zrobiłem. Zdenerwowałem się, ale nie powinienem się na tobie wyżywać. - Poklepał go po ramieniu. - Powiesz mi, co tam się stało?

Greg osunął się na fotelu. Wytrzeł nos rękawem.

- Wszedłem do tego domu i wszystko było w porządku: wkręciłem śruby we framugi mieszkania tej starej, zacząłem rozlewać benzynę... I wtedy usłyszałem coś na schodach. Tych dwoje. Krzyczeli. Próbowałem uciec, ale ona kopnęła mnie wtedy w kolano. Strasznie bolało. I rzuciła się na mnie. Biła, kopała, gryzła, więc też ją kopnąłem, uciekłem i podpaliłem schody. Wybiegłem na dwór i zadzwoniłem po ciebie...

Kizior poklepał go po udzie.

- Świetnie, Greg. Świetnie się spisałeś. - Greg się rozpromienił: Kizior wcale się na niego nie złości! - Ale skąd wiedzieli, że tam będziesz? Śledzili cię?

- Patrzyłem! Naprawdę patrzyłem! Nikogo nie widziałem.

Sutherland zmarszczył brwi. Znowu ten skurwiel McRae: to on wyskoczył z samochodu tuż przed tym, jak brudna zdzira rozbiła mu szybę w mercedesie. Przekląty McRae.

Uśmiechnął się lekko. Policja na pewno spodziewa się, że pojedzie na południe: wymknie się z Aberdeen i z podkulonym ogonem wróci do domu. Ale nie. Pojadą na północ, okrążą Inverness i drogą wzdłuż zachodniego wybrzeża, mijając Oban i Glasgow, dotrą do Edynburga. Jeśli doda gazu, będą w domu jutro przed zamknięciem pubów. Ale najpierw musi jeszcze coś załatwić.

Wyrównać rachunki.

Inspektor Insch wyglądał właśnie tak jak ktoś, kogo zwleczono z łóżka o wpół do trzeciej w nocy. Bez słowa wysłuchał Logana, który zrelacjonował mu przebieg wypadków od chwili zgłoszenia pożaru do ustawienia blokad na drogach, wrzucił do ust lukrecjową żelkę i żuł w zadumie. Łysina błyszczała mu w świetle reflektorów BIO.

- Rozumiem. A teraz niech pan zmyka do domu. - Wskazał skuloną w radiowozie Jackie. - I weźmie ze sobą Śpiącą Królową. Spotkamy się jutro o dwunastą. Zapowiada się dochodzenie w sprawie strzelaniny. - Pochłonął następną żelkę. - Będą pytać, co tu robiliście w środku nocy.

Logan poczerwieniał.

- No właśnie, panie inspektorze... Jak by to...

Insch uciszył go gestem.

- Nie chcę wiedzieć. Ale módlcie się, żeby wasze zeznania się pokrywały. Maitland zginął na posterunku. Jeżeli to, co tu widzę, to jakaś popieprzona, nieoficjalna akcja, będzie wielka wtopa.

Radiowóz wysadził ich przy Union Grove, gdzie przesiadli się do służbowego auta i wrócili nim na komendę. Z domu babci Kennedy niewiele zostało: dach runął, a piętra były wypalone. Aresztowanie za posiadanie narkotyków było zapewne najszcześniejszym zbiegiem okoliczności, jaki mógł się starszej pani przytrafić. Gdyby była w domu, już by nie żyła.

Logan zaczął się gramolić za kierownicę, ale Jackie go wypchnęła: nie pozwoli mu prowadzić.

- Nie żartuj, minęło już...

- Nic mnie to nie obchodzi. Tego by nam jeszcze brakowało, żeby cię złapali za jazdę po kielichu. I tak mamy dość kłopotów. - Uruchomiła silnik i zapięła pas, krzywiąc się z bólu. - Insch wie, że piłeś?

- Chyba nie... W każdym razie nic nie mówił.

- To dobrze. - Ruszyli w stronę domu. - Co mu właściwie powiedziałeś?

- Wszystko... Tylko nie o palcach Colina. No i nie przyznałem się, że siedzieliśmy pod domem Kiziora bez rozkazu. Uznałem, że to by mu się mogło nie spodobać.

Jackie pokręciła głową i skręciła w Holburn Street.

- Dlaczego, do diabła, daliśmy ci się namówić?!

Logan przygryzł wargę.

- No dzięki... Jakbym nie czuł się już wystarczająco paskudnie.

Włączył policyjne radio i nasłuchiwał wieści z blokad albo nowin o stanie zdrowia Steve'a. Nic. Zadzwoił do szpitala na ostry dyżur: Posterunkowy Jacobs jest w stanie krytycznym. Trwa operacja. Za parę godzin powinni wiedzieć coś więcej.

Oparł policzek o chłodną szybę. Co za dzień... Rano poszedł na pogrzeb człowieka, który przez niego zginął. Po południu dopadł seryjnego mordercę; wieczorem sukces przypisano komu innemu. A teraz znów doprowadził do strzelaniny. Pięknie, pięknie, pięknie... Nie wspominając już o tym, że przez niego przyjaciel stracił palce. Chyba nic dziwnego, że trafił do Steel i Partaczy. Po prostu to dla niego idealne miejsce.

Skoro już o tym mowa... Mógłby to wreszcie załatwić. Wyjął telefon i odsłuchał wiadomości od Steel.

- McRae, gdzie się pan podziewa? Konferencja prasowa za pół godziny! Radzę być!

Biiip.

- To znowu ja. Co to, obraził się pan? Dupa w troki i na komendę! Szef chce, żeby wygłosił pan mowę!

Biiip.

- Zostało dziesięć minut. Gdzie pan jest?! Niech pan słucha: wybaczam panu. Jasne? Tylko niech pan natychmiast wraca!

Biiip.

- Jezu, McRae... Naprawdę musi pan być taki upierdliwy? Proszę natychmiast przyjechać!

Biiip.

I tak to szło, aż do ostatniej, bardzo zwięzłej:

- Nie było pana. Oby miał pan dobre usprawiedliwienie.

Wcale nie chciała spijać śmietanki. Przeciwnie: robiła wszystko, żeby jemu przypadły zaszczyty.

- Super...

Skasował wiadomości. Już nieaktualne. Spieprzył tę sprawę tak samo jak wszystkie inne.

Nadal nie wiedział, co zrobić z Millerem. Kizior uciekł, więc Isobel nie da mu teraz spokoju: będzie mu marudzić, że powinien stanąć na głowie, dopytywać się, czemu jeszcze ich nie złapali i co będzie, jeśli wróca...

Skrzywił się i zaklął paskudnie.

- Zawracaj.

- Jak to? - Jackie wskazała skrzyżowanie, do którego dojeżdżali. - Jesteśmy prawie w domu.

- Zawracaj!

Westchnęła teatralnie i zawróciła na Union Street.

- Dokąd zatem się udamy, o największy i najmądrzejszy z mistrzów?

- Co będzie, jeśli Kizior wcale nie pojechał na południe? Może stwierdził, że musi coś dokończyć?

Tym razem to Jackie zakłęła.

- Palce Colina Millera.

- No właśnie. Wie, że go ścigamy, i pewnie pomyśli, że to przez Millera.

Jackie wduśiła pedał gazu. Przemknęli Union Street, przecięli Union Terrace na czerwonym, na żółtym przejechali obok Marble Hall. Puste ulice i ciemne sklepy śmigały po obu stronach.

- Może wezwiesz wsparcie?

Logan złapał się uchwytu nad drzwiami i zaparł nogami o podłogę, kiedy minęli rozwidlenie na końcu Holburn i wjechali do Albyn Place.

- A jeśli się mylę?

- Wyjdiesz na idiotę. A jeśli się nie mylisz?

- Miller nie chce, żeby ktoś się dowiedział o jego palcach, wołał- by...

- No to ma pecha. Steve też pewnie nie chce leżeć w szpitalu z kulą w płucu! Gdyby ten kurdupel z Glasgow wcześniej dał nam znać, dawno przymknęlibyśmy Kiziora. A tak bandzior mało nam tyłków nie odstrzelił.

Co racja, to racja. Logan wyjął telefon i zadzwonił do centrali - zamykając oczy, kiedy Jackie jak rajdowiec objechała rondo Królowej Wiktorii. Usłyszał, że nie mają nikogo wolnego: wszyscy pojechali na blokady. Zaklął i zadzwonił do Inscha na komórkę.

- Wiesz, że za to mnie wyleje, prawda? - spytał Jackie, czekając, aż inspektor odbierze telefon. - Panie inspektorze? Tu Logan. Będzie mi potrzebne wsparcie.

- Wsparcie? A po co, do diabła?

Opowiedział Inschowi o palcach Millera i groźbie Kiziora, że wróci, jeśli Miller znów pójdzie na policję.

- Naprawdę myśli pan, że jest takim durniem, żeby wrócić? Pan zwariował. Dawno ucieka z podkulonym ogonem!

- A jeśli nie?

Insch pomarudził chwilę, obiecał, że zobaczy: może coś się da zrobić, i się rozłączył. Jackie zwolniła, skręcając w Forest Road, tuż przy dzielnicy bogaczy.

- Ico?

- Może.

- Może? A co to za odpowiedź?

- Taką dostałem. - Logan wskazał wjazd w Rubislaw Den North. - W lewo, tamtędy, potem skręcimy.

Ulica była jak wymarła. Planiki światła tańczyły na chodnikach - to żółty blask sodowych lamp przesączał się przez korony dorodnych, rozłożystych jesionów. Zobaczyli dom, równie ciemny i cichy, jak cała ulica.

Logan postukał w szybę.

- Zatrzymaj się tutaj.

Jackie wcisnęła się między brudnego niebieskiego transita i porsche kabriolet.

- Proszę bardzo. - Zaciągnęła hamulec ręczny. - Co zamierzasz?

- Podkraść się, rozejrzeć trochę. Jeśli nic się nie dzieje, wrócimy do samochodu i zaczekamy.

- Super. O niczym innym tak nie marzę, jak żeby posiedzieć jeszcze ze dwie godzinki w tym gracie.

Wysiedli i przeszli obok brudnego transita. Logan zatrzymał się, odwrócił i spytał Jackie, czy furgonetka nie wydaje się jej znajoma.

- Żartujesz? Co drugi zajeżdżony transit w Aberdeen tak wygląda. Ale myślałam, że się nam spieszy?

Logan podkradł się pod dom. Zajrzał przez okno do salonu, osłaniając oczy dłonią. Nic. W jadalni też pusto. Nie miał jak obejść domu od tyłu.

- Co dalej?

- Zawsze możemy zadzwonić, nie?

Wcisnął guzik i z głębi budynku dobiegło znajome: diiing-donng! Czekali, czekali i czekali - aż w końcu Logan zadzwonił drugi raz. Oba samochody stały na podjeździe; musieli być w domu, zwłaszcza o wpół do czwartej nad ranem.

Jackie zajrzała do środka przez szparę na listy.

- Jak w grobie...

- To ze mną jest coś nie tak? Czy ty też masz złe przeczucia? - mruknął Logan.

- Może śpią jak zabici? Mówiłeś, że pani doktor ostro tankowała, a Miller jest na prochach przeciwbólowych...

Logan cofnął się i zadarł głowę.

- Co nam mogą zrobić, jeśli tam wejdziemy i okaże się, że wszystko gra?

- Urwą ci jaja za włamanie.

- Chyba że będę miał klucz... - Przechylił stojącą przy drzwiach doniczkę bratków i zaczął macać na oślep. Nagarnął trochę ziemi. Nic. Z drugiej strony. Nic. - Kurczę, kiedyś trzymała tu zapasowe klucze.

- W kwiatku przy drzwiach? Nie lepiej od razu postawić sobie na trawniku tabliczkę: „Jestem głupia; proszę mnie okraść?”

- Masz latarkę?

Miała; wciąż była przecież w mundurze, przepoconym, zakrwawionym, cuchnącym benzyną i dymem - ale mundurze. Sięgnęła po latarkę, kiedy w korytarzu zapaliło się światło, przesączaając się na zewnątrz przez matowe szyby wokół drzwi.

- Czas najwyższy... - mruknęła pod nosem.

Szczęknięta zasuwą zadźwięczał łańcuch i drzwi się otworzyły.

W progu stała Iso*bel. Wyglądała fatalnie. Włosy z jednej strony przylizane, z drugiej - niemilosiernie nastroszone. Przekrwione oczy, świeże otarcie na policzku. Była ubrana w błękitną piżamę w pingwiny.

- Czego? - zapytała, zionąc whisky.

Logan podszedł bliżej.

- Wszystko w porządku, Isobel? Co ci się stało w policzek?

Zasłoniła dłonią otarcie i próbowała się uśmiechnąć. Bez powodzenia.

- Pewnie się uderzyłam... kiedy wymiotowałam. - Cofnęła się za próg i podała Loganowi rękę. - Witam. Wejdźcie, proszę. Ty i twoja żona Daphne. Jak zwykle piękna. - Wskazała posterunkową Watson. - Zaraz przyniosę waszego ulubionego pernoda.

Logan otworzył usta, żeby powiedzieć: Przecież wiesz, że nie znoszę pernoda, ale Isobel już kiwała na nich, żeby szli za nią.

- Daphne? - syknęła Jackie.

Wzruszy! ramionami; Isobel musiała być bardziej pijana, niż sądził. Zresztą zawsze miała słabą głowę. Przeszli przez cały dom, prosto do znajdującej się w głębi kuchni. Tam wszystkie światła były włączone, a przy stole, nagi i przywiązany do krzesła, siedział Colin. Knebel rozwierał mu szczęki, krew spływała po piersi z rany po lewym sutku.

Jakiś dźwięk za ich plecami, w przedpokoju. Logan okręcił się na pięcie i spojrzał prosto w wylot lufy pistoletu. Mierzył do niego Kulas, ubabrany skrzepniętą krwią. Kazał mu wejść do kuchni.

- Sierżant McRae... - zabrzmiał znajomy głos z edynburskim akcentem, kiedy drzwi zamknęły się za nimi. - Co za miła niespodzianka.

44

Kizior stanął nad Millerem. Dziennikarz był blady i spocony, trząsł się i jęczał słabo pod kneblem. Kizior sięgnął po kombinerki; ciemne gumowe uchwyty kontrastowały z rękawiczkami z białego lateksu.

- No dobrze. - Uśmiechnął się. Colin zaczął płakać. - Sierzancie McRae, chciałbym, abyście pan i pani... Przepraszam, kotku, jak masz na imię? - Przerazona Jackie wpatrywała się w pistolet Kulasa. - No co? Zapomniałaś języka w gębie? Jak chcesz. Chciałbym, abyście oboje grzecznie usiedli. Porozmawiamy sobie o tym, co się teraz wydarzy.

Kulas wskazał wolne krzesło przy stole. Logan usiadł niechętnie, starając się nie kulić, kiedy lufa dziabnęła go w ucho. Kizior kazał Isobel przymocować mu ręce do oparcia jednym z leżących na blacie zacisków do kabli. Nałożyła mu je miło i sympatycznie, nie za ciasno, żeby łatwo mógł się uwolnić - ale Kulas chwycił końcówkę i zacisnął plastikowe więzy z taką siłą, że Logan syknął z bólu.

Jackie cofnęła się do kąta, z dłońmi na ustach. W oczach miała łzy.

- Boże, nie - jęknęła. - Boże, nie. Boże, nie.

I tak cały czas.

- Pora zaczynać - oznajmił Sutherland.

Złapał Colina za lewą rękę i podniósł mu ją do góry, wykręcając nadgarstek. Bez bandaży małe kawałki mięsa przyszyte do sinych kikutów były doskonale widoczne, podobnie jak szwy w opuchniętej, zaczerwienionej skórze. Kizior zacisnął kombinerki na jednym z odtworzonych stawów.

- To na początek, żeby wszyscy zrozumieli, że to nie zabawa...

- Stęknął i szarpnął, zrywając szwy i oddzielając kawałek palca od kikuta. W ranie wezbrała krew. Zakneblowany Colin wrzasnął. Kizior z uśmiechem podszedł do kosza na śmieci, nadepnął pedał i wrzucił paliczek między skorupki z jajek. - Z kombinerkami idzie łatwo. Gorzej będzie, kiedy użyję nożyc.

Isobel siedziała przy stole - trupioblada, szkliste oczy, policzki mokre od łez. Kulas skrępował ją tak samo jak siedzącego obok niej Logana.

- To był tylko jeden mały kawałek, a Colin ma przecież jeszcze... niech no spojrzę... sześć całych palców, ...oba kciuki... parę kikutek.

- Liczył po cichu. - To daje całe dwadzieścia trzy kawałki! Jejku, moglibyśmy tu siedzieć godzinami?

- To ci nic nie da, Kizior - powiedział Logan. Starał się zachować zimną krew. I prawie mu się udało. - Może być...

- Jestem Brendan, nie żaden Kizior. Bren-dan. - Sutherland kiwnął głową i coś twardego wyrznęło Logana w skroń. Ból eksplodował mu pod czaszką. Krew spłynęła po twarzy. - Kizior to taka dziecinna ksywa, no nie? - Popriiyl krawat i znów się uśmiechnął. - Wbrew powszechnemu przekonaniu tortury i przemoc są ogromnie skuteczne. Pomyślcie tylko, kiedy już się z wami rozprawimy i policja znajdzie szczątki waszych ciał, wszyscy się przekonają, że nie warto nam podskakiwać. Cpuny, kurwy i dilerzy muszą znać swoje miejsce. A strach super motywuje.

- Więc to twój sposób na Kulasa? - wycedził Logan przez zęby.

- Bić go regularnie? Pokazać mu, że pedofilia jest zła?

- On nie jest pedofilem! - Kizior doskoczył do niego i uderzył go pięścią w twarz. Głowa Logana odskoczyła w tył. Ciemność ryknęła ogłuszająco. - Rozumiesz, kurwa? Więcej nie będę powtarzał.

Logan zakołysał się na krześle. Krew pociekła mu z kącika ust, pokój pulsował w rytmie dudnienia w jego uszach. Może to jednak nie najlepszy pomysł rozwścieczać Sutherlanda. Bandzior złapał go za włosy i zadął mu głowę do góry.

- Chcesz poznać pedofila?! To spróbuj się wychowywać w domu dziecka, palancie! Albo idź na sześć lat do poprawczaka!

Skulona w kącie przy stojaku z butelkami shiraz i zinfandela Jackie szlochała coraz głośniejszymi, bełkotłymi:

- Obożeobożeobożeobożeobożeobożeobożeobożeoboże...

Podciągnęła kolana do piersi, złamaną ręką zasłoniła twarz. Umazany sadzą i krwią Jacobsa gips nie wyglądał jak gips.

- No nie, jak Boga kocham... - Kizior z niesmakiem odwrócił się do niej plecami. - Greg? Zrób coś, proszę, niech ona tak nie jęczy.

- Nie! - wydarł się Logan.

Kulas podszedł do Jackie i zamachnął się pistoletem jak pałą gotów rozbić jej głowę. I wtedy Jackie z całej siły uderzyła go pięścią w jądra. Kulas tylko stęknął z bólu, kiedy obiema stopami jednocześnie trafiła go w kolana. Runął na ziemię, a ona, zdesperowana, skoczyła na niego i raz za razem zaczęła go okładać gipsem po twarzy. Sutherland ryknął i rzucił się na nią ale była szybsza: odcoczyła się na bok, a on wpadł na stojak, stracając z niego butelki.

Zerwała się z pistoletem w ręce. Gipsowy opatrunek na jej drugim ramieniu popękał i luszczyl się, zbryzgany świeżą czerwoną krwią. Kulas się nie ruszał.

Wszystko to trwało? - cztery sekundy.

Uśmiechnęła się. Już żadnej hysterii.

- Ech, te kobiety... Nie można im ufać, co?

Sutherland oblizwał wargi. Przeniósł wzrok z pistoletu na leżącego bez ruchu kompana.

- Greg?

- Na ziemię! Ręce za głowę, nogi skrzyżowane w kostkach!

Kizior na klęczkach przesunął się bliżej Grega.

- Greg? Nic ci nie jest?

- Powiedziałam: ręce za głowę!

- Trzeba wezwać karetkę! On nie oddycha!

- I dobrze. - Jackie kopnęła Kulasa w nogę. - Skurwiel postrzelił mojego kumpla!

Logan splunął krwią Skrzywił się.

- Jackie? Wezwij tę karetkę.

- Tak? A po co? - Spojrzała na niego, wściekła. - Dlaczego gnój ma żyć, kiedy Steve umiera?

- Dlaczego oba te gnoje mają żyć? - zawtórowała jej Isobel łamiącym się głosem. - Zobacz, co zrobili! Aresztujecie ich? I co?! - Zaczęła krzyczeć. - Staną przed sądem, dostaną ze czternaście lat, wyjdą za dobre sprawowanie po siedmiu albo jeszcze wcześniej, bo odliczą im areszt! Myślisz, że tu nie wrócą? Trzeba ich zabić!

Logan wytrzeszczył oczy.

- Nie można ich tak po prostu zastrzelić... To nie są zwierzęta. To ludzie!

- Ludzie?!

Jackie kopnęła Sutherlanda w krzyż. Padł jak długi na ziemię. Podniosła pistolet, sprawdziła mechanizm, wprowadziła nabój do komory.

- Jackie, nie!

- Greg? - Sutherland podniósł się na klęczki. - Greg, oddychaj!

- Zastrzel go! - błagała Isobel, krzywiąc się z obrzydzeniem. - Nikt się nie dowie. Colin ma znajomego, hodowcę świń, pozbedziemy się ciała! Inaczej wrócą!

- Jackie!

t

Jackie przystawiła pistolet Sutherlandowi do głowy.

Dwa dni później.

- Ile z tego jest prawdą? - spytał Insch.

Rzucił na biurko raport Logana: piętnaście stron kłamstw i półprawd, wydrukowanych z samego rana, po powrocie ze szpitala. Za oknem poranne słońce pieściło miasto w pożegnalnych przeblaskach lata; szklany monolit St Nicholas House mienił się i lśnił. Prognozy pogody: nadchodzące tygodnie będą szare i ponure. Dziękujemy ci, Aberdeen, i dobranoc...

- Wszystko. Każde słowo.

Insch milczał i patrzył na Logana: on nie zniesie przedłużającej się ciszy - złamie się i powie coś, czym sobie zaszkodzi. Ale Logan wołał nie otwierać opuchniętych ust: minęły dwa dni, a pięść Sutherlanda wciąż nie dawała o sobie zapomnieć.

- Dobrze - powiedział w końcu inspektor. - Zainteresuje pana pewnie wiadomość, że mamy wyniki badań laboratoryjnych kuli, która utkwiała w ciele posterunkowego Jacobsa. Ciekawe... Jest identyczna

jak ta, od której zginął Maitland. Takie same ślady po gwincie w lufie. Ta sama broń, ten sam strzelec.

Ten sam strzelec? Logan zamknął oczy.

- O Boże... Furgonetka!

Insch uniósł brwi.

- Jaka znowu furgonetka?

- Stała pod domem Isobel: brudny niebieski transit. Wydał mi się znajomy. To ten sam wóz, który widzieliśmy przy magazynie, kiedy postrzelili Maitlanda. - Logan zaklął i się zamyślił. W magazynie nie znaleźli żadnego trefnego towaru - to był tylko ośrodek dystrybucyjny Sutherlanda. Miller powiedział, że to Graham Kennedy dał mu wtedy cynk: magazyn niby był pełny kradzionego sprzętu AGD - a Kennedy'emu chodziło tylko o to, żeby policja wyręczyła go w tępieniu konkurencji. Mieli się pojawić z nienacka, znaleźć narkotyki, zgarnąć nowych z Edynburga. I byłoby okej, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem. Ale nie poszło. Sutherland i jego kumple uciekli, a potem odpłacili pięknym za nadobne - z tą różnicą, że Sutherland nie bawił się w anonimowe donosy - porywał, torturował i zabijał, ot, poważnie traktował swoją robotę.

Logan znów zaklął.

- Wszystko w porządku, sierżancie?

- Nie, panie inspektorze. Nie bardzo.

Insch pokiwał głową i dźwignął się z trzeszczącego krzesła. Zgniół opakowanie po żelkach i wyrzucił je do kosza.

- Chodźmy, postawię panu kanapkę z bekonem i herbatę. Przesłuchanie w sprawie wypadku ze skutkiem śmiertelnym dopiero o wpół do piątej.

Loganowi zakotłowało się w żołądku.

- Nie, dziękuję. Nie mam ochoty na bekon. - Cały czas myślał o kumplu Millera i jego świniach. - Przepraszam, ale mam pilną sprawę do załatwienia.

I poszedł szukać mundurowego, który by z nim pojechał. Służbowym wozem. Przy tylnych drzwiach natknął się na posterunkową Bu- chan: paliła papierosa i gryzła paznokcie.

Wyglądała tak, jakby od ich spotkania przed dwoma dniami nie zmrużyła oka.

305

- Wpół do jedenastej. Co pani tu jeszcze robi? - spytał. Skrzywiła się i pokręciła głową. - Nocna zmiana kończy się chyba o siódmej?

20 - Zamierające światło

Wbiła wzrok w ziemię i wzruszyła ramionami.

- Przeniosłam się na dzienną. Bo niby co, wrócić do domu i czekać, aż zadzwonią z wewnętrznego? Łaziłam po ścianach...

- Przejedziemy się. - Logan rzucił jej kluczyki. - Pani prowadzi.

Dopiero na Hazlehead złamała się i zapytała, kiedy złoży na nią skargę.

- Zdaje sobie pani sprawę, że zachowywała się pani jak ostatnia kretyńka? - Minęli ostatnie bloki i po obu stronach drogi rozpostarły się zielone wiejskie tereny. Buchan zeszytywniała, ale nic nie powiedziała. - Gdybym mógł cofnąć czas i sprawić, żeby Maitland i Jacobs nie odnieśli ran, zrobiłbym to. Nie chciałem, żeby do tego doszło. - Po lewej minęli skręt do krematorium, budynku niewidocznego z drogi, bo ukrytego za pagórkami i kępą drzew. Logan westchnął. - Nie złożę skargi. Dam pani szansę.

Buchan zerknęła na niego.

- Dlaczego? - Nie ufała mu.

- Dlatego, że... Dlatego, że każdy czasem potrzebuje drugiej szansy.

On sam potrzebował trzeciej. I czwartej. Stosunki z inspektorem Steel wciąż jeszcze nie wróciły do normy, a nagłówek w najnowszym numerze „P&J” tylko pogorszył sprawę...

Zapadła cisza. W milczeniu przejechali przez rondo w Kingswells, skąd aż do Westhill ciągnęły się pola i łąki; trawa lśniła szmaragdowo w słońcu. To jedna z zalet Aberdeen: gdziekolwiek człowiek mieszka, na wieś ma najwyżej kwadrans. No, poza godzinami szczytu...

- Ja... - Posterunkowa Buchan odchrząknęła. - Najpierw pomyślałam, że po prostu ma romans, ale... - Głęboki oddech. Pospieszne słowa. - Ale teraz wydaje mi się, że spotykał się z kobietami z portu. Z... prostytutkami. Nie puszkował ich, tylko udzielał ostrzeżenia: Jeśli...

Logan uciszył ją gestem.

- Wiem, nie musi mi pani tłumaczyć.

Sam się tego domyślił. To dlatego Michelle Wood i „Kylie” nie miały wpisów w kartotece. I to dlatego młoda Litwinka proponowała, że obsłuży go za darmo. Był przecież policjantem.

- Wyrzuciłam go z domu.

- I dobrze.

Ailsa stała przy oknie w kuchni; patrzyła, jak dzieci bawią się na szkolnym boisku. Młodsze biegały w kółko jak zwariowane, starsze, spokojniejsze, wylegiwały się na trawie i wygrzewały w słońcu. Baba z sąsiedztwa została zatrzymana bez możliwości wyjścia za kaucją. Tak podały gazety: zatrzymana, oskarżona o bestialskie zamordowanie Gavina Cruickshanka. Na pierwszej stronie „Press and Journal” zamieszczono nawet małe zdjęcie jej paskudnej, wykrzywionej nienawiścią twarzy, zrobione, kiedy wyprowadzano ją z gmachu sądu. Oczywiście śmierć Gavina okazała się mniej ważna od jakiegoś lokalnego skandalu: Gavinowi poświęcono trzy kolumny u dołu strony. Wystarczyło to jednak, żeby wszyscy się dowiedzieli, jakim potworem jest Clair Pirie, sąsiadka z piekła rodem. Ailsa odetchnęła z ulgą. Dobrze, że ją zabrali.

Przygryzła wargę, przełknęła łzy; obraz dzieci na boisku się rozmył. Nie płacz, nie płacz... Zaszlochała. Jęknęła. Gavin...

Stała nad zlewem i opłakiwała męża i swoje małżeństwo. Dzieci bawiły się bez troski. Dzieci, których nigdy nie będą mieli.

Chwyliła się krawędzi zlewu i zwymiotowała. Dietetyczny koktajl bryztał na nieskazitelnie czystą nierdzewną stal. Wymiotowała tak długo, aż w żołądku nic nie zostało.

Była w łazience na piętrze, kiedy usłyszała dzwonek. Pewnie kolejni dziennikarze. Dobijali się do drzwi bez przerwy, telefon dzwonił dzień i noc - po co? Chcieli położyć brudne łapska na tragedii pogrążonej w żałobie wdowy, koniecznie wetrzeć sól w świeżą ranę? Jakby nie dość wycierpiała.

- Pani Cruickshank, czy to prawda, że pani mąż miał romans? Pani Cruickshank, czy znaleźli już głowę pani męża? Pani Cruickshank, jakie to uczucie dowiedzieć się, że sąsiadka poćwiartowała pani ukochanego?

Znowu dzwonek, ale tym razem usłyszała również głos:

- Pani Cruickshank? Toja, sierżant McRae. Otworzy pani?

Umyła zęby, połknęła pianę z pasty, przepłukała usta - żeby zabić odór zółci wonią mięty. Zbiegła na parter i otworzyła drzwi.

Na górnym stopniu schodów stał sierżant McRae. I jakaś policjantka.

- Możemy wejść?

W kuchni, przez otwarte na oścież okno, słyszeli głosy dzieci bawiących się w szkole po drugiej stronie ulicy. Agresywny, sztuczny zapach kwiatów próbował maskować kwaśny odór wymiocin. Na stole leżał najświeższy numer „P&J”, krzyczący tytułem „Radny uprawiał seks z trzynastoletnią prostytutką!” Nie był to najlepszy nagłówek Colina Millera, ale trudno się pisać, kiedy człowiek nie ma połowy palców. Logan przejrzał artykuł, czekając, aż Ailsa Cruickshank zaparzy herbatę. Ani słowa o urzędniku z działu planowania ani o McLennan Homes, a zasługę wykrycia sprawy przypisano „inspektorowi z wydziału kryminalnego, który życzył sobie zachować anonimowość”, ale to wystarczyło, żeby radny Marshall został zawieszony i wezwany na przesłuchanie. Inspektor Steel była wściekła jak osa.

Trzy delikatne porcelanowe filiżanki szczęknęły na spodeczkach. Pojawiły się ciasteczka w czekoladzie. Ailsa usiadła i spojrzała na Logana wyczekująco.

- Pani Cruickshank... - zaczął, zastanawiając się, jak ująć to, co chciał powiedzieć. - Od paru dni jedna rzecz nie daje mi spokoju...

- Tak?

- W organizmie pani męża znaleziono znaczną ilość antydepresantów.

Zmarszczyła brwi.

- Gavin nie miał depresji... Powiedziałby mi! Albo sama bym zauważyła.

- Stąd moje pytanie: dlaczego był tak nafaszerowany pigułkami?

Ailsa wskazała zdjęcie Clair Pirie na pierwszej stronie „P&J”.

- Może je w niego wmusiła? Albo pognoitła je i dodała mu do jedzenia?

- Lubi pani powieści kryminalne, prawda? Pokazywała nam pani swoją kolekcję, kiedy przyszliśmy pierwszy raz. Pamięta pani? Lubi pani takie zakończenia: detektyw demaskuje mordercę i ujawnia wszystkie jego kłamstwa?

- Ja... Nie rozumiem. - Odstawiła filiżankę. - O co chodzi?

Logan spojrzał jej w oczy.

- My wiemy.

Zbladła. Siedziała sztywna, nawet nie drgnęła, i patrzyła na niego, a czas ciągnął się, jakby był z gumy. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Zamknęła je, przełknęła ślinę.

- O co panu chodzi?

- Po co brać czerwoną walizkę, jeśli chce się ją ukryć w lesie? Ma to sens tylko wtedy, kiedy chcemy, żeby została znaleziona. Po co ćwiartować ciało, ale tak, by widać było wytatuowane na piersi imię?

Nawet gdybym nie widział zdjęcia Gavina z dziewczynami z Hootersa, przeszukalibyśmy bazę danych; pani imię pojawia się obok nazwiska w zgłoszeniu zaginięcia męża. A on, zbiegiem okoliczności, ma aż trzy romanse jednocześnie. Tymczasem pani sąsiadka, której od lat próbuje się pani pozbyć, nigdy nie zamyka garażu, a często jest nieprzytomna lub śpi w ogródku, pijana. Nietrudno chyba zakraść się do niej do domu, umazać krwią Gavina krany i wannę, a przy okazji podrzucić nóż do zamrażarki, prawda?

- To niedorzeczne.

- Czyżby? Za jednym zamachem pozbywa się pani niewiernego męża i znenawidzonej suki z sąsiedztwa. - Logan się uśmiechnął. - Ale popełniła pani błąd. Pigułki. Trzeba było po prostu ogłuszyć Gavina, rąbnąć go w głowę. Niby jak Pirie miała go namówić do połknięcia takiej ilości prochów? Podać mu je zapieczone w cięście na przeprosiny?

- Ale przecież dzwonił do biura...

- Nie dzwonił, tylko esemesował. Mogła pani wysłać SMS z jego telefonu, kiedy już nie żył. Hayley zresztą też nie pojechała na wakacje, prawda? Zabiła japończyka i ukryła ciało. Na razie nie wiemy, gdzie jest, ale się znajdzie. Zawsze się znajdują.

Zazgrzytało krzesło - Aislinn wstała.

- Chcę rozmawiać z moim adwokatem.

Logan pokręcił głową.

- Za dużo książek pani czyta, pani Cruickshank. To jest Szkocja. Tu my decydujemy, kiedy porozmawia pani z adwokatem.

Przesłuchanie zostało przerwane o wpół do siódmej wieczorem i miało być kontynuowane następnego dnia od ósmej rano. Jackie czekała na Logana pod salą konferencyjną. Miała świeżutki gips na złamanej ręce, wręcz śnieżnobiały w porównaniu z tym, który - popękany, brudny jak nieszczęście - rozcięli jej i zdjęli we wtorek nad ranem.

- No i jak?

Logan uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Posterunkowy Maitland zginął na posterunku wskutek nieprzewidzianego rozwoju wydarzeń. Jutro jeszcze raz się spotykamy, żeby powiedzieć sobie, czego się nauczyliśmy.

- Widzisz? Mówiłam, że będzie okej.

Rozejrzała się po korytarzu i kiedy upewniła się, że nikt nie patrzy, rzuciła się Loganowi na szyję i serdecznie go ucałowała.

- Auć! - Odsunął się i dotknął obolałej górnej wargi. - Nie tak ostro. Zapomniałaś, że zęby mi się ruszają?

- Nie gadaj tyle, marudo. - Zamknęła mu usta długim, gorącym pocałunkiem. - Chodź - powiedziała, kiedy zrobili przerwę dla nabrania tchu. - Obiecałam Steve'owi, że przywieziemy mu ciasto mętowe i pornopuzzle.

- Jackie? - spytał, kiedy szli po schodach. - Strzeliłabyś? Naprawdę byś strzeliła? No wiesz, do Kiziora...

- Ależ tak, do diabła - odparła z uśmiechem.

Ci, bez których..

Prawda bywa plastyczna, zwłaszcza kiedy to ja dorwę ją w swoje ręce. Muszę więc podziękować wielu wspaniałym ludziom, którzy pozwolili mi uformować ich prawdy na nowo - a często zmienić je nie do poznania: pracownikom z biura prokuratora generalnego w Aberdeen za zapoznanie mnie ze szkockim wymiarem sprawiedliwości od kuchni; George'owi Sangsterowi z policji w Grampian za górę bezcennych informacji o funkcjonowaniu policji i stosowanych przez nią procedurach oraz mojej „pierwszej damie prosekutorium” Ishbel Hunter, starszej patolog w Szpitalu Królewskim w Aberdeen - za to, że jak zwykle jest gwiazdą.

Zaciągnąłem również dług wdzięczności u Philipa Pattersona - który nie tylko jest cholernie dobrym agentem literackim, ale także prawdziwym przyjacielem - i u pracowników Marjacy Scripts; u moich niezastąpionych, fantastycznych redaktorek Jane i Sarah; u kapitalnego zespołu z HarperCollins, szczególnie u Amandy, Fiony, Kelly, Joy, Damona, Lucy, Andrei oraz wszystkich innych, których starania sprawiły, że książka się ukazała; Kelley z St. Martin's Press i Ingeborg z Tiden dziękuję za cenny wkład w tę powieść, a Jamesowi Oswaldowi za dobre rady i zdjęcia sera.

Powinienem chyba podziękować również członkom Rady Turystycznej Aberdeen za to, że nie zlinczowali mnie, kiedy opublikowałem poprzednią książkę. Nie wiem, czy to ich pocieszy, ale przynajmniej tym razem akcja toczy się latem.

Przede wszystkim jednak dziękuję mojej niegrzecznej małżonce Fionie (inaczej oberwałbym w ucho).

1 Biały pudding (white pudding) - szkocka potrawa trochę podobna do kaszan- , ale produkowana bez dodatku krwi i z płatkami owsianymi zamiast kaszy (przyp.

